



**MICHAEL
PALMER**

OSTATNI CHIRURG

NAJNOWSZA POWIEŚĆ MISTRZA MEDYCZNEGO THRILLERA

Michael PALMER

OSTATNI CHIRURG

Z angielskiego przełożyła BARBARA GADOMSKA

Tytuł oryginału: THE LAST SURGEON

PODZIĘKOWANIA

Jennifer Enderlin pilotowała tę książkę od pomysłu po zakończenie i wydanie.

Meg Ruley, Jane Berkey i Peggy Gordijn odcisnęły na niej swoje piętno, podobnie jak cała reszta bandy w Jane Rotrosen Agency.

Chłopcy z rodziny Palmerów - Daniel, Matthew i Lukę - wielokrotnie wspomagali mnie swoją błyskotliwością i kreatywnością.

John Roach zaznajomił mnie z polityką dotyczącą zasiłków dla weteranów.

Szef kuchni Bill Collins zna się na chartach i na pad thai.

Rick Towne, szef straży pożarnej w Hollis w New Hampshire, oraz Lonnie L. Larson, ekspert pożarnictwa, powiedzieli mi wszystko, co powinienem wiedzieć o podpaleniach.

Dzięki wiedzy doktora Joela Solomona o terapii EMDR i leczeniu zespołu stresu pourazowego mój poziom stresu na subiektywnej skali się obniżył.

Jeflf Strobel i Peter Karlson znają się na technice komputerowej.

David Fulton wie wszystko o kajakach.

Profesor Katherine Ramsland wyjaśniła mi, dlaczego zabójcy zabijają.

Doktor David Grass jest specjalistą od spraw neurologicznych, a doktor Danica Palmer od spraw psychiatrycznych.

Dzięki Susan Reese i Susan Palmer Terry zostałem niemal ekspertem w dziedzinie ICD i elektronicznych systemów dokumentacji medycznej oraz rachunkowości.

Andréa Leers jest, jak zwykle, moim dyżurnym architektem.

Doktor AbdelRahman Rabie i Ellen Rosenthal, z Arabii Saudyjskiej i San Francisco, obdarzali mnie przyjaźnią i dzielili się ze mną swoją znajomością języków.

Sara Goodman, Jessica Bladd, Robin Broady, Ben Palmer oraz moi kumple od trzydziestu lat, Bill Wilson i doktor Bob Smith, zawsze byli na miejscu, gdy statek trzeba było skierować na właściwy kurs.

PROLOG

- Wiem, że trudno pani uwierzyć, iż to się dzieje naprawdę, pani Coates, zapewniam panią jednak, że tak jest. Zapłacono mi, i to dobrze, abym panią zabił.

Belle Coates spojrzała na intruza przez łzy.

- Proszę, niech mi pan powie, czego pan chce. Proszę mi powiedzieć, czego pan chce. Może pan to dostać. Cokolwiek pan zechce.

Mężczyzna westchnął.

- Nie słucha mnie pani - powiedział z przesadną cierpliwością nauczyciela trzeciej klasy. - Nie przyszedłem się targować. Już to pani wyjaśniłem. Jestem tu, bo mi za to zapłacono.

- Ale czemu? Dlaczego ja?

Raz jeszcze na próżno spróbowała wstać. Przeguby rąk i kostki nóg miała przymocowane do kuchennego krzesła takimi samymi taśmami z rzepami, jakimi ona i inne pielęgniarki w szpitalu unieruchamiały trudnych pacjentów.

- Ta taśma wygląda bardzo zwyczajnie, ale w gruncie rzeczy to cud inżynierii i ergonomii - stwierdził intruz. - Żadnego bólu, żadnych śladów. Nic z tych rzeczy. Dlatego w domu w szufladzie mam ich kilkanaście.

Miał ponad metr osiemdziesiąt i był potężnie umięśniony. Prawdopodobnie ukrył się w mieszkaniu Belle za kanapą w dużym pokoju, gdy tuż przed północą wróciła do domu. Skończyła właśnie trwający od trzeciej po południu do jedenastej wieczorem dyżur pielęgniarski na oddziale intensywnej opieki kardiologicznej w Centrum Medycznym Charlotte. Z przyjemnością wspinała się na schody prowadzące do mieszkania, bo zbliżało ją to do filiżanki herbaty i gorącego prysznica.

Gdy stanął w drzwiach kuchni, parzyła herbatę. Na włosach i stopach miał niebieskie ochraniacze, jakie noszą chirurdzy, na rękach lateksowe rękawiczki i był ubrany w czarne dzinsy i czarną koszulkę z długimi rękawami. Jego pojawienie się tak ją zaskoczyło, że dopiero po chwili zauważyła ogromny błyszczący nóż wiszący mu u pasa. Ta chwila wahania wystarczyła. W dwóch krokach znalazł się przy niej, złapał ją za włosy, szarpnął głową do tyłu i przycisnął ostrze noża do gardła. Naciskając na tyle mocno, by to czuła, ale nie przecinając skóry, zmusił ją, by usiadła na jednym z dębowych krzeseł, które niedawno odnowiła, i błyskawicznie przymocował do niego rzepami jej ręce i nogi.

Kilkanaście taśm z rzepami w szufladzie w domu.

To stwierdzenie było tak samo przerażające jak nóż.

Czy był seryjnym gwałcicielem? Psychotycznym zabójcą? Rozpaczliwie szukała

jakiegoś wytłumaczenia zachowania napastnika. Starając się zachować spokój, usiłowała sobie przypomnieć, czy czytała o kimś takim w gazecie albo słyszała w wiadomościach.

- Czego pan chce? - spytała. - Mój narzeczony lada chwila wróci do domu.

Patrzył na nią bladymi, przejrzystoniebieskimi oczyma, pozbawionymi nawet najmniejszej iskierki ludzkich uczuć.

- Nie wydaje mi się. Oboje wiemy, że pani związek się rozpadł. „Świętujcie miłość Belle i Douga”. Bardzo mi przykro z tego powodu.

Był to cytat ze ślubnego zaproszenia. Belle zeszywniała.

- Kim pan jest? - wykrztusiła po chwili. - Czego pan ode mnie chce?

- O, teraz już lepiej. - Mężczyzna wyciągnął z kieszeni fiolkę i położył na stole. - Chcę, żeby połknęła pani tabletki nasenne, które znalazłem w pani apteczce podczas mojej poprzedniej wizyty. Przyniosłem jeszcze trochę takich samych, więc w sumie będzie ich dość do osiągnięcia celu. Zanim jednak pani je połknie, chcę, by przepisała pani i podpisała krótki list. Sam go ułożyłem. Wyjaśnia w nim pani swoją rozpacz i pragnienie zakończenia życia. Potem ma się pani rozebrać, wejść do wanny i zasnąć. Widzi pani? To proste i całkowicie bezbolesne.

To się nie może dziać naprawdę, pomyślała. Nie zrobi tego. Ten człowiek nie zdoła jej zmusić do otwarcia ust nawet łomem. Zaczęła głęboko oddychać. Drżąc, chwyciła i puszczała oparcie krzesła.

- Nie zrobię tego.

- Zrobi pani.

- Nie zrobię! - krzyknęła. - Nie zrobię! Nie zrobię! Na pomoc! Niech ktoś mi...

Słowa uwięzły jej w gardle, gdy mocniej przycisnął nóż. Bardzo zręcznie wepchnął jej w usta gumową piłkę. Przez cały czas zachowywał absolutny spokój.

- To było głupie, pani Coates. Jeśli jeszcze raz zrobi pani coś takiego, narazi pani na wielki ból nie tylko siebie, ale i siostrę.

Belle wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma. Wspomnienie o siostrze ugodziło ją jak sztylet. Choć mogła oddychać przez nos, miała wrażenie, że się dusi.

- No właśnie - ciągnął mężczyzna. - Wiem wszystko o Jillian, tak samo jak wiem wszystko o pani. Jeśli odmówi pani zrobienia dokładnie tego, co mówię, jeśli raz jeszcze spróbuje pani zrobić coś głupiego, obiecuję, że i pani, i Jillian umrzecie bardzo bolesną śmiercią. Rozumie pani? Pytam, czy pani rozumie? - Belle pokiwała głową. - Nie jestem pewien, czy pani rozumie. Niech pani posłucha, pani Coates, ze względu na swoją siostrę. Nie mam kontraktu na zabicie Jillian, tylko pani. Nie zabijam tych, za których śmierć mi nie

zapłacono. Z bardzo rzadkimi wyjątkami.

Wyjął telefon komórkowy z dotykowym ekranem, stuknął w niego lekko i ustawił tak, by Belle mogła dobrze widzieć.

- Zakładam, że rozpoznaje pani mieszkanie siostry... Wirginia, Arlington, Bristol Court czterysta osiemdziesiąt dziewięć. Niech pani kiwnie głową jeśli tak jest. Dobrze. Wiem, jak bliskie sobie jesteście. Widzi pani, przeczytałem pani dziennik, czy może pamiętnik, łącznie z wpisami dokonanymi podczas wycieczki do Nassau, na którą Jillian panią zabrała, gdy dowiedziała się o... jak by to ująć... zabawach Douga z pani przyjaciółką Margo. Ach, ci chirurdzy! Tacy są zapatrzeni w siebie! Widzę, że ma pani kłopoty z oddychaniem. Umówmy się zatem: wyjmę tę piłeczkę, jeśli pani mi obieca, że będzie się zachowywać cicho i spokojnie.

W odpowiedzi kiwnęła głową. Mężczyzna wyciągnął piłeczkę, nie dotykając zębów Belle, i wrzucił sobie do kieszeni.

- Teraz pani zobaczy, co się dzieje w tej chwili w mieszkaniu przy Bristol Court czterysta osiemdziesiąt dziewięć - powiedział.

Belle z niedowierzaniem wpatrywała się w kolorowy ekran. Widać było na nim gustownie urządzone mieszkanie jej siostry. Kobieta śpiąca samotnie na wielkim łóżku to niewątpliwie Jillian, także pielęgniarka. Był to jeden z głównych powodów, dla których Belle wybrała ten zawód. Gdy ich rodzice zginęli w wypadku samochodowym, Jillian zaopiekowała się czternastoletnią siostrą poświęcając dla niej swoje życie osobiste. Belle uważała ją za najbardziej życzliwą inteligentną i konsekwentną osobę, jaką kiedykolwiek знаła. Kamerę umieszczono nad osłoną karnisza w sypialni. Na widok Jillian, przewracającej się spokojnie z boku na plecy, Belle znów zaczęła gwałtownie łapać powietrze.

- Spokojnie - ostrzegł mężczyzna. - Wolniej. Tak, właśnie tak.

- Proszę, niech pan nie robi jej krzywdy.

Pochylił się nad nią. Belle skuliła się, gdy puste oczy zabójcy znalazły się na tym samym poziomie co jej. W świetle ekologicznych halogenowych żarówek jasna cera mężczyzny miała sinawy odcień.

- Proszę uspokoić oddech i słuchać. Jeśli chce pani uratować życie siostry i nie cierpieć, musi pani uwierzyć, że zrobię dokładnie to, co mówię.

- Wierzę, już wierzę. Niech pan to wyłączy. Niech pan wyłączy kamerę i zostawi ją w spokoju.

- Coś pani obiecuję, pani Coates - szepnął. Jego wargi niemal dotykały jej ucha. - Obiecuję, że jeśli nie postąpi pani według moich wskazówek, Jillian umrze w straszliwych

cierpieniach. Jeśli pani zrobi to, co każę, będzie żyła. Chce pani dowodu? Proszę spojrzeć.

Uniósł telefon na wysokość jej oczu.

- Dostyc! - błagała Belle. - Niech pan nie robi jej krzywdy!

- Umieściłem niewielki pojemnik bardzo silnie działającego gazu paralizującego nad framugą drzwi w szafie. Działa bardzo szybko. Tym telefonem mogę kontrolować ilość uwalnianego gazu, stukając palcem w ekran. Niewiarygodne, prawda? W tej sprawie jestem rzeczywiście mistrzem. Drugą kamerę umieściłem w łazience Jillian, bo chcę, żeby pani widziała, co się dzieje, jeśli wciągnie się w płuca choć odrobinę tego gazu.

- Nie, proszę przestać! Wierzę panu!

Intruz nie zwracał uwagi na jej słowa, zupełnie jakby od samego początku planował ten pokaz. W głowie Belle kłębiły się myśli. Czy może mu wierzyć? Ale jak może mu nie wierzyć? Jaki ma wybór? Czy rzeczywiście oszczędzi Jillian, jak obiecuje? Czemu miałby to zrobić? Czemu nie? Pytań, na które nie znajdowała odpowiedzi, było mnóstwo.

- Gdybym chciał - powiedział mężczyzna, jakby czytał jej w myślach - mógłbym zabić pani siostrę. Mógłbym zabić każdego. W dowolnym czasie, w dowolnym miejscu i w dowolny sposób. Chodzi jednak o to, że nie muszę, a nawet nie chcę. Wygląda na miłą kobietę. A jak wspomniałem, na jej śmierci niczego nie zyskuję.

Dwukrotnie stuknął w ekran telefonu. Pojawiła się na nim śliczna łazienka Jillian, rozświetlona nocną lampką nad umywalką i małym okienkiem w kształcie rombu nad wanną.

- Mogę uwolnić cztery poziomy gazu. Pierwsze trzy wywołują coraz większy ból i symptomy, które zaraz pani zobaczy. Czwarty ją zabije. To poziom pierwszy.

Sekundę później w drzwiach pojawiła się Jillian we flanelowej piżamie, którą kiedyś dostała od Belle, padła na kolana przed sedesem i zaczęła gwałtownie wymiotować. Między jednym a drugim atakiem leżała zwinięta w pozycji płodu na podłodze i cała się trzęsła.

- Uwierz pani, że to tylko poziom pierwszy? - spytał mężczyzna. - Powinienem chyba opatentować ten system.

- Proszę przestać! Niech pan przestanie jej to robić! - krzyknęła Belle.

- Niech pani będzie ciszej, bo inaczej przetnę pani tchawicę. Czuję, że potrzebuje pani dodatkowej motywacji, pani Coates. Podniosę cierpienie Jillian do poziomu drugiego. I będę ją trzymał na tym poziomie, dopóki nie zacznie pani przepisywać tego listu. Aby uzyskać pełny efekt, chyba muszę włączyć głos...

Ponownie stuknął w ekran telefonu. Belle usłyszała, jak Jillian jęczy, z trudem łapie oddech, wymiotuje i szlocha z bólu.

- Proszę... niech pan przestanie... wierzę panu, wierzę panu!

Uwolnił jej lewą rękę i przysunął do niej list, który miała przepisać.

- Niech pani zacznie pisać, pani Coates. Gdy pani skończy, przestanę zabijać pani siostrę - powiedział.

Twarz Belle wykrzywiło cierpienie.

- Proszę...

- Chce pani głośniej? Niech pani pisze ten cholerny list - warknął morderca, przy każdym słowie stukając w stół. - Pani i tak jest już martwa. Ale wciąż jeszcze może pani uratować życie siostry, jeśli zdobędzie się pani na odwagę, by zrobić to, co trzeba.

Wyłączył gaz, gdy tylko Belle zaczęła pisać. W jednej chwili jęki Jillian umilkły. Belle udało się napisać cztery pierwsze słowa i zaczęła szlochać.

- Proszę skończyć - powiedział - albo znów to włączę.

- Dlaczego? Nie zrobiłam niczego złego. Nawet pana nie znam. Dlaczego pan chce, żebym umarła?

- To nie moja sprawa. Ktoś na tym naszym wielkim świecie postanowił, że musi pani odejść, i płaci mi za to, by tak się stało. Mogę zabić tylko panią albo was obie.

- To szaleństwo - wymamrotała. - To absolutne szaleństwo.

- Najwyraźniej lubi pani słuchać jęków siostry. Widzę, że muszę pokazać pani poziom trzeci.

Udręczone torsje, które Belle usłyszała, trudno było nazwać ludzkimi. Na maleńkim ekraniku ciało Jillian miało się w gwałtownych konwulsjach, ale gdy tylko Belle znów ujęła pióro, mężczyzna nacisnął przycisk telefonu i jęki siostry umilkły. Belle znalazła w sobie siłę na dokończenie listu.

- Dotrzymuję słowa, pani Coates. Znam się również na charakterach pisma i mam próbkę pani pisma z pamiętnika. Jeśli pani spróbuje mnie oszukać, potnę panią na kawałeczki z piłeczką wciśniętą w usta, ale będzie pani jeszcze dość przytomna, by zobaczyć, jak uwalniam czwarty poziom gazu w mieszkaniu Jillian.

- Zrobiłam, co pan chciał. Niech pan ją zostawi.

- Proszę podpisać. - Mężczyzna przyjrzał się listowi. - Dobrze. A teraz tabletki.

Wysypał tabletki na stół i kazał Belle je łykać.

- Proszę... - błagała, walcząc z uczuciem bezsilności. - Kto panu płaci? Dlaczego chce mnie zabić?

- Kończy się mój czas i cierpliwość - powiedział zabójca i nacisnął przycisk telefonu.

Ciałem Jillian znów wstrząsnęły gwałtowne konwulsje.

- Nie! Obiecał pan! - krzyknęła Belle.

- Tylko od pani zależy, czy Jillian nie będzie cierpieć. Proszę pomyśleć o wszystkim, co zrobiła dla pani. Jest jej pani coś winna, prawda? Proszę sprawić, bym przestał. Chcę, żeby pani mnie powstrzymała, pani Coates.

Belle nie mogła już słuchać krzyku siostry. W jej mózgu tłukło się jedynie zimne stwierdzenie mężczyzny: „Pani i tak jest już martwa”.

Jak w transie wyciągnęła drżącą rękę. Jęki ucichły, gdy tylko przełknęła pierwszą tabletkę.

- Błagam, niech pan tego więcej nie robi.

- Proszę dalej połykać, a nie będzie pani już musiała słuchać tych strasznych odgłosów, pani Coates.

Zacisnęła zęby i kiwnęła głową.

- Obiecuje pan? - powiedziała jak dziecko. - Pytam, czy pan obiecuje?

- Pani Coates, jestem zabójcą, ale profesjonalistą. Ma pani moje słowo. Jeśli jednak nie połknie pani tych wszystkich tabletek, znów zacznę torturować pani ukochaną siostrę.

Belle nie mogła już tego znieść. Coraz szybciej połykała tabletki.

Co innego mogę zrobić? - zastanawiała się gorączkowo. Co innego mogę zrobić? Co innego mogę zrobić?

Połykanie tabletek w jakiś sposób ją wyzwalalo. Serce zwolniło, łzy przestały płynąć i po chwili nie czuła się już zdenerwowana ani nawet przestraszona. Oczy mężczyzny, przedtem przerażające, teraz nie robiły na niej wrażenia.

- Dobra dziewczynka. Po prostu zamknie pani oczy i zaśnie.

Język puchł jej w ustach.

- Obiecał pan - wymamrotała.

- Ma pani moje słowo.

Napełnił wannę, a potem rozwiązał Belle.

- Ubranie - powiedział.

Czując, że tabletki zaczynają działać, ściągnęła z siebie uniform pielęgniarki, stanik i majtki, rzuciła wszystko na podłogę, a potem weszła do wanny.

- Kocham cię, Jillian - wyszeptała. - Kocham cię.

Co innego mogę zrobić? - zastanawiała się gorączkowo. Co innego mogę zrobić? Co innego mogę zrobić?

Połykanie tabletek w jakiś sposób ją wyzwalalo. Serce zwolniło, łzy przestały płynąć i po chwili nie czuła się już zdenerwowana ani nawet przestraszona. Oczy mężczyzny, przedtem przerażające, teraz nie robiły na niej wrażenia.

- Dobra dziewczynka. Po prostu zamknie pani oczy i zaśnie.

Język puchł jej w ustach.

- Obiecał pan - wymamrotała.

- Ma pani moje słowo.

Napełnił wannę, a potem rozwiązał Belle.

- Ubranie - powiedział.

Czując, że tabletki zaczynają działać, ściągnęła z siebie uniform pielęgniarki, stanik i majtki, rzuciła wszystko na podłogę, a potem weszła do wanny.

- Kocham cię, Jillian - wyszeptała. - Kocham cię.

ROZDZIAŁ 1

- Nick, Nick, rzuć tutaj! No już! Dawaj!

Nick Garrity uniósł prawe ramię i podbił podkręconą piłkę do chudego wyrostka czekającego po drugiej stronie podwórka. Chłopak, który z radością grałby i do północy, złapał ją bez wysiłku i natychmiast odrzucił.

- No dobra, Reggie, kończymy, bo muszę wyprowadzić Chance'a, a potem przygotować się do pracy.

- Jeszcze jeden rzut, tylko jeden. Po kolacji pójde do ciebie i wyprowadzę Chance'a, obiecuję.

Przez mrok burzowych chmur, które zapowiadały niespokojny wieczór, energia i entuzjizm promieniujące z chłopaka docierały aż do Nicka. Mimo matki narkomanki, ojca, który zniknął dawno temu, długiego czasu spędzonego w poprawczaku z powodu czegoś, o czym nikt nie chciał mówić, siedmiu lat w kolejnych rodzinach zastępczych, wciąż był pełen radości życia i świetnie spędzało się z nim czas.

Jak ci się to udaje? - zastanawiał się Nick.

Przez większą część tygodnia jego nastrój był mroczny jak przedburzowe niebo, choć nie było po temu właściwie żadnej przyczyny - przynajmniej na pierwszy rzut oka. Noc w ambulansie Fundacji „Pomocne Dłonie” na pewno mu pomoże. Zazwyczaj pomagała.

Rzucił piłkę ostatni raz - Reggie złapał ją z taką samą łatwością jak większość poprzednich - a potem pomachał do swojego towarzysza.

- No, już. Muszę niedługo wyjechać.

- Dokąd dziś jedziecie, Nick? Do Dystryktu Kolumbii?

- Chyba tak. To Junie zajmuje się administracją.

- Mogę jechać z wami?

- Jutro idziesz do szkoły, poza tym obiecałeś,” że zajmiesz się Second Chance'em. Pamiętaj, nie spuszczaaj go ze smyczy, bo jak zobaczy wiewiórkę, pogoni za nią i przepadnie. Charty są szkolone do gonienia małych zwierzątek futerkowych. Jeśli zamierzasz rzucać mu frisbee, używaj długiej smyczy.

- A jutro będę mógł z wami pojechać?

- Zobaczymy.

- Nigdy nie robię niczego ciekawego.

- Robisz. Unikanie kłopotów jest bardzo ciekawe.

Reggie poufale szturchnął Nicka w bok.

Nick objął go ramieniem i podszedł z nim do tylnych drzwi. Skromny jednorodzinny dom z trzema sypialniami i zaadaptowaną suteroną stał w dzielnicy Carroll Park w Baltimore. Nick mieszkał tu swego czasu przez kilka miesięcy z June Wright i jej mężem Samem, a potem wynajął parter w przebudowanym bliźniaku przy tej samej ulicy, tyle że bliżej parku. Wkrótce po jego przenosinach do sutereny wprowadził się czternastoletni obecnie Reggie Smith.

W domu Wrightów nieustannie kłębiły się dzieci, w tym Celeste i Bethany Levishefsky, sześciolatnie bliźniaczki, które mieszkały tam już od blisko roku. Gdyby w jakiejś encyklopedii sprawdzić hasło „święty”, niewykluczone, że ilustrowałoby je zdjęcie Junie, sześćdziesięcioletniej pielęgniarki, oraz Sama, pracownika Wydziału Pomocy Społecznej.

Ponieważ dziś wieczorem Junie miała pracować z Nickiem w „Pomocnych Dłoniach”, gotowaniem zajmie się jej mąż. Mieli własne dzieci, a nawet wnuki, jednak na wszystkich etapach wspólnego życia byli również rodziną zastępczą licznych dzieciaków.

Ambulans stał zaparkowany na ulicy przy domu Wrightów. Był to stary samochód kempingowy długości dziesięciu metrów, przerobiony na ambulatorium medyczne. Nick - sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, szerokie ramiona i mocna klatka piersiowa - przebiegł obok niego w drodze do domu. Wciąż poruszał się jak szarżujący, którym był w college'u, dopóki na skutek faulu nie stracił większej części przedniego więzadła krzyżowego. Naprawione kolano dobrze służyło, nie wytrzymałoby jednak zbyt dużych obciążeń.

Ojciec Nicka, który także kiedyś grał w amerykański futbol, był emerytowanym lekarzem. Nick wiedział, że zawsze może wrócić do domu w Oregonie, jednak nigdy tego na poważnie nie rozważał. Jego rodzice byli przyzwoitymi, wyrozumiałymi ludźmi, ale nie

dotyczyło to ich jedynego syna. Trudno się zresztą dziwić. W tej samej encyklopedii, w każdym razie w ich bibliotece, jego zdjęcie mogło stanowić ilustrację hasła „rozczarowanie”.

- To nasz syn, doktor Nick Garrity, chirurg traumatolog - przedstawiali go w latach, gdy był ich złotym dzieckiem.

Zbliżając się do domu, Nick słyszał w oddali pomruk burzy. Brzmiało to trochę jak uruchamianie silnika ciężarówki.

Ten dźwięk sprawił, że zeszywniał.

Już zawsze tak będzie.

Bliźniak, w którym mieszkał, niewątpliwie nie znalazłby się nigdy na stronach żadnego magazynu o architekturze, ale jemu to nie przeszkadzało. Dzięki dębowym podłogom, kilku plakatom z miejscowego sklepu ramiarskiego, zasłonom i paru roślinom w doniczkach było tu przytulnie i wygodnie. Właśnie pochylał się, by zebrać z podłogi ulotki i rachunki leżące pod skrzynką na listy, gdy nagle od tyłu coś uderzyło go tak mocno, że poleciał głową na drzwi. Odwrócił się, dobrze wiedząc, czego oczekiwać. Second Chance siedział z przechyloną głową i sapał, trzymając w pysku czerwone frisbee.

- Jestem już spóźniony - powiedział Nick, trąc czoło i spodziewając się krwi. - Reggie cię wyprowadzi.

Pies spojrzał na drzwi i lekko uniósł zad.

- Nic z tego, muszę wziąć prysznic.

Byli razem od niemal dwóch lat. Wtedy to po raz pierwszy i jedyne Nick znalazł się na wyścigach psów. Pograżony w myślach o Sarah jeździł bez celu tu i tam, aż w końcu wylądował w jakimś kasynie w Wirginii Zachodniej. Przez godzinę tracił pieniądze na automatach, a potem zaczął włóczyć się po okolicy i tak trafił na sąsiedni tor TriState. Był wtedy w szczególnie trudnym okresie, a w jego głowie znów zaczęły pojawiać się samobójcze myśli.

Cholerny zespół stresu pourazowego.

Second Chance, nieznana karta w piątym wyścigu, na którego Nick oczywiście postawił, zdecydowanie prowadził, ale nagle wyraźnie zwolnił. Dwadzieścia metrów przed metą przebiegło po nim siedem psów. Leżał na ziemi, prawie się nie ruszając.

Godzinę później Nick i chart odnaleźli się w namiocie prowadzącym adopcje zwierząt. Leniwy trener próbował przekonać wojskowego chirurga traumatologa, że nierówny krok Chance'a to tylko drobne stłuczenie. Zabranego do domu pies szybko wrócił do siebie, gdy Nick z pomocą Reggiego, Sama i dwóch kumpli z wojska usunął ziemię z jego całkowicie zatkanego uszu.

Ze wszystkich terapii, które podejmował, walcząc z zespołem stresu pourazowego, obecność Second Chance'a w jego życiu okazała się najbardziej skuteczna.

Czasami udawało mu się jeszcze przed wyruszeniem w drogę pogimnastykować się i podnieść kilka ciężarów, dziś jednak zrobiło się już bardzo późno. Wziął prysznic i wkładając swój zwykły uniform, czyli dzinsy i spłowiałą roboczą koszulę, zerknął na kartkę przyklejoną do ściany nad łóżkiem. Widniała na niej lista dziesięciu poziomów subiektywnej skali stresu, której używał do oceny swojego nastroju. Tego wieczoru miał wrażenie, że jest na piątce: „Umiarkowanie niespokojny, trochę nieswój; nieprzyjemny nastrój daje się z pewnym wysiłkiem opanować”.

Już dawno ustalił z doktor Deems, że powinien po prostu każdego dnia dążyć do osiągnięcia choćby minimalnego postępu. Mimo że minęło tyle lat, w takie dni jak dziś trudno było stwierdzić, czy mu się to udaje. Przez chwilę głąskał i drapał Chance'a, a potem naciągnął wiatrówkę i wyszedł.

Grzmiało coraz głośniejsze.

ROZDZIAŁ 2

Junie Wright jak zwykle wyglądała jak królowa. Siedziała na fotelu pasażera ze słuchawkami iPoda w uszach.

- Niech zgadnę - powiedział Nick, kierując ambulans ku autostradzie międzystanowej prowadzącej na południe, do Dystryktu Kolumbii. - To Temptations?

- Nie.

- Sam Cooke?

- Nic z tego.

- Chyba to nie rap?

- A jednak tak. To mój ulubieniec, JayZ. Po prostu wibruje seksem. Mmmm. - Temu stwierdzeniu towarzyszyło uwodzicielskie potrząsanie ramionami i promienny uśmiech, który pozyskał tyle datków dla różnych fundacji charytatywnych, że zdołałby też pewnie zlikwidować sporą część długu narodowego.

Junie, pulchna Afroamerykanka o błyszczących oczach i zawsze pogodnej twarzy, wychowała się w slumsach Baltimore. Przez całą szkołę musiała walczyć z różnymi potworami, więc nauka w szkole pielęgniarskiej była już w gruncie rzeczy odpoczynkiem. Gdy Nick powrócił do medycyny i zaczął zgłaszać się jako wolontariusz do fundacji medycznej „Pomocne Dłonie”, najpierw na jedną noc w tygodniu, a po sześciu miesiącach na

dwie, Junie pracowała tam już od jakiegoś czasu.

Fundacja popadła w kłopoty z powodu złego gospodarowania finansami, więc Junie zrobiła to, co często robiła podczas kryzysów - objęła dowodzenie. Najpierw założyła zwolnioną od podatków korporację, z Nickiem jako dyrektorem i sobą jako prezesem zarządu. Potem zorganizowała aukcję, na której korporacja kupiła ambulans za jednego dolara. Nominowała Nicka pełnoetatowym, pobierającym pensję dyrektorem medycznym. Jego przystojna twarz i historia odznaczonego wojskowego chirurga traumatologa znakomicie pomagały pozyskiwać fundusze i rekrutować wolontariuszy. Ale przez wszystkie te lata jej największym wyzwaniem - zwłaszcza od zniknięcia najlepszego przyjaciela Nicka, Umberta Vasqueza - było utrzymywanie dyrektora medycznego na powierzchni.

- Nieźle nas dzisiaj zmoczy - powiedziała, zdejmując słuchawki.

Nick kiwnął głową, nie odrywając oczu od drogi. Junie znakomicie potrafiła robić wiele rzeczy, ale marnie jej szło prowadzenie błażej konwersacji. To pozornie niewinne stwierdzenie było po prostu jej sposobem sprawdzenia, czy dobrze się czuje i czy jest gotowy do nocnej pracy. Jedną z wielu dolegliwości, które nękały go od dnia horroru w Wysuniętej Bazie Operacyjnej Savannah, była bezsenność - męcząca, paskudna bezsenność, której towarzyszyły obfite poty i skurcze w nogach, przerywana jedynie potwornymi koszmarami.

- Dam sobie radę - mruknął. - Jestem twardy.

Włączył wycieraczki, bo na szybko zaczęły padać krople deszczu - zapowiedź burzy, przewidzianej na ósmą wieczorem. Junie doszła do wniosku, że nie musi o nic pytać, znowu założyła słuchawki i usiadła wygodniej. Po drugiej stronie autostrady migały hipnotycznie światła samochodów. Jak to się często zdarzało, przywołały wspomnienie innych światel...

- Świetna robota, doktorze Fury.

Nick uśmiecha się, słysząc to nazwisko, zapożyczone od bohatera jednego z ulubionych komiksów Vasqueza - Nicka Fury 'ego z S.H.I.E.L.D. Po pięciu miesiącach zwraca się tak do niego prawie cały personel szpitalny i wielu żołnierzy.

Doktor Nick Fury.

- To ty zatkałeś tę ranę w piersi chłopaka, Umberto - mówi Nick.

- Ale to ty nas nauczyłeś, jak to robić.

- Więc gratulacje dla nas obu. Słuchaj, przyjacielu, mam coś, co już od pewnego czasu chciałem ci dać. Zanim to jednak zrobię, obiecaj, że nie odmówisz.

- Ale...

- Obiecaj.

- Dobra, dobra, obiecuję.

Nick sięga do kieszeni uniformu chirurga i wyciąga Bojową Odznakę Medyczną, którą otrzymał za służbę ratunkową w bitwie. To ładna odznaka - owalna, szerokości blisko czterech centymetrów, w środku równoramienny krzyż i kaduceusz, leżące na noszach.

- Zawsze zabieram to do sali operacyjnej, na szczęście - mówi Nick. - Chcę, żebyś to miał. Nie tylko za to, co tu robisz, ale i za sposób, w jaki to robisz.

- Nie mogę...

- Obiecałeś.

Umberto wzdycha.

- To dla mnie zaszczyt. Będę o nią dbał, obiecuję. A ty w zamian zapal cygaro.

Przysadzisty sierżant piechoty morskiej, niższy od Nicka o pół głowy, ale prawdopodobnie ważący tyle samo, wyciąga dwa długie cygara. Przyjaciele wychodzą przed wielki szpital polowy, by zapalić. Nick czuje zmęczenie po osiemnastu godzinach dyżuru. Vasquez, jak się wydaje, nigdy się nie męczy.

Szpital w WBO Savannah, sto kilometrów na południowy wschód od Chost, nie jest zazwyczaj najciężej pracującym szpitalem polowym w Afganistanie, dziś jednak wszystko wygląda inaczej. Konwój Tiger, jadący główną drogą, wpadł w zasadzkę. Dwóch zabitych, dwudziestu rannych. Cztery sale operacyjne zajęte przez cały dzień. Jamy brzuszne, kończyny, głowy i odma opłucnowa u osiemnastolatka o nazwisku Anderson. Dobra praca Umberta, który nigdy nie opuszczał wykładów Nicka dotyczących działań ratunkowych w warunkach bojowych. Dobra praca całego zespołu, w tym Sarah Berman, również chirurga, narzeczonej Nicka od sześciu miesięcy.

Kiedy się poznali, była etatowym lekarzem wojskowym. Nick właśnie niedawno rozpoczął praktykę prywatną w Filadelfii, ale gdy nadszedł jedenasty września 2001 roku, zgłosił się do służby czynnej. Oboje byli dla siebie stworzeni.

Nick i Vasquez opierają się o humvee zaparkowane na polu po lewej stronie głównej bramy i delektują się cygarami.

- Czy zamierzasz zgłosić się ponownie, kiedy twoja służba się skończy? - pyta Vasquez. Jego akcent z Dominikany jest niemal nieuchwytny.

- Być może, bo naprawdę lubię tę pracę i ludzi tutaj. Tak samo jak Sarah.

- W jej przypadku trafiłeś w dziesiątkę, doktorze.

- Nie musisz mi tego mówić.

- Wszyscy mają fioła na jej punkcie i szanują ją. Wciąż jest tam w środku, pracuje.

- Już prawie skończyła. Ale nie musisz zostawiać dla niej cygara.

Nick, który, jak sam twierdzi, funkcjonuje na adrenalinie, w całym swoim życiu

wypalił trzy, może cztery cygara. To, które pali w tej chwili, smakuje mu najlepiej. Napomina się w duchu, że nie powinien się do nich przyzwyczajać, bo gdy pali, Sarah nienawidzi zapachu jego pocałunków. Dochodzi trzecia rano. Nad pustynią wieje wiatr, nie przynosi jednak ochłody. Gdzieś daleko, na obrzeżu obozu, pojawia się para reflektorów. Bliźniacze gwiazdki zbliżają się ku nim, podskakując w ciemnościach.

- A któż to może być? - Vasquez zaciąga się głęboko i wypuszcza dym przez nos. Łączy się przez radio z wartownią. - Tu Vasquez ze szpitala. Kto tam jedzie przez pustynię?

- To Zmarai z tego ambulatorium dalej przy drodze, sierżancie. Chce sprawdzić, co z jego ludźmi po dzisiejszym porannym ostrzale. No i pewnie zamierza wyciągnąć od was trochę zapasów.

- Rozłączam się - mówi Vasquez i zwraca się do Nicka: - Zmarai. To jest dopiero straszny gość. Oczy jak paciorki, zepsute zęby...

- Założą się, że on tak samo myśli o tobie - mówi Nick. - Ale dobrze mu idzie. W klinice i w tym małym sklepie. Przynajmniej tym razem mamy dla niego dobre wieści. Obie cywilne ofiary przeżyją.

Światła ciężarówki Zmarai się zbliżają. Afgańczyk jest miejscowym przywódcą, wtykającym nos we wszystkie sprawy. Często do nich zagląda, by wyłudzić coś dla maleńkiego ambulatorium, które prowadzi. Dobrze go znają.

Stary, zniszczony chevy wjeżdża na oświetlony teren i zatrzymuje się pięć metrów od wielkiej drewnianej bramy szpitala.

- Hej, Zmarai! - woła Nick, podchodząc do ciężarówki. - Co tam masz? Mam nadzieję, że pizzę.

Przez boczne okno widać, że z mężczyzną coś jest nie w porządku. Unosi twarz ku niebu, ma zamknięte oczy. Nagle otwiera usta i zaczyna wołać:

- Allah Akbar! Allah Akbar!

- Umberto, na ziemię! - krzyczy Nick, biegnąc do chevy. - O Boże! Na ziemię, na ziemię!

Wskakuje na stopień ciężarówki i jedną ręką łapie boczne lusterko, a drugą wali w okno, ale silnik zaczyna szybciej pracować i ciężarówka rusza, wyrzucając piasek spod kół.

Vasquez pojawia się przy zamkniętym oknie pasażera akurat w chwili, gdy pojazd z hukiem rozbija główną bramę. Ciężarówka sunie ku środkowi ogromnego namiotu, w którym są sale operacyjne i łóżka pacjentów. Nagle pojawia się Sarah - dokładnie między reflektorami. Nick ledwo zdąży zauważyć jej obecność i dostrzec przerażenie w jej oczach - a już osłona chłodnicy ciężarówki uderza ją w podstawę żeber, rozrywając niemal na pół. Nick

widzi, jak krew tryska jej z ust, a ciało zostaje odrzucone w stronę sal operacyjnych.

Vasquez uderza ciałem w podtrzymujący namiot słup i zostaje zmieciony ze stopnia. Ciężarówka wjeżdża na jasno oświetloną przestrzeń, rozrzucając na boki i miażdżąc pacjentów. Zmarai gwałtownie hamuje, więc Nick spada na ziemię jak szmaciana lalka. Wciąż mając przed oczami straszliwą śmierć Sarah, wpatruje się niewidzącym wzrokiem w ziemię. Wie, że ciężarówka za chwilę wybuchnie, a on zginie, ale myśli tylko o Sarah. Nagle dostrzega jakiś ruch po prawej stronie. Mocne ramiona opasują jego ciało i ciągną je za ogromną lodówkę wypełnioną krwią i preparatami krwiopodobnymi.

Umberto!

Z brzękiem szklą lodówka przewraca się na Nicka i jego przyjaciela, przykrywając ich obu. Półprzytomny Nick leży twarzą w dół pod szklanostalową szafą. Jednostki krwi wylewają mu się na głowę i tors z rozdartych woreczków. I wtedy, w namiocie wypełnionym chaosem i krzykiem, stara ciężarówka Zmarai wybuchła. Eksplozja jest ogłuszająca. Twarz i ramiona Nicka omywa fala gorąca.

A potem nicość.

Dopiero po dwudziestu czterech godzinach Nick zaczyna odzyskiwać świadomość. Ma spaloną skórę, nieustanny huk w uszach i uszkodzony słuch. Słyszy jednak słowa chirurga, że Umberto nie wybiegł z namiotu, tylko pospieszył do Nicka i uratował mu życie. Słyszy, że Umberto jest wciąż nieprzytomny. I że tylko jeszcze jedna osoba przeżyła - sanitariusz, który wciąż balansuje na granicy życia i śmierci. Jest dwadzieścia osiem ofiar śmiertelnych. Niektórych ciał, w tym ciała Sarah Berman, nie udało się jeszcze poskładać...

- Jezus Maria, Nick! - zawołała Junie. - Ciebie tu nie ma, a ten samochód jedzie na automatycznym pilocie!

- Jestem tu - skłamał Nick, rozprostowując ramiona i plecy. Całe jego ubranie przesiąkło zimnym potem.

Deszcz zmienił się w ulewę. Ambulans pędził przez gęstniejący mrok.

- Chcesz zawrócić do domu?

- Powiedziałem, że nic mi nie jest - uciął Nick.

Junie wiedziała, że lepiej nie naciskać. Niezależnie od tego, co się działo, to coś już minęło i nic się nikomu nie stało. Takie epizody zdarzały się Nickowi coraz rzadziej, a przerwy między nimi były coraz dłuższe. Nic mu nie będzie.

- Na autostradzie ten autobus to jak okręt wojenny wśród łodzi wiosłowych - mruknęła tylko.

- Tak... Wiem, przepraszam.

Zwolnił do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Nic ci nie będzie, Nick - powiedziała Junie na wpół twierdząco, na wpół pytająco. -
Dojdiesz do siebie.

Uśmiechnął się ponuro.

ROZDZIAŁ 3

- No już, ludzie, to proste pytanie. Atom, który traci jeden albo więcej elektronów, staje się...

Franza Kollera drażnił brak szacunku dla wiedzy, okazywany przez uczniów. Przyszło mu do głowy, że powinien ich wszystkich pozabijać. Trochę rozpylonego sarinu - gazu paralizującego użytego podczas ataku w metrze tokijskim - akurat by wystarczyło. Ta wspaniała wizja wywołała na jego ustach uśmiech; dwadzieścia dwa nastoletnie ciała, jednocześnie spadające z krzesel, wijące się w konwulsjach, brudzące się odchodami, niemogące oddychać... Jego uśmiech przełamał napięcie panujące między nim a dziesiątą klasą, mającą właśnie lekcję chemii w liceum imienia Woodrowa Wilsona w Coltin w Kalifornii. Kiedy dzieciaki zobaczyły, że ich nauczyciel się rozpromienia, kilkoro odpowiedziało mu uśmiechem. Znow wyobraził ich sobie wijących się na podłodze, wyginających plecy w agonii i łapiących powietrze jak wyrzucone na brzeg ryby. Ta wizja sprawiła, że roześmiał się głośno. Uczniowie śmiali się razem z nim.

- Och, błagam - jęknął Koller, klękając w udawanej rozpacz na zdeptanym linoleum.
- Proszę, zlitujcie się nad waszym biednym starym nauczycielem na zastępstwie i odpowiedzcie na moje pytanie. Wiem, że nikt się właściwie nie spodziewa, iż nauczyciele na zastępstwie kogokolwiek czegokolwiek nauczą ale ja naprawdę znam chemię i pragnę podzielić się z wami częścią mojej wiedzy.

Choć urodził się i dorastał w Austrii, w jego głosie nie było słyhać obcego akcentu - chyba że tego chciał. Klęcząc i błagając klasę o odpowiedź, złożył ręce i pochylił głowę. Trwał tak przez chwilę dla większego efektu, a potem uniósł wzrok, jakby chciał dodać: „Tak, poproszę z odrobiną cukru”. Czasami robił to, gdy błagał swoje ofiary, by wytrzymały jeszcze trochę.

Uczniowie zachichotali ostrożnie. Powoli ich zdobywał. Potrafił to doskonale robić - zjednywać sobie ludzi, szczególnie tych, którymi zajmował się w procesie przygotowawczym do czegoś, co nazywał inscenizacją czyli morderstwem, które w ogóle nie wyglądało jak morderstwo.

Wstając, przyłączył się do śmiechu klasy, choć oczywiście nie śmiał się z tego samego. Wciąż wyobrażał sobie ich śmierć i rodziców w białych kombinezonach ochronnych, identyfikujących ciała.

- Jedno z was musi przecież znać odpowiedź. Atom, który traci jeden lub więcej elektronów, staje się...

Jedynym dźwiękiem było tykanie zegara na ścianie. Nic dziwnego, że dominacja Ameryki na świecie słabnie, pomyślał Koller.

Przez wiele lat między jednym a drugim kontraktem Koller chronił swoją tożsamość zabójcy, tworząc nowe tożsamości jako nauczyciel na zastępstwie. Lubił udawanie i lubił nastolatki, ale do niedawna lubił także wyjaśnianie skomplikowanych pojęć. Miał przyzwoite świadectwa nauczycielskie w Kalifornii i na Florydzie, gdzie kupił również dom.

Po dłuższej chwili w trzeciej ławce od końca podniosła się mała dłoń. Oczy zabójcy mignęły radością. Wszystkie głowy odwróciły się do tyłu, by zobaczyć, o kogo chodzi.

- Ach, panna Rebecca Woodorf.

Dziewczyna najwyraźniej zdziwiła się, że zapamiętał jej nazwisko. Jaki nauczyciel na zastępstwie, który tylko raz usłyszał ich nazwiska podczas sprawdzania obecności, w dodatku bez pomocy planu rozmieszczenia uczniów, potrafi coś takiego zrobić?

- Wstań, Rebecca. Udowodnij mnie i swoim kolegom, że amerykańscy uczniowie klasy dziesiątej w dziedzinie chemii nieorganicznej potrafią dotrzymać kroku Rosjanom, Chińczykom i Japończykom.

Zatarł ręce w oczekiwaniu. Lubił grać w tę grę podczas dłużących się czasami w nieskończoność okresów między jednym a drugim kontraktem. W rzeczywistości nigdy nie ukończył college'u, bo przerwał naukę, gdy pewien profesor psychologii namówił go na spotkanie z ludźmi, którzy mieli go później nauczyć, jak zabijać dla pieniędzy. To właśnie oni załatwili mu świadectwa nauczycielskie. Potrafił bardzo szybko przyswajać sobie wiedzę z każdej dziedziny; w dodatku od początku miał pewną przewagę, bo w sztuce manipulowania ludźmi i wpływania na ich zachowanie niewątpliwie uzyskał już doktorat - i to z wyróżnieniem.

Rebecca wstała. Czarny sweter opinał jej szczupłe ciało, w kuszący sposób podkreślając rozkwitającą kobiecość. Koller zauważył, że dziewczyna mocno zaciska usta. Była nieśmiała, ale nie aż tak nieśmiała, by nie okazywać dumy ze swojego ciała. Ciekawe.

- Panie Greene... - zaczęła cicho Rebecca.

- Tak. Słuchamy.

- Czy mogę wyjść do łazienki?

Klasa wybuchnęła śmiechem, ale Koller zachował surowy wyraz twarzy i nie opuścił mocno splecionych na piersi rąk. Śmiech ucichł.

- Tylko wtedy, jeśli mi powiesz, czym staje się atom, który stracił jeden lub więcej elektronów - oznajmił Koller rzeczowym tonem.

Rebecca głośno wciągnęła powietrze i jeszcze mocniej zacisnęła wargi. Uczniowie przenosili wzrok z koleżanki na nauczyciela i z powrotem, próbując zrozumieć, co się dzieje. Za ciemnobrązowymi szklami kontaktowymi Kollera nie sposób było odczytać jego myśli. W następnym sezonie szkolnym soczewki będą zielone albo granatowe. Musiał maskować prawdziwy kolor swoich oczu - blady błękit. Być może doda do tego jeszcze kupione w sklepie wąsy. Był dumny z tego, że potrafi ukrywać nie tylko swoje myśli, zamiary i wyraz twarzy, ale także prawdziwy wygląd fizyczny. Tym razem dzięki zręcznie zastosowanemu lateksowi i dodanej tu i tam wyściółce sprawiał wrażenie mężczyzny dość tłustego i w złej kondycji fizycznej; na pewno nie wyglądał na kogoś, kto szybkim chwytem potrafi złamać człowiekowi kark.

- Mówi pan poważnie? - zapytała Rebecca.

- Klucz do łazienki w zamian za atom, który traci jeden lub więcej elektronów - powtórzył Koller.

Milczał przez chwilę, a potem uśmiechnął się i lekceważąco machnął ręką.

- Tylko tak się droczyć. Oczywiście, że możesz wyjść - powiedział.

Uczniowie zaczęli bić brawo i śmiać się jeszcze głośniejszymi głosami, a Rebecca, która przed chwilą wyglądała, jakby było jej niedobrze, śmiała się razem ze wszystkimi. Najwyraźniej wciąż jeszcze niepewna i wytrącona z równowagi, wyszła ostrożnie przed rząd ławek, minęła nauczyciela, którego znali jako Roberta Greene'a, zdjęła klucz przyczepiony do modelu atomu chloru stojącego na biurku i ruszyła ku drzwiom. Tuż przed wyjściem z klasy zatrzymała się i odwróciła.

- Panie Greene...

- Tak, Rebecco?

- Kation - powiedziała.

Choć Koller nie był zaskoczony, ukłonił jej się i zaklaskał, co zachęciło innych uczniów do tego samego. Rebecca uśmiechnęła się i odwróciła do wyjścia. Gdy zamykała za sobą drzwi, jej uda wyglądały bardzo kusząco.

Zabawy mentalne z piętnastolatkami. Gapienie się na tyłek dziecka. Ten dzień był okropny.

Dawniej nauczanie chemii w szkole średniej bywało nawet dość zabawne, poza tym

zapewniało skuteczną przykrywkę. Samotny, prowadzący tajemne życie mężczyzna powinien mieć jakiś akceptowany społecznie zawód. Poza tym zbyt dużo wolnego czasu między jednym i drugim kontraktem zawsze wytrącało go z równowagi. Teraz jednak żniwo zbierały królowe nijakości, YouTube i telewizja, więc większości uczniów pozostawało w mózgu bardzo niewiele miejsca.

Koniec nauczania, powiedział sobie. Od tej pory, jeśli będzie potrzebował rozrywki, po prostu pojedzie do lasu i coś zabije. Od ostatniego kontraktu minęły dwa tygodnie. Jak długo jeszcze ma czekać?

Z przyjemnością przypomniał sobie pielęgniarkę z Charlotte, którą najpierw obserwował, a potem skłonił do połknięcia śmiertelnej dawki tabletek nasennych po napisaniu samobójczego listu.

Dobra robota.

Jeden telefon i Franz Koller załatwia sprawę. Ludzie z CSI bardzo szybko przestali doszukiwać się znamion przestępstwa w śmierci pielęgniarki.

Słyszał, że uczniowie za nim robią się niespokojni, bo ich ignoruje. Do diabła z nimi. Mają szczęście, że nie udał się do sklepu chemicznego po odrobinę sarinu.

Pigułki nasenne i list pożegnalny. Śmierć tej kobiety była wspaniałą inscenizacją. Zapewniła mu intensywniejsze przeżycia niż na przykład pieprzenie setki dziewczynek w rodzaju Rebekki Woodorf. Belle Coates, która ukończyła szkołę pielęgniarską na pierwszym miejscu w swoim roczniku i płynnie mówiła trzema językami, była niezwykle seksowna, gdy leżała naga i całkowicie bezbronna, zagłębiając się w letnią wodę we własnej wannie. Wystarczyło samo patrzenie, jak oddycha coraz wolniej i jak jej głowa zsuwa się pod powierzchnię wody, by dostał potężnej erekcji. Nie musiał jej dotykać. Seks polegał na kontroli, a co bardziej zapewnia kontrolę niż...

Drzwi klasy otworzyły się i zamknęły.

Rebecca Woodorf wróciła z łazienki mniej nieśmiała, bardziej pewna siebie.

- Papier toaletowy przykleił ci się do buta - rzucił Koller od niechcienia, gdy go mijała.

Dziewczyna zaczerwieniła się, obejrzała, a potem spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Żartuję - powiedział Koller. - Trafiony, zatopiony.

Tym razem śmiech klasy skierowany był przeciwko niej.

Koller nie próbował go stłumić. Ramiona dziewczyny opadły pod ciężarem upokorzenia. Wróciła do ławki.

Fun, fun, fun 'til her daddy takes the Tbird away, zanucił pod nosem Koller.

Krępemu chłopakowi o nazwisku Sommers kazał rozdać kartki z testem, który

zostawił dla nich nauczyciel. Siedzieli teraz cicho, odpowiadając na pytania, z którymi powinien sobie poradzić szóstoklasista.

Jeszcze dziesięć minut. Dziesięć minut.

Odezwał się dzwonek jego telefonu komórkowego. Był nim znany gitarowy pasaż AC/DC Back in Black. Uczniowie natychmiast rozpoznali melodię i spojrzeli na Kollera zaskoczeni, ale z szacunkiem. Pan Robert Greene był cool.

- Kto to taki, Greene? - zapytał jeden z klasowych mięśniaków. - Jakaś motocyklowa przyjaciółka?

- W życiu nie wsiadłbym na motocykl, Harcourt - odparł Koller, przypominając sobie kontrakt na chirurga z Chicago, który odjechał w nicość lśniącym harleyem.

Śruby przednich i tylnych zaciskaczy, zmodyfikowane przez Kollera, rozłączyły się jednocześnie na szczycie długiego, stromego zjazdu na międzystanowej autostradzie. Nawet najsprawniejsza ekipa dochodzeniowa prawdopodobnie nigdy nie zauważyłaby tej modyfikacji, ale w przypadku doktora Lewisa Leonarda dzieła dokończyła ciężarówka.

Dobra robota.

- Więc kto dzwoni? - spytał zdecydowanie za głośno Harcourt.

- To nic ważnego - odparł Koller, którego niemal rozsadzała chęć powiedzenia prawdy tym aroganckim gówniarzom, wiedział jednak, że nie może tego zrobić. - Powiadomienie, że pewien handlarz dzieł sztuki, od którego lubię kupować różne rzeczy, otworzył licytację na eBayu. Dostaję takie powiadomienie, ilekroć pojawia się coś nowego.

- I co pan kupuje? Nadmuchiwaną lalę?

- Słyszałeś kiedyś o sarinie, Stankowsky?

- O czym?

- Nieważne.

- Więc o co chodzi? Co pan kupuje?

Koller rzucił okiem na zegar. Cztery minuty do dzwonka.

- Chcecie zobaczyć? - spytał.

Wszystko, byle nie chemia, błagała go klasa.

Kliknął na link w emailu i otworzył eBay z opisem produktu i zdjęciem, a potem puścił po klasie swoją komórkę, by wszyscy mogli zobaczyć drewnianą lampę na biurko w kształcie starego żaglowca. Można było licytować, zaczynając od dziewięćdziesięciu dziewięciu centów.

- To jakiś rupieć! - zawołał jeden z uczniów. - Nawet WalMart by czegoś takiego nie sprzedawał.

Kilka osób parsknęło śmiechem, ale Koller nie zareagował.

- A co ty o tym myślisz, Rebecca? - spytał.

Dziewczyna siedziała ze wzrokiem wlepionym w test.

- Nie wiem - mruknęła.

- Przyjrzyj się - powiedział Koller. - Jesteś przecież najmądrzejsza w tej klasie. Jedyna osoba, z której zdaniem powinienem się liczyć. Jedyna, którą warto uratować, gdy nadejdzie potop. Moim zdaniem jest piękna. Jak sądzisz?

Rebecca spojrzała na telefon, jakby spodziewała się ujrzeć coś obrzydliwego.

- To bardzo ładna lampa - wykrztusiła w końcu.

I kolejna robota dla pana Greene'a, pomyślał Koller. Całe wiadra pieniędzy za coś, co chętnie zrobiliby za darmo.

Kiedy rozległ się dzwonek, wyszedł, nawet nie oglądając się na swoich uczniów.

Gdy tylko znajdzie się w mieszkaniu, odkoduje zaszyfrowaną w zdjęciu lampy informację, a potem, kiedy już będzie wiedział, o co chodzi, zastanowi się, czy dziewięćset dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów wystarczy, czy też wolałby półtora miliona.

Wieczorem zadzwonił John Sykes, dyrektor liceum imienia Woodrowa Wilsona, by mu powiedzieć, że opinie o lekcjach chemii są znakomite, zwłaszcza w ostatniej klasie. Czy Greene mógłby przyjść na zastępstwo również następnego dnia?

ROZDZIAŁ 4

Wnętrze Objazdowego Punktu Medycznego Fundacji „Pomocne Dłonie” przypominało obraz Normana Rockwella. Każdy centymetr przestrzeni w samochodzie kempingowym Fleetwood z 1996 roku został wykorzystany - na ogłoszenia, podręczny magazynek oraz sprzęt medyczny i biurowy - co jakimś dziwnym sposobem tworzyło domowy nastrój, podkreślony jeszcze białymi zasłonkami na oknach, beżowym strzyżonym dywanem i lampami żarowymi o zmiennym natężeniu światła. Zaparowane okna i postarzałe, twarde twarze trzech mężczyzn, siedzących przy centralnym rozkładanym stole z kubkami kawy w rękę, uzupełniały ten obraz.

Była środa. Oznaczało to, że właśnie dziś na tym przystanku - błotnistym parkingu przy Solidnych Używanych Samochodach Jaspera Yeo - Nick ma poprowadzić cotygodniowe szkolenie dotyczące zasiłków z tytułu zespołu stresu pourazowego. Na dworze wciąż lało. Krople deszczu uderzały w dach ambulansu i przemywały powietrze po niezwykle ciepłym jak na tę porę roku dniu. Ambulans był zatłoczony, więc siedmiu mężczyzn i jedna kobieta,

k którzy przyszedli po poradę lekarską, wykorzystywali wiatę na przystanku autobusowym na rogu jako poczekalnię. Nie narzekali, bo większość z nich znalazła się już niemal na dnie życiowej drabiny i była przyzwyczajona do czekania.

Trzech mężczyzn siedzących wewnątrz pojazdu grało o wysoką stawkę. Każdy z nich otrzymał już odmowę zasiłku, który był im niezbędny do przeżycia. Odmowę wydała Komisja Odwoławcza Biura do spraw Weteranów. Nick prowadził to szkolenie właśnie dlatego, że sam stoczył długą, ale zwycięską walkę o własny zasiłek. Walkę tę rozpoczęła odmowa wydana przez najczarniejszą postać wśród członków komisji Biura do spraw Weteranów, Phillipa MacCandlissa, a zakończyła komisja odwoławcza wysokiego szczebla, która uchyliła jego decyzję. Niedługo potem MacCandliss nie otrzymał spodziewanego awansu - prawdopodobnie dlatego, że z takim uporem odrzucał podanie Nicka.

- Przepraszam, że wciąż pana nękamy, doktorze - powiedział Eddie Thompson. - Ale to moje trzecie podejście, trzecia próba uzyskania zasiłku. Nie mam już siły ani pieniędzy.

Nick położył rękę na ramieniu barczystego byłego żołnierza piechoty, który był świadkiem niezwykle brutalnych wydarzeń i stracił wtedy wielu przyjaciół.

- Wiem, Eddie - odparł. - Wiem.

Podczas jazdy do Waszyngtonu jeszcze raz przeżył tamtą straszną scenę, więc tej nocy nie najlepiej szło mu udzielanie porad. Czuł, że zaczyna się dekoncentrować. Spojrzał nad głową Eddiego na korkową tablicę, do której przypięto ogłoszenia o pracy, informacje o spotkaniach Anonimowych

Alkoholików i Anonimowych Narkomanów, adresy noclegowni i wskazówki, jak przeżyć na ulicy. W centrum tablicy, między innymi ogłoszeniami, od czterech lat wisiał plakat proszący o informacje dotyczące Umberta Vasqueza. Sepiowa fotografia lekko spłowiwała, ale nie na tyle, by twarz życzliwie nastawionego do świata, inteligentnego żołnierza piechoty morskiej była nierozpoznawalna. Oprócz Nicka tylko on przeżył tamten koszmar w WBO Savannah.

Vasquez cierpiał na zespół stresu pourazowego co najmniej tak samo głęboki jak Nick, ale pomógł mu przetrwać żałobę po Sarah i często całymi godzinami trzymał drżącego przyjaciela w ramionach, choć jego własne demony i tanie wino wrywały mu wnętrzności.

NAGRODA

Za wiarygodne informacje dotyczące zniknięcia sierżanta Umberta Vasqueza.

Ostatni raz był widziany 20 lutego 2006 roku w Fort Stanton Park.

Z wiadomościami proszę się zgłaszać do kapitana Nicka Garrity'ego, telefon 202-966-9115.

- Strasznie utrudniają - narzekał Eddie.

- I nie bez przyczyny. Tylko trzy z dziesięciu podań uzyskują aprobatę Biura do spraw Weteranów. Trzy na dziesięć. A to oznacza miliony albo nawet miliardy dolarów zasiłku, których nie muszą wypłacać. Wypłacą, jak będą musieli, ale trzeba się o to bardzo starać.

- To prawda - przyznał kapral Matthew McBean, przeciągając słowa jak typowy mieszkaniec Missisipi.

- Tak to właśnie jest. Kiedy stwierdzono u mnie zespół stresu pourazowego, popełniłem błąd, prosząc regionalne Biuro do spraw Weteranów i Phillipa MacCandlissa, który blokuje wszystkie zasiłki, o rozszerzenie mojego wniosku o tę diagnozę. MacCandliss zna przepisy i potraktował moją prośbę w taki sposób, jakbym wcześniej otrzymał odmowę. Powinienem wystąpić nie o rozszerzenie, ale o „uzupełnienie wniosku”. Ten błąd kosztował mnie cztery miesiące męczącej pracy papierkowej, a był to jedynie pierwszy z całej serii moich błędów. MacCandliss liczy, że w którymś momencie się załamamy i zrezygnujemy. Ci ludzie stawiają znak równości między depresją i zespołem stresu pourazowego a słabością. Nie docenili mnie... przynajmniej pod tym względem.

- Kurwa, oddałbym wszystkie zasiłki za jedną noc dobrego, spokojnego snu - stwierdził McBean.

Nick pokiwał głową.

- Czy któryś z was dzwonił już do Instytutu EMDR? - spytał. - Jeśli nie, niech to będzie wasze kolejne zadanie domowe. Poproście o połączenie z doktor Deems i powiedzcie jej, że to z mojego polecenia.

- Czy naprawdę sądzisz, że to pomoże?

Nick się zawahał. Czy naprawdę tak sądzi? Nie był tego pewien. Mimo wszystko nadzieja wyzwolenia się z udręki była wystarczającym bodźcem, by kontynuować eksperymenty z tym stosunkowo nowym narzędziem psychoterapii. Sama metoda EMDR - odwracania za pomocą ruchów gałek ocznych - była dość prosta i wykorzystywano ją z powodzeniem w różnych przypadłościach, między innymi w tremie przed występami, fobiach, dysfunkcjach seksualnych i zaburzeniach odżywiania.

Nick, który pracował raz na tydzień z terapeutką w Waszyngtonie, był teraz na czwartym z ośmiu etapów programu EMDR. Łącząc powtarzające się ruchy gałki ocznej ze zmiennymi wizualizacjami, zarówno pozytywnymi, jak i traumatycznymi, terapia miała usunąć większość objawów stresu pourazowego. Ale Nick nie był dobrym przykładem skuteczności tej techniki.

Za ich plecami rozsunęła się sięgająca od sufitu do podłogi zasłona i w szparze

pojawiła się głowa Junie.

- Mógłbyś obejrzeć jednego dzieciaka, Nick?

Gdyby nie to spotkanie, oboje przyjmowaliby pacjentów od początku wieczoru. W niemal wszystkich sytuacjach Junie potrafiła ocenić stan pacjenta równie dobrze jak większość lekarzy, ale zarząd służby zdrowia wymagał, by każdego pacjenta obejrzał lekarz, asystent medyczny albo samodzielna pielęgniarka specjalistyczna. Jednak tego wieczoru nie było nikogo innego.

Nick rozdał kartki z instrukcjami i poprosił swoich trzech podopiecznych, by zapoznali się z nimi podczas jego nieobecności.

- Co tam mamy? - spytał, podchodząc do zasłony.

Junie nie cofnęła głowy.

- Ten dzieciak chyba ma mononukleozę.

- Czy pobrałaś krew?

- Pobrałam. Zaleciłam test na mononukleozę, morfologię, próby wątrobowe, a także badanie poziomu amylazy i lipazy.

- Gardło?

- Klasyczne, jeśli istnieje coś takiego. Zrobiłam wymaz, podałam mu penicylinę, płukanekę i trochę motrinu.

- Powiększona śledziona?

- Nie wydaje mi się, ale jak wiesz, nie jestem w tym najlepsza, chyba że osiąga wielkość piłki futbolowej.

- Dobrze sobie radzisz. Obejrzyjmy go.

Junie nie ruszyła się z przejścia.

- Zajrzałam tu parę minut temu - powiedziała cicho. - Wpatrywałeś się w plakat Umberta. Wszystko w porządku?

- Daję sobie radę. Te spotkania to też dobra terapia, ale koszmar, który przeżyłem w drodze tutaj, wciąż się we mnie odbija echem. Dobrze, że nie muszę trzymać w ręku kubka gorącej kawy.

- A próbowałeś tych swoich ćwiczeń ocznych?

Nick pocałował ją w czoło i pchnął lekko w stronę pokoju zabiegowego.

- Radzę sobie. Chodźmy i kopnijmy tę mononukleozę w tyłek.

Junie trafnie zdiagnozowała siedemnastolatka, który mieszkał w Hotelu 24, co oznaczało noclegownię dla bezdomnych. Nie miał kłopotów z przełykaniem ani szczególnie powiększonej śledziona, więc Nick odesłał go z „listą mono” - rzeczy, które należy i których

nie należy robić podczas tej choroby. Jak w wypadku większości pacjentów, on i Junie mogli tylko mieć nadzieję, że chłopak dostosuje się do zaleceń.

Kiedy Nick wydawał swoim słuchaczom ostatnie instrukcje, pacjent z mononukleozą wszedł, a za nim Junie, niosąc parasol.

- Zaraz złapię kolejną ofiarę - oświadczyła. - Ale po drodze chyba wpadnę do Dunkin' Donuts po drugiej stronie ulicy, może ofiarują naszym podopiecznym jakąś paczkę z jedzeniem. Już im się to zdarzało.

- Jeśli ty tam idziesz, nie mają szans odmówić.

Gdy wychodziła przez drzwi od strony pasażera, do środka wpadł podmuch chłodnego, wilgotnego powietrza. Po chwili drzwi znów się otworzyły i stanął w nich niski, krępy, łysiejący mężczyzna. Miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy i strząsał wodę z parasola. Tuż za nim pojawił się Phillip MacCandliss.

- Dobry wieczór, Garrity - powiedział MacCandliss, wpatrując się w Nicka ciemnymi, wąskimi, szurzymi oczyma. - Chciałbym przedstawić wam pana Janusa Fieldinga. - Podniósł głos, by słyszeli go wszyscy w całym ambulansie: - Jest z Wydziału Zdrowia Dystryktu Kolumbii.

ROZDZIAŁ 5

Na widok MacCandlissa Nickowi zrobiło się niedobrze. Nie po raz pierwszy pojawiał się niezapowiedziany. W ciągu minionych paru lat już dwa razy „po prostu wpadł, by zobaczyć, o co w tym chodzi”. Po raz pierwszy jednak przybył w towarzystwie.

- Jesteśmy naprawdę zajęci, MacCandliss - powiedział Nick. - Dlaczego nie zadzwoniłeś, żeby się umówić?

- Nie byłby to najlepszy sposób przeprowadzania niespodziewanej inspekcji, prawda?

Rzecznik Biura do spraw Weteranów, mający wśród żołnierzy bardzo złą sławę za odmowy przyznawania zasiłków, pozostał na schodach za Janusem Fieldingiem. MacCandliss był smagły, szczupły i wyglądał dość śmiesznie w tweedowej czapce, Nick wiedział jednak, że nie należy go lekceważyć. Był chytry, przebiegły i nieprzewidywalny - jeśli pominąć fakt, że zawsze pchał się do przodu.

Nick rozważał przez chwilę, czy warto przeciągać sprawę do powrotu Junie. Wciąż był roztrzęsiony i niepewny, czy uda mu się opanować złość, bo ilekroć musiał sobie radzić z zaostrzonymi objawami stresu pourazowego, był o włos od wybuchu. Wyjrzał w stronę przystanku autobusowego, ale Junie prawdopodobnie wciąż przebywała w Dunkin' Donuts.

Do diabła, MacCandliss, dlaczego właśnie dzisiaj? Z trudem powstrzymał się przed wypowiedzeniem tych słów na głos.

- No dobrze, panie Fielding - powiedział zamiast tego, głośno wzdychając. - Może zaczniemy od początku. Pana legitymacja?

Janus Fielding otworzył skórzany portfel, pokazując odznakę Wydziału Zdrowia i identyfikator z fotografią.

Inspektor wyposażenia, Wydział Zdrowia.

- Co pana do nas sprowadza? - spytał Nick, przypominając sobie z kursu mitologii na Uniwersytecie Stanforda, że Janus był rzymskim bogiem opiekującym się między innymi drzwiami i bramami. Zastanawiał się, jak rodzicom tego człowieka udało się wymyślić tak prorocze imię.

- Mam tu listę skarg złożonych na tę klinikę.

- Zakładam, że osobą odpowiedzialną za te skargi jest pan MacCandliss?

- Wszystkie formularze są w porządku - oświadczył Fielding, ignorując słowa Nicka.

Stojący za nim MacCandliss sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie.

- Wie pan, jesteśmy naprawdę zajęci - powiedział Nick, wskazując gestem trzech mężczyzn przy stole, a potem, przez okno, osoby stojące na przystanku autobusowym.

Przez niesłabnący deszcz widział, że do przystanku zbliża się Junie, niosąc dużą plastikową torbę i dwa kartony, każdy z dziesięcioma kubkami kawy. Nic dziwnego: nawet gdyby personel Dunkin' Donuts się opierał - a nigdy dotychczas tego nie robił - z Junie nie mieli szans.

- Przede wszystkim chciałbym obejrzeć całość - stwierdził Fielding - i sprawdzić, w jaki sposób traktuje pan kwestie czystości oraz sprzęt i lekarstwa. Szczególnie interesuje mnie, czy igły i strzykawki są odpowiednio zabezpieczone.

- Jest tu miejsce właściwie tylko dla jednego z was - powiedział Nick. - Proszę więc, żeby pan MacCandliss pozostał tam, gdzie stoi, albo poczekał na zewnątrz razem z innymi.

W ciągu kilku następnych minut inspektor sprawdzał wszystko, odhaczając kolejne punkty na swojej liście, ale nie znalazł większych uchybień. Zasugerował co prawda, by waciki do alkoholu były przechowywane razem ze strzykawkami i igłami, a szuflady szafki zawierającej kartoteki pacjentów zostały dodatkowo zabezpieczone od kradzieży i pożaru, jednak od samego początku Nick czuł, że inspektor działa na ślepo.

Niech cię Bóg błogosławi, Junie, pomyślał. Wiedział, że to jej uporowi zawdzięcza, iż klinika zawsze jest bardzo dobrze przygotowana.

Gdy Fielding sprawdził pojemniki na różnego rodzaju odpady i stwierdził, że spełniają

normy, otworzyły się drzwi ambulansu. Pojawił się w nich chudy, nieogolony biały mężczyzna w nasiąkniętej wodą grubej marynarskiej kurtce i przecisnął obok MacCandlissa, dokładnie go przy tym mocząc. Rzecznik Biura do spraw Weteranów wyglądał, jakby najchętniej znalazł się co najmniej przecznicę od wchodzącego. Mężczyzna, którego Nick rozpoznał z poprzednich wizyt, niepewnie skierował się do maleńkiego gabinetu z tyłu pojazdu. Idąca tuż za nim Junie popatrzyła na Nicka i przekazała mu wzrokiem, że ten pacjent naprawdę ją niepokoi.

Jego wygląd zaniepokoił także Nicka. Mężczyzna, który, jak Nick pamiętał, nazywał się Campbell, sprawiał wrażenie bardzo chorego. Jego oczy wyglądały jak czarne dziury, a ustami szarpał dziwny tik. Nick spojrzął na Junie, która obejrzała się przez ramię, idąc za Campbellem do gabinetu. „Nie zwlekaj zbyt długo”, przekazała mu wzrokiem.

Nick zaprowadził Fieldinga na przód ambulansu, gdzie czekał MacCandliss.

- Cóż, panowie, wygląda na to, że mam pacjenta. Możecie poczekać albo nie. Panie Fielding, oszczędzę panu kłopotu, mówiąc, że do poduszki czytamy podręcznik HIPAA i że członkowie naszego zarządu przez cały czas robią niespodziewane inspekcje kliniki. Niech więc pan powie tym, którzy złożyli na nas skargi, że marnują pański i nasz czas. Wrócę do panów, kiedy się upewnię, że temu człowiekowi nic nie jest.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył do gabinetu. Campbell wciąż stał, przestępując z nogi na nogę. Gdyby było więcej miejsca, pewnie chodziłby nerwowo po pokoju. Żrenice jego rozbieganych oczu były rozszerzone.

- Mike, usiądź i pozwól zdjąć sobie kurtkę - powiedziała Junie. - Muszę sprawdzić ci ciśnienie krwi. Nick, to Mike Campbell.

- Spotkaliśmy się już. Kiedy to było, Mike? Jakiś rok temu?

- Nie wiem - wymamrotał Campbell.

Coś przedawkował, Nick był tego niemal pewien.

- Mike, chcemy ci pomóc. Pozwól nam sobie pomóc. Jesteśmy po twojej stronie. Usiądź tu.

Campbell z wahaniem przysiadł na brzegu stołu zabiegowego. Gdy Junie zaczęła zdejmować mu kurtkę, Nick zauważył ciemną plamę niecałe dwadzieścia centymetrów poniżej pachy.

- Rękawiczki - rzucił do pielęgniarki.

Nie pytając o wyjaśnienie, Junie naciągnęła lateksowe rękawiczki. Campbell niechętnie pozwolił jej zabrać kurtkę. Na jego białej koszulce drużyny Redskins po lewej stronie widniała powiększająca się plama krwi. Pośrodku plamy było pięciocentymetrowe

rozcięcie.

- Tętno sto dziesięć, ciśnienie dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt.

Od samego początku swojej kariery medycznej Nick musiał powstrzymywać odruch, by na widok krwi pacjenta nie zabierać się natychmiast do dzieła. Także i teraz wciąż nie potrafił pozwolić rannemu krwawić, kiedy zabezpieczał się przed AIDS, wkładając kitel, lateksowe rękawiczki i plastikową maskę na twarz.

- Nie bój się, Mike. Muszę włożyć rękawiczki, a potem szybko cię zbadam.

- Gdzie jestem? - wycharczał Campbell.

Nick i Junie wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Przyszedłeś do ambulansu „Pomocnych Dłoni” - odparła Junie. - Ja się nazywam Junie, a to jest doktor Nick Garrity. Chcemy ci pomóc.

- Czy to szpital?

- To klinika na kółkach.

Campbell rozejrzył się wokół dzikim wzrokiem.

- Żadnego szpitala.

- Jesteśmy po twojej stronie - powiedział Nick, gdy Junie ostrożnie ściągała pacjentowi zakrwawioną koszulkę. - Chcemy ci pomóc.

Nick od razu zobaczył, że tę ranę da się odpowiednio ocenić wyłącznie w szpitalu na oddziale ratunkowym, być może nawet potrzebna będzie sala operacyjna. Jeżeli ostrze przebiło płuco, może nastąpić krwotok do klatki piersiowej. Niewykluczone, że zapadło się płuco, a przynajmniej jego część. Z ulgą zobaczył, że tchawica Campbella się nie przemieściła, co świadczyło o tym, że płuco wciąż zawiera powietrze. Paznokcie pacjenta zachowały różowy kolor, co również było dobrym znakiem.

- Ciśnienie skurczowe nadal dziewięćdziesiąt - powiedziała Junie, jakby czytała w jego myślach. - Ale tętno trochę przyspieszyło.

- Trzymaj się, Mike - powiedział Nick. - Za chwilę skończymy.

- Żadnego szpitala - powtórzył Campbell jeszcze bardziej niewyraźnie niż przed chwilą.

Nick uważnie osłuchiwał go stetoskopem. We wszystkich miejscach słyszał świst. Rana od noża może okazać się niegroźna, ale równie dobrze może być śmiertelna. Wiedział, że zgadywanie w tym momencie to prosta droga do nieszczęścia, jednak jego kliniczne doświadczenie podpowiadało mu, że rana jest niezbyt głęboka. A jeśli tak, to niskie ciśnienie krwi pacjenta, jego dezorientacja, rozszerzone źrenice i nieregularny rytm serca musiały mieć inną przyczynę. Najwyraźniej działo się coś jeszcze.

- Junie, czy możesz wyciągnąć jego kartę? - spytał, nie przerywając badania.

Nie było wątpliwości, że Campbell potrzebował szpitala, i to szybko. Ale czy wyrazi na to zgodę? Nick ponownie sprawdził ciśnienie krwi. Osiemdziesiąt pięć. Może wewnętrzne krwawienie jest większe, niż sądził? Wsunął Campbellowi do nosa rurkę z tlenem i podkręcił przepływ do sześciu litrów. Mężczyzna nie próbował się opierać. Kiedy Nick przygotowywał się do wprowadzenia wenflonu, Junie otworzyła kartę Campbella i pokazała mu jeden wpis.

Uzależnienie od heroiny i benzodiazepiny. Historia licznych przedawkowań, szczególnie metamfetaminy. Na zwolnieniu warunkowym. Lęk przed powrotem do więzienia.

- To wyjaśnia, dlaczego Mike nie chce nam pozwolić zabrać się na ostry dyżur - powiedziała Junie. - Zgadza się, Mike?

Nick czuł, jak bardzo mężczyzna jest spięty.

- Mike, muszę założyć ci wenflon, żeby podłączyć płyny i lekarstwa. Masz zbyt niskie ciśnienie krwi.

Campbell zachowywał się jak dzikie zwierzę w klatce.

Nick szybko wprowadził pięciocentymetrowy wenflon do żyły na jego przegubie.

- Dodatkowe zabezpieczenie? - spytała Junie.

Nick kiwnął głową. Jak zwykle, zgadywała jego myśli.

- Daj mu jednostkę narcanu i trzy dziesiąte flumazenilu, a potem powieś na stojaku litr soli fizjologicznej - powiedział.

Junie przytoczyła do stołu zabiegowego wózek medyczny i zaczęła przygotowywać potrzebne lekarstwa, ale w tym momencie Campbell ześlizgnął się ze stołu i zaczął gorączkowo obracać we wszystkie strony. Nick złapał go za ramiona i próbował z powrotem umieścić na stole. Badanie rany mogło poczekać do chwili podania pacjentowi antidotum na narkotyki i dużej dawki Valium.

Zanim jednak zdołał cokolwiek zrobić, Campbell wyrwał mu się i wybiegł z gabinetu.

ROZDZIAŁ 6

Rozglądając się dziko szeroko otwartymi oczyma, Mike Campbell wrzeszczał i walczył z niewidzialnymi wrogami. Wypadł z pokoju zabiegowego i rzucił się ku przodowi autobusu. Eddie Thompson, ważący dobre czterdzieści kilo więcej niż on, próbował zablokować mu drogę, ale został odrzucony na bok. Odbił się od stołu i padł na podłogę, rozlewając kawę z kubków dwóch pozostałych mężczyzn.

Janus Fielding natychmiast zajął miejsce opuszczone przez Thompsona, odsłaniając

Phillipa MacCandlissa, który wziął na siebie główną siłę uderzenia Campbella. Rzecznik Biura do spraw Weteranów, wciąż stojący na schodach ambulansu po stronie pasażera, poleciał do tyłu na drzwi z taką siłą, że zamek puścił, drzwi się otworzyły, a on sam wylądował na plecach w błocie parkingu Solidnych Używanych Samochodów Jaspera Yeo. Campbell, nagi od pasa w górę, upadł ciężko w błoto obok niego, zaraz się jednak pozbierał i rzucił w kierunku ruchliwego skrzyżowania, gdzie spotykało się pięć ulic.

Zanim Nick zdążył wziąć od pielęgniarki antidotum na przedawkowanie narkotyków i valium, pacjenta nie było już w autobusie. Dobrze, że Junie obandażowała wenflon, pomyślał Nick. Całe szczęście, że wkłuli się w żyłę na przegubie pacjenta, bo to jedno z najlepiej chronionych miejsc. Jeśli zdołają złapać Campbella, może dzięki temu uratują mu życie.

Przebiegł obok próbującego wstać Eddiego Thompsona; jeszcze dwa kroki i znalazł się przy schodkach. MacCandliss podniósł się chwiejnie na jedno kolano. Skoncentrowany na Campbellu Nick przeskoczył nad nim jak płotkarz.

Miał wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Campbell, który wciąż biegł, choć nierówno i zataczając się na boki, wyglądał jak bokser, który za chwilę padnie na deski.

Nie padł jednak.

Zamiast tego zeskoczył z krawężnika wprost na jezdnię. Nick, który go szybko doganiał, zobaczył, że z prawej strony prosto na niego pędzi przez deszcz autobus. Uświadomił sobie, że za kilka sekund Campbell będzie martwy - ale oczami pamięci zobaczył też coś innego: Sarah wychodzącą z sali operacyjnej i idącą wprost na ciężarówkę, której kierowca wcale nie zamierzał się zatrzymać. Zobaczył, jak ciężarówka w nią uderza - i ten obraz sprawił, że znieruchomiał na krawężniku.

Nagle wyzwolił się z paraliżu i wybiegł na jezdnię. Campbell znajdował się mniej więcej w tym samym miejscu między reflektorami autobusu co Sarah, gdy uderzyła w nią ciężarówka Zmaraia, ale między narkomanem i zderzakiem autobusu wciąż był pewien dystans.

Pędząc przez ulicę, Nick zerknął w prawo i zdał sobie sprawę, że kierowca ich dostrzegł i zaczyna reagować. Prowadząca autobus kobieta skręciła w lewo w tym samym momencie, w którym Nick rzucił się na Campbella i złapał go w pasie. Upadli na zalany deszczem asfalt i przetoczyli się dwa metry, uciekając spod kół autobusu i zatrzymując na następnym pasie ruchu.

Autobus uniósł się lekko na kołach po stronie kierowcy, wpadł w poślizg i w końcu zatrzymał się pod kątem prostym do kierunku ruchu. Przez kilka przerażających sekund tkwił

bez ruchu, z przednimi i tylnymi kołami po prawej stronie wiszącymi w powietrzu.

Nick uderzył brodą w nawierzchnię, zdzierając sobie skórę, ale choć oszołomiony, zdołał złapać strzykawkę. Jadący za autobusem terenowy samochód również wpadł w poślizg, jego koła po stronie pasażera oderwały się od nawierzchni i terenówka uderzyła w tył autobusu. Siła uderzenia sprawiła, że oba pojazdy odsunęły się od dwóch leżących na asfalcie postaci.

Nick przetoczył Campbella na plecy. Narkoman był już nieprzytomny i oddychał chrapliwie. Krew kapiąca z brody Nicka na tors natychmiast zniknęła, zmywana lejącym deszczem. Wokół nich zatrzymywały się samochody, tworząc coś w rodzaju kordonu.

Oddech Campbella zrobił się płytki i jeszcze powolniejszy. Niewykluczone, że największym problemem był krwotok wewnętrzny, a nie przedawkowanie narkotyków, ale w tej sytuacji tylko jednej sprawie można było zaradzić. Nick miał wrażenie, że narkoman nie dostaje wystarczającej ilości powietrza, co oznaczało, że rozpoczął się czterominutowy okres do śmierci mózgowej. Coś trzeba było zrobić, najpierw jednak musiał wtłoczyć nieco powietrza do jego płuc. Tętno Campbella było bardzo słabe, najwyżej dwadzieścia uderzeń na minutę. Nick odchylił mu głowę do tyłu, zatkał nos i zastosował oddychanie ustausta.

Kobieta, która prowadziła autobus, wyskoczyła na ulicę i ruszyła w ich stronę. Wiele innych osób również podchodziło coraz bliżej; niektóre z nich otworzyły parasole. Nick podłączył do wenflonu strzykawkę z narcanem. Mały strumyczek krwi wyciekający z końca plastikowej kaniuli oznaczał, że krew nie zakrzepła, a kaniula nie została wyszarpnięta z żyły.

- Hej, co ty robisz? - krzyknął jeden z gapiów.

Nick zacisnął zęby, by nie odpowiedzieć czegoś nieprzyjemnego, po czym wstrzyknął Campbellowi kolejno narcan i flumazenil.

- Jestem lekarzem z tamtego medycznego autobusu - wyjaśnił. - Niech ktoś złapie tego człowieka za nogi i pomoże mi przenieść go z powrotem do ambulansu. Proszę tylko trzymać się z dala od jego rany.

Eddie Thompson, któremu brakowało jeszcze oddechu po sprincie na drugą stronę ulicy, złapał Campbella pod pachy i podniósł z taką samą łatwością, z jaką przed chwilą tamten go przewrócił.

- Uważaj na wenflon - ostrzegł Nick Thompsona, przyciskając rękaw do brody. - Bardzo mi przykro z powodu uszkodzenia pani pojazdu - powiedział do kobiety z autobusu. - Wspaniale pani sobie poradziła.

ROZDZIAŁ 7

Scena wnoszenia nieprzytomnego Mike'a Campbella do pokoju zabiegowego ambulansu Fundacji „Pomocne Dłonie” na pewno nie znalazłaby się na żadnym rysunku Normana Rockwella. Wszystko w klinice było mokre - od deszczu, błota, rozlanej kawy lub krwi.

Siedzący przy stole dwaj pozostali słuchacze z malutkiej klasy Nicka sprawiali wrażenie znacznie bardziej opanowanych niż Phillip MacCandliss, który kulił się na fotelu kierowcy, owinięty kocem dostarczonym prawdopodobnie przez Junie. Zgubił gdzieś czapkę, a jego rzadniejące, krótko przycięte włosy były pozlepiane błotem. Janus Fielding stał po jego prawej stronie, wychylając się przez okno. Wyglądał, jakby spadł z nieba wprost do Szmaragdowego Grodu Czarnoksiężnika z Oz.

Pewien, że Junie potrafi sobie z tym poradzić, podobnie jak z większością przypadków medycznych, Nick zatrzymał się w drodze na tył autobusu.

- Przykro mi z powodu tego incydentu - powiedział do MacCandlissa. - Dobrze się pan czuje?

- Nie, nie czuję się dobrze. Czy wyglądam, jakbym się dobrze czuł?

- Nie, rzeczywiście nie wygląda pan. Przepraszam, że spytałem.

- Pan Fielding to wszystko widział, Garrity. Złoży raport na tę szemraną klinikę, którą tu we dwójkę prowadzicie. Tak samo jak ja wie, że każdym z tych nieszczęsnych ludzi lepiej zajęłoby się ambulatorium prowadzone przez miasto albo oddział ratunkowy w szpitalu. Nie sądzę, by tamtejsi lekarze musieli gonić pacjentów po ulicy. Mogło się to skończyć śmiercią wielu ludzi. I po co? Żeby uratować tego... jaskiniowca?

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Teraz muszę pójść i zobaczyć, jak mogę pomóc pacjentowi.

- Wiesz, Garrity, co powinieneś był zrobić, gdy ten nieszczęsny facet pojawił się w twoim nędznym pseudoambulatorium? Powinieneś był zadzwonić pod dziewięćset jedenaście.

Nick zdążył się już oddalić kilka kroków, ale zatrzymał się i obejrzał przez ramię.

- To świetny pomysł, MacCandliss. Cieszę się, że moja pielęgniarka zrobiła to natychmiast, gdy tylko zdaliśmy sobie sprawę ze złego stanu pacjenta.

Kiedy to mówił, przez szum deszczu przebił się dźwięk syreny nadjeżdżającej karetki pogotowia i wozów policyjnych.

- W porządku, doktorze - powiedziała Junie. - Te plasterki muszą wystarczyć, dopóki nie dostarczymy cię do chirurga, a może nawet chirurga plastycznego. Masz niezłe rozwaloną

szczękę.

- Nonsens. Moja szczęka potrzebuje chirurga plastycznego jak guziec kosmetyczki. Pożegnam się z moimi słuchaczami i zobaczę, co się dzieje z ludźmi, którzy czekali na przystanku. Potem możemy się zastanowić, czy trzeba mnie szyć, czy nie.

- Wciąż sączy się krew. Ale rób, co chcesz. Jak dla mnie, za gęsto tu od testosteronu.

Ratownicy medyczni i sanitariusze błyskawicznie podłączyli Campbella do tlenu, usunęli stary wenflon i założyli nowy, opatrzyli ranę w jego boku i zaczęli podnosić jego ciśnienie krwi.

- Nie musimy go w tym momencie intubować - powiedział jeden z ratowników. - Chyba uratował mu pan życie, wpuszczając w niego narcan i flumazenil.

- Być może - mruknął Nick.

- Zgadzam się z panem, że jego rana wcale nie wygląda tak bardzo źle.

- Czy może pan to powtórzyć tamtym panom? - spytał Nick, wskazując przednią część ambulansu, gdzie MacCandliss i Fielding czekali na taksówkę. - Wyraźnie i głośno.

Gdy policja skończyła badanie miejsca zderzenia pojazdów i weszła do ambulansu, MacCandliss i Fielding zdążyli już odjechać. Funkcjonariusze, którzy z ulgą przyjęli fakt, że nikt nie został poważnie ranny, stwierdzili, że już i tak mają aż za dużo zeznań do przepisania, i zgodzili się, by Nick i Junie wpadli do komisariatu w drodze do szpitala.

Pełen emocji postój na parkingu Solidnych Używanych Samochodów Jaspera Yeo niemal dobiegł końca. Ambulans spóźni się mocno na dwa kolejne przystanki zaplanowane na ten wieczór, ale pacjenci prawdopodobnie będą na niego czekać.

Ponieważ trzech słuchacze Nicka - Thompson, McBean i Riddick - nie mieli co ze sobą zrobić, posprzątała w środku autobusu, podczas gdy Nick i Junie zajmowali się pacjentami zgromadzonymi w poczekalni pod wiatą przystankową. Deszcz w końcu zaczął słabnąć, a napięcie powoli przygasało. Nick zajmował się pacjentami, a Junie przygotowywała ambulans do przejazdu przez miasto. Kiedy już przyjął ostatniego pacjenta, wrócił do swoich uczniów.

- Gdybym pobierał opłaty za te szkolenia, dziś bym wam je zwrócił - powiedział, nalewając sobie kawy.

- Gdybym płacił za te szkolenia, dziś podwoiłbym stawkę - odparł McBean. - Przyglądanie się, jak ten kutas na próżno próbuje pana zastraszyć, byłoby warte opłaty za wejście.

- Nie wolno lekceważyć MacCandlissa. Ludzie, którzy to robili, skończyli ze śladami pazurów na tyłkach.

- Nie musi mi pan tego mówić. Już o nim słyszałem.

Nick spojrział na niego. Wiedział, że to nie MacCandliss odrzucił wniosek McBeana o podwyżkę zasiłku.

- O czym ty mówisz, Matthew?

- Miałem kumpla nazwiskiem Ferris, Manny Ferris... Być może pan go znał.

- Nie wydaje mi się.

- To trochę dziwne, bo miał... ma... zespół stresu pourazowego, podobnie jak my wszyscy. MacCandliss odrzucił jego wniosek o podwyżkę zasiłku. Manny i tak był w ciężkiej depresji, a przez to orzeczenie znalazł się na ulicy i zaprzyjaźnił z butelką. Z wynajmowanego małego pokoju przeniósł się do noclegowni, a potem zamieszkał w kartonie. Odwiedzałem go tam od czasu do czasu. Pewnego dnia, gdy tam zajrzałem po upływie paru miesięcy, jego kumple z kartonowej wioski powiedzieli mi, że Manny jest teraz nowym człowiekiem. Przestał pić i wyniósł się z kartonu. Mówił, że piechota morska znów go wezwała i ma wziąć udział w jakiejś supertajnej misji. A potem zniknął.

Supertajna misja.

Te słowa ugodziły Nicka jak pocisk. Umberto siedział dokładnie w tym samym miejscu, przy tym stole, gdy też to powiedział. Był nowym człowiekiem, rozpromienionym.

„Powołano mnie znów do piechoty morskiej, żebym wziął udział w supertajnej misji”.

I niedługo później zniknął - tak samo jak Manny Ferris.

- Czy Manny się od tamtej pory pokazał? - zapytał McBeana.

- Prawdę mówiąc, nie jestem pewien. Jakies dwa lata temu jeden z kumpli powiedział mi, że Manny znów znalazł się na ulicy. Wstyd mi, że nigdy nie próbowałem go odnaleźć, ale moje życie się zmieniło. Udało mi się dostać pracę, poznałem wspaniałą kobietę i zamieszkaliśmy razem, a potem rozpocząłem tę oczną terapię stresu pourazowego. I tak jakoś po prostu odpuściłem sobie Manny'ego.

- Nie rób sobie wyrzutów. Życie jest dla żywych.

- Pewnie tak.

- Więc kiedy właściwie widziałeś go po raz ostatni?

- Manny'ego? Jakiś czas temu.

Cztery lata, pomyślał Nick. Cztery lata.

- Już wiem - powiedział McBean. - To było zaraz po tym, jak dostałem pracę w warsztacie blacharskim. Cztery lata temu. Może miesiąc mniej albo miesiąc więcej, ale na pewno cztery lata temu.

ROZDZIAŁ 8

- Policja uznała to za samobójstwo. Ale czy to nie mogło być morderstwo? Halo, wszystkie nocne marki z Charlotte. Słuchacie WMEW, programu Ricka Clemmonsa. - Pulchny didżej, ubrany w pomarańczowobiałą hawajską koszulę, luźne szorty i kowbojski słomiany kapelusz, przycisnął żółty guzik na ośmiokanałowej konsoli, puszczając melodyjkę identyfikującą stację. - Tym, którzy dopiero zaczęli nas słuchać, przypominam, że naszym gościem jest dzisiaj Jillian Coates z... Wirginii?

- Zgadza się, z Arlington.

- Mam się do ciebie zwracać Jill czy Jillian?

- Jillian, przez jot na początku.

- Jillian przez jot na początku jest fotografką i siostrą Belle Coates, mieszkanki Charlotte, pielęgniarki w Centrum Medycznym Charlotte, która umarła trzy tygodnie temu, najwyraźniej popełniając samobójstwo przez zażycie dużej ilości środków nasennych.

- Pielęgniarką, Rick. Jestem pielęgniarką, tak samo jak moja siostra. Fotografia to tylko moje hobby. Od czasu do czasu coś sprzedaję albo mam wystawę, ale...

- No dobrze. Więc policja uznała, że śmierć Belle Coates nie budzi żadnych wątpliwości. Nasz gość, pielęgniarka pracująca obecnie w...

- Szpitalu Shelby Stone Memoriał w Waszyngtonie.

-...w szpitalu Shelby Stone Memoriał wcale nie jest tego pewna, a ponieważ program Ricka Clemmonsa polega na oddzielaniu faktów od fikcji, zajmiemy się nią dzisiaj. Czy to pozorowane samobójstwo? Niedokładne dochodzenie policyjne? Siostra, która ma złudzenia? Jakieś parapsychiczne więzi? To do was należy ocena, wiecie jednak, że Rick Clemmons zawsze dociera do prawdy. Pamiętajcie więc: nasz telefon czeka. Dzwońcie, chłopcy i dziewczęta, i razem spróbujemy dotrzeć do sedna tej sprawy.

Jillian zacisnęła pięści i powiedziała sobie, że o to jej przecież chodziło. O zainteresowanie mediów. Ale jeśli kładziesz się spać z psami, wstajesz z pchłami, jak mawiała jej matka.

Dni po śmierci Belle były dla niej prawdziwym piekłem. Po telefonie od policji w Charlotte jej życie nagle się zatrzymało, a potem ostro skręciło. Nic już nie będzie takie samo. Nieustannie myślała o swojej młodszej siostrze i wyobrażała sobie, jakie musiały być jej ostatnie chwile. To nie miało sensu. Belle, choć przygnębiona decyzją zerwania ze zdradzającym ją facetem, za którego omal nie wyszła za mąż, nie była jednak aż tak

załamana, by popełnić samobójstwo. Interesował ją świat, kochała ludzi i nawet w trudnych chwilach nie miewała samobójczych myśli.

To właśnie Jillian była samotnym orłem, ekscentryczną nieprzewidywalną artystką. Belle była jak ciepły wiaterek - zefir, poprawiający samopoczucie wszystkich, którzy się z nią zetknęli.

Jeśli kładziesz się spać z psami, wstajesz z pchłami.

Kto, do diabła, mógł to zrobić Belle?

Gdy Jillian zgodziła się przyjechać do Charlotte na program Ricka Clemmons, producent uprzedził ją że prowadzący, choć naprawdę angażuje się w przedstawiane sprawy, żyje z tego, że mówi bez ogródek i karmi nienasycony apetyt słuchaczy na Schadenfreude. Ale musiała jakoś to wytrzymać. Żałowała, że Clemmons nie wie, co się czuje, gdy straci się kogoś, kogo się kochało tak bardzo, jak ona kochała Belle. Chciała, by doświadczył, jak to jest, gdy żołądek zwija się w twardą kulkę na widok fotografii ukochanej osoby, jak to jest odczuwać smutek tak głęboki, że nie da się oddychać.

Jednak choć wysłała do lokalnych, regionalnych i ogólnokrajowych mediów ponad setkę próśb, odpowiedział jej tylko Rick Clemmons i jako jedyny zgodził się przedstawić tę historię na falach eteru - więc czy jej się to podobało, czy nie, musiała dostosować się do jego reguł. Prawdopodobnie nie powinna była tu przyjeżdżać, ale musiała coś zrobić. Nie mogła zostawić tak tej sprawy. Chodziło o jej siostrę i najlepszą przyjaciółkę. Ktoś musiał coś wiedzieć. Co innego jej pozostało, jeśli nie poszukiwanie - nawet jeżeli oznaczało to kontakty z takim człowiekiem jak Rick Clemmons?

Prowadzący nacisnął odcinający głos klawisz, a potem odwrócił się do niej.

- Gotowa? - zapytał.

- Owszem - odparła Jillian, poprawiając słuchawki.

- Pamiętaj, że używamy tego samego mikrofonu, a ponieważ nawala, pochylaj się nad nim.

Przesunął wzrokiem po jej ciele. Jillian niemal czuła, jak oczyma rozpina jej bluzkę. Była przyzwyczajona do gapiących się na nią mężczyzn, ale przy Clemmonsie czuła się nieswojo. Próbując przestać o tym myśleć, znów poprawiła słuchawki i uprzejmie kiwnęła głową.

Mimo że program nadawany był w okropnych godzinach - od pierwszej w nocy do szóstej rano - miała nadzieję, że wysłucha go ktoś, kto potrafi jej pomóc. Ta nadzieja zmaląła, gdy wprowadziła wypożyczony samochód na parking stacji radiowej przy nagim, zaśmieconym odcinku autostrady numer 27 między Charlotte i Paw Creek. Rozmowa z

producentem nie przygotowała jej na rozwalającą się przyczepę kempingową, z której nadawała stacja WMEW.

Gdy zapukała do przerdzewiałych w wielu miejscach drzwi, niemal oczekiwała, że otworzy je jakiś zwariowany bezzębny staruszek bez koszuli albo w roboczym ubraniu. Wiedziała, że WMEW to bardzo mała stacja, jednak to, co zobaczyła, było mikroskopijne. Zastanowiła się przelotnie, czy zdjęcie tego miejsca pasowałoby do jej najnowszego projektu fotograficznego, Bocznych dróg Ameryki. Nic dziwnego, że Clemmons musiał zabiegać o słuchaczy, by utrzymać się na rynku. Ale nie miała wyboru - mogła tylko przyjąć jego warunki albo się wycofać.

- No dobrze, Jillian - powiedział Clemmons do jedyne działającego mikrofonu - więc jeden z dowodów, które twoim zdaniem wskazują na morderstwo, to pamiętnik twojej siostry?

Jillian wzięła się w garść.

- Właściwie nie. Kiedy policja skończyła pracę, przyjechałam do Charlotte po jej rzeczy...

- Jakie rzeczy? - spytał Clemmons.

- Fotografie, ubrania, notatki, komputer. Spakowałam wszystko i wynajęłam przewoźnika, żeby dostarczył to do mojego domu. Chciałam jeszcze raz przejrzeć te rzeczy, zanim... zaczęje wyrzucać. Policja niczego nie potrzebowała. Ich zdaniem nie było się czym zajmować.

- Więc nie uznali tego za morderstwo - wtrącił Clemmons.

- Belle prowadziła pamiętnik, czy może raczej coś w rodzaju dziennika. Nie było w nim jednak niczego takiego, czego bym wcześniej nie wiedziała. Jak pan wie, moja młodsza siostra i ja byłyśmy sobie bardzo bliskie. Nasi rodzice zginęli w wypadku samochodowym dwanaście lat temu, kiedy Belle miała czternaście lat, a ja dwadzieścia cztery. Mieszkałyśmy razem, dopóki nie rozpoczęła nauki w szkole pielęgniarskiej w Waszyngtonie, tej samej, do której ja też uczęszczałam. Podczas wakacji mieszkała ze mną w domku, który kupiłam za połowę sumy ze sprzedaży domu rodziców.

- I co takiego przeczytałaś w tym pamiętniku, co twoim zdaniem wskazuje, że znaleziony przy siostrze list był sfałszowany albo napisany pod przymusem?

- Przede wszystkim chciałabym zaznaczyć, że jestem pielęgniarką psychiatryczną na jednym z najlepszych oddziałów w Waszyngtonie, więc potrafię rozpoznać, czy ktoś ma skłonności samobójcze. Uwierz mi, Rick, Belle nie miała skłonności samobójczych. Żadnych.

- A pamiętnik?

- To nie był osobisty, pisany z potrzeby serca pamiętnik, ale raczej dziennik, rejestr wydarzeń. Nigdy go nie chowała. Leżał na szafce nocnej, gdy pakowałam jej rzeczy.

- Rozumiem więc, że nie znalazłaś w nim niczego w rodzaju „zamierzam się zabić”, bo gdyby tak było, nie przyszłabyś do tego programu.

- No właśnie. Nic nie sugerowało, żeby miała samobójcze myśli. Co więcej, za tydzień miałam do niej przyjechać, a kiedy ostatni raz rozmawiałyśmy, powiedziała, że nie może się już doczekać moich odwiedzin.

- Była jednak ta sprawa zerwanych zaręczyn, prawda? Jej narzeczony, doktor Doug Dearing, ortopeda, miał podobno romans z jej najlepszą przyjaciółką...

Jillian była zadowolona, że Clemmons przynajmniej pobieżnie zapoznał się z faktami. Mogła znieść jego gapienie się, ale tylko wtedy, jeśli traktował z szacunkiem jej siostrę. Dobrze było również usłyszeć publicznie nazwisko Dearinga w kontekście tego, co zrobił.

- Cóż, to ją rzeczywiście przygnębiło - odparła. - Każdego by przygnębiło. Poszła więc do terapeuty i dostała tabletki uspokajające. Wzięła je, ale właściwie cieszyła się, że odkryła, jaki on jest, zanim... - Jillian odchrząknęła - ...zanim się pobrali. Potem pisała, że czuje się już silniejsza. Wspominała nawet o zbliżającej się wyprawie do Cozumel z przyjaciółkami i o tym, jak bardzo się na ten wyjazd cieszy. Ktoś, kto zamierza się zabić, nie pisze o takich sprawach.

Jillian kilkakrotnie przeczytała dziennik Belle. To ją do niej zbliżało, tak jak dawniej emaile czy rozmowy telefoniczne, oznaczało jednak także ponowne przeżywanie śmierci siostry. Podróżowała razem z nią przez lata nadziei, radości i rozczarowań, tyle że tym razem wiedziała, iż zakończenie jest tragiczne.

- A czy policja zajęła się Dearingiem? - spytał Clemmons.

- Owszem, ale miał alibi. Tej nocy był ze swoją przyjaciółką poza stanem.

- Jest jeszcze ta niesamowita sprawa psychicznej więzi. O co tu chodziło?

- Wolałabym unikać słowa „psychiczna” i pozostać przy samej więzi.

- Mów dalej.

- Niemal dokładnie w chwili, w której umarła moja siostra, a na pewno w tej samej półgodzinie, pięćset czterdzieści kilometrów dalej na północ ja się nagle rozchorowałam. Leżałam na podłodze w łazience i miałam wrażenie, że umieram. Ten straszny atak trwał jakieś pół godziny, a potem po prostu minął. Ni stąd, ni zowąd.

- Cóż, nocne marki słuchające w tej chwili programu Ricka Clemmonsa mogą wierzyć w taką psychiczną więź, ale my zajmujemy się faktami. A fakty w tym przypadku nie potwierdzają twójego przypuszczenia, że ktoś zmusił Belle do napisania listu samobójczego, a

potem do połknięcia śmiertelnej dawki tabletek nasennych.

- Nie zgadzam się z tym i dlatego tu jestem.

- Wybacz, że to powiem, Jillian, ale nie przekonałaś mnie. Powiedz mi coś więcej o dzienniku siostry. Co w nim było takiego, że uwierzyłaś, iż Belle została zamordowana?

- Właściwie nie chodzi o sam dziennik, tylko o list samobójczy - powiedziała Jillian. - W tym liście oraz w całym dzienniku, pisząc o mnie, Belle używała tylko pierwszej litery mojego imienia.

- I co z tego?

- W dzienniku zawsze mnie tak określała, ale zwracając się do mnie w liście, nigdy nie używałyby samego inicjału. Napisałyby całe moje imię albo przynajmniej Jill. Nie wiem jak ani po co, ale jestem pewna, że zmuszono ją do napisania tego listu, a użycie samej litery J było jej sposobem poinformowania mnie o tym.

- Niezbyt to przekonujące, Jillian - powiedział Clemmons, zerkając na konsolę, na której powinny migać światełka. - Policja pewnie nie zainteresowała się tym specjalnie?

- W gruncie rzeczy niczym się specjalnie nie zainteresowała.

- Czy zauważyłaś coś dziwnego w rzeczach, które znalazłaś w mieszkaniu siostry? Cokolwiek?

Jillian się zawahała. Już i tak głupio się czuła, mówiąc o więzi psychicznej, a słowa Clemmonsa na temat dziennika sprawiły, że wszystkie jej wnioski wydawały się naciągane. Było jednak coś jeszcze.

Nic nie stracę, wspominając o tym, stwierdziła w końcu.

- W pudle ukrytym w głębi szafy Belle miała plik komiksów. Było tam chyba pięćdziesiąt różnych wydań tego samego komiksu. Tym policja również się nie zainteresowała.

- Komiksów?

- Sądziłam, że znałam moją siostrę bardzo dobrze, jednak nie miałam pojęcia, że interesowały ją komiksy. Powiedziałam detektywom, że to wydaje mi się bardzo dziwne, ale tylko wzruszyli ramionami. Na komiksach leżało kilka wydruków z Internetu. Belle najwyraźniej czegoś szukała. Nie mam pojęcia, o co chodziło, a jak już powiedziałam, policja się tym nie zainteresowała.

Clemmons ponownie zerknął na ciemną konsolę.

- No i co? - spytał.

- Jak to co?

- Jakie to były komiksy?

- Nigdy przedtem o nich nie słyszałam. Zostały wydane przez Marvel Comics pod tytułem Nick Fury, agent S.H.I.E.L.D. Na okładce kilku z nich, tuż przed tym imieniem i nazwiskiem, Belle napisała „doktor”, „dr” albo „lek. med.”. Może to coś powie słuchaczom.

- Cóż, mnie to nic nie mówi poza tym, że twoja siostrzyczka mogła być bardziej ekscentryczna, niż sądziłaś. Może prowadziła jakieś ukryte życie? A wy, drodzy słuchacze, co o tym sądzicie?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie na konsoli telefonicznej zamigotało światełko.

- Ktoś dzwoni - powiedziała Jillian, na moment zapominając o tym, że mikrofon jest włączony.

- Dzięki za pomoc - mruknął ironicznie Clemmons. - Hej, mamy kogoś na linii. Witam, jesteś w programie Ricka Clemmonsa. Co masz nam do powiedzenia?

- Tu Troy z Weddington - przedstawił się dzwoniący.

Jillian jęknęła w duchu.

- I co, Troy? Masz coś do powiedzenia na temat sprawy Belle Coates?

- Nie - odparł mężczyzna. - Jechałem tylko na zachód siedemdziesiątą czwartą i uznałem, że twój gość musi być niezłą laską, więc zadzwoniłem.

Clemmons spojrzał na Jillian takim wzrokiem, jakby równocześnie ją oceniał, przeproszał i ostrzegał.

- Hej, człowieku - powiedział. - To nie randka w ciemno. Zajmujemy się tutaj dziennikarstwem śledczym. Ale owszem, Troyu z Weddington, Jillian Coates naprawdę jest super. To wysoka, szczupła i śliczna dziewczyna, jednak nie jest tobą zainteresowana. I wiesz co? Ja też nie. - Clemmons rozłączył się i prychnął. - Słuchajcie, ludzie... Jeśli macie coś do powiedzenia, to powiedzcie. Macie informacje, zwłaszcza na temat bohatera komiksu, który nazywa się Nick Fury albo doktor Nick Fury, to nam je przekażcie. Ale jeśli jesteście takimi idiotami jak ten, który właśnie zadzwonił, nie zwracajcie nam głowy - oświadczył Clemmons.

Jillian cieszyła się, że nie ma broni. Zgoda na wystąpienie w tym programie była oczywistym błędem. Lepiej spędziłaby ten czas, jeszcze raz przeglądając rzeczy Belle i szukając jakiejś wskazówki, co mogło się wydarzyć tamtej okropnej nocy.

- Jak już mówiłam - odezwała się w końcu - każdy, kto znał moją siostrę, wiedziałby, że nigdy nie odebrałaby sobie życia.

- A wynajęłaś prywatnego detektywa? Wiesz, kogoś, kto zna się na policyjnej robocie i mógłby spojrzeć na tę sprawę świeżymi oczyma.

- Jestem pielęgniarką. Detektyw, do którego zadzwoniłam, zażądał zaliczki, która

pochłonęłaby wszystkie moje oszczędności. Po śmierci siostry wzięłam urlop i znalezienie jej zabójcy jest teraz celem mojego życia. Mam nadzieję, że ktoś coś wie i zdobędzie się na odwagę, by mi pomóc.

Clemmons połączył się z kolejnym rozmówcą.

- Słuchamy, jesteś w programie Ricka Clemmonsa.

- Hej, laluniu, może przyjdiesz do mnie, a ja ci pomogę z tą detektywistyczną pracą?

Clemmons rozłączył się i machnął ręką by dawano reklamy.

- Przepraszam. Uważam, że to prawda, ale może nie powinienem był mówić, że jesteś śliczną dziewczyną. Ralph! - zawołał do producenta, wysokiego, chudego faceta o głowie jak strusie jajo. - Do diabła, czemu przepuszczasz takie telefony?

- Nie za bardzo mamy z czego wybierać, Rick - odparł tamten. - Poza tym wiesz równie dobrze jak ja, że to właśnie dla takich telefonów ludzie cię słuchają. Wchodzisz za trzy, dwa, jedną... teraz!

- Co się stało z szacunkiem dla innych, ludzie? - warknął Clemmons, zwracając się ponownie do swoich słuchaczy. - Dawniej dzwoniący mieli jakieś poczucie przyzwoitości. No dalej, nocne marki, co sądzicie o dzienniku i teorii Jillian, czyli dzisiejszym temacie? Może byście to jakoś skomentowali? Co powiecie o komiksach, które znalazła Jill? Czy was nie dziwi, że Belle Coates zbierała komiksy o Nicku Furym?

Jillian popatrzyła na ściany studia ozdobione zdjęciami Ricka Clemmonsa ściskającego dłoń różnych sławnych osób. Może źle go oceniła, może to miejsce wcale nie było szczytem jego marzeń? Wspomniał, że zwolniono go ze znacznie większej stacji w Atlancie, nie powiedział jednak dlaczego. Ale choć siedział teraz w przerdzewiałej przyczepie kempingowej, miała wrażenie, że naprawdę się zaangażował.

- Przepraszam cię za dzisiejszych dzwoniących, Jillian - powiedział przy włączonym mikrofonie. - Słuchajcie, w programie Ricka Clemmonsa chodzi o prawdę. Pogoda jest wciąż taka sama jak dziesięć minut temu, gdy wam o niej mówiłem. Trzynaście stopni i ciemno.

Dał znak Jillian, że powinna się odezwać.

- Sądzę, że człowiek, który zabił Belle, musiał ją znać - powiedziała Jillian. - Nie było żadnych śladów włamania ani walki.

- Młoda pielęgniarka interesująca się komiksami umiera w podejrzanych okolicznościach. Jej mieszkanie jest zamknięte od środka. Teorie, ludzie, teorie!

Na konsoli znów zaświeciło światełko, a na małym ekraniku pojawiła się również wiadomość od Ralpha z imieniem dzwoniącego.

- Witam, Joe z Monroe - powiedział Clemmons. - Ładny rym. Jesteś w programie

Ricka Clemmonsa. Masz dla nas jakieś informacje?

Dzwoniący się roześmiał.

- Dla tej laluni? Nie, nada. Zwariowałeś chyba, Clemmons, biorąc ją do programu.

- Daj spokój, człowieku. Jak się naprawdę nazywasz?

- Naprawdę nazywam się „nie potrzebujesz mojego nazwiska” i jestem policjantem z wydziału zabójstw w Charlotte. I tak, mam dla ciebie informacje. Jestem jednym z tych, którzy badali tę sprawę, i powiem ci tylko tyle: tej laluni odbiło. Co próbujecie nam powiedzieć? Że nie potrafimy wykonywać swojej pracy?

- Nie, wcale nie. Chcę tylko, żeby ktoś mnie wysłuchał i zastanowił się nad przedstawionymi przeze mnie faktami - odparła Jillian zduszonym z frustracji głosem. - Moja siostra nigdy by...

- Fakty są takie, że pani siostra sama się zabiła. I bez tego mamy dość kłopotów z narkomanami, zabójstwami i kradzieżami samochodów, a jeszcze do tego pani kwestionuje nasze umiejętności. Zbadaliśmy śmierć Belle Coates. Zbadaliśmy ją naprawdę dokładnie. Te wydruki z Internetu miały już kilka lat. Lat! Pani siostra dokonała wyboru. Połknęła tabletki. Umarła. Sprawa jest zamknięta. Proszę nas nie oskarżać. Niech pani oskarża ją.

- Ja... ja...

Rozmówca odłożył słuchawkę. Usłyszeli buczek telefonu.

ROZDZIAŁ 9

Wychodzącą z mrocznego wnętrza przyczepy kempingowej Jillian zaskoczyło poranne słońce. Podczas programu całkowicie straciła rachubę czasu. Zatrzymała się na zachwaszczonym parkingu i mrugała, aż jej oczy przyzwyczaiły się do blasku. Spojrzała na zegarek i westchnęła.

Mogłam zdobyć tylko cztery godziny w radiu i cię zawiodłam.

Próbowała siebie przekonać, że Joe z Monroe był tylko kolejnym głupim narwańcem, ale niezależnie od tego, czy rzeczywiście był policjantem, czy nie, jego słowa głęboko ją zraniły.

„Pani siostra dokonała wyboru. Połknęła tabletki. Umarła. Sprawa jest zamknięta. Proszę nas nie oskarżać. Niech pani oskarża ją”.

W studiu z trudem pohamowała chęć rugania dzwoniących słowami, które zawstydziłyby nawet Howarda Sterna. Nie chciała ryzykować, że zdenerwuje Clemmonsa i zmusi go do skrócenia audycji.

Gdy przyjechała poranna zmiana, Jillian była w ponurym nastroju i wciąż nie mogła dojść do siebie. Jednak mimo tego wszystkiego, co się wydarzyło w przyczepie, poczynając od lubieżnych spojrzeń Clemmonsa i na kretyńskich telefonach kończąc, ruszyła do producenta programu z prośbą o więcej czasu. Odmówił.

Podeszła do wynajętego samochodu, ale zanim zdążyła otworzyć drzwi, usłyszała za sobą czyjeś kroki. Odwróciła się i zobaczyła Ricka Clemmonsa, który spieszył w jej stronę, trzymając w ręku słomkowy kapelusz.

- Świetnie sobie poradziłaś - powiedział. - Może byśmy wpadli do WaffleTown na jajka i jakieś śniadanie, porozmawiali o programie i w ogóle?

A potem mrugnął, jak gdyby musiał dodatkowo wyjaśnić podtekst swojej oferty.

Pokręciła głową z obrzydzeniem.

- Clemmons, naprawdę mnie zdumiewasz, wiesz? - odparła. - Czy nie potrafisz zrozumieć, przez co przesłama? Nie ułatwiasz mi życia. Moja siostra nie żyje, a ty byłeś moją największą nadzieją dotarcia do jej zabójcy.

- Może się jednak okazać, że mój program ci pomoże - stwierdził Clemmons, który najwyraźniej wcale nie poczuł się dotknięty jej ostrymi słowami.

- W porządku. Przepraszam, że na ciebie naskoczyłam. Twój program nie był dokładnie tym, o czym myślałam, gdy prosiłam o pozwolenie na wypowiedź, ale przynajmniej dałeś mi szansę i jestem ci za to wdzięczna. Jednak winna ci jestem tylko podziękowanie, nic więcej.

Clemmons zarumienił się lekko i miał właśnie coś powiedzieć, gdy drzwi przyczepy otworzyły się i pojawiła się w nich blada twarz producenta.

- Mam tu telefon dotyczący programu, Rick. Facet mówi, że jego komórka zdechła, zanim się tu dodzwonił. Chce rozmawiać z naszym gościem, ale nie powiedział mi o czym.

Jillian jęknęła. Była przekonana, że to kolejny wulgarny albo obraźliwy telefon, jednak wróciła do wnętrza przyczepy. Dla Belle.

- Halo? Tu Jillian - powiedziała, nieco zdyszana po wspinaczce na wysokie stopnie pojazdu.

- Hej, Jillian. Nazywam się Roach, Kyle Roach. Mieszkam pod Oakbridge.

- Tak, Kyle? Czy masz dla mnie jakieś informacje?

Spięła się, bo była pewna, że zaraz usłyszy wulgarną odpowiedź.

- Nieprzyjemne były dziś te telefony, prawda? To faceci z samego dna. - Jego głos brzmiał tak samo jak głosy wcześniejszych rozmówców i Jillian zamierzała podziękować mu i odłożyć słuchawkę, gdy dodał: - Ale ja nie jestem taki, zapewniam cię. Mam żonę i dwoje

dzieci. Słucham Ricka Clemmons, bo pracuję na nocnej zmianie u Daimlera, a ci dzwoniący idioci pozwalają mi przewyciężyć senność.

- Tak, rozumiem - odparła Jillian.

- Zadzwoiłbym wcześniej, podczas programu, ale bateria w komórce mi się wyczerpała.

- Wiem, producent mi mówił. Więc o co chodzi?

- Może byśmy się spotkali i porozmawiali.

Jillian miała dość.

- Żegnam, panie Roach.

- Zaczekaj. Przecież powiedziałem, że mówię poważnie.

Jillian chciała przerwać połączenie, zawahała się jednak.

- No dobrze, słucham - ustąpiła. - Ale jedno wulgarne słowo i odkładam słuchawkę.

- W porządku. Myślę, że powinniśmy się spotkać, bo wiem, kim jest doktor Nick Fury.

- Co takiego?!

- Służyłem z nim w Afganistanie.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy Jillian weszła do Calderwood Diner, Kyle Roach siedział tam, gdzie obiecał - przy stoliku najbardziej oddalonym od drzwi. Zauważył ją, gdy tylko pojawiła się w drzwiach przydrożnego baru, urządzonego w rustykalnym stylu, i wstał z miejsca na jej powitanie. Miał na sobie nieco sfatygowaną bej sbolówkę i spłowiałe oliwkowe ubranie robocze, które bynajmniej nie maskowało jego wielkiego obwodu w pasie. Wbrew obawom Jillian w niczym nie przypominał nocnych marków Clemmons, a jego sposób bycia i wygląd natychmiast ją uspokoiły.

Mimo wyczerpania większą część poprzedniego dnia i wieczoru Jillian spędziła, leżąc bezsennie w pokoju hotelowym i zastanawiając się, co mogło łączyć Belle i doktora Nicka Fury'ego. W końcu poprosiła, by obudzono ją o piątej, i z trudem zasnęła. Nawet przez sen rozważała, co za potwór mógł zrobić coś takiego jej siostrze - i w jaki sposób to zrobił. Po krótkim prysznicu zajrzała jeszcze do mieszkania Belle, a potem wyruszyła na umówione miejsce.

Gdy podeszła, Roach wyciągnął do niej rękę. Jego stwardniała dłoń była dłonią robotnika, a pełne melancholii niebieskozielone oczy - oczami żołnierza.

- Jillian Coates? - spytał, przeciągając słowa.

- Tak, to ja.

- Kyle Roach. Miło cię poznać. - Podprowadził ją do stolika i skinął na kelnerkę, by przyniosła dwie kawy. - Przede wszystkim pozwól mi powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu śmierci twojej siostry. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, przez co przechodzisz. Podczas wojny straciłem kilku dobrych kumpli i jednego przyjaciela, ale lata trochę złagodziły ból. Tylko na to mogłem liczyć. Ty także, podejrzewam.

Jillian podziękowała mu za zrozumienie i szczerość. Od przyjaciół i współpracowników słyszała tylko zdawkowe „Wiem, co czujesz”, więc jego słowa wydały się jej autentyczne i odświeżające.

Uznała, że decyzja, by raz jeszcze zajrzeć do mieszkania Belle, nie była zbyt mądra. Oglądanie z ulicy ciemnych okien i tak było smutne, a ostatni spacer przez puste pokoje, teraz już pokryte warstewką kurzu, sprawił, że z płaczem upadła na podłogę. Nie poczuła ulgi, na którą liczyła, wyszła więc na ulicę, rozpaczliwie pragnąc uzyskać jakieś odpowiedzi.

- Dziękuję, że poświęciłeś czas na spotkanie ze mną, Kyle - powiedziała.

- To nic takiego. I tak wpadam tu rano, gdy wychodzę z fabryki. Nie mogłem się umówić wczoraj, bo miałem dwie zmiany. Przykro mi, że z tego powodu musiałaś zostać w Charlotte jeszcze jeden dzień.

- To żaden kłopot, naprawdę. Jak pewnie dowiedziałeś się z programu, rozpaczliwie potrzebuję informacji. Czy mogę ci postawić śniadanie?

- To miło z twojej strony.

- Nie krępuj się.

- Powinnaś zobaczyć, ile jem, zanim coś takiego powiesz.

Zamówił trzy jajka sadzone, kielbasę, bekon, dwa sucharki, sos mięsny i mamałygę. Jillian poprosiła o świeże owoce i jogurt. Miała nadzieję, że wreszcie się czegoś dowie - czegokolwiek związanego z Belle, nawet jeśli ten związek miałby być bardzo niepewny. Czterdzieści siedem różnych numerów tego samego komiksu w szafie Belle. Ani jednego egzemplarza innego tytułu. Na kilku napisane „doktor” w różny sposób. Najwyraźniej Belle nie była kolekcjonerką. Sklep z komiksami niedaleko mieszkania Jillian w Waszyngtonie wycenił cały zestaw na niewiele ponad sto dolarów.

- Może powinniśmy porozmawiać, zanim przyniosą nam śniadanie? Chyba że mi obiecasz, iż nie zaśniesz po jego zjedzeniu.

- Do diabła. A ja zamierzałem poprosić o jeszcze jedną porcję mamałygi.

- Kyle, dobrze wiesz, dlaczego tu jestem. Bardzo bym chciała dowiedzieć się czegoś o

tym doktorze Nicku Fury.

- A czego dowiedziałaś się do tej pory? - spytał Roach.

- Właściwie niczego - przyznała Jillian. - Spędziłam kilka godzin w centrum biznesowym w hotelu, szukając w Google wszystkich możliwych kombinacji słów „Nick Fury”, „doktor Nick Fury”, „N. Fury” i tak dalej, ale wyskakiwały jedynie strony mówiące o postaci z komiksu.

- Cóż, chyba należało się tego spodziewać. Jak już mówiłem, znam tylko jednego doktora Nicka Fury’ego i wątpię, by trafił do sieci - powiedział Roach. - Widzisz, Nick Fury to postać z komiksu, ale doktor Nick Fury... do diabła, ten facet jest tak samo rzeczywisty jak te jądłospisy.

- Przekonałeś mnie, że powinniśmy się spotkać. Dlaczego? Czy doktor Fury jest jakimś kryminalistą albo kimś w tym rodzaju? Czy sądzisz, że zamordował moją siostrę?

Roach roześmiał się głośno.

- Droga pani, doktor Nick Fury to święty, a nie zabójca. Był jednym z najwspanialszych lekarzy i najtwardszych żołnierzy, jakich kiedykolwiek znałem.

Kelnerka przyniosła im jedzenie. Jillian przyglądała się Roachowi, który najpierw wypił trochę czarnej kawy i łyknął wody, zanim zabrał się do tego, co miał na talerzu. Jak na kogoś, kto był na wojnie, wydawał się bardzo spokojny - jeśli pominąć jego oczy. Pomyślała o swoim własnym życiu przed śmiercią Belle. Uporanie się ze śmiercią rodziców było dla obu siostr długą wspinaczką ale przez cały ten czas mogły się wzajemnie wspierać.

- Chciałabym dowiedzieć się o nim wszystkiego, co tylko możliwe - powiedziała.

Roach przestał jeść i spojrzał gdzieś poza nią. Widziała, jak przez jego twarz ciemną chmurą przemknęły wspomnienia lat spędzonych w Afganistanie.

- Wstąpiłem do wojska bardzo późno, dopiero gdy miałem dwadzieścia osiem lat - zaczął. - Lepiej niż z bronią radziłem sobie z kluczem francuskim. Mimo to wielokrotnie wysyłano mnie na patrole. Wcześniej zajmowałem się instalacjami sanitarnymi i klimatyzacją więc zostałem wojskowym mechanikiem. Jeździłem po świecie, naprawiając różne rzeczy.

- Lubieś to?

- Tak. To była dobra praca. Stała pensja. No i przy okazji zobaczyłem kawał świata. Miałem trzydzieści parę lat, gdy wezwano mnie do Afganistanu. Było to zaraz po jedenastym wrześniu, gdy zrobiło się tam naprawdę gorąco.

Próbował się roześmiać, ale tym razem mu się nie udało.

- I właśnie tam poznałeś doktora Nicka Fury’ego? W Afganistanie?

- Tak - odparł Roach. - Tylko że on nie nazywał się doktor Nick Fury, ale doktor Nick

Garrity. „Fury” było przezwiskiem, które nadał mu jeden z żołnierzy z powodu imienia, i jakoś do niego przylgnęło. Czuł się tam jak ryba w wodzie. Wciąż coś robił. Uczył żołnierzy piechoty morskiej podstawowych technik ratunkowych, a tam od tego często zależało życie. Pracował na ochotnika w miejscowej klinice oraz w szpitalu, biorąc więcej dyżurów, niż musiał. Rozsadzała go energia. Nie nosił klapki na oku jak Fury z komiksu, ale na pewno był tak samo twardy. Czy możesz mi podać ketchup?

Jillian pchnęła butelkę w jego stronę. Kiedy Roach sięgnął po nią lewą ręką, zauważyła długą poszarpaną bliznę biegnącą od czubka palca wskazującego, obejmującą podstawę kciuka i znikającą w rękawie.

- Co ci się stało? - spytała.

- Właśnie to stale przypomina mi doktora Nicka Fury’ego - powiedział Kyle między jednym kęsem a drugim. - Prasa narzędziowa zgniotła mi dłoń. Fury był wtedy na dyżurze. Naprawiał moją rękę przez wiele godzin. Mówiono mi później, że ją uratował. Kiedy przewieziono mnie do szpitala w Landstuhl, w Niemczech, by poprawić jego dzieło, lekarze stwierdzili, że nie trzeba nic poprawiać, i odesłali mnie z powrotem. Nie zmienili nawet antybiotyków, które mi przepisał. Wciąż trochę boli, gdy pracuję przez dwie zmiany albo kiedy jest burzowa pogoda, ale przypomina mi to, ile miałem szczęścia, że to on miał dyżur, gdy zdarzył się ten wypadek. Rozumiesz teraz, dlaczego chciałem się z tobą spotkać?

- Rozumiem. A gdzie on teraz jest? I dlaczego sądzisz, że moja siostra się nim interesowała?

Roach pokręcił głową.

- Tego nie wiem. Nie utrzymuję kontaktów ze starą bandą. Widzisz, w Wysuniętej Bazie Operacyjnej Savannah, gdzie stacjonowaliśmy, zdarzyło się coś złego... Naprawdę złego.

Jillian zauważyła, że ból w jego oczach jeszcze się pogłębił. Kiedy odłożył widelec, wyciągnęła rękę i przykryła dłonią jego dłoń.

- Możesz o tym mówić?

- Jeden z miejscowych okazał się terrorystą. Samobójcą. Facet udawał, że prowadzi ambulatorium dla ludności tuż za bramami bazy. Fury zawsze mu pomagał, zaopatrywał go w leki, w wolnym czasie leczył afgańskich pacjentów i tak dalej. Niezłe dostał podziękowanie.

- Co się stało? Czy ten terrorysta go zabił?

- W pewnym sensie.

- Nie rozumiem.

- Ten bydlak wjechał ciężarówką na teren bazy. Wartownicy go wpuścili, bo często u

nas bywał. Wtedy jednak skierował się wprost na namiot szpitalny. Wysadził siebie i swoją ciężarówkę w powietrze. Garrity tam był. Z tego, co słyszałem, skoczył na próg ciężarówki, próbował stłuc szybę i wyciągnąć faceta. Jakimś cudem przeżył. Podobno uratował go jeden z ludzi, z którymi pracował. Szpital został zrównany z ziemią. Większość pacjentów tego nie przeżyła. Zginęła też narzeczona Garrity'ego.

- O mój Boże... - szepnęła Jillian.

Nie była pewna, czy da radę kontynuować tę rozmowę. Upiła łyk wody i wbiła wzrok w ścianę za Roachem. Nagle poczuła się zupełnie wyczerpana. Pomyślała o Belle, ślicznej, pełnej życia. Ciekawa była, jak wyglądała narzeczona Nicka Garrity'ego.

- Dobrze się czujesz? - spytał Roach.

- Nie.

- Rozumiem.

- Tak, pewnie rozumiesz. Domyślasz się może, gdzie przebywa obecnie Garrity?

- Jak powiedziałem, nie utrzymuję kontaktów z dawnymi kumplami, ale chciałem ci coś dać. Pomyślałem, że może to pozwoli ci go odszukać. Leżało w szufladzie biurka, od kiedy mi to przysłał.

Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął z niej złożony wycinek z gazety. Był to artykuł z „The Washington Post” na temat Objazdowego Punktu Medycznego Fundacji „Pomocne Dłonie” i jej dyrektora, doktora Nicka Garrity'ego. Artykuł był podpisany, ale nie było na nim daty.

- Przysłał mi ten artykuł kilka lat temu - wyjaśnił. - Próbował zebrać pieniądze, by utrzymać ten ambulans w ruchu. To coś w rodzaju jeżdżącego ambulatorium, zapewniającego przyzwoitą opiekę lekarską ludziom, którym się nie powiodło. Cały Nick...

- Słyszałam o tym programie. Nawet kiedyś myślałam, żeby się do nich zgłosić jako wolontariuszka.

- Posłałem mu, ile mogłem. Stówę, jeśli dobrze pamiętam. Posłałbym więcej, gdyby czasy nie były takie ciężkie.

- Jestem pewna, że to docenił. Czy ten ambulans wciąż działa? Sądysz, że Garrity jest nadal w Waszyngtonie?

- To możliwe, ale od tamtej pory nie miałem z nim kontaktu.

- Ciekawa jestem, jaki może być związek między Garritym a Belle. Wyjechała z Waszyngtonu zaraz po ukończeniu studiów. Doskonale by pasowała do czegoś takiego jak „Pomocne Dłonie”, ale kiedy wyjeżdżała, nie miała jeszcze dyplomu.

W tym momencie zaczął dzwonić jej telefon komórkowy.

- Przepraszam - powiedziała, wyciągając telefon z torebki. Zmarszczyła brwi, bo nie rozpoznawała numeru. - Halo?

Połączenie było słabe, poza tym w restauracji panował gwar, więc prawie nie słyszała rozmówcy.

- Mówi Scott Emberg.

- Kto?

- Emberg, Scott Emberg. Jestem przewodniczącym naszego osiedla Oak Grove.

- Och tak, Scott, tak. Czy wszystko w porządku?

- Nie bardzo. Ubiegłej nocy mieliśmy pożar. Duży pożar.

- O Boże! - zawołała. - Czy nic się nikomu nie stało?

- Nie, dzięki Bogu wszyscy czują się dobrze. Dwa segmenty są trochę uszkodzone, ale ogień zaczął się u ciebie i spora część domu została zniszczona.

- Zniszczona?

- Tak, szczególnie parter. Inspektorzy straży pożarnej badają teraz to miejsce. Bardzo mi przykro, Jillian. Zadzwoiłbym wcześniej, jednak numer twojej komórki został źle zapisany i musiałem czekać, aż firma telefoniczna poda właściwy. Nie widziałem piętra, ale na parterze nic nie zostało. Absolutnie nic.

ROZDZIAŁ 11

Jillian ze ściśniętym sercem patrzyła na ruinę, w jaką zamienił się dom, w którym przez ostatnich sześć lat mieszkała. Pierwszy, jaki do niej należał od czasów, gdy wyprowadziła się od rodziców. Drzwi frontowe rozwalono siekierą, a wejście oznaczono żółtą plastikową taśmą.

Oparła się o osmalone cegły, żeby nie upaść. Ocena zniszczeń przedstawiona przez Scotta Emberga nie oddawała rzeczywistego stanu rzeczy. Ściany nie były osmalone sadzą, ale większość z nich, w każdym razie na parterze, po prostu znikła. Pozostały jedynie słupy nośne, które wyglądały teraz jak wypalone pnie.

W dużym pokoju góry czarnej sadzy i jakieś nierozpoznawalne kształty tworzyły księżycowy krajobraz. Jillian ścisnęło się gardło na widok dużego stosu popiołu na samym środku. Były to rzeczy Belle, zapakowane do kartonów i opisane, a teraz zamienione w pył.

- Tak mi przykro, kochanie - szepnęła, z trudem powstrzymując szloch. - Tak mi przykro.

Wszędzie czuła kwaśny smród palonego plastiku i winylu. Bolały ją płuca. Do gardła

podeszła żółć. Przez pięć minut klęczała w progu i płakała. W końcu wstała i ostrożnie weszła do środka.

Pudło z komiksami o Nicku Furrym również się spaliło. Żałowała, że nie zostawiła go w bezpieczniejszym miejscu. Rozejrzała się i roześmiała smutno. Bezpieczniejsze miejsce nie istniało - w każdym razie nie w jej świecie. Czy ogień zniszczył jeszcze coś, co mogłoby rzucić światło na sprawę śmierci Belle? Nie czuła potrzeby przesiewania spalonych resztek, by udowodnić coś, co w głębi serca już wiedziała - że nic nie zostało.

Za drzwiami prowadzącymi do pokoju o wielkich oknach, służącego za ogród zimowy i biuro - jedynej znaczącej dobudowy jej autorstwa - zauważyła wypalony ślad w kształcie litery V tuż nad listwą grzewczą przy podłodze. Emberg powiedział, że inspektor straży pożarnej wskazał to miejsce jako źródło pożaru. Zadzwoiła do Arlington i usłyszała potwierdzenie tego wniosku. Według szefa osiedla śledczym wystarczyło kilka godzin, by stwierdzić, że pożar był wypadkiem. Zapaliły się ubrania pozostawione w plastikowej torbie opartej o elektryczną listwę grzewczą. Od nich zajęły się stojące obok inne torby, a potem kosz na śmieci i jego zawartość. Emberg wyjaśnił, że wskazywały na to wypalenia w kształcie litery V i brak śladów świadczących o tym, że pożar zaczął się w innym miejscu.

Jillian była niemal pewna, że żadnej torby z rzeczami siostry nie postawiła w pobliżu listwy grzewczej i wyłączyła ogrzewanie przed wyjazdem na lotnisko - ale czy rzeczywiście? Od śmierci Belle nie myślała jasno, a ponieważ spieszyła się wtedy na lot do Charlotte, mogły jej umknąć jakieś szczegóły. Pogoda była ostatnio wyjątkowo chłodna, a ogród zimowy, choć bardzo piękny, jeszcze jakby podkreślał spadek temperatury. Może gdyby było cieplej, nie doszłoby do pożaru.

Zastanawiając się, czy zniszczenia na górze są takie same jak wokół niej, Jillian uniosła głowę. Panele podwieszanego sufitu stopiły się doszczętnie, odsłaniając poczerniałe przewody i legary. Jednak widoczne od dołu deski, choć osmalone i pokryte sadzą, jakimś cudem wydawały się nienaruszone. Może piętro zachowało się w lepszym stanie, niż wynikało ze słów Emberga?

Kiedy się zastanawiała, czy uda jej się bezpiecznie wejść po resztkach schodów, usłyszała kroki schodzącego z góry człowieka.

- Kto tam? - zapytała.

- Hej - odpowiedział z góry wesóły męski głos. - Wydawało mi się, że słyszę, jak ktoś wchodzi.

Schody prowadzące na wyższe piętro skręcały w prawo, więc Jillian nie mogła zobaczyć schodzącego, póki nie znalazł się na samym dole. Miał na sobie pobrudzony sadzą

kombinezon z żółtą i srebrną taśmą odblaskową wokół ramion i kostek oraz żółty kask i ciężkie, znoszone buty robocze. Podchodząc do niej, zdjął kask, ukazując gęstą siwą czuprynę.

- Nie uprzedzono mnie, że ktoś ma tu być - powiedziała.

- Mnie też nie - odparł mężczyzna. - Mam nadzieję, że pani nie przestraszyłem.

Obszedł stos jakichś zwęglonych resztek, ściągnął rękawicę i wyciągnął do niej rękę.

- Nazywam się Regis, Paul Regis. Jestem ekspertem pożarowym z towarzystwa ubezpieczeniowego Atrium.

Ujęła jego dłoń, gładką i zadbaną. Miał mocny uścisk.

- Jillian Coates - przedstawiła się. - Mieszkam... mieszkałam tutaj.

Regis się rozejrzył.

- Bardzo mi przykro, pani Coates. Naprawdę. To okropne, co tu się stało.

Jillian podobało się, że to powiedział.

- To dla mnie gorsze, niż pan sobie wyobraża - odparła. - Ale Scott Emberg, kierownik naszego osiedla, dał mi do zrozumienia, że mój dom już został sprawdzony przez specjalistów.

- O Boże, przepraszam - powiedział Regis, patrząc na nią orzechowymi oczyma. - Jestem bardzo ufnym człowiekiem i pewnie dlatego zawsze zapominam pokazać identyfikator. Powinienem nosić go tak, żeby było widać, ale nigdy nie lubiłem wieszać sobie niczego na szyi.

Sięgnął, do kieszeni kombinezonu na piersiach i wyciągnął stamtąd zawieszony na metalowym łańcuszku identyfikator. Podał go Jillian, która rzuciła na niego okiem i stwierdziła, że fotografia nie oddaje sprawiedliwości Paulowi Regisowi.

- Atrium nie jest moją firmą ubezpieczeniową - powiedziała.

- Zlecono mi przeprowadzenie niezależnego śledztwa - wyjaśnił Regis. - Pani być może nie jest klientką Atrium, ale osiedle tak.

- Dlaczego zarząd osiedla miałby przysyłać tutaj eksperta? Powiedziano mi, że już ustalono przyczynę.

- Pewnie chodzi o tamto wypalone miejsce nad listwą grzewczą. Wygląda na to, że mają rację. Specjaliści od podpałek najczęściej pracują szybko, ale dokładnie. Atrium zatrudnia kilku doświadczonych inspektorów. Przede wszystkim chodzi o sprawdzenie, czy właściciele domów lub firm nie wynajęli jakiegoś zawodowca, by oszukać firmę ubezpieczeniową. Od czasu do czasu znajdujemy coś wskazującego na podpalenie i w ten sposób zarabiamy na swoje utrzymanie.

- Rozumiem - odparła Jillian, czując nagle wielką pustkę. Była zadowolona z obecności Paula Regisa. - Nie zdawałam sobie sprawy, że firmy ubezpieczeniowe zatrudniają własnych ekspertów pożarowych.

- Wszystkie to robią. Wolą dwa razy sprawdzić każdy przypadek, zanim zapłacą.

Uśmiechnął się, jednak Jillian nawet nie próbowała odpowiedzieć mu tym samym. Nie miała w mieście żadnych krewnych, ale mogła liczyć na przyjaciół - na pewno przyjmą ją pod swój dach. Wielu z nich już jej bardzo pomogło, organizując pogrzeb, przynosząc jedzenie i spędzając z nią czas. Przykro jej było, że znów będzie musiała korzystać z ich uprzejmości. Aż trudno uwierzyć, że przed tym okropnym telefonem z policji w Charlotte była osobą szczęśliwą i spełnioną.

Regis wydawał jej się miłym i szczerze współczującym człowiekiem. Może mogliby się razem napić kawy, zanim się zdecyduje, do kogo zadzwonić?

- Jest pani nieco błąda - powiedział. - Nie chciałyby pani usiąść?

- Wszystko w porządku. Ale... na trawniku przed domem jest ławka. Jeśli ma pan czas, może na chwilę tam usiądziemy.

Ujął ją za łokieć i przeprowadził przez rozwalone drzwi. Zmierzch prawie przeszedł już w chłodną, wietrzną noc.

Jillian pomyślała, że dziś jeszcze zatrzyma się w hotelu, a wszystkimi innymi sprawami zajmie się rano.

- Bardzo mi przykro z powodu pani mieszkania - powtórzył Regis.

- Dzięki. To tylko rzeczy, wiem, ale to były moje rzeczy. Moje i mojej siostry.

- Nie wiedziałem, że ktoś jeszcze tu mieszkał.

- Tylko ja. Moja siostra zmarła trzy tygodnie temu.

- Och, to straszne.

- Mieszkała w Karolinie Północnej. Postanowiłam przejrzeć wszystkie jej rzeczy, zanim zdecyduję, co z nimi zrobić. A teraz ich nie ma.

- W mojej pracy człowiek się uczy, że przedmioty dają się zastąpić, ale ludzie nie - powiedział Regis.

- Cieszę się, że nikt nie został ranny ani nie stało się nic gorszego, tylko po prostu... - Oczy Jillian wypełniły się łzami. Przez chwilę usiłowała się opanować. - Te rzeczy to wszystko, co pozwoliłoby mi ją pamiętać. Nasi rodzice zginęli kilka lat temu w wypadku samochodowym.

- To dziwny zbieg okoliczności, aleja też straciłem siostrę.

- Bardzo mi przykro, Paul.

- Nie mówię tego po to, żebyś mi współczuła czy coś w tym rodzaju - powiedział. - Po prostu chciałem, żebyś wiedziała, że dobrze rozumiem, jakie to musi być dla ciebie trudne. Śmierć siostry prześladowuje mnie przez całe życie. Co więcej, to właśnie ze względu na nią zostałem ekspertem pożarowym.

- Czy zginęła w pożarze?

- Tak - odparł Regis, wpatrując się w domy po drugiej stronie ścieżki. - Byłem w college'u, kiedy to się wydarzyło.

Miała tylko szesnaście lat i mieszkała jeszcze z rodzicami. Chodziło o podpalenie... Gdy spała, zazdrosny chłopak wrzucił jej do pokoju bombę benzynową przez okno. Nie miała szans. Od tamtej pory walczę z pożarami albo je badam. Wcześniej pracowałem dla różnych jednostek straży pożarnej, a teraz, od dziesięciu lat, działam jako niezależny specjalista.

- To okropna historia.

- Mogę przynajmniej powiedzieć, że Susannah nie zginęła na próżno. Pomogłem policji złapać kilku podpalaczy. Jestem dobry w tym, co robię. Wielokrotnie znajdowałem dowody podpalenia, które przegapili miejscy lub stanowi specjaliści.

Jillian zobaczyła, że jego oczy wypełnia smutek.

- To dobrze, Paul. Jestem pewna, że to, co robisz, sprawia, iż codziennie jest ci lżej.

- Masz rację.

- Moją siostrę również zamordowano. Zmuszono ją do napisania listu pożegnalnego, a potem do połknięcia tabletek nasennych. Nie spocznę, póki nie złapię tego, kto to zrobił. Nie chcę, by śmierć Belle poszła na marne.

- Mam nadzieję, że ci się uda.

- Dziękuję - odparła, po czym odwróciła się i z wdzięcznością go uściskała. Odwzajemnił uścisk, ale opuścił ręce, gdy tylko się od niego odsunęła. Miał mocne, szerokie ramiona i mimo przepelniającego ją uczucia pustki, a może właśnie z tego powodu, Jillian poczuła lekki dreszcz.

- Cóż - mruknął po chwili. - Właściwie skończyłem już oględziny...

Zawiesił głos, jakby zamierzał jeszcze coś dorzucić.

Nie chciała, żeby odchodził, i ledwo się powstrzymała, by go nie poprosić, aby został.

*

- Dziękuję, że poświęciłeś czas na wyjaśnienie mi tych spraw - powiedziała.

- Cieszę się, że cię poznałem.

Ich oczy się spotkały i Jillian na chwilę przytrzymała jego wzrok.

- Dziękuję ępowtórzyła. - Poczulaam się znacznie lepiej.

- Robi się ciemno. Na twoim miejscu nie siedziałbym tu zbyt długo.

- Dobrze. Jutro zobaczę, jak wygląda góra.

- Tylko bądź ostrożna. Podłoga wygląda na nienaruszoną jednak mogą być słabsze miejsca. Pomógłbym ci, ale muszę jechać na inspekcję do Filadelfii.

- Bardzo się... cieszę, że cię poznałam - powiedziała Jillian. - Masz w sobie wiele empatii.

- Jak zwykle zostawiłem swoje wizytówki w domu, ale jeśli chcesz, chętnie dam ci mój numer telefonu.

Ma naprawdę niezwykle oczy, pomyślała.

- Tak, poproszę. - Na kartce, którą jej podał, zanotowała jego numer telefonu, a potem oddała z niej kawałek, napisała na nim swoje imię oraz numer komórki i podała mu. - Na pewno się do ciebie odezwę. - Miała ochotę go pocałować, ale w końcu zdołała oderwać od niego wzrok. - Dziękuję za wszystko, Paul.

- Nie ma za co - powiedział z pełnym zrozumienia uśmiechem.

Kiedy mężczyzna podający się za Paula Regisa minął dziesięć przecznic, zatrzymał wynajęty pickup przy krawężniku. Sięgnął do kieszeni kombinezону i pogładził gładką stal dwóch małych pojemników z gazem, które usunął ze skrytki w szafie sypialni Jillian Coates na piętrze. Obok nich w jego kieszeni spoczywały kamery szpiegowskie i mikrofony najnowszego typu, które również usunął z jej domu.

Jerycho, jak nazywała się organizacja, która go wynajęła, naruszyło podstawowy warunek ich porozumienia: żadnego wtrącania się.

Co za głupota.

Zasada numer jeden - zasada naczelna: Franz Koller pracuje sam.

Na całe szczęście pierwsze piętro się nie zawaliło. Inaczej pojemniki z gazem i sprzęt szpiegowski znalazłyby się w materiałach dowodowych i ktoś powiązałby ze sobą sprawy obu siostr Coates. Dobrze, że jak zawsze bardzo starannie ukrył pojemniki z gazem, kamery i mikrofony.

Ściągnął siwą perukę hollywoodzkiej jakości i usunął szkła kontaktowe.

- Zazdrosny chłopak... - mruknął pod nosem i wybuchnął śmiechem.

Pojemniki z gazem paralizującym i sprzęt szpiegowski ukryte były w bezpiecznym miejscu nad framugą drzwi szafy od środka oraz w zasłonach. Odkrycie ich przez Jillian Coates czy kogokolwiek innego, zanim miał szansę wrócić i je usunąć, byłoby zupełnie nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności. Ale człowiek, który podejmował decyzje w Jerychu, musiał pójść i niemal całkowicie spalić dom. Takie idiotyczne postępowanie sporo

ich będzie kosztowało. Wszystko mogło pójść na marne. Gdyby nie był taki zajęty, gdyby w ogóle przyszło mu do głowy, że Jerycho może spanikować i złamać umowę, poszedłby do domu Jillian Coates natychmiast po śmierci Belle, by usunąć wszystko, co tam umieścił.

Na szczęście Paul Regis, specjalista od pożarów pracujący dla firmy ubezpieczeniowej, zadziałał bardzo szybko. Teraz musi zająć się idiotami, którzy omal nie zepsuli całej sprawy. Koller od samego początku podejrzewał, że Jerycho jest w jakiś sposób powiązane z CIA, ale jak długo na jego konto wpływały pieniądze, było mu to obojętne. Teraz jednak przestało mu być wszystko jedno, a Jerycho - bez względu na to, czy podlega agencji, czy komuś innemu - ten błąd będzie drogo kosztować.

Przeskoczył do Sympathy for the Devil na słuchanej właśnie płycie Rolling Stonesów i jeszcze przez chwilę oddychał głęboko, delektując się swoim sukcesem. Kto wie, może czeka go nawet mała barabara z Jillian Coates? Była bardzo przystojna, a nawet więcej niż przystojna. Oczywiście jeśli na skutek błędu Jerycha nadal nie będzie wierzyć w samobójstwo siostry, może za jakiś czas zarobić na własną inscenizację.

W zamyśleniu ponownie pogładził pojemniki z gazem.

- Dobra robota - powiedział.

ROZDZIAŁ 12

- Rozumiem, że pan upadł?

Ciemnooka lekarka na ostrym dyżurze, która, jak Nick podejrzewał, musiała całkiem niedawno ukończyć studia, wpatrywała się w ranę na jego podbródku przez grube, powiększające okulary. Przyjrzawszy się jej ze wszystkich możliwych stron, w dalszym ciągu nie wydawała się gotowa do szycia. Zachowywała się, jakby jego ciało było blokiem dziewiczego marmuru, który przy jednym fałszywym ruchu groził rozpadnięciem się na kawałki.

- No już, niech pani to zaszyje, doktor Baker - powiedział w końcu Nick. - Nie ma się czym przejmować. Jeśli nawet zostanie blizna, tylko doda mi uroku.

Lekarka zaśmiała się niepewnie.

- Ten, kto założył panu te chirurgiczne plasterki, wykonał świetną robotę - stwierdziła.

- To nasza pielęgniarka. Jest jedną z tych niesamowitych osób, które są dobre we wszystkim, co robią.

- Myślę, że wystarczy je po prostu zostawić.

- Wiem, ale nalegała. A w tym też jest bardzo dobra.

Lekarka pokręciła głową.

- Ponieważ oboje jesteśmy lekarzami, proszę po prostu mówić do mnie Amanda powiedziała. - I przepraszam za moje zdenerwowanie. Muszę popracować trochę na ostrych dyżurach, żeby w przyszłym roku zostać rezydentką na psychiatrii. Nie rozumiem, dlaczego tak się upierają żebyśmy zaliczali medycynę ratunkową chyba że w ten sposób wypełniają braki kadrowe i mogą brać pieniądze za to, co robimy. Zakładanie szwów chirurgowi traumatologowi to trochę tak, jakbym piekła ciasto dla Marthy Stewart.

- Proszę mi wybaczyć, doktor Amando, ale nie tryska pani pewnością siebie. Od jak dawna pracuje pani na izbie przyjęć?

- Dwa tygodnie.

- Więc jest pani gotowa. Proszę po prostu pomyśleć o mnie jak o poduszce i zaszyć.

Humor, lekka rozmowa? Kim jest ten człowiek i co się stało z Nickiem Garritym?

Znał odpowiedź na to pytanie. Po czterech latach w murze frustracji i niejasności otaczającym zniknięcie Umberta pojawiła się szczelina. Żołnierz o historii podobnej do historii Umberta zniknął, a potem znów się pojawił. Nick nie miał pojęcia, gdzie szukać kaprała piechoty morskiej Manny'ego Ferrisa, ale jeśli ten człowiek żyje, to choćby czekały go nie wiadomo jakie przeszkody, na pewno go znajdzie.

„Powołano mnie znów do piechoty morskiej, żebym wziął udział w supertajnej misji”.

Słowa te rozbrzmiewały echem w jego mózgu, gdy doktor w

Amanda Baker znieczuliła mu brodę. Cztery lata. Cztery lata bez słowa. A teraz nagle pojawiła się nadzieja.

Jeszcze przed przystąpieniem do zakładania szwów młoda lekarka całkowicie skupiła się na pracy i mruczała coś pod nosem. Jej ręce, drżące lekko, gdy stosowała miejscowe znieczulenie, teraz poruszały się śmiało i zdecydowanie. Znikła niepewność, którą wcześniej u niej zauważył. Czuł, że będzie dobrym lekarzem niezależnie od wybranej specjalności. Kiedy sam był rezydentem, często protestował przeciwko ogromowi obciążającej stażystów odpowiedzialności. Teraz na tę myśl nałożyły się obrazy żołnierzy, z którymi służył w WBO Savannah. Połowa z nich była młodsza od Amandy. Ta myśl zgasła trochę jego dobry humor.

- Gotowe - oznajmiła doktor Baker. - Założyłam dwie warstwy szwów. Nie chcę się chwalić, ale wygląda to całkiem nieźle. Teraz kilka chirurgicznych plasterków, żeby się nie ciągnęło, i nikt nie będzie wiedział, że pan się kiedykolwiek zranił.

- Mówiłem, że nie ma się czym przejmować.

- Pięć dni. Szwy do usunięcia za pięć dni.

- Za pięć dni - potwierdził Nick, nie potrafiąc przestać myśleć o Savannah. -

Posłuchaj, doktor Amando, jeden z naszych pacjentów, Michael Campbell, został tu przywieziony kilka godzin temu. Słyszałem, że umieszczono go na piątym piętrze budynku Grossbauma, ale nie wiem, w którym pokoju.

- Zaraz to sprawdzę - powiedziała.

Nick ruszył za nią do biurka, gdzie wybrała numer odpowiedniego piętra.

- Mówi doktor Amanda Baker z izby przyjęć. Macie tam pacjenta Michaela Campbella. Czy mogę wiedzieć, jaki jest numer jego pokoju? Pięćset dwa. Dziękuję.

- Spytaj, czy policja już się z nim widziała - szepnął Nick.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Co takiego?

- Spytaj, bardzo proszę.

- Czy policja już u niego była? Nie? W porządku. - Przykryła ręką mikrofon i szepnęła do Nicka: - Podobno jakiś policjant właśnie pojawił się na piętrze.

- Dzięki - odparł Nick. - Muszę iść. - Wychodząc już z izby przyjęć, odwrócił się i rzucił przez ramię: - Świetna robota, pani doktor.

Podążył za znakami wskazującymi drogę do budynku imienia Grossbauma. Piąte piętro było etapem przed oddziałem intensywnej opieki medycznej albo etapem po nim. Leżeli tu pacjenci, którzy mieli już być przeniesieni na piętra z normalną opieką, albo tacy, których nie przyjęto na OIOM z braku miejsc. Sala Campbella była ostatnia po prawej. W holu Nick nie zauważył żadnego policjanta, co prawdopodobnie oznaczało, że znajdował się już w pokoju. Zapukał cicho i wszedł.

Campbell leżał na plecach, z rękami i nogami przywiązany do łóżka. Po jego prawej stronie stała policjantka w mundurze. Nick ucieszył się, że narkoman nie wymagał intubacji, miał jednak na twarzy maskę tlenową. Chirurdzy w szpitalu najwyraźniej stwierdzili, że rana od noża nie spowodowała wewnętrznych obrażeń, które wymagałyby operacji.

Oczy Campbella były otwarte, ale szkliste. Na jego twarzy malował się strach.

- Kim pan jest? - spytała policjantka, mocno zbudowana brunetka.

Mosiężna plakietka podawała, iż nazywa się Sampson. Wyraz jej twarzy sugerował, że wolałaby być gdziekolwiek, byle nie tutaj.

- Doktor Nick Garrity z Objazdowego Punktu Medycznego Fundacji „Pomocne Dłonie” - przedstawił się Nick. - Mike jest jednym z naszych pacjentów.

- To pan zawiadomił o jego ranie od noża?

Nick zauważył, że Campbell zeszywniał.

- Nie - odparł. - To musiał być ktoś stąd, ze szpitala.

- Wie pan, że lekarze mają obowiązek zgłaszania wszystkich ran kłutych?

- Boże, a ja myślałam, że naszym pierwszym obowiązkiem jest ratowanie życia pacjenta.

Sampson spojrzała na niego wrogo. Był od niej o piętnaście centymetrów wyższy i co najmniej o kilkanaście kilo cięższy, podejrzewał jednak, że w walce mieliby równe szanse. Wcale nie był przekonany, czy policjantka przypadkiem nie ma ochoty spróbować.

- Czy można to coś usunąć? - spytała, wskazując maskę. - Muszę z nim porozmawiać.

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Mogę tylko powiedzieć, że jestem chirurgiem i gdybym uznał, iż komuś trzeba założyć maskę tlenową, nie chciałbym, aby ją zdejmowano.

- Ale to nie pan ją założył, prawda?

- Niech zgadnę... w akademii policyjnej robiła pani dyplom ze stosunków międzyludzkich?

- Wydaje mi się, że powinien pan wyjść, doktorze ważniaku.

- A ja myślę, że powinienem zostać z pacjentem.

Akurat w chwili gdy już się wydawało, że Sampson przeskoczy przez łóżko i rzuci się na Nicka, drzwi stanęły otworem i pojawił się w nich ogromny mężczyzna w tweedowej marynarce, pomiętej niebieskiej koszuli i krawacie w czerwone prążki. Żyły na jego grubym karku pulsowały, a twarz była czerwona z gniewu.

- Jestem detektyw porucznik Don Reese ze stołecznej komendy policji - oświadczył. - Które z was rozwala mi sprawę? - Sięgnął do kieszeni marynarki i pokazał swoją odznakę. - Kim pan jest? - warknął do Nicka.

- Jestem lekarzem. Nie z tego szpitala. Pracuję w...

- Wszystko mi jedno gdzie. Może sobie pan pracować nawet na statku „Lollipop”. Czy miał pan coś wspólnego z tym zamieszaniami?

- Właściwie nie. Ja tylko...

Reese, jeszcze bardziej wściekły, zignorował Nicka i odwrócił się do Sampson.

- Z jakiego dystryktu? Znam wszystkich komendantów i kapitanów policji w rejonie. Czy wiesz, co zrobiłaś?

Sampson pobladła.

- Hej, mówię do ciebie, a nie do tego tu doktora Eryka Rudego - warknął Reese, wskazując kciukiem Nicka. - Ty tu jesteś policjantką. Zadałem ci pytanie.

- Ja... Jestem z czterysta czwartego - wydukała.

- Czteryście czwartego? Komendant Trudy Sandoval? Nie będzie szczęśliwa z tego powodu. Ani trochę. Wiesz, co narobiłaś?

Sampson pokręciła głową.

- Panie poruczniku - powiedziała, odzyskując nieco panowanie nad sobą - ja tylko próbuję napisać raport i dokonać aresztowania...

- Jeśli spróbujesz to zrobić, nie masz czego szukać w policji.

- A to dlaczego?

- Bo facet, który tu leży z dziurą od noża w boku, to pracujący dla mnie tajniak, a ty właśnie zamierzasz wrzucić do kibla dwa lata nagrań i zbierania informacji.

- Kurwa... - jęknęła Sampson. - Więc co pan chce, żebym teraz zrobiła?

- Idź i zrób się na bóstwo, bo pojawisz się w wiadomościach o szóstej jako odpowiedzialna za wystawienie na szwank dużego śledztwa w sprawie narkotyków, albo po prostu wyjdź stąd, a ja spróbuję naprawić to, co być może spieprzyłaś.

Kobieta nie zastanawiała się długo.

- Dziękuję, że nie robi pan z tego wielkiego halo, poruczniku - mruknęła, zmierzając do drzwi.

- Potem mi podziękujesz, a teraz się wynoś - odparł Reese. - To dotyczy także ciebie, doktorze Doolittle.

Nick ruszył za Sampson korytarzem ku windom. Nie próbowała zatrzymać otwartych drzwi, więc zamknęły mu się przed nosem. Zaczekał, aż winda zacznie zjeżdżać w dół, a potem wrócił do pokoju 502, przed którym czekał Reese.

- Świetne przedstawienie, Don - powiedział, ściskając dłoń potężnego detektywa. - Naprawdę jestem pod wrażeniem. Chyba możemy już uznać nasze rachunki za wyrównane?

- Nie ma mowy. Jeszcze długo to potrwa i jeszcze wiele rzeczy dla ciebie będę musiał zrobić, zanim uznam, że jesteśmy kwita.

- A co z tym urządzeniem nawigacyjnym, które nam dałeś, kiedy tamte dzieciaki zabrały ambulans, żeby się przejechać?

- To się nie liczy. Nie co dzień kompletnie pijany policjant rozbija samochód na ambulansie. Uratowałeś moją odznakę, a być może również i moją emeryturę, pozwalając mi to odespać w pokoju zabiegowym w ambulansie i nie składając raportu o wypadku.

- Zrobiłem to, bo Junie poręczyła za ciebie, a ty zgodziłeś się zapłacić za uszkodzenia i dotrzymać towarzystwa dwóm naszym kumplom z AA.

- Minęły już trzy lata. Dostałem nawet medal... - Reese pokazał Nickowi kółko z kluczami i pozwolił mu wziąć do ręki ozdobną monetę z brązu. Potem poklepał go po

ramieniu i wprowadził do pokoju.

- Umożliwiłeś mi właśnie zrobienie tego samego dla kolejnego faceta - powiedział Nick. - No dobrze, więc jeszcze nie jesteśmy kwita. Ale jestem ci na wieki zobowiązany. Czy nie tak właśnie mówią Chińczycy? Nieważne. Doceniam jednak, że przybyłeś tu tak szybko. Campbell jest na zwolnieniu warunkowym, więc chodziło o to, by ta policjantka nie zdążyła się nim zająć. Obiecałem mu, że nie zawiadomię policji, ale zrobił to ktoś z tutejszego personelu. Kiedy tylko będzie w stanie mnie spokojnie wysłuchać, spróbuję zawrzeć z nim taki sam układ jak z tobą. Tylko być może będzie musiał zniknąć na parę tygodni... jeśli zdołamy to jakoś sfinansować. Rozumiesz, Mike?

Campbell kiwnął głową.

- Dobry z ciebie człowiek, doktorze - stwierdził Reese. - Naprawdę dobry.

- Cieszę się, że tak uważasz, Don, bo potrzebuję jeszcze jednej przysługi.

- Słucham.

- Ferris. Manny Ferris. Kapral piechoty morskiej. Zwolniony z powodu stanu zdrowia jakieś siedem lat temu. Mniej więcej trzydzieści pięć lat, metr osiemdziesiąt wzrostu, czarne włosy, brązowe oczy. Jakiś czas temu mieszkał w kartonowych wioskach i noclegowniach. Ostatni adres nieznan, ale zajmę się tym, jak tylko wrócę do domu.

Reese rzucił okiem na zegarek.

- Jutro mnie nie ma - powiedział. - Umówiłem się z kuzynem na ryby i już nie mogę się tego doczekać.

- Muszę go znaleźć na wczoraj - oświadczył Nick.

ROZDZIAŁ 13

Siedząc na brzegu łóżka, Franz Koller czekał na przyjście dziewczyn. Mrok motelowego pokoju rozjaśniała jedynie sina poświata ekranu komputera Dell. Podłączył się do Internetu i zalogował na eBayu, nie czuł się jednak jeszcze gotów do nawiązania kontaktu z Jerychem. Kiedyś przeczytał w „Wall Street Journal” artykuł o nieprzemyślanych, zbyt pospiesznie wysłanych emailach, zatytułowany „Gotów, strzał, cel”. Wiedział, że głupotą byłoby pisanie do pracodawcy, gdy wciąż czuł się nakręcony.

Dotknął palcami przegubu, by jeszcze raz sprawdzić tętno. Sześćdziesiąt na minutę - wciąż zdecydowanie za wysokie. Kiedy był rozluźniony i w pełni kontrolował swoje emocje, jego tętno nie przekraczało czterdziestu. Dziewczyny miały mu pomóc osiągnąć ten stan.

Cierpliwości, powiedział sobie. Cierpliwości.

Zaczeka, ile będzie trzeba, by gniew całkowicie minął, i dopiero wtedy napisze, co sądzi o bezsensownym spaleniu domu Jillian Coates. Gdy osiągnie stan, który nazywał stanem alfa, napisze wiadomość, zakoduje ją w pikselach dzisiejszej oferty na eBayu - kiczowatego, ręcznie malowanego dziadka do orzechów - i umieści obrazek na swoim koncie aukcyjnym.

Steganografia, czyli sztuka pisania ukrytych wiadomości. Udokumentowane przykłady stosowania steganografii sięgają czasów starożytnej Grecji, gdy zakodowane informacje umieszczano na tabliczkach pokrytych woskiem. Koller usłyszał

0 tym po raz pierwszy w college'u, ale w późniejszych latach doprowadził tę sztukę do takiej doskonałości, że mógłby zarabiać miliony na samym sprzedawaniu licencji, gdyby nie wolał wykorzystywać stworzonego przez siebie software'u do planowania i przeprowadzania swoich inscenizacji oraz otrzymywania za nie rekompensaty. Najnowsza wersja opracowanej przez Kollera techniki steganografii dorównywała najbardziej zaawansowanej technice szyfrowania dodatkowo nasączona sterydami.

Wciąż nie mógł pogodzić się z myślą, że Jerycho spaliło dom Jillian Coates, nie uzgadniając tego z nim wcześniej. Gdy zwróciło się do niego po raz pierwszy, jasno postawił sprawę: bez jego zezwolenia klient nie ma prawa kontaktować się z kimkolwiek związanym z zadaniem, śledzić tej osoby, dotykać czy nawet oddychać w jej pobliżu - a takie zezwolenie nigdy nie miało zostać wydane.

Siostra obiektu w oczywisty sposób była „osobą związaną z zadaniem”. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej czuł się nakręcony. Gdzież te dziewczyny?

Ubrany tylko w biały frotowy szlafrok, podniósł się z łóżka. Na szorstkim motelowym dywanie zrobił dwieście pompek

1 nawet się przy tym nie zasapał. Potem medytował przez piętnaście minut i ponownie sprawdził puls. Pięćdziesiąt. Lepiej, ale jeszcze nie wystarczy. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz do tego stopnia stracił panowanie nad sobą.

Stał nago na głowie w jednej z niezliczonych pozycji jogi, które potrafił wykonać tak, że zadowoliliby każdego jogina, gdy usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Z kocim wdziękiem stanął na nogach i przemierzył pokój, nie zadając sobie trudu, by się ubrać. Zerknął przez wizjer, aby się upewnić, że to zamówione dziewczyny. Wysoką o granatowoczarnej skórze, znał jako Sandy. Zatrudniał ją już wcześniej, a teraz obiecał jej potrójną stawkę. Towarzysząca jej niewysoka blondynka była nowicjuską i nie miała jeszcze dwudziestki. Uznał, że doskonale się nada.

- Dobry wieczór, drogie panie - powiedział, zapraszając je gestem do środka i

zapalając nocną lampkę.

Chłodne wieczorne powietrze omyło mu skórę, pobudzając zmysły. Zauważył, że blondynka rzuciła okiem na jego penis. Zamknął drzwi i przekręcił oba zaniki.

- Podoba ci się to, co widzisz? - spytał blondynkę.

Dziewczyna kiwnęła głową i uśmiechnęła się z udawaną nieśmiałością.

- Nie umiesz mówić, suko? - warknął.

- Doskonale potrafi mówić - wtrąciła się Sandy.

Koller przeciął pokój i pocałował ją w usta, jednocześnie ściągając w dół jej dłoń, by pomogła mu się podnieść.

- Czy ja cię o coś pytałem? - wycedził, łapiąc ją za włosy. - Co, pytałem?

- Nie, kochanie - odparła Sandy. - O nic mnie nie pytałeś.

- Właśnie, nie pytałem - powiedział Koller, puszczając

J ją. - No dobrze, posłuchajcie, moje panie. Zasady są proste. Ja płacę, wy robicie. Tak jak w grze Simon mówi. Robicie to, co mówi Simon, i będziemy się dobrze bawić. Ale jeśli coś pójdzie nie tak, zabawa może nie być taka przyjemna. Tak czy inaczej, obiecuję, że zapamiętacie ten wieczór. Dobrze mówię, Sandy?

- Simon nigdy nie zrobił mi specjalnej krzywdy, Darlene. A jesteśmy przyjaciółmi już od dłuższego czasu. Poza tym na pewno dobrze cię wynagrodzi.

Zrzuciła z siebie prochowiec, pod którym miała tylko czarny stanik i majteczki. Na prośbę Kollera włożyła buty na niezwykle wysokich szpilkach. Zabójca z uznaniem przyglądał się jej długim, smukłym nogom, płaskiemu brzuchowi i błyszczącej czarnej skórze.

Darlene, stojąc przed zaciągniętymi zasłonami, ciasno owijała się płaszczem. Sandy podeszła do niej.

- Darlene, słonko, nie ma się czego bać - szepnęła.

- On mnie przeraża - jęknęła cicho blondynka, ale nie dość cicho, by zabójca jej nie usłyszał.

Złapał ją za ramię tak mocno, że krzyknęła z bólu, i rzucił na łóżko jak poduszkę. Płaszcz dziewczyny rozsunął się, ukazując - zgodnie z życzeniem Kollera - jedynie pas z podwiązkami i siatkowe pończochy. Zabójca pomyślał, że pewnie za parę lat jej piersi będą potrzebować implantów, ale w tej chwili były doskonałe. Pora sprawdzić, do czego się dziewczyna nadaje.

Czuł, że jego podniecenie rośnie. Usiadł na łóżku obok Darlene i zaczął głaskać miękkie jasne włosy łonowe dziewczyny.

- Sandy, kochanie - powiedział - zjrzyj do szafy i przynieś mi stamtąd czarną płócienną torbę. Nie otwieraj jej tylko, bo w środku mam niespodzianki dla was.

Nie spuszczał wzroku z Darlene. Widać było, że dziewczyna się boi. Poczuł, że jego tętno spowalnia.

Sandy wróciła z czarną płócienną torbą i wspięła się na łóżko za Kollerem. Położyła mu dłonie na ramionach i zaczęła go masować, przesuwając długimi szczupłymi palcami po jego torsie i drażniąc sutki. Darlene patrzyła na nich, nie mogąc opanować drżenia, jakby dopiero co wyciągnięto ją z rzeki.

- Co z tobą, mała? - syknęła Sandy. - Zdejmij pończochy i bierzmy się do roboty.

- Jeszcze chwilę, kochanie - powiedział Koller. - Podaj mi torbę.

Wziął od niej torbę, wstał, zaniósł ją na niewielkie biurko i stojąc tyłem do łóżka, wyciągnął z torby cztery kawałki taśmy z rzepami. Odwrócił się i pokazał je kobietom. Darlene szeroko otworzyła oczy, ale Sandy tylko zachichotała. Koller podszedł do łóżka, teraz już z pełną erekcją. Wpatrywał się w Darlene jak wilk. Dziewczyna zaczęła ciężko oddychać. Zatrzymał się na pięć sekund i sprawdził swoje tętno.

Pięćdziesiąt. Może czterdzieści siedem.

- Usiądź na niej okrakiem - rozkazał Sandy.

Sięgnął pod łóżko i wyciągnął kawał nylonowej linki, którą wcześniej przywiązał do ramy.

- Sandy... nic nie... mówiłaś... o wiązaniu - wyjąkała Darlene.

- Traktuj ją dobrze, kochanie - zagruchała Sandy do Kollera. - Pamiętaj, że jest w tym dość nowa.

Trzymając Darlene za gardło, Koller owinał nadgarstek nastolatki taśmą i przyczepił do linki. Zaraz potem zrobił to samo z drugim nadgarstkiem i obiema kostkami. Dziewczyna nie mogła się teraz uwolnić bez pomocy. Ruchem głowy Koller kazał Sandy odejść i głaskał blondynkę po piersiach, aż stwardniały jej sutki. Przerazenie, jakie widział w jej oczach, było cudownie czyste, niemal namacalne.

Czterdzieści pięć.

- Jeśli krzykniesz, umrzesz - szepnął dziewczynie. - Nie śmiesz się ruszyć.

Rozumiesz?

- Sandy, pomóż mi...

Koller uniósł palec, zabraniając czarnej dziewczynie odpowiadać.

- Pytałem, czy rozumiesz.

- Tak, tak, rozumiem.

Mistrz inscenizacji sięgnął pod łóżko po piąty kawałek linki i obwiązał nią szyję nastolatki. Potem ponownie otworzył czarną torbę i wyciągnął z niej nóż myśliwski o ostrzu długości dwudziestu trzech centymetrów, duże obcęgi i trzy butelki z brązowego szkła, które podniósł do światła, sprawdzając, czy są pełne.

W końcu wstał i ruszył do laptopa. Penis mu nabrzmał, a jego samego ogarnął spokój.

W wiszącym nad biurkiem metrowej szerokości lustrze widział odbicie Darlene. Obserwował, jak próbuje się uwolnić. Jej szloch i ciężki oddech brzmiały w jego uszach jak symfonia. Ponownie sprawdził swoje tętno.

Równo czterdzieści.

Stan alfa.

Młoda kurwa spełniła swoje zadanie.

Teraz mógł pisać.

Gestem kazał Sandy uklęknąć między swoimi nogami i cicho mruknął z zadowolenia, gdy objęła jego penis ustami. Ani na chwilę nie odrywał oczu od lustra i odbicia przerażonej, zalanej łzami twarzy Darlene.

Otworzył przechowywany w komputerze plik graficzny i przepuścił obrazek przedstawiający drewnianego dziadka do orzechów przez program szyfrujący. Jego software, nazwany Demaratussem od imienia króla Sparty, znanego z nowatorskiego wykorzystywania steganografii, został dostosowany do jego wyśrubowanych wymogów przez najpotężniejsze mózgi zajmujące się kryptologią komputerową. Pojawiła się informacja, że może zapisać wiadomość. Nie czuł już potrzeby zrugania Jerycha za niedopuszczalne postępowanie. Był za bardzo zrelaksowany. Zamiast tego napisał:

Złamaliście zasady... błędy nie będą tolerowane... konsekwencje to nowy kontrakt... negocjacje nie wchodzi w grę.

Każde słowo było dokładnie przemyślane - beznamiętne, lecz ustępliwe. Jego żądanie zostanie spełnione. Jerycho świetnie wie, że nie ma wyboru. Dostosuje się albo będzie musiało znaleźć sobie kogoś innego. Ale jeśli chodzi o morderstwo, które wyglądało jak wypadek, naturalna śmierć lub samobójstwo - pierwszy był Franz Koller, a dopiero potem cała reszta.

Zapisał wiadomość i tam, gdzie przed sekundą widniały słowa, ukazało się zdjęcie dziadka do orzechów. Odszyfrowanie wiadomości wymagało bliźniaczego klucza - wersji Demaratusa, którą przystosowywano indywidualnie dla każdego klienta. Koller zgłosił ofertę sprzedaży dziadka do orzechów pod pseudonimem, którego używał na eBayu: ChemLuv56. Jerycho natychmiast otrzymało sygnał, że morderca czeka na odpowiedź.

Minęło pięć minut. Sandy przez cały czas starała się doprowadzić Kollera do orgazmu, a Darlene przestała się szarpać na swoim materacowym więzieniu. Na ekranie laptopa pojawił się dymek informujący o nadejściu wiadomości. GuvnerPoppins - kod przydzielony Jerychu - wystawił na eBayu nowy przedmiot. Koller otworzył stronę aukcji i na ekranie pojawił się młotek firmy Stanley z gwoździami, zawierający odpowiedź Jerycha.

Genialność tego systemu łączności polegała na tym, że każda aukcja była autentyczna. Ktoś w końcu kupi młotek i gwoździe i otrzyma przesyłkę z lipnej skrzynki pocztowej.

Proste.

Koller ściągnął zdjęcie i przepuścił je przez program odszyfrowujący. Wiadomość brzmiała: Zrozumiano. Teraz, jako ChemLuv56, zaproponował za młotek 1,50 dolara. Uśmiechnął się, wpisując ofertę. Właśnie podniósł opłatę za następną inscenizację o pół miliona dolarów. Niewątpliwie Jerycho nie popełni więcej błędu.

Odepchnął głowę Sandy, uwalniając się od jej ust.

- Nie chcesz, żebym skończyła, kochanie?

- Nie - odparł. - Mam coś do zrobienia.

Wziął wielki nóż myśliwski i podszedł do łóżka.

- Nie! - wycharczała Darlene. Linka ścisnęła jej gardło i uniemożliwiła strunom głosowym normalne funkcjonowanie. - Proszę, nie!

Sandy wykonała ruch, jakby zamierzała podejść, ale Koller powstrzymał ją, podnosząc nóż. A potem, z erekcją jeszcze większą niż wtedy, gdy Sandy robiła mu fellatio, usiadł okrakiem na blondynce i czterema precyzyjnymi cięciami uwolnił ją z więzów.

W końcu pocałował obie prostytutki w czoła i odsunął się od łóżka.

- Simon mówi: idźcie do domu - powiedział.

ROZDZIAŁ 14

Second Chance spał na kozetce w swojej ulubionej pozycji: na plecach, z czterema chudymi łapami wyciągniętymi w górę, ku sufitowi. Nick już się ogolił, wziął prysznic i ubrał, przygotowując się do nocnej wyprawy ambulansem, ale w myślach wciąż przeszukiwał ulice, dopytując się o Manny'ego Ferrisa.

Początkowo nadzieja na przełom w poszukiwaniach Umberta sprawiła, że poziom stresu opadł do dwójki: Nick był lekko zdenerwowany, ale niezauważalnie. Teraz jednak, na skutek frustracji, podniósł się do pięciu.

Ze ścian zniknęły plakaty, zastąpione przez mapy Waszyngtonu i Baltimore. W ciągu

dwóch dni poszukiwań Nick odwiedził wszystkie ponure miejsca - zaułki, noclegownie i wioski z kartonów - w których mógłby znaleźć Manny'ego Ferrisa. Na mapach umieścił różnokolorowe pinezki. Każda oznaczała ulicę, którą trzeba ponownie przeszukać. Markerem oznaczył kilometry chodników, które wcześniej przemierzył, zadając pytania wszystkim ekspedientkom, wszystkim włączającym się dzieciakom i bezdomnym. Nic. Albo Ferris był najbardziej zdeterminowanym samotnikiem na świecie, albo po swoim ostatnim spotkaniu z Mattem McBeanem ruszył dalej.

Ale dokąd?

Detektywowi Donowi Reese'owi też się nie udało, choć zrezygnował z wyprawy na ryby, by pomóc w poszukiwaniach.

- Manny'ego Ferrisa nie ma w Dystrykcie Kolumbii - oznajmił.

Wtedy właśnie nastrój Nicka zaczął się poruszać. Ku swojej rozpaczycy stwierdził, że Biuro do spraw Weteranów udostępnia ostatnie znane adresy weteranów tak samo niechętnie, jak wypłaca zasiłki. Nie mógł nawet uzyskać informacji, jaki jest obecny status byłego żołnierza piechoty morskiej.

Nick z szacunkiem odnosił się do polityki biura dotyczącej ochrony danych osobowych, bardzo rygorystycznej po kilku szeroko nagłośnionych kradzieżach laptopów z zastrzeżonymi informacjami. Mimo to utrudnianie weteranom odszukania towarzyszy z pola walki wydawało mu się nieracjonalne.

Z jakiegoś powodu nie potrafił pozbyć się uczucia, że Manny Ferris żyje. W kołonoatniku miał spis wszystkich telefonów do biur głównych lekarzy sądowych w najważniejszych miastach na Wschodnim Wybrzeżu, a także numery kostnic w Dystrykcie Kolumbii, Wirginii, Delaware i Marylandzie. Natrafił na dwa świadectwa zgonu mężczyzn o tym samym nazwisku i imieniu. Jeden był po osiemdziesiątce, a drugi miał dziewiętnaście lat i zginął w Iraku. Nick zapłacił nawet pięćdziesiąt dolarów wpisowego na stronie internetowej, którą podobno chętnie posługiwali się prywatni detektywi, a która umożliwia przeszukiwanie artykułów gazetowych i dokumentacji sądowej, w tym aresztowań i zmian nazwisk. Były to jednak zmarnowane pieniądze.

Sprawdził godzinę. Za trzydzieści minut razem z Junie ruszy w drogę. Wyjrzał na dwór, ale widok różowozłotego nieba nie poprawił mu nastroju. Czy takie zachody słońca kiedykolwiek będą budzić w nim inne uczucia niż pustkę? Przekleństwem zespołu stresu pourazowego było to, że wszystko przypominało o czymś, co utracił. Łóżko przypominało o spokojnym śnie. Słońce o narzeczonej. Mapy na ścianach o zaginionym przyjacielu. Czując ogarniającą go falę melancholii, Nick zaniknął oczy i zacisnął dłonie w pięści. Rozprostował

je jednak, słysząc otwieranie drzwi frontowych.

- Wejdz, otwarte! - zawołał, gdy Junie pokonała już połowę holu.

Chance wiedział, że nie ma co liczyć na zabawę, więc pozostał w tej samej pozycji.

Junie z uśmiechem weszła do pokoju, ale jej uśmiech zniknął, gdy zobaczyła twarz Nicka.

- Dobry Boże, mój drogi, wyglądasz koszmarnie.

- Dzięki. Przyjrzałem się sobie w lustrze i chyba masz rację.

Pielęgniarka przez chwilę wpatrywała się w przypięte do ścian mapy.

- Nieźle się nachodziłeś przez te dwa dni - zauważyła.

- Pewnie dlatego okropnie bolą mnie nogi. Junie, ja w ogóle nie brałem pod uwagę, że mógłbym nie znaleźć Manny'ego Ferrisa... Trochę mnie to przygnębia.

- Przykro mi, że widzę cię tak załamane. Podziwiam twój upór w poszukiwaniach Umberta, ale może pora dać temu spokój?

- Ten facet uratował mi życie. Mam wobec niego dług.

- Masz dług wobec siebie samego. Musisz żyć, jak potrafisz najlepiej.

- Może odnalezienie Umberta pozwoli mi to zrobić?

- Obawiam się, że ścigasz ducha, Nick.

- A jeśli nie jest duchem?

- Jeśli nie, znajdziemy go jak najszybciej.

- My?

Pokiwała głową i położyła Nickowi dłoń na ramieniu.

- Tamtej nocy, gdy dowiedziałeś się o Mannym Ferrisie... Od kiedy cię poznałam, nie widziałam cię chyba tak szczęśliwego. Nie mogę patrzeć, jak cierpisz. Jeśli odnalezienie Umberta ma ci zapewnić zdrowie i szczęście, chcę zrobić wszystko, co mogę, by ci pomóc.

- Dziękuję, Junie. Naprawdę wierzę, że istnieje jakiś związek między Mannym Ferrisem i Umbertem. Przeszukałem wszystkie zaułki, kostnice i organizacje weteranów stąd po Detroit, ale nie odpuszczę.

- Znam kogoś, kto może ci się przydać.

- Któż to taki?

- Reggie.

- Nasz Reggie? Mój futbolowy kumpel Reggie, któremu nie wolno jeździć ambulansem, jeśli nie odrobił lekcji?

- Ten sam. Jeśli ktokolwiek jest w stanie pomóc ci w poszukiwaniach Manny'ego Ferrisa, to właśnie on.

ROZDZIAŁ 15

Z każdym uderzeniem wiosła w kształcie łyżki Franz Koller czuł się o półtora miliona bogatszy. Jaka inna praca pozwala na takie zarobki za wykonywanie czegoś, co się tak kocha? Niezależnie od tego, skąd bierze się ten nowy przyływ zleceń, przyjmie je i nie będzie zadawać pytań.

Może kupi kolejny dom.

Prowadził kajak przez metrowej wysokości fale, wywołane stałym wiatrem od lądu. Dzięki osłonie woda nie dostawała się do środka, a dzięki częstemu pływowaniu w oceanicznym kajaku, który trzymał w swojej posiadłości koło Panama City na Florydzie, doskonale radził sobie ze sterowaniem nożnym. Wolałby, żeby tak mocno nie wiało, ale chciał wykorzystać mgłę, która osnuwała stalowe morze i zapewniała dodatkową osłonę.

Był szczęśliwy, że znów wyruszył na polowanie. Wykonywanie zleceń dawało mu znacznie większą satysfakcję niż prowadzenie lekcji. Posiadał wystawione na kilka nazwisk dokumenty, uprawniające go do uczenia w kilku stanach.

Dawniej ten zawód dostarczał mu nawet pewnej stymulacji, jednak gdyby nie fakt, że zapewniał skuteczny kamuflaż i elastyczne godziny pracy, nawet przez chwilę nie zajmowałby się kształceniem smarkaczy.

Jeśli tylko doktor Twarda Dupa, jak nazywał w myślach anestezjologa, którego życiu miał właśnie położyć kres, nie zmienił swojego planu dnia, to dokładnie za dziesięć minut spuści kajak na wodę na końcu Parker Avenue. Koller wyruszył pięciometrowym turystycznym kajakiem z punktu położonego trzy kilometry dalej na południe. Kupił tam kajak w ogromnym sklepie sportowym koło Newport i tego samego dnia wieczorem przespał się z ekspedientką, która mu go sprzedała. Życie było piękne.

Dodatkowe półtora kilometra wiosłowania było środkiem zapobiegawczym, ale Kollerowi to nie przeszkadzało. Doktor aż do końca powinien wierzyć, że jest na wodzie sam. Kiedy już ktoś znajdzie ciało, nie odkryje nic podejrzanego, o czym mógłby donieść policji - oczywiście zakładając, że w ogóle dojdzie do policyjnego dochodzenia. A jeśli nawet tak się stanie, śledztwo będzie bardzo pobieżne. Istotą inscenizacji były szczegóły i dokładne opracowanie harmonogramu.

Choć na wodzie panowały trudne warunki, Koller nawet się nie zadyszał, dopływając od wschodniej strony do latarni morskiej na Rafie Alexandra. To adrenalina, pomyślał. Złapał

szczebel zardzewiałej drabinki prowadzącej na szczyt trzydziestometrowej granitowej wieży i sprawdził czas. Mimo wzburzonej powierzchni udało mu się przypłynąć cztery minuty szybciej niż w najlepszej z trzech wcześniejszych prób.

Szczegóły.

Za dwadzieścia minut doktor Thomas Landrew zakończy swój poranny rejs do rafy.

- Półtora kilometra do śmierci, doktorze - powiedział Koller, sprawdzając GPS i rozkoszując się rzeźkim powietrzem. Było słone, choć nie tak bardzo jak przy końcu największego ujścia rzecznego w kraju.

Śledził lekarza przez kilka dni, zanim podjął decyzję, jak najlepiej go uśmiercić. Wcześniej każdego ranka, nawet jeśli padał deszcz, Landrew wyruszał z przystani przy Parker Avenue do latarni morskiej i wracał. Miał pięćdziesiąt siedem lat, ale był w doskonałej kondycji.

Jego plan dnia robił wrażenie. Codziennie wiosłował, potem dokładnie o tej samej godzinie wyruszał do pracy, a po powrocie do domu co wieczór odbywał spokojny spacer wokół swojej sporej posiadłości. Dobra inscenizacja wymagała wykorzystania słabości obiektu. Do śmierci Landrew przyczyni się jego obsesja na temat czasu.

Chłodne fale rozbijały się o skały u podstawy latarni morskiej. Wykorzystując krótką chwilę spokoju między jedną a drugą falą Koller sięgnął do szczelnej torby spoczywającej w kokpicie i sprawdził jej zawartość. Narzędzia, których będzie potrzebował - niewielki młotek i strzykawka - znajdowały się w nylonowych, szczelnie zamykanych torbach. Ta druga, chroniona dodatkowo przez sztywny plastikowy futerał, napełniona była czterystu miligramami sukcynylocholino używanej przez anestezjologów i ratowników medycznych. Koller zdjął osłonę igły i delikatnie postukał w strzykawkę. Na końcu igły pojawiła się maleńka kryształowa kropelka śmierci. Wyobraził sobie, jak zaczyna się paraliż mięśni Landrew, zwłaszcza grubych wiązek ramieniowych i mięśni torsu, które razem z przeponą umożliwiały oddychanie. Dawka, jaką wybrał, wystarczy, by sparaliżować wszystkie mięśnie. Unosząc się na falach, energicznie potarł dłonie - nie po to, żeby je rozgrzać, ale by dać wyraz przepełniającej go radości.

Przez szum wiatru i fal usłyszał muzykę klasyczną. Landrew, wiosłując, lubił słuchać Mozarta. Zawsze tylko Mozarta. Ukryty za latarnią morską Koller ocenił odległość. Zaczekał, aż anestezjolog uderzy wiosłem o granitowe głązy u stóp latarni, a potem prześlizgnął się przez mgłę jak zjawą.

- Hej tam! - zawołał.

Landrew obejrzał się i wyłączył muzykę.

- Nie wiedziałem, że ktoś tutaj jest - powiedział. - O tej porze to się raczej nie zdarza.

Skąd pan wyruszył?

Koller podpłynął do kajaka lekarza, trzymając strzykawkę w zgięciu kolana.

- Zacząłem na południe od Parker - odparł. - Przy płynąłem tu po raz pierwszy. A pan?

- Codziennie wypływam z przystanku przy Parker Avenue.

Sprawiał wrażenie zaciekawionego, ale nie podejrzliwego.

- Trudno wybrać lepszy ranek, prawda? - powiedział Koller.

Spod bejsbolówki lekarza wysunęły się siwe włosy, lekko zmoczone pyłem wodnym. Jego nobliwy wygląd i sprzęt - najlepszy na rynku - były, zdaniem zabójcy, charakterystyczne dla osobowości typu A.

- Jeśli ktoś lubi mgłę, niewątpliwie doceni dzisiejszą pogodę - mruknął Landrew, najwyraźniej trochę się już spiesząc.

- Ja niewątpliwie lubię - odparł Koller. - Czy mogę się na moment przytrzymać pana kajaka? Mój jest dość niepewny na takich falach i chcę lepiej zabezpieczyć torbę z suchymi rzeczami.

- Proszę bardzo.

Nadszedł czas. Zabójca ustawił swój kajak wzdłuż kajaka Landrew, który znajdował się po nawietrznej, bliżej latarni morskiej. Doktor pochylił się, by przytrzymać drugą łódź. Koller uwielbiał, gdy obiekt pomagał mu w morderstwie. Zgodnie z jego przewidywaniami, latarnia morska osłaniała oba kajaki przed wysokimi, niespokojnymi falami, dzięki czemu nie kołysały się zbyt mocno. Przypomniawszy sobie piosenkę Joy to the World zespołu Three Dog Night i zachichotał.

- Co pana tak rozbawiło? - spytał Landrew.

- Właśnie to - odparł Koller.

Przechylił swój kajak na prawą burtę, co dodało mu kilka centymetrów umożliwiających sięgnięcie do podstawy szyi lekarza. Wypatrzył miejsce tuż przy kręgosłupie; zamachnął się płynnym ruchem, wbił igłę głęboko w mięsień czworoboczny i nacisnął tłoczek. Potem odsunął się o metr i patrzył z nieukrywaną radością, jak na patrycjuszowskiej twarzy ofiary pojawia się zrozumienie. Wiedział, że pod kurtką marki Patagonia mięśnie Landrew zaczynają się już rozpadać na wiązki, a poszczególne włókna drżą i skręcają się jak spaghetti.

- Coś nie tak? - zapytał z uśmiechem. - Piękno oceanu odebrało panu mowę?

- Dlaczego? - spytał lekarz, próbując poruszyć wiosłem.

- Wszyscy zadajecie to samo pytanie - powiedział mistrz inscenizacji. - Ciekawe

czemu?

I roześmiał się głośno.

Ponieważ sukcylocholina już działała, Landrew nie mógł się ruszyć. Ale jego oczy były świadome, choć znieruchomiały z przerażenia.

- Hej, ryba ci język odgryzła? - spytał Koller i roześmiał się jeszcze głośniej.

Ciało Landrew, wciąż wyprostowane, zaczęło się lekko chwiać na boki, bo fale przepływające pod kajakiem przechylały go.

- Tak, to skutek działania pańskiej starej przyjaciółki, sukcylocholiny - powiedział zabójca. - Ile razy używał pan jej na sali operacyjnej? Setki? Nie, tysiące razy. Założę się, że pańskie serce przyspieszyło rozpaczliwie, próbując dostarczyć tlen do mózgu, ale nie sądzę, by pański mózg wygrał ten wyścig.

Oczy Landrew pozostały nieruchome. Koller podpłynął i chwycił burtę kajaka doktora.

- Jest pan światowej sławy anestezjologiem, doktorze - mówił dalej Koller - ale założę się, że znam działanie sukcylocholiny tak samo dobrze jak pan. Szybko metabolizujący się, depolaryzujący bloker neuromięśniowy. Zaczyna działać po niecałej minucie. Okres półrozpadu: mniej niż minuta. Produkt rozpadu: kwas bursztynowy. Nikt nie będzie go szukał, zwłaszcza u topielca. I choć nie może pan oddychać, woda i tak dostanie się do pana płuc, ponieważ przez jakąś godzinę będzie pan pod wodą. Ach, ale to jeszcze nie koniec...

Sięgnął do wodoszczelnej torby z narzędziami i wyciągnął młotek.

- Musiałem wymyślić, jak pan ma utonąć w kapoku - powiedział. - Chce pan zgadnąć? Odebrało panu mowę? Rozumiem. W porządku, powiem panu. Powiem to samo, co

0 policja powie wdowie po doktorze Landrew. Widzi pan, wydarzył się wypadek. Fala przewróciła pana kajak albo może zemdlął pan na skutek zaburzeń pracy serca... tak czy inaczej, wypadł pan z kajaka i próbował do niego wsiąść z powrotem, ale wtedy, do diabła, kajak się przekreślił, uniesiony przez falę, i krawędź nadburcia uderzyła pana w głowę. Stracił pan przytomność, a pana bezwładne ciało, dzięki kamizelce ratunkowej unoszące się twarzą w dół na wodzie, dotarło aż do skał.

Oczy lekarza wciąż były otwarte, ale Koller wiedział, że mężczyzna już nie żyje. Zdjął mu bejsbolówkę i uderzył go młotkiem w głowę. Ręką w rękawiczce wtarł nieco krwi z ranki w nadburcie kajaka ofiary, dodając do tego kilka włosów wyrwanych z głowy Landrew. Potem rozluźnił fartuch osłony i przekreślił kajak, a bezwładne ciało wpadło do wody.

- Nikt nie robi tego lepiej - zanucił cicho.

Kiedy prąd poniósł ciało i kajak ku gładom u podstawy latarni, zabójca kilkoma

silnymi pociągnięciami wiosła obrócił własny kajak na zachód i zniknął w porannej mgle.

- Dobra robota - powiedział do siebie.

ROZDZIAŁ 16

Była pora lunchu. Z budynku Biura do spraw Weteranów wypływała cała rzeka pracowników, wychodzących coś zjeść. Reggie Smith przyglądał im się zza wózka sprzedającego hot dogi po drugiej stronie Vermont Avenue. Po chwili bez pośpiechu podszedł do świateł ulicznych i przeciął jezdnię. Zanim wszedł do budynku, zczekał, aż wyjdzie z niego kolejna grupa osób. Junie i Nick czekali na niego w samochodzie przecnicę dalej.

Chłopak miał tylko czternaście lat i jego przybrana matka bardzo się o niego martwiła. Fizycznie jednak był doskonale rozwinięty i potrafił sobie radzić, co było rezultatem jego trudnego dzieciństwa i czasu spędzonego w poprawczaku. Zapewnił więc matkę, że jeśli nie zdarzy się nic nieprzewidzianego, wszystko będzie w porządku.

Junie i Nick nie byli tego tacy pewni.

Kiedy Reggie miał pięć lat i trafił do rodziny zastępczej, objawił się jego niezwykle talent komputerowy. Początkowo uważano go za świetnego i zdolnego, później jednak, w wieku lat siedmiu, zaczął ściągać gry i filmy, za które musieli płacić jego zastępczy rodzice. Przechwytywał też przeznaczone dla nich przesyłki i ukrywał je pod ubraniami w szufladzie. Gdy miał dziewięć lat, włamał się do komputera w szkole i zmienił stopnie. Kiedy skończył jedenaście lat i przeprowadził się do Junie i Sama, ponownie znalazł się w poprawczaku za kradzieże w sklepach i niewielkie, ale utrudniające życie przestępstwa komputerowe.

- Ten chłopak ma w sobie potencjał, który albo umożliwi mu zmienianie świata, albo zaprowadzi do więzienia - powiedział sędzia nowym rodzicom zastępczym.

Ponieważ jednak Wrightowie mocno trzymali ster jego życia, a Nick odgrywał rolę starszego brata, Reggie zaczął wychodzić na prostą. Kiedy Junie poprosiła, by włączył się w poszukiwania Manny'ego Ferrisa, po raz pierwszy odstąpiła od swoich zasad. Przez wszystkie lata funkcjonowania w roli matki zastępczej i opiekowania się Bóg jeden wie iloma dziećmi żadnego z nich nigdy nie wykorzystwała ani nie wystawiła na niebezpieczeństwo, jak to robiła w tym wypadku. Ale Nick wpadł w rozpacz, nie mogąc znaleźć Manny'ego Ferrisa, a Reggie Smith, którego IQ wynosiło ponad sto pięćdziesiąt, nie był zwykłym nastolatkiem.

Przy wejściu nie było żadnego wykrywacza metali. Po swojej wczorajszej wizycie w budynku Reggie wiedział, że ludzie wychodzący na lunch odwrócą uwagę jedyne go strażnika, dzięki czemu łatwiej będzie mu przejść. Ubrał się bardzo porządnie, w sztruksowe spodnie i

niebieską koszulę z kołnierzykiem, do której przypiął doskonałą replikę używanego w tym budynku identyfikatora dla gości.

Poprzedniego dnia, zamiast pójść na lekcję biologii, pojechał z Junie do Waszyngtonu i przez kilka godzin obserwował budynek, co jakiś czas podchodząc do granitowych schodów prowadzących do głównego wejścia. Udało mu się zrobić kilka dobrych zdjęć identyfikatorów dla gości aparatem fotograficznym w telefonie komórkowym. Potem przez pół nocy siedział przy komputerze, używając Photoshopu, jeszcze przed świtem wydrukował swoje dzieło i zalaminował je w pobliskim Kinko's. Nie sposób było odróżnić identyfikatora, który spreparował, od autentycznego, bo wprowadził nawet lekkie spłowienie koloru i rysy na laminacie.

Starając się nie przyspieszać kroku, wspiął się po szerokich schodach i przeszedł przez potężne szklane drzwi. W wyłożonym marmurem holu skierował się do biurka strażnika. Podchodząc, uniósł identyfikator i pomachał nim.

- Mój tata zapomniał teczek w biurze - powiedział, patrząc na siedzącego za biurkiem mężczyznę.

Jego największym przeciwnikiem była teraz ludzka podejrzliwość, więc pilnował się, by głos mu nie zdrzął. Włamanie się do komputera to coś znacznie więcej niż wpisanie właściwego kodu, ale rozumieli to tylko tacy jak on. Oczywiście udałoby mu się wejść do systemu z własnego komputera, jednak wykorzystanie komputera podłączonego już do systemu umożliwiałoby znacznie szybsze i wygodniejsze działanie. By nie dać się złapać, musiał wykazać się talentem aktorskim. Strażnik czytał „The Examiner”; w jednej ręce trzymał kanapkę z pieczoną wołowiną a w drugiej puszkę z dietetyczną colą. Przesunął tylko spojrzeniem po identyfikatorze Reggiego i machnął ręką by chłopak szedł dalej.

Reggie opuścił główną klatkę schodową na pierwszym piętrze i szybko zorientował się w rozkładzie pomieszczeń, który wcześniej przestudiował na dwóch różnych portalach. Wyglądało to dokładnie tak, jak się spodziewał. Miał nadzieję, że uda mu się znaleźć boks, który będzie odpowiadał jego celowi.

Tylko paru pracowników nie wyszło jeszcze na lunch.

Reggie minął kilka stanowisk pracy i zauważył boks, w którym do monitora komputera przyklejono z boku żółtą karteczkę. Zerknął do środka, czy nie ma tam jakiejś marynarki albo czegoś innego, co sugerowałoby, że zwykle zajmująca go osoba zaraz wróci, ale prawdopodobnie David Fulton, czyli pracownik, którego wizytówka widniała na zewnętrznej ścianie boksu, wyszedł na lunch.

Pora zaczynać.

Reggie usiadł przy biurku Fultona i lekko przesunął myszkę komputera, by ekran się uaktywnił. Wiedział, że komputer będzie chroniony i musi wpisać właściwą nazwę użytkownika oraz hasło. Aby aktywować pytanie o hasło, nacisnął równocześnie Control, Alt i Delete.

Gdy odkleił karteczkę z boku monitora, roześmiał się cicho. David Fulton napisał na niej słowo „hasło”, a pod spodem wyraźnym pismem: ABC123abc.

Protokoły bezpieczeństwa często wymagały zmiany haseł i czasem nawet zmuszały pracowników do zmieniania ich co tydzień lub dwa. Reggie wiedział, że to rzeczywiście zwiększa bezpieczeństwo, ale jednocześnie utrudnia życie użytkownikom systemu, zmuszonym do zapamiętywania coraz to nowych haseł. Zamiast więc prosić dział informatyki o pomoc, urzędnicy, z których większość miała do czynienia z materiałami nietajnymi, przy kolejnej zmianie haseł po prostu pisali je na karteczkach.

Wykorzystywanie karteczek bardzo ułatwiało życie hakerom, umożliwiając im wtargnięcie do zabezpieczonych systemów. Nawet jeśli taka karteczka nie znajdowała się na widoku, istniała szansa, że będzie pod klawiaturą, na boku pobliskiej szafki albo na dnie szuflady. Znalezienie hasła już przy pierwszym podejściu nie było wcale czymś niezwykłym, ale mimo to tętno Reggiego przyspieszyło. Odkąd wprowadził się do Junie i Sama, nieczęsto wykorzystywał swoje zdolności, a posługiwanie się nimi zawsze było podniecające.

Teraz nazwa użytkownika.

Wiedział, że jeśli system bezpieczeństwa jest typowy, ma trzy szanse wprowadzenia właściwej kombinacji nazwy użytkownika i hasła, a potem system się zamknie. Wtedy będzie musiał znaleźć inny boks. W polu „nazwa użytkownika” napisał: david.fulton. Była to konwencja przyjęta przez wiele działów informatycznych, umożliwiająca identyfikację pracowników. Następnie wpisał hasło ABC123abc. Bingo! Zajęło mu to niecałe pięć minut. Teraz już mógł wejść do wszystkich systemów i kartotek dostępnych dla Davida Fultona.

- Uwielbiam to - mruknął.

Sekundę później otworzył intranet Biura do spraw Weteranów i kliknął zakładkę poszukiwania informacji o weteranach. Tak jak polecił mu Nick, wpisał w pole szukania „Manuel Ferris” i uderzył Enter. Na ekranie natychmiast pojawiło się pięć takich samych imion i nazwisk oraz podstawowe informacje o noszących je osobach. Reggie ściągnął wszystkie pliki na przenośną pamięć, którą wcześniej podłączył do komputera Fultona. Był pewien, że niezależnie od tego, jakich informacji Nick potrzebuje, ma je teraz na pendrive albo w ogóle nie istnieją.

Wsunął przenośną pamięć ze ściągniętymi plikami do przedniej kieszeni spodni i

nagle znieruchomiał. Z korytarza dobiegła głośna rozmowa. Dwa głosy, może trzy, a potem wybuch śmiechu. Wydawało mu się, że ktoś wymówił imię Dave. Być może chodziło o Davida Ful tona wracającego z lunchu - a jeśli tak, to historyjka Reggiego o zapomnianej przez ojca teczce na nic się nie przyda.

Pora zniknąć.

Wyszedł z boksu, rzucając przelotne spojrzenie w prawo, i ruszył spokojnym krokiem, oddalając się od głównych schodów i dwóch mężczyzn w garniturach. Powoli. Powoli.

Udało mu się oprzeć chęci obejrzenia się.

- Hej! - usłyszał głos jednego z mężczyzn. - Czy ten facet był właśnie w moim boksie? Hej! Ty tam! Zatrzymaj się!

W swoim hakerskim życiu Reggie bywał wystarczająco często w niebezpiecznych sytuacjach, by wiedzieć, że czasami lepiej jest nic nie tłumaczyć i nie wyjaśniać, tylko po prostu dać nogę. Popędził korytarzem, który wydawał się nieskończenie długi, ku najbliższemu podświetlonemu znakowi wyjścia. Zamieszanie i okrzyki dwóch ścigających go mężczyzn sprawiły, że kilku pracowników wysunęło głowy przez drzwi albo nad ściankami boksów.

Zaryzykował szybki rzut oka w tył, by ocenić dzielącą go od pościgu odległość. Mężczyźni, którzy próbowali go gonić, mieli nadwagę i byli w garniturach, więc nie mogli się równać z nastolatkiem w luźnych sztruksowych spodniach i adidasach New Balance.

Kiedy odwracał się ponownie w stronę wyjścia, jakaś blondynka w zakiecie i szarej spódnicy, która najwyraźniej nic nie wiedziała o pościgu, wynurzyła się ze swojego boksu i stanęła mu na drodze. Skoczył w bok, by uniknąć zderzenia, ale i tak ją zahaczył. Obróciła się, upadła na kolano i krzyknęła głośno, a papiery, które niosła, pofrunęły w górę.

- Bardzo przepraszam... - wymamrotał Reggie. - Nic się pani nie stało?

Blondynka zaprzeczyła ruchem głowy, najwyraźniej zaskoczona i zderzeniem, i uprzejmością chłopaka. Ta chwila zwłoki wiele go jednak kosztowała. Szanse dobiegnięcia do wyjścia zmalały niemal do zera. Ale improwizacja to często najlepszy przyjaciel hakera, toteż nawet w najgorszych sytuacjach Reggie nie był skłonny do popadania w panikę.

Odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z obydwoma mężczyznami, od których dzieliło go teraz zaledwie parę boksów. Mógł liczyć tylko na zaskoczenie, więc - jak to często robił, grając na podwórku w piłkę z Nickiem - ruszył na nich.

Dzieliły ich teraz dwie pary drzwi. Reggie pędził z pełną prędkością. Mężczyźni unieśli ramiona, tak jak zrobiliby to Nick - albo żeby się osłonić, albo przygotowując się do złapania napastnika. Reggie zaczekał, aż wyciągnięte palce jednego z mężczyzn znajdą się

niemal na wysokości jego piersi, i wykonał swój ulubiony ruch - odbił w prawo, prześlizgując się obok Davida Fultona i jego kolegi. Tym razem jednak nie miał przed sobą otwartego trawnika, a jedynie pusty boks. Skoczył na biurko, obiema rękami złapał za szczyt ścianki działowej i przeskoczył przez nią na drugą stronę, do sąsiedniego boksu.

Żaden z mężczyzn nie miał zamiaru iść w jego ślady.

- Na pomoc! Zatrzymać go! - krzyczeli.

Tymczasem Reggie dopadł już głównej klatki schodowej, którą wcześniej wszedł na pierwsze piętro. Być może między nim a mężczyznami był wystarczający dystans, by zejść normalnie po schodach, ale chłopiec przeskoczył przez poręcz i wylądował na kamiennym podejściu pół piętra niżej. Krzyknął z bólu, bo skręcił przy okazji kostkę. Utykając, dotarł do głównego holu akurat w chwili, gdy dwaj mężczyźni wybiegli na klatkę schodową.

- Hej! Wolniej, dzieciaku! - warknął strażnik, gdy Reggie przebiegał koło jego biurka.

- Przepraszam pana! - odkrzyknął Reggie. - Bardzo mi przykro!

Najszybciej jak się dało, minął wielkie szklane drzwi i zbiegł po zewnętrznych schodach. Bolała go noga i ciężko oddychał, gdy dotarł do Junie i Nicka. Za sobą bardziej czuł, niż widział zbiegającego po schodach strażnika.

- Ruszajcie! Ścigają mnie! - wysapał, opadając na siedzenie samochodu.

- Coś sobie zrobiłeś? - spytał Nick, gdy Junie przyspieszyła i skręciła na najbliższym skrzyżowaniu.

Reggie poklepał tkwiący w kieszeni pendrive.

- Właściwie nie - powiedział.

ROZDZIAŁ 17

Koller trzymał się kilka kroków za Jillian Coates, jednak na tyle blisko, że czuł morelowy zapach jej perfum. Jego cień, długi i cienki w południowym słońcu, od czasu do czasu pokrywał się z jej cieniem. Podobało mu się, że może w ten sposób jej dotknąć. Chwilami szedł za nią w równej odległości, ale ona oczywiście nie miała o tym pojęcia. Miał na sobie inne ubranie, bardziej przypominające strój Roberta Greene'a niż eleganckiego, wykształconego Paula Regisa, więc był pewien, że nawet jeśli dziewczyna go zauważy, i tak nie rozpozna. W najgorszym wypadku pomyśli, że jest zwykłym natrętem, który zamierza ją zaczepić, a w głowie ma brudne myśli.

Ależ by się pomyliła.

Inscenizacja śmierci Landrew była mistrzowska. Doskonale przygotowana,

zaplanowana i przeprowadzona. Na koncju bankowym Kollera znalazła się już nagroda. Nie miał pojęcia, ile jeszcze zleceń Jerycho mu przygotuje, jednak dość długo tkwił w tym biznesie, by wyczuwać, kiedy klientowi kończą się finanse. Kieszenie Jerycha wydawały się bardzo głębokie, więc był przekonany, że czeka go jeszcze sporo pracy.

Stwierdził, że nie ma sensu wracać do posiadłości w Panama City, apartamentu w Taos czy do Kalifornii, gdzie znów mógł podjąć życie spokojnego nauczyciela chemii. Na pewno dostanie kolejne zadanie - i to niedługo. Tymczasem spędzał czas na poznawaniu Jillian Coates. Chciał się przekonać, czy nadal zamierza badać przyczynę pożaru, który zniszczył jej dom. Jego plan był prosty: im usilniej będzie szukać śladów przestępstwa, tym krócej będzie żyła. Nawet uczniowie liceum imienia Woodrowa Wilsona potrafiliby rozwiązać to równanie.

Jillian zeszła z zatłoczonego chodnika i skierowała się do wejścia Anne Marie Cosco Hall, według tabliczki, którą przeczytał Koller - akademika Szkoły Pielęgniarskiej. Może tu teraz mieszka. Wyobraził sobie chaos, jaki mógłby wywołać, gdyby pozwolono mu działać na piętrze pełnym studentek pielęgniarstwa. Podnieciły go te obrazy, straszniejsze niż którykolwiek krąg dantejskiego piekła.

Usiadł na ławce w pobliskim parku i zaczął czytać „The Washington Post”, czekając na ponowne pojawienie się obiektu. Jillian wynurzyła się z budynku po dwudziestu minutach i ruszyła ulicą. Podobał mu się sposób, w jaki się ubierała. Jej stroje nie rzucały się w oczy, nie były zanadto opięte, ale dobrze podkreślały sylwetkę. Piersi pod bawełnianą bluzką miały doskonały kształt - na jego oko nosiła rozmiar C - jednak najsilniej działała na niego jej pupa. Sposób, w jaki biodra Jillian kołysały się przy każdym kroku, naprawdę go inspirował. Zbliżył się jeszcze bardziej niż przedtem. Chciał znów poczuć jej oszałamiające morelowe perfumy. Postanowił, że zanim zabije dziewczynę, posiadzie ją - niezależnie od tego, czy będzie miała na to ochotę, czy nie. Uznał, że należy mu się premia za dobrze wykonaną pracę.

Uśmiechnął się na tę myśl.

Jillian skręciła w lewo w Dwudziestą Ulicę i minęła kilka przecznic, idąc na północ. W końcu zatrzymała się pod zieloną markizą Koller przeszedł obok niej, a kiedy się obejrzał, zobaczył, że wchodzi do Studia Parapsychnicznego Madame Jessiki.

- Rozmawiamy ze zmarłymi, co? - mruknął pod nosem.

Żałował, że nie udała się do prywatnego detektywa, tylko do jakiegoś medium, które pozbawi ją pieniędzy i będzie bawić się jej emocjami. Być może potrzebny jest jej ktoś, kto by ją pocieszył - ktoś w rodzaju Paula Regisa.

Czuł podniecenie po wędrówce za nią zwłaszcza że wciąż jeszcze czuł smak ostatniej

inscenizacji.

ROZDZIAŁ 18

Z pięciu kartotek z nazwiskiem Manuel Ferris, które Reggie Smith zdobył podczas wyprawy do budynku Biura do spraw Weteranów, tylko jedna wydawała się obiecująca: trzydziestopięciolatek mieszkający na H Street NW w Waszyngtonie. Nie było numeru mieszkania. Internet i mapy Nicka lokalizowały ten adres na niewielkim obszarze waszyngtońskiego Chinatown. Gdy jego taksówka zatrzymała się przy krawężniku, Nick spojrzał na budynek i ponownie sprawdził adres na wydruku Reggiego.

Nad markizą pozbawionego okien budynku z czarnej cegły widniał szyld Lucky Bill Pearl's, a pod spodem napis: „Służy wytwornym dżentelmenom Waszyngtonu od 1949 roku”. Pod obszytą frędzlami markizą było dyskretne wejście. Po obu stronach drzwi widniały za szkłem po trzy zdjęcia kobiet występujących w roli egzotycznych tancerek. Nikki, Sabra, Colette.

Nick po raz ostatni sprawdził adres, zanim zapłacił taksówkarzowi. Lucky Bill Pearl's nie wydawało mu się odpowiednią przystanią dla człowieka, który zakończył supertajną wojskową misję; chyba że ta misja odbywała się właśnie tutaj, ale wtedy Biuro do spraw Weteranów oczywiście nie umieszczałoby w bazie danych informacji identyfikujących tajnego agenta.

Budynek miał trzy piętra. Nietrudno było sobie wyobrazić, do czego służyły górne, jednak mogły się tam znajdować również mieszkania. Nick rozejrzał się, ale nie zobaczył więcej wejść. Może było jakieś z drugiej strony budynku.

Dał taksówkarzowi dwudziestoprocentowy napiwek i wszedł do środka. Trzymał w ręku niewielką kopertę zawierającą kilka zdjęć Umberta i jedną fotografię Manuela Ferrisa, powiększoną kopię wojskowego zdjęcia wygrzebanego przez Matta McBeana. Oryginał był nieostry i pognieciony, a powiększenie jedynie podkreśliło te braki; w dodatku Ferris miał na głowie czapkę, która utrudniała rozpoznanie jego twarzy. Widać było tylko, że to śniady mężczyzna o wąskiej twarzy i głęboko osadzonych oczach, mniej więcej wzrostu McBeana, czyli metr osiemdziesiąt.

Ostatni raz Nick był w klubie dla dżentelmenów wraz z grupą kolegów rezydentów z chirurgii. Lokal Billa Pearl'a zdecydowanie przewyższał klasą tamten. Za zakratowaną kasą biletową na drewnianym stołku siedział potężny łysy mięśniak. Nad kołnierzem koszuli widać było liczne tatuaże.

- Jak leci? - spytał go Nick.

Mężczyzna apatycznie kiwnął głową i coś wymruczał w odpowiedzi. Nick wyciągnął z portfela dwadzieścia dolarów, zastanawiając się jednocześnie, czy nie powinien być nieco przystanią dla człowieka, który zakończył supertajną wojskową misję; chyba że ta misja odbywała się właśnie tutaj, ale wtedy Biuro do spraw Weteranów oczywiście nie umieszczałoby w bazie danych informacji identyfikujących tajnego agenta.

Budynek miał trzy piętra. Nietrudno było sobie wyobrazić, do czego służyły górne, jednak mogły się tam znajdować również mieszkania. Nick rozejrzał się, ale nie zobaczył więcej wejść. Może było jakieś z drugiej strony budynku.

Dał taksówkarzowi dwudziestoprocentowy napiwek i wszedł do środka. Trzymał w ręku niewielką kopertę zawierającą kilka zdjęć Umberta i jedną fotografię Manuela Ferrisa, powiększoną kopię wojskowego zdjęcia wygrzebanego przez Matta McBeana. Oryginał był nieostry i pognieciony, a powiększenie jedynie podkreśliło te braki; w dodatku Ferris miał na głowie czapkę, która utrudniała rozpoznanie jego twarzy. Widać było tylko, że to śniady mężczyzna o wąskiej twarzy i głęboko osadzonych oczach, mniej więcej wzrostu McBeana, czyli metr osiemdziesiąt.

Ostatni raz Nick był w klubie dla dżentelmenów wraz z grupą kolegów rezydentów z chirurgii. Lokal Billa Pearla zdecydowanie przewyższał klasą tamten. Za zakratowaną kasą biletową na drewnianym stołku siedział potężny łysy mięśniak. Nad kołnierzem koszuli widać było liczne tatuaże.

- Jak leci? - spytał go Nick.

Mężczyzna apatycznie kiwnął głową i coś wymruczał w odpowiedzi. Nick wyciągnął z portfela dwadzieścia dolarów, zastanawiając się jednocześnie, czy nie powinien być nieco bardziej subtelny. Wykidajło wyciągnął potężną rękę i banknot natychmiast zniknął.

- Szukam Manny'ego Ferrisa - powiedział Nick. - Powiedziano mi, że tu pracuje.

- Czy przypadkiem nie pomylił pan klubów? - zdziwił się olbrzym. - Mamy tu tylko dziewczyny.

- Raczej nie. Chciałbym się dowiedzieć, czy pracuje tu albo mieszka Manny Ferris.

- Nie wiem - brzmiała ponura odpowiedź.

Nick uśmiechnął się w duchu. Jako chirurg traumatolog musiał podejmować błyskawiczne decyzje dotyczące życia i śmierci w szpitalu albo na polu bitwy, a brakowało mu słów podczas rozmowy z człowiekiem, który zarabiał na życie wyrzucaniem ludzi z baru.

Wnętrze klubu było ciemne i głośnie, ale jeszcze niezbyt zatłoczone i bez dymu. Nick czuł jednak, że gdzieś w budynku ktoś palił cygaro. To by było tyle, jeśli chodzi o miejskie

zarządzenia, pomyślał. Niech żyje król pieniędzy. Przy barze siedziało kilku mężczyzn, wpatrzonych w piersiastą tancerkę topless, która owijała swoje wygimnastykowane ciało wokół wypolerowanego mosiężnego słupa. Estrada oświetlona była w profesjonalny sposób, a światła zsynchronizowane z muzyką taneczną wydobywającą się z imponującego zestawu megafonów.

Przed podkowiastym barem ciągnącym się wzdłuż estrady stały pluszowe krzesła o wysokich oparciach, na których siedziało kilku mężczyzn wyglądających jak biznesmeni. Lucky Bill bynajmniej nie był tanim klubem. Cóż więc może tu robić wypalony były żołnierz?

Kiedy przechodził przez salę klubową na drugą stronę, poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Uśmiechała się do niego szczupła młoda kobieta w obcisłej czarnej sukni. Miała twarz elfa i wspaniałe czarne włosy opadające do połowy pleców.

- Wyglądasz na zagubionego, przystojniaku - powiedziała.

- Szukam kogoś - odparł Nick. - Czy znasz może Manny'ego Ferrisa? Taki otrzymałem adres. Czy na górze są mieszkania?

Dziewczyna cmoknęła.

- Hej! Zadajesz zbyt dużo pytań jak na pierwszą randkę. Może najpierw napijemy się szampana? Na imię mam Brandy, ale moim ulubionym napojem jest szampan.

Nick uznał, że szampan u Billa Pearl'a na pewno nie jest na jego kieszeń, nie mówiąc już o usługach Brandy. Nawet jeśli nie skorzysta z tego, co miała do zaoferowania, wątpił, by jego limit wypłat w bankomacie wystarczył.

Usiedli przy stoliku w rogu.

- Więc co mi powiesz o Mannym Ferrisie albo Manuelu Ferrisie? - zapytał Nick.

- Jesteś gliną?

- Nie. Jestem po prostu facetem, który szuka niejakiego Manny'ego Ferrisa. Znasz go?

- Płacą mi za rozmowę z klientami, panie policjancie - powiedziała.

- Już mówiłem, że nie jestem policjantem. Mam sto dolców, które mogę wymienić za informacje o Mannym Ferrisie. To dla mnie bardzo ważne.

- A co, jeśli nic nie wiem?

- Czterdzieści za spróbowanie.

- Wezmę te czterdzieści dolców z góry.

Nick podał jej dwie dwudziestki.

- Nazywa się Ferris - powiedział. - Manny albo Manuel Ferris. Biuro do spraw Weteranów podało mi ten adres jako jego miejsce zamieszkania.

- Klub? Być może właściciel ma mieszkanie na najwyższym piętrze. A dziewczyny korzystają z pierwszego piętra, nie wiem jednak, czy ktoś tam mieszka. Jak wygląda?

Nick podał jej zdjęcie od McBeana i dziewczyna przyjrzała mu się uważnie.

- Mógłby usiąść koło mnie, a pewnie bym go nie rozpoznała. Wzrost, wiek?

- Jakieś metr osiemdziesiąt. Trzydzieści parę lat. Kiedy robiono to zdjęcie, miał prawdopodobnie trzydziestkę.

- I to wszystko?

- Wszystko.

- Rany, mam nadzieję, że nie jesteś gliną, bo jeśli jesteś, to niezbyt dobrze ci idzie.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i ruszyła przez salę do kogoś, kto właśnie wszedł do klubu. Nowo przybyły przypominał rysunkowego magnata rynku nieruchomości z kart Szansa i Kasa Społeczna w grze Monopol.

Kiedy Nick wstał, podeszła do niego kolejna młoda atrakcyjna kobieta, tym razem ruda, ale on skierował się do męskiej toalety na tyłach sali. Najwyraźniej Biuro do spraw Weteranów miało niedokładne informacje. Nie byłby to pierwszy raz.

Toalety oznaczone na drzwiach postacią w płaszczu i ze szpadą wyposażone były w umywalki osadzone w pomarańczowym marmurze, artykuły toaletowe, grzebienie zanurzone w niebieskim płynnym środku dezynfekującym i miseczki z miętówkami. Nick nie widział, czy ktoś korzysta z toalety, miał jednak wrażenie, że oprócz niego znajduje się tu tylko człowiek z obsługi w poplamionej białej koszuli z przekrzywioną muszką i spłowiałej czerwonej kamizelce. Gdy umył ręce, mężczyzna podał mu czysty ręcznik.

Nick wstrzymał oddech, kiedy zobaczył jego zdeformowaną twarz. Dwie grube fałdy skóry rozdzielało kilka krzyżujących się blizn. Wyglądało to tak, jakby ktoś rozpoczął wieloetapową operację plastyczną ale jej nie skończył.

- Życzę miłego dnia - mruknął mężczyzna.

Nick włożył do jego miseczki pięciodolarowy banknot.

- Dziękuję. Pan... - Urwał w połowie zdania. Przecież ten człowiek to Manny Ferris. Był tego niemal pewien. - Manny? Pan jest Mannym Ferrisem, prawda?

Mężczyzna odwrócił wzrok i wymamrotał coś w odpowiedzi.

- Manny, wszędzie cię szukam. Nazywam się Nick Garrity. Jestem lekarzem i przyjacielem Matta McBeana. Nie mogę uwierzyć, że cię w końcu znalazłem.

Ferris spojrzał na Nicka pustym wzrokiem. Miał załzawione oczy.

- Chce pan miętówkę? - spytał.

Miał zduszony, pozbawiony jakichkolwiek emocji głos. Jego zdeformowana twarz

była bez wyrazu.

- Manny, jestem przyjacielem Matta McBeana - powtórzył Nick. - McBeana z wojska.

Szukałem cię.

Żadnej reakcji.

*

Nick wyciągnął z pliku zdjęć powiększony fragment zrobionej wiele lat temu fotografii przedstawiającej McBeana i Ferrisa i podał ją sprzątaczkowi.

- Spójrz, Manny. To ty, a to Matt McBean. Powiedział mi, że zniknąłeś cztery lata temu. Co się z tobą działo?

Nic.

Ferris uporządkował grzebienie i sprawdził, czy ręczniki równo wiszą. Potem, nie zwracając uwagi na Nicka, odwrócił się i zajrzał do każdej z trzech eleganckich kabin.

Noc żywego Manny'ego, pomyślał Nick.

Ponownie podetknął mężczyźnie zdjęcie. Wydało mu się, że na ułamek sekundy w jego oczach pojawił się błysk rozpoznania, ale natychmiast zniknął.

- Mamy nowe grzebienie, jeśli chce się pan uczesać - powiedział.

Nick pochylił się, aby zajrzeć mu w oczy. Chciał zobaczyć jego źrenice - czy nie zdradzają przyjmowania narkotyków. Były położone centralnie i reagowały na światło. Ujął Ferrisa za przegub i sprawdził tętno. Były żołnierz piechoty morskiej nie stawiał oporu, jego ręka leżała bezwładnie w uścisku Nicka. Tętno było w normie - sześćdziesiąt osiem.

- Manny, być może znasz mojego przyjaciela, Umberta Vasqueza. Ostatni raz widziałem go cztery lata temu. Tak samo jak ty miał wziąć udział w supertajnej misji dla wojska. Czy to nazwisko coś ci mówi?

- Jak się pan dzisiaj czuje? - zapytał Ferris. - Czy nie potrzeba panu ręcznika?

- Manny, proszę... Ten człowiek służył ze mną i uratował mi życie, a potem tak samo jak ty zniknął.

Brak reakcji.

Radość Nicka ze znalezienia Ferrisa zniknęła razem z nadzieją, że dowie się czegoś o losie Umberta. Zastanawiał się, czy nie powinien spróbować ściągnąć mężczyznę do ambulansu, żeby go dokładnie zbadać.

- Słuchaj, Manny - powiedział z frustracją, choć wiedział, że nie wolno mu okazywać zdenerwowania. - Masz dwadzieścia dolców, ale spójrz na te zdjęcia Umberta Vasqueza.

Ferris przyjął banknot, nie chciał jednak wziąć pliku fotografii, więc Nick musiał sam mu je pokazywać. Przy każdym zdjęciu odczekiwał kilka sekund, a potem pokazywał kolejne.

Na każdym wskazywał Umberta, ale mężczyzna nie zmieniał tępego wyrazu twarzy. Jednak gdy Nick dotarł do przedostatniej fotografii, coś się zmieniło. Ferris szeroko otworzył oczy, szczęka mu opadła, zaczął się trząść i poczerwieniał na twarzy. Odwrócił się od Nicka, ten jednak złapał go za ramiona i przytrzymał mu zdjęcie przed twarzą. Zdjęcie przedstawiało Nicka i Umberta stojących obok ambulansu na tle Lincoln Memoriał. Nick nie pamiętał dokładnie, ale wydawało mu się, że zdjęcie zrobiła Junie.

- Czy rozpoznajesz na tym zdjęciu Umberta? Rozpoznajesz?

- Idź sobie! - krzyknął Ferris, gwałtownie odpychając Nicka. - Zostaw mnie!

Nick poleciał na kontuar i omal nie upadł. Dostrzegł cień ruchu, więc się pochylił akurat w chwili, gdy nad jego głową przeleciał wypełniony grzebieniami słój i rozbił lustro.

- Manny, przestań! - krzyknął.

- Nie mogę zostać! Muszę uciekać!

W martwych przed chwilą oczach mężczyzny płonął teraz dziki szal. Ferris był zdumiewająco silny. Nick próbował wyjść za nim z toalety, ale sprzątacze odepchnął go wyprostowanym ramieniem i wpadł na kelnerkę niosącą tacę z drinkami. Nickowi udało się zrobić trzy kroki, zanim wytatuowany wykidajło złapał go od tyłu. Przyciśnięty twarzą do wybitej aksamitem ściany klubu, patrzył bezradnie, jak jego jedyny łącznik z Umbertem znika w drzwiach przeciwpożarowych.

ROZDZIAŁ 19

Dwie najpewniejsze drogi do porażki w medycynie to arogancja i dekoncentracja.

Nick wiedział, że nie będzie w stanie się skupić. Ostrzeżenie przed błędami lekarskimi, często powtarzane przez jednego z jego byłych profesorów chirurgii na Uniwersytecie Browna, przebiegało mu przez głowę jak wstęga Móbiosa. Arogancja nigdy nie była jego problemem, ale nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach zdarzało się, że błędził gdzieś myślami. Dwadzieścia cztery godziny po spotkaniu z Mannym Ferrisem jego głowa bynajmniej nie była w „najbardziej sprzyjających okolicznościach”.

Ambulans znów znajdował się w Dystrykcie Kolumbii. Coraz cieplejsza pogoda sprawiła, że przyszło wielu pacjentów. Rutyna... rutyna... rutyna... katastrofa udająca rutynę. Wystarczyła jedynie chwilowa utrata koncentracji. Przegapiony powiększony węzeł chłonny, pominięte badanie ododbytowe, zignorowany nienormalny objaw neurologiczny, pominięta notatka w karcie, niezadane ważne pytanie. W przypadku Nicka niebezpieczeństwo wzrastało wprost proporcjonalnie do poziomu jego skali stresu, który dziś nie opadał poniżej pięciu.

Tego wieczoru zatrzymali się już po raz trzeci i ostatni. Parkowali na ulicy w Anacostii. Nicka i Junie wspierała dzisiaj doświadczona pielęgniarka, ochotniczka o imieniu Kate, która pracowała pod lekką markizą służącą jako aneks zabiegowy, a czasami jako miejsce wstępnej oceny stanu chorego i poczekalnia. Napływ pacjentów powoli się zmniejszał i był na to najwyższy czas, Nicka ogarniało zmęczenie i ponure myśli o Mannym Ferrisie. Przez kilka krótkich chwil po wejściu do Lucky Bill Pearl's wydawało mu się, że odpowiedzi dotyczące zniknięcia Umberta są na wyciągnięcie ręki. Zamiast tego jednak pojawiło się jeszcze więcej pytań.

- Więc jak, miałaś okazję pomyśleć o Ferrisie? - spytał Nick Junie, gdy jechali z Baltimore do pierwszego przystanku na parkingu Solidnych Używanych Samochodów Jaspera Yeo.

- Alkohol - odpowiedziała bez wahania. - Jeśli masz wątpliwości, zawsze stawiaj na alkohol. Sądzę, że ma już rozmiękczonego mózg.

- Możliwe, ale choć zachowywał się jak zombie, nie miał objawów towarzyszących alkoholizmowi. No wiesz, sieci żyłek na policzkach, nosa jak W.C. Fields, puchliny, plam wątrobowych, problemów z zachowaniem równowagi. Mam wymieniać dalej? I jeszcze te blizny i wypukłości na jego twarzy, jakby brał udział w bitwie gangów.

- Więc co to może być?

- Nie mam pojęcia. Być może jednak alkohol. Zastanawiam się też, czy ktoś nie przygotowywał go do chirurgii plastycznej, ale jak wyjaśnić jego reakcję na moje zdjęcie z Umbertem? Na pewno nie na mnie tak zareagował. Powinnaś była go widzieć, Junie. W ułamku sekundy z Nocy żywych trupów przeniósł się do Rambo. Czy to brzmi, jakby miał rozmiękczonego mózg?

- Może narkotyki.

- Pewnie tak.

Kiedy Nick osłuchiwał stetoskopem pierś niespokojnej dwudziestolatki mieszkającej w pobliskich slumsach, Junie odchrząknęła i pokręciła głową, patrząc na niego karcąco.

- Słyszysz coś? - zapytała. Był to jej sposób zwrócenia mu uwagi, że tę część badania powinien powtórzyć.

- Jeszcze nic - mruknął i spróbował się skupić.

Ich pacjentka prawdopodobnie cierpiała na niedomykalność zastawki mitralnej, bo trudno było w inny sposób wyjaśnić jej nawracające bóle w piersi. Nick poprosił Junie, by zrobiła jej EKG. Gdyby dziewczyna miała ubezpieczenie, zleciłiby również wykonanie echa serca i badanie krwi, ale nie miała. Nick dał jej kartkę ze wskazówkami, jak uzyskać

ubezpieczenie zdrowotne, a Junie powiedziała, że zadzwoni, aby sprawdzić, czy jej się udało. Niczego więcej nie mogli zrobić.

Prowadzenie takiego ambulatorium jak „Pomocne Dłonie” wiązało się z wieloma kompromisami, zwłaszcza jeśli pacjent nie chciał współpracować i kontynuacja leczenia stała pod znakiem zapytania. Mogli tylko liczyć na specjalistów, do których wysyłali chorych. Dzięki studiom i ciągłemu doksztalcaniu się Nick całkiem przyzwoicie czytał wydruki EKG, ale z „Pomocnymi Dłońmi” współpracowało też kilku kardiologów. Mieli również ulotkę opisującą niedomykalność zastawki mitralnej, przygotowaną przez jednego z nich.

- Czy któraś z was ma ochotę na kawę? - spytał Nick pielęgniarkę i pacjentkę. - Jest tylko instant, ale mamy bezkofeinową i normalną, mleko też jest.

Obie odmówiły.

- Czy ta kobieta siedząca na fotelu kierowcy jest z panią? - spytała Junie pacjentkę.

- Nie. Przyszłam ze swoim chłopakiem. Czeka tam przy stole.

Nick zerknął na przód ambulansu. Kilkakrotnie przechodząc obok, zwrócił uwagę na siedzącą tam kobietę. Trudno było nie zwrócić na nią uwagi, bo była bardzo ładna. Miała krótkie włosy koloru piasku i piegi na policzkach.

- Nie zgłosiła się do mnie - powiedziała Junie. - A jest tu już czterdzieści pięć minut. Myślałam, że przyszła z którymś z pacjentów.

- Nie wygląda, jakby miała jakieś kłopoty, ale to trochę dziwne, że się do tej pory nie odezwała. Może jest reporterką? Albo tajną agentką MacCandlissa?

Starając się wyglądać możliwie nonszalancko, zatrzymał się przy lodówce i wyjął colę. Widział teraz z bliska kobietę na fotelu kierowcy i zastanawiał się, jak to możliwe, że ją dotychczas zignorował. Miała na sobie dzinsy i białą kurtkę z brązowym kołnierzem - prawdopodobnie od L.L. Beana albo Eddiego Bauera. Siedziała lekko od niego odwrócona i wyglądała przez przednią szybę. Jakby czując jego wzrok, odwróciła się i uśmiechnęła. Nie był to szeroki uśmiech, ale mimo to rozjaśnił całą przednią część ambulansu.

Niezwykła kobieta. To określenie przyszło Nickowi do głowy w pierwszej kolejności. A potem następne: interesująca, inteligentna, szczególna. Podchodząc do niej, potknął się w i wylał trochę coli na dywan. Niezły początek. Zostawić czy wytrzeć? Uśmiechnął się niepewnie, wrócił do kuchenki i przyniósł papierowy ręcznik.

- Cześć - powiedział i przyklęknął. Usłyszał, że mówi o oktawę wyżej niż zwykle.

- Cześć - odparła, najwyraźniej czując się zupełnie swobodnie.

Czuł się niezręcznie, będąc tak blisko niej. Jej uśmiech był niezwykły, ale niebieskozielone oczy jeszcze bardziej. Wstał i oparł kolano o konsolę między przednimi

siedzeniami.

- Czy przysłała pani z jakimś problemem? - spytał. Dajże spokój, skarcił się w myślach. Powiedz jej po prostu, że jesteś lekarzem.

Pokręciła głową.

- Nie, jestem zdrowa jak koń. Ale może mi pan pomóc z tym... - Sięgnęła do torby z brązowego papieru i wyciągnęła z niej egzemplarz komiksu Nick Fury, agent S.H.I.E.L.D. - Nazywam się Jillian Coates. Jestem pielęgniarką psychiatryczną w szpitalu Shelby Stone Memoriał.

Czy możemy przez chwilę porozmawiać, doktorze Garrity?

® ® ®

Złożenie markizy i sprzątnięcie wnętrza ambulansu zajęło im czterdzieści pięć minut. Jillian postanowiła pomóc i przy okazji poznała Junie. Nick trzymał się blisko kobiet i kiedy tylko mógł, włączał się do rozmowy. „Niezwykła” było odpowiednim słowem. Była też bardzo kobieca, mądra, dowcipna i ogromnie mu się podobała. Nick, który jeszcze nie doszedł w leczeniu swojego zespołu stresu pourazowego do takiego punktu, by po Sarah móc zainteresować się jakąkolwiek kobietą, ze zdziwieniem stwierdził, że dokonuje porównań. Zauważył, że Junie podziela jego pozytywną opinię.

W końcu, gdy Kate wyruszyła do swojego domu na przedmieściu, zaciągnięto zasłony i pozostała trójka usiadła przy składanym stoliku. Nick i Junie ze współczuciem wysłuchali smutnej historii śmierci Belle Coates i jej dziwnego związku z dyrektorem do spraw medycznych Objazdowego Punktu Medycznego Fundacji „Pomocne Dłonie” przez niemal zapomniane przezwisko.

- Mówisz, że twoja siostra napisała na okładkach tych komiksów „lek. med.” i „dr” przed imieniem i nazwiskiem Nick Fury?

- Wyglądało to tak, jakby wypróbowała różne formy tego tytułu. Tak jakby to usłyszała, a nie przeczytała - powiedziała Jillian. - Żałuję, że nie mam tych egzemplarzy, żeby wam pokazać - dodała. - Ale przypadły, gdy parę dni temu w moim domu wybuchł pożar.

- Twoja siostra została zamordowana, a potem twój dom spłonął? Czy sądzisz, że te dwie rzeczy się ze sobą wiążą?

- Jak mogę sądzić inaczej, Nick? Jednak ludzie od podpaleń niczego nie znaleźli.

- Mnie się to wydaje podejrzanym, chyba że masz wyjątkowego pecha - stwierdził Nick, żałując, że nie potrafi pomóc tej kobiecie. - Czekaj no... - powiedział nagle. - Mam przyjaciela, detektywa z waszyngtońskiej policji. Zna wielu różnych ludzi. Nie zdziwiłbym się, gdyby znał specjalistów od podpaleń z Arlington albo stąd. Może was ze sobą

skontaktuję?

- Byłoby wspaniale. Mam numer jednego z inspektorów z firmy ubezpieczeniowej, który oglądał mój dom. Może uda mi się dostarczyć twojemu przyjacielowi kopię jego raportu.

- Złapię Dona z samego rana - obiecał Nick, czując, że pod spojrzeniem Jillian miękną mu kolana.

Wyglądało na to, że Belle Coates usłyszała gdzieś przezwisko, jakie Umberto Vasquez nadał przyjacielowi milion kilometrów stąd i sto tysięcy lat temu. I nie tylko usłyszała, ale też zrobiło ono na niej takie wrażenie, że kupiła ponad czterdzieści różnych egzemplarzy komiksu.

Doktor Nick Fury.

O pierwszej w nocy Junie zostawiła Nicka i Jillian i poszła się położyć w pokoju zabiegowym na końcu ambulansu.

- Belle i ja zawsze byliśmy sobie dość bliskie - powiedziała Jillian. - Ale była między nami spora różnica wieku i w gruncie rzeczy niewiele wiedziałam o niej i o tym, co ją interesuje. Gdy doszło do wypadku rodziców, miałam już za sobą niespełna roczne małżeństwo i rozwód i mieszkałam w Waszyngtonie, nadrabiając to, co straciłam przez zbyt wczesne wyjście za mąż. Żyłam na krawędzi. Cały czas jakieś imprezy, cały czas szukanie mocnych wrażeń, w dodatku moja fotograficzna pasja prowadziła mnie w różne niebezpieczne miejsca.

- A potem nagle zostałam opiekunką nastolatki.

- To pewnie okropnie zabrzmi, ale wcale nie miałam na to ochoty. Jednak Belle okazała się najbardziej zrównoważoną i jednocześnie najbardziej uduchowioną osobą, jaką znałam. Joga, flet, malarstwo, gimnastyka, ogrodnictwo, gotowanie. Chciała spróbować wszystkiego. Nie zależało jej na tym, by być w czymś najlepszą, poza pielęgniarstwem, chciała dowiedzieć się czegoś o różnych rzeczach, poczuć je na swój własny sposób, a niekoniecznie opanować. I niewątpliwie potrafiła słuchać najlepiej ze wszystkich znanych mi osób.

- Musiała być niezwykłą osobą.

- Była. Nawet gdy miała czternaście lat, wydawała mi się jakąś wyższą formą istnienia. Zanim wybrała pielęgniarstwo i wyprowadziła się do akademika, nauczyła mnie, jak żyć, to znaczy naprawdę żyć. Nie głośno i z hukiem, ale spokojnie, ciesząc się drobiazgami, rzeczami i ludźmi.

Oczy Jillian wypełniły się łzami, które po chwili spłynęły jej po policzkach. Nie

wytarła ich i nie sprawiała wrażenia zażenowanej.

- Nigdy nie próbowałem powstrzymać łez, gdy myślałem o Sarah - powiedział Nick. - Czułem, że są... jak by to powiedzieć... oczyszczające. Ale potem dopadł mnie stres pourazowy i nagle nie potrafiłem już płakać. Po prostu przestałem.

- To niedobrze.

- Sam nie wiem... Choć byłem zrozpaczony i pełen żalu, nie wydaje mi się, żebym czuł smutek.

- Tylko pustkę.

- No właśnie. Niesamowite, że to powiedziałaś... Tylko pustkę. To uczucie, którego nie da się opisać. Umberto mawiał, że jak długo potrafimy płakać, jest nadzieja. Kiedy przestałem płakać, bardzo się martwił, bardziej niż ktokolwiek inny, łącznie z moim terapeutą. Któregoś dnia wyznał mi, że od kiedy wypisano go ze szpitala po wybuchu, także i on ani razu nie zapłakał. Najlepszy żołnierz, jakiego znałem, człowiek, który zaryzykował życie, by uchronić mnie przed rozerwaniem na strzępy, zamienił się w bezradnego alkoholika. Nie miał fizycznych ran jak ja, więc nie uznano jego stresu pourazowego za wystarczającą podstawę do odznaczenia Purple Heart.

- Bardzo mi przykro.

- Dzięki. To dla mnie wiele znaczy.

- A potem zniknął.

- A potem zniknął - powtórzył Nick, bezradnie wzruszając ramionami.

- Chciałabym ci pomóc odnaleźć Umberta - powiedziała Jillian. - Spotkanie ciebie i rozmowa z tobą pozwoliły mi uwierzyć, że uda mi się dotrzeć do prawdy. Drogi Belle i Umberta musiały się gdzieś przeciąć. Jeśli dotarcie do Manny'ego Ferrisa zbliży cię do odnalezienia Umberta, to w tym też chciałabym ci pomóc. Mam dziesięcioletnią praktykę pielęgniarki psychiatrycznej, a to może się przydać.

- Bardzo bym się cieszył z twojej pomocy - odparł Nick, zastanawiając się, czy nie powinien tego ująć w bardziej zdecydowany sposób.

- Powiedziałeś, że Manny Ferris dość gwałtownie zareagował na jedną z fotografii przedstawiających Umberta.

- „Dość gwałtownie”? On oszalał. To nie było nic szczególnego, po prostu zdjęcie nas obu przy ambulansie. Wcześniej widział przynajmniej jeszcze jedno zdjęcie Umberta ze mną ale kiedy spojrzał na tę fotografię, cisnął we mnie słojem i uciekł.

- Czy mogłabym zobaczyć te zdjęcia?

Nick wyciągnął kopertę z szuflady w kuchennej szafce i podał jej. Zamiast patrzeć jej

w oczy, skupił się teraz na jej dłoniach, na gładkiej jasnej skórze i niezbyt długich paznokciach, pomalowanych przezroczystym lakierem, z białymi końcówkami. Przyglądał się ruchom jej długich, delikatnych palców przekładających zdjęcia.

- Twój przyjaciel ma bardzo sympatyczną twarz - zauważyła.

Spodobałabyś mu się, pomyślał Nick.

- To właśnie to zdjęcie - powiedział. - To, które wywołało taką gwałtowną reakcję Ferrisa.

Jillian dokładnie przyjrzała się fotografii.

- Wydałam własnym sumptem album z moimi zdjęciami największych budynków i pomników w Waszyngtonie. Podarowałam go przyjacielom na Boże Narodzenie. Fotografie Lincoln Memorial należały do moich ulubionych.

- Chętnie bym je zobaczył.

- Może będziesz miał okazję - odparła, znów rozjaśniając uśmiechem całą kuchenkę. - Zastanawiam się...

- Nad czym?

- Może nie chodziło o ambulans ani o ciebie czy Umberta. Może Ferrisa zdenerwowało tło, czyli Lincoln Memorial.

- Jak możemy to sprawdzić?

- Możemy zorganizować sesję zdjęciową. Jesteś zainteresowany?

ROZDZIAŁ 20

Nick niecierpliwie chodził tam i z powrotem po zatłoczonym chodniku przed Lincoln Memorial, czekając na Jillian. Popołudniowe niebo było jasne i czyste, tylko od czasu do czasu kilka chmurka zasłaniało słońce. Dochodziła trzecia po południu. Mniej więcej o tej samej porze cztery lata temu Junie zrobiła Nickowi i Umbertowi zdjęcie, na widok którego Manny Ferris rzucił się do ucieczki.

Jillian opuściła ambulans koło trzeciej nad ranem. Junie wciąż spała mocno w sali zabiegowej, a Nick usiłował poradzić sobie z uczuciami, jakie obudziło w nim pojawienie się tej interesującej młodej kobiety w jego życiu. To Jillian zaproponowała, by sfotografować Lincoln Memorial pod każdym możliwym kątem, a potem obserwować reakcje Manny'ego na zdjęcia. Może miała rację, że byłego żołnierza piechoty morskiej poruszyły nie osoby na zdjęciu, ale przedmioty.

By nie zamieszać Manny'emu w głowie jeszcze bardziej, chciała zrobić zdjęcia o tej

samej godzinie, o której zrobiono pierwszą fotografię - na wypadek gdyby pora dnia również miała wpływ na jego gwałtowną reakcję.

Uważnie przyjrzała się światłom i ceniom na zdjęciu, by określić godzinę. Nick był zdumiony, ile informacji potrafi wyciągnąć z jednej fotografii. Wywnioskowała nawet z ubrań przechodniów, że zdjęcie zrobiono na wiosnę. Był pewien, że gdyby postanowiła specjalizować się w radiologii, zostałaby gwiazdą.

Jillian dostrzegła go i zawołała, po czym ruszyła w jego kierunku. Ostatni raz czuł coś podobnego, gdy poznał Sarah i po raz pierwszy umówili się na randkę. Teraz jego myśli wypełniała Jillian. Mieli się spotkać przy kamiennej ławce, ale Nick był zbyt niespokojny, by siedzieć i czekać. Usiłował sam siebie przekonać, że jego nerwowa energia wynika z pragnienia wyjaśnienia tajemnicy Manny'ego Ferrisa, ale wiedział, że się oszukuje.

- Hej, ty tam! - zawołała. - Jesteś gotów zostać moim asystentem?

- Wyglądasz bardzo profesjonalnie.

I oszłamiająco pięknie, chciał dodać, ale ugryzł się w język.

- Wydawało mi się, że mamy się spotkać przy ławce - powiedziała. - Czekałam tam na ciebie.

- Chyba jestem zbyt podniecony, by ustać w jednym miejscu - odparł Nick. - Dlatego postanowiłem zacząć szukać punktów, z których można by zrobić zdjęcia.

- Przyniosłabym swojego nikon'a Dtrzysta z obiektywem szerokokątnym, ale uświadomiłam sobie, że jestem pielęgniarką i brakuje mi do niego jakichś dwóch patyków, więc będziesz musiał zadowolić się canonem rebel XT. To trochę jak beagle przy irlandzkim seterze, ale oba są rasowe.

- Jeśli chodzi o moją znajomość fotografii, równie dobrze mogłabyś wyciągnąć pudełko po butach i powiedzieć mi, że robimy zdjęcia obiektywem otworkowym. Ale na pewno będę dobrym asystentem.

- Obiecujesz?

I znowu ten filuterny błysk oczu i zaraźliwy uśmiech, który sprawiał, że ciepłe wiosenne popołudnie robiło się o co najmniej dziesięć stopni gorętsze.

- Powinniśmy zaczynać - stwierdził. - Musimy zrobić sporo zdjęć, a zostało nam już niewiele słońca.

Skończyli fotografowanie po niecałych dwóch godzinach. Jillian miała w swojej torbie fotograficznej przenośną drukarkę, więc mogli wydrukować dwadzieścia parę zdjęć przedstawiających Lincoln Memorial z każdego możliwego punktu. Zdjęcia wykonane od wschodu ukazywały monolityczne świątynne kolumny, schody i szeroki podjazd. Kilka zdjęć

Jillian zrobiła we wnętrzu. Sfotografowała także samego Lincolna.

- Czy jeśli Manny zareaguje na zdjęcie Lincolna, będzie to oznaczało, że opowiada się za prawami stanowymi czy za abolicją? - spytał Nick z kwaśnym uśmiechem.

- Albo to, albo po prostu boi się pomników.

- To by znaczyło, że jest staurofobem - odparł Nick.

- Ciekawe, skąd wiedziałam, że coś takiego powiesz. - Jillian się roześmiała i trzepnęła go lekko po ramieniu. - Czuję, że zostałam wciągnięta w pułapkę.

Nick wiedział, iż to dziecinne, ale poczuł satysfakcję, że zrobił na niej wrażenie. Fobie były tematem jego pracy z psychologii w college'u. Zastanawiał się przez chwilę, czym jeszcze mógłby jej zaimponować, ale natychmiast przegnał tę myśl. Jillian nie należała do tego typu kobiet.

Przeglądali fotografie znajdujące się w aparacie, wybierając najlepsze do wydrukowania. Było tam zdjęcie pomnika Waszyngtona po drugiej stronie Reflecting Pool, zrobione dokładnie z miejsca, z którego doktor Martin Luther King wygłosił swoje słynne przemówienie „Mam marzenie”. Kolejne zdjęcie ukazywało północną ścianę pomnika Waszyngtona przez wyniosły boczny portyk Lincoln Memorial. Było także kilka zdjęć Lincoln Memorial od tyłu, w tym jedno ze ścieżki spacerowej biegnącej wzdłuż Parkway Drive Northwest, i kolejne, też od tyłu, ze ścieżki rowerowej po drugiej stronie Potomacu, biegnącej równoległe do George Washington Memorial Parkway.

- Chyba jesteśmy gotowi - stwierdziła Jillian, zamykając torbę ze statywem po wydrukowaniu ostatniego zdjęcia. - Jesteś pewien, że Manny będzie w klubie?

- Manny Ferris wyglądał w tej toalecie jak... no... jak element tej toalety - powiedział Nick. - Będzie tam, jestem pewien.

ROZDZIAŁ 21

Zanim dotarli do Lucky Bill Pearl's, kwietniowe słońce zdążyło już zająć i zaczął wiać chłodny wieczorny wiatr. Zeszli po słabo oświetlonych, wyłożonych dywanem schodach. Jillian szła pierwsza, a Nick trzymał się parę kroków za nią, na wypadek gdyby wykidajło, który przycisnął go poprzednio do ściany, znów był na posterunku. Na szczęście stał tam teraz inny łysy goryl, choć podobnie wytatuowany.

Klub był bardziej zatłoczony niż poprzednim razem, może dlatego, że zbliżał się weekend. Nick przyglądał się z rozbawieniem, jak Jillian chłonie widok, który otworzył się przed jej oczami. Z niedowierzaniem patrzyła na podkowiasty bar, krzesła z wysokimi

oparciami stojące wokół estrady, mosiężne słupy i półnagie kobiety.

- I to wy, faceci, uważacie za rozrywkę? - spytała, pochylając się nad Nickiem i mówiąc mu wprost do ucha, by słyszał ją przez tętniącą w głębi lokalu muzykę techno. Nickowi spodobał się dotyk jej warg na skórze. Żałował, że muzyka nie jest głośniejsza, a jej pytanie dłuższe.

- Pójdę poszukać Manny'ego. Dasz sobie sama radę?

Zaśmiała się.

- Powinieneś któregoś dnia wpaść do mojej pracy i zobaczyć, z kim mam tam do czynienia.

Nick zaczekał, aż usadowi się przy barze, a potem ruszył do męskiej toalety. Kiedy się obejrzał, jakiś mocno zbudowany mężczyzna w jasnoniebieskim garniturze zajmował miejsce obok Jillian i coś do niej mówił. Dziewczyna machnęła ręką do Nicka, zapewniając go spojrzeniem, że panuje nad sytuacją.

Dopiero gdy Nick otworzył ozdobione kawalerem w płaszczu ze szpadą drzwi do toalety i zawołał Manny'ego, uświadomił sobie, że zdjęcia zostały w torbie Jillian.

- Manny! - zawołał ponownie. Na kontuarze z pomarańczowego marmuru stały równymi rzędami artykuły toaletowe. Nick pochylił się i zajrzał do kabin, ale nikogo w nich nie było. Idąc do kasy, żeby spytać, czy Manny dziś wieczorem pracuje, zauważył, że przy Jillian siedzi trzech napalonych facetów, zupełnie ignorujących dziewczyny tańczące przy słupach. Jakby czując, że Nick na nią patrzy, odwróciła się i pomachała mu przez całą szerokość klubu.

Nic się nie martw, mówił jej rozbawiony wzrok.

Nick wyszedł do mrocznego, wyłożonego dywanem foyer przy schodach i zajrzał do kasy, ale nikogo tam nie było.

- Halo! - zawołał. - Jest tu ktoś?

Poczuł na ramieniu czyjąś ciężką dłoń. Odwrócił się.

- Hej, koleś - warknął wykidajło. - Pamiętasz mnie?

Był to ten sam łysy osiłek, który wczoraj wcisnął go w ścianę klubu, gdy Manny Ferris uciekał.

- Jak mógłbym zapomnieć - odparł spokojnie Nick, choć wcale nie czuł spokoju. - Czy nie masz na imię Dick?

Wykidajło chwycił Nicka za ramiona, odwrócił go i zaczął pchać w górę po schodach.

- Kiedy kogoś stąd wyrzucam, to na zawsze. Czyżbym nie powiedział tego jasno?

- Bardzo mi przykro, ale nie mówię językiem goryli. Widocznie cię nie zrozumiałem -

powiedział Nick, na próżno próbując utrzymać się na nogach.

- Więc może zrozumiesz to...

Pchnął Nicka na wykonane z czarnego szkła drzwi klubu. Nick uderzył ramieniem w futrynę i ciężkie drzwi się otworzyły. Machając ramionami, wypadł na chodnik, przewrócił się i potoczył na jezdnię. Podniósł się na kolano, a potem na nogi, mając nadzieję, że jego twarz nie zdradza bólu, który czuł w kilku miejscach.

Wykidajło ujął się pod boki i przyglądał mu się niechętnie.

- Słuchaj, w środku została moja przyjaciółka - powiedział Nick. - Przynajmniej pozwól mi po nią pójść.

- Przykro mi - odparł bramkarz, uśmiechając się szeroko - ale nie rozumiem języka dupków.

® ® ®

Jillian spojrzała na zegarek i zmarszczyła brwi. Nick poszedł szukać Manny'ego Ferrisa prawie dwadzieścia minut temu, więc zaczynała się już niepokoić. Co gorsza, stłoczeni wokół niej mężczyźni robili się coraz bardziej nerwowi.

Gdzież on się podziewa?

Z trudem dawała sobie radę z kwartetem admiratorów, którzy otaczali jej stół i puszyli się jak pawie. Gdy nie pożerali jej wzrokiem, popisywali się i przechwalali. Kiedy się nie przechwalali, przepychali się bliżej niej. Oczywiście wiedziała, że jest w męskim klubie. Ich klubie. Jak na razie potrafiła ich trzymać na dystans, ale co będzie, gdy skończą się jej pomysły na odmawianie?

Jeden z mężczyzn, najwyraźniej pijany, o obwisłej twarzy przypominającej plamę z testu Rorschacha, zaczął stanowić problem.

- Więc jak, kochanie? Zatańczymy czy nie? - wybełkotał.

- Bardzo mi przykro, ale jestem klientką klubu, a nie pracownicą - odpowiedziała.

Odwrócił się i Jillian uśmiechnęła się w duchu. Ponownie zerknęła na zegarek. Nick sprawiał wrażenie bystrego faceta, ale nie zmniejszyło to jej niepokoju. Lata pracy pielęgniarzkiej wyrobiły w niej coś w rodzaju szóstego zmysłu, którego nie potrafiła wyłączyć. Poza tym wiedziała, że to, co czuje wobec Nicka, jest nie tylko troską o jego stan psychiczny. Przyciągał ją w sposób, którego nie mogła zignorować.

- Zapłacę ci dwa razy więcej niż on - szeptał inny mężczyzna, przysuwając się tak blisko, że Jillian poczuła zapach jego old spice'a.

Kiedy chciała go odepchnąć, pojawił się wysoki mężczyzna w czarnym golfie i szytej na miarę marynarce od Brooks Brothers.

- Hej, co jest? warknął Old Spice. - Pani powiedziała, że chce dotrzymać mi towarzystwa, więc znikaj.

- Niczego takiego nie powiedziałam - zaprotestowała Jillian.

Mężczyźni patrzyli na siebie wrogo i Jillian wcale by się nie zdziwiła, gdyby zaczęli warczeć. Wysoki facet w golfie miał rzadniejące czarne włosy, garbaty nos i ciemne oczy, których wyraz świadczył o pewności siebie. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyciągnął wykałaczkę i wsunął ją w kącik ust. Jego wąską twarz znaczyły ślady po ospie, a diamentowe kolczyki w każdym uchu miały co najmniej dwa karaty.

- Hej, przyjacielu - powiedział do drugiego mężczyzny. - Weź sto pearl bucków i zajmij się jakąś samotną damą, która pragnie twego towarzystwa.

Mówił z akcentem z Jersey i łatwo można go było wziąć za któregoś z goryli Tony'ego Soprano. Wyciągnął plik fałszywych banknotów.

- Sądziysz, że spłacisz mnie zabawkowymi pieniędzmi, bo masz tyle biżuterii?

- Nie. Sądzę, że cię spłacę, bo jestem właścicielem tego klubu.

Jillian przyglądała się z rozbawieniem, jak Bill Pearl wkłada do spoczonej dłoni Old Spice'a kilka kolorowych pearl bucków.

- Bardzo przepraszam - powiedział, zwracając się do niej. - Lubimy, gdy w klubie pojawiają się kobiety. Zwłaszcza piękne kobiety.

- Dziękuję - odparła Jillian. Nie czuła żadnego zagrożenia ze strony tego mężczyzny.

- Nasi stali bywalcy płacą dużo pieniędzy, by móc zachowywać się jak rekiny. Czasami ich ofiarą padają niewinne gupiki. Jeszcze raz przepraszam.

- Nie ma potrzeby. Umiem szybko pływać.

- Czy pani już tu kiedyś była, panno...

- Jillian.

- Panno Jillian, czy mogę pani postawić drinka?

- Dzięki, ale musiałby pan mieć bardzo dużo pearl bucków, żeby to zrobić.

- Wiem, że to brzmi jak głupi podryw, ale co taka ładna dziewczyna jak pani robi w takim miejscu?

Jillian się roześmiała. Pearl się jej spodobał.

- Właściwie przyszedłem tu z przyjacielem, ale w tej chwili go nie widzę. Chcieliśmy porozmawiać z jednym z pana pracowników, Manny Ferrisem. Czy pan go zna?

Pearl zmrużył oczy i zacisnął usta. Widziała, że ją ocenia, nie wiedziała tylko dlaczego.

- Czy go znam? Tak, znam go - przyznał w końcu. - Manny to mój kuzyn. Czego od

niego chcecie?

- Nie zamierzamy sprawiać mu kłopotów, Bill, jeśli o to panu chodzi.

- Może wasza sprawa do Manny'ego nie powinna być moją sprawą, ale ponieważ należy do rodziny, no i ma coś z głową, jeśli wie pani, o co mi chodzi, to jednak przez to wasza sprawa staje się również moją sprawą.

- Jestem pielęgniarką psychiatryczną w szpitalu Shelby Stone. Chciałabym porozmawiać z Mannym, to wszystko. Sądzymy, że może mieć informacje o człowieku, którego próbujemy odnaleźć.

- Zapewniam panią, że Manny Ferris nie ma informacji o niczym. A nawet jeśli ma, nie potrafi do nich dotrzeć.

- Co to znaczy?

Billy przyglądał się jej przez chwilę, jakby rozważając, czy może jej zaufać.

- Jesteś pielęgniarką - powiedział w końcu. - Może potrafisz mu pomóc.

- W czym?

- Co wiesz o praniu mózgu?

- Uczyliśmy się o tym na kursie psychiatrii - powiedziała Jillian. - Sam termin powstał w latach pięćdziesiątych i oznacza zniszczenie poczucia tożsamości danej osoby, by mogła zbudować nową.

- Manny był bystrym facetem, nawet gdy wrócił zestresowany z wojny i zaczął pić. Potem zniknął na jakiś czas, aż któregoś dnia pojawił się tutaj. Wyglądał, jakby ktoś pociął mu twarz, i zachowywał się jak po praniu mózgu.

- To okropne, ale dlaczego sądzisz, że przeszedł pranie mózgu?

- Cóż... dawny Manny zniknął, ale na jego miejsce nie pojawił się nikt nowy. Nie potrafił mi powiedzieć, gdzie był ani co robił, wystękał tylko, że potrzebuje miejsca do spania i czegoś do jedzenia. Narkotyki? Nie wiem, kto to zrobił ani jak, ale rozwalił mu mózg.

- Mój przyjaciel poszedł go poszukać w męskiej toalecie, jednak chyba go tam nie znalazł.

Pearl się roześmiał.

- Manny nie ma zbyt wielkiego terytorium. Jeśli nie siedzi w toalecie, to na pewno jest w magazynie w piwnicy i śpi.

- Śpi w piwnicy?

- To wcale nie jest takie złe, jak myślisz. W młodości trzymałem tam różne rzeczy, nie tylko papier toaletowy i styropianowe kubki. Musiało to być na tyle wygodne miejsce, bym mógł tam pracować, ale również dobrze ukryte, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

- Czy mogę zobaczyć twojego kuzyna? - spytała Jillian.

Pearl zastanawiał się przez chwilę.

- Jeśli nie przeszkadza ci wizyta w męskiej toalecie, to z przyjemnością cię oprowadzę - powiedział w końcu.

- A co z moim przyjacielem Nickiem? Zaczynam się o niego trochę martwić.

- Spytam facetów na bramce i dowiem się, gdzie jest. Jeśli nie ma go w toalecie, pewnie siedzi razem z Mannym na dole. Chodź, pokazywanie toalety zawsze sprawia mi frajdę.

Zapukał do drzwi męskiej toalety, po czym wprowadził Jillian do środka i rozejrzał się szybko.

- Manny'ego tu nie ma, a to znaczy, że jest na dole. Umówmy się: dam ci dwieście pearl bucków, jeśli znajdziesz ukryte drzwi.

- Pearl bucki... Powiedz prawdę, Billy, czy z rozmysłem nazwałeś swoje pieniądze imieniem i nazwiskiem tej pisarki, czy był to przypadek?

- Poza miejscem, w którym ukryte są drzwi do piwnicy, to moja największa tajemnica. Powiem ci jednak, że moja mama, która ma osiemdziesiąt dziewięć lat, wciąż trzyma na ścianie mój dyplom z liceum James Madison.

- Rozumiem. Ale co ja zrobię z dwustu pearl buckami?

- Dobra, niech będzie trzysta.

Jillian westchnęła i zaczęła obchodzić łazienkę wzdłuż eleganckich czarnobiałych ścian. Zauważyła, że są nieskazitelnie czyste, a w pomieszczeniu nie ma żadnego przykrego zapachu. Jeśli chodzi o znalezienie ukrytych drzwi, od razu wiedziała, że nie ma szans. Pearl przyglądał jej się z ciekawością. Stał przy wejściu ze splecionymi na piersi ramionami, uśmiechając się z rozbawieniem.

- Poddaję się - powiedziała w końcu Jillian. - Będę musiała obejść się bez pearl bucków.

Pearl podszedł do rzędu umywalek i ujął jeden z pojemników na mydło, wykonanych z matowego plastiku.

- Popatrz...

Odwrócił pojemnik o sto osiemdziesiąt stopni zgodnie z ruchem wskazówek zegara, wyciągając jednocześnie z umywalki stalową zatyczkę. Ukryte w ścianie obok niego drzwi otworzyły się bezgłośnie. Niczym nie odróżniały się od wyłożonej czarnymi kafelkami ściany. Stojąca w odległości kilkudziesięciu centymetrów Jillian aż podskoczyła.

- Niesamowite! - zawołała ze zdumieniem.

- Kiedyś prowadziliśmy tam na dole poważne interesy - powiedział Pearl.

Czubkami palców pchnął drzwi, a potem zapalił światło, które ukazało prowadzące w dół drewniane schody. Jillian zeszła za nim do słabo oświetlonego przedpokoju z betonową podłogą. Musiała pochylić głowę, by nie uderzyć nią w nagą żarówkę wiszącą na zakurzonej przewodzie. Przez niewielką alkowę przeszli do znacznie większego pomieszczenia. Na plastikowych regałach stojących wzdłuż kamiennych ścian umieszczono pudła z papierowymi kubkami i innymi artykułami. Przy jedynej wolnej ścianie stało zardzewiałe metalowe łóżko z cienkim materacem. Spał na nim Manny Ferris. Jillian podziękowała w duchu Nickowi, że przygotował ją na widok jego zniekształconej twarzy.

- Hej, śpiochu - powiedział łagodnie Pearl. - Klienci zastanawiają się, gdzie jesteś. Zapomniałeś nastawić budzik?

Manny zaczął trzeć oczy i mrużyć coś, czego Jillian nie zrozumiała.

- Słyszałaś? - spytał Pearl. - Słyszałaś, jak mówi po arabsku?

- Co takiego? - zdumiała się Jillian.

- Po arabsku. Biedak ledwo potrafi złożyć dwa angielskie słowa, ale od czasu do czasu wyrzuca z siebie całe zdania po arabsku.

- Skąd wiesz, że to arabski?

- Mamy wielu arabskich klientów. Kiedyś jeden z nich go usłyszał. Powiedział, że mówi bez wyraźnego akcentu.

- Niesamowite - mruknęła Jillian.

- To jeden z powodów, dla których sądzę, że zrobiono mu pranie mózgu. Może to właśnie Arabowie coś mu zrobili, gdy tam walczył?

Oczy Manny'ego były szkliste od snu, ale Jillian podejrzewała, że nawet gdy już się zupełnie obudzi, ich wyraz się nie zmieni. Nick miał rację. Słowo „pustka” najlepiej oddawało stan Manny'ego Ferrisa.

Nick.

- Pójdę poszukać twojego przyjaciela - powiedział Pearl, jakby czytał w jej myślach. - Zostań tu z moim kuzynem. Nie martw się, jesteś bezpieczna.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ruszył schodami w górę.

- Cześć, Manny - odezwała się Jillian, starając się mówić bardzo spokojnie. - Szukałam cię. Chciałam z tobą porozmawiać o paru zdjęciach, które zrobiłam.

Manny popatrzył na nią.

- Muszę iść do pracy - wymamrotał.

- Oczywiście - odparła Jillian, pochodząc do niego. -

*

Ale zanim pójdziesz, chcę ci pokazać kilka zdjęć, które mam w aparacie. Przedstawiają Lincoln Memorial. Czy znasz tę budowlę?

Zobaczyła, że jego twarz blednie. Zrobił kilka ostrożnych kroków do tyłu i wcisnął się w róg pomieszczenia.

- Nie... tak... nie...

- Nie bój się, Manny, nikt nie zrobi ci krzywdy. Chcę tylko, żebyś pomógł mi zrozumieć, dlaczego nie lubisz Lincoln Memorial. Czy mogę ci pokazać te zdjęcia? Nie skrzywdzę cię, obiecuję.

- Nie chcę pomóc. - Jego głos był chropawy i napięty.

Jillian powoli wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Manny'ego. Nie próbował się wyrwać. Po chwili jego napięcie zaczęło słabnąć.

- Chodź - powiedziała. - Usiądź koło mnie.

Po kilku sekundach były żołnierz piechoty morskiej zrobił, o co go prosiła, i popatrzył na zdjęcia, które wcześniej wydrukowała.

- Czy coś w tych fotografiach cię niepokoi? Pomyśl, Manny, to ważne.

Nic.

Jillian zaczęła już tracić nadzieję, ale gdy doszła do zdjęć pomnika zrobionych z tyłu, napięcie Manny'ego wróciło. Pokazała mu ostatnie fotografie wykonane z drogi rowerowej po drugiej stronie Potomacu. Manny spojrzał na pierwszą z nich i zaczął płakać.

- Proszę... już nie...

Jillian czuła, jak przyspiesza jej puls. Uważnie przyglądała się Manny'emu.

- O to zdjęcie chodzi, prawda? To widok, który zapamiętałeś. Czy coś ci się przytrafiło po drugiej stronie rzeki?

*

- Proszę...

- Powiedz mi, Manny, co to było. Co ci się tam przytrafiło?

Ale Manny Ferris nie mógł albo nie chciał odpowiedzieć. Nagle na drewnianych schodach rozległy się kroki i w pomieszczeniu pojawił się szeroko uśmiechnięty Billy Pearl.

- Mój bramkarz Felix zapamiętał twojego przyjaciela z jego ostatniej wizyty w klubie i wyrzucił go. Czeka na ciebie po drugiej stronie ulicy. Felix powiedział, że mocno rozrabiał. Jesteś pewna, że to lekarz?

Jillian się roześmiała.

- Jeździ wielkim ambulansem i udziela porad medycznych biedakom.

- Niedobry Felix. Cóż, przynajmniej jedna tajemnica się wyjaśniła. Czy wydobyciś z Manny'ego to, co chciałaś?

- Nie jestem pewna - odparła. - Ale chyba wiem, gdzie powinnam zacząć szukać. Może skontaktuję się ze swoim szpitalem i zobaczę, czy któryś z lekarzy nie potrafiłby pomóc Manny'emu?

- Byłbym bardzo wdzięczny. Zawsze będziesz tu mile widziana. Powiem Feliksowi, żeby przyprowadził twojego przyjaciela. Drinki są na mój rachunek.

- Dziękuję - powiedziała Jillian. - Ale myślę, że wystarczy mu setka pearl bucków.

ROZDZIAŁ 22

Phillip MacCandliss nienawidził zoo. Nie chodziło o dzikie zwierzęta w niewoli, tylko o konkretne miejsce - Narodowy Ogród Zoologiczny przy Connecticut Avenue. Nienawidził tłumu i nieznośnych dzieciaków. Nienawidził chodzenia po ścieżkach zaśmieconych łupinami orzeszków ziemnych, byle jakiego jedzenia i tanich pamiątek. Najbardziej jednak nienawidził odoru dzikich zwierząt, sikających na słomę i otoczonych rojami much. Ten obrzydliwy smród przypominał mu wielu weteranów, którzy prześladowali go w biurze, domagając się zasiłków.

Podjeżdżał, że jego głęboka niechęć do tego miejsca sięga czasów, gdy był tu razem z Denise i dziewczynkami, zanim od niego odeszła i nastawiła córki przeciwko niemu. Nie miało to jednak znaczenia. Po prostu nienawidził tego miejsca, i tyle.

Nie miał pojęcia, czemu jego kontakt z CIA wybrał na miejsce spotkania zoo. Przypuszczał, że był to jedynie niefortunny zbieg okoliczności, ale mogło być również inaczej. i

Mieli swoje sposoby dowiadywania się różnych rzeczy. Na tym polegała ich praca.

Poza iPodem, który dotarł do niego w poczcie biurowej dzień po przyjęciu zlecenia, spotkanie w zoo było najbardziej szpiegowską rzeczą w jego życiu. iPod miał załadowaną jedną piosenkę, zatytułowaną po prostu Posłuchaj mnie. MacCandliss nauczył się z niej, jak używać iPod'a jako radia działającego w dwie strony, a także jak w razie kłopotów zaaranżować spotkanie z kontaktem. Piosenka zniknęła z iPod'a po jednym odsłuchaniu. Wszystko to bardzo przypominało Mission Impossible i MacCandlissowi podobało się, że w tym uczestniczy. Teraz jednak pojawił się kłopot.

Do tej pory MacCandliss nie korzystał z awaryjnego numeru. Wybrał go, a potem, słysząc buczek, odłożył słuchawkę i podłączył iPod'a do komputera - tak jak mu „kazano. v

Podłączenie dodało do playlisty w iPodzie nowy plik. Nie była to piosenka, tylko komputerowy głos podający miejsce w zoo i czas spotkania z kontaktem. MacCandliss jeszcze raz podłączył iPoda, by usunąć plik.

Zgodnie z instrukcjami wszedł do zoo punktualnie o jedenastej przez wejście z Parkingu B. Kupił pudełko cracker jack, po czym ruszył Olmsted Walk obok Centrum Badań nad Gadami. Właśnie tutaj kazano mu założyć słuchawki iPoda i czekać na dodatkowe instrukcje. MacCandlissa zdziwiła wczesna godzina spotkania, bo sądził, że sprzymierzeńcem agencji są tłumy. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził jednak, że już teraz po utwardzonych ścieżkach wędrują gromady ludzi, poza tym wybrali się tu chyba wszyscy uczniowie z gimnazjów i podstawówek w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od miasta.

Przypadek? Wątpliwe.

On sam znalazł się tu po raz pierwszy od ponad pięciu lat. Również ponad pięć lat temu ostatni raz widział Melisę, która teraz miała siedemnaście lat, i piętnastoletnią już Cassie. Nigdy więcej z nimi nie rozmawiał, ta suka już tego dopilnowała. Przez całe lata źle o nim mówiła i oskarżała go o przemoc, więc córki zachowywały się, jakby był kobrą. Teraz żałował jedynie, że nie bił Denise częściej, gdy byli małżeństwem. Przynajmniej wtedy dziewczyny miałyby o czym rozmawiać ze swoimi terapeutami.

Czuąc się, jakby włożył nowe buty, wędrował przez zoo. Zgodnie z prognozą dzień był bardzo ciepły, żałował więc, że nie włożył czegoś lżejszego. Przed otoczoną wysokimi szybami zagrodą goryli stał mniej więcej sześciolatek. W jednej ręce trzymał czerwony balonik, a w drugiej jakiś napój w zjadliwym lśniąco niebieskim kolorze, zabarwiającym również dół jego twarzy. MacCandliss nie miał do dzieci cierpliwości nawet wtedy, gdy jeszcze był ojcem. Kiedy się zbliżył, chłopiec przeszedł pod barierką i zapukał w szybę.

- Hej, gorylu! - zawołał. - Czy umiesz powiedzieć „cześć”?

Matka chłopca, skromnie ubrana, dość pulchna kobieta pod czterdziestkę, przykucnęła za malcem, zachęcając go do kolejnej próby. MacCandliss poczuł, że ogarnia go irytacja.

- To nie papuga - powiedział do chłopca. - To małpa, a małpy nie mówią.

Dzieciak drgnął i obejrzał się przez ramię, ale przy zbyt szybkim ruchu przypadkowo wypuścił balonik. MacCandliss przez chwilę patrzył na zmniejszającą się czerwoną kropkę.

Jeszcze jeden powód, by nienawidzić zoo, pomyślał. Balony.

- To nie było miłe - stwierdziła matka chłopca.

- Niemniej jednak, proszę pani, była to prawda - odparł, podając jej dziesięć dolarów.

- Życzę miłego dnia.

Prawda.

Jego praca polegała na odsiewaniu kłamstw od prawdy. Ilu weteranów rozdmuchało swoje symptomy psychiatryczne tylko po to, by okraść podatników via rząd? - zastanawiał się, odchodząc z poczuciem zwycięstwa. W swojej pracy w Biurze do spraw Weteranów najbardziej nienawidził tego, że musiał pomagać tym kłamcom. Robiło mu się wtedy niedobrze. Cieszył się, gdy mógł zablokować wypłatę zasiłków z tytułu stresu pourazowego i patrzeć, jak szybko rzekomo bezradny weteran znajduje pracę, z której może się utrzymać.

Oczywiście sprzeciwianie się tym mięczakom z zespołem stresu pourazowego nie było popularne w biurze, choć znał urzędników dzielących jego uczucia. Na zwierzchnikach najlepsze wrażenie robiło wspieranie tych oszustów. Należało więc postępować zgodnie z przepisami - dokładnie zgodnie z przepisami. Jak długo odmawianie zasiłku pasowało do przepisów, urzędnik, który najmniej ich przyznawał, najwięcej zyskiwał.

Ale wiele lat temu telefon od Jerycha pokazał mu, że istnieją drogi na skróty, jeśli ktoś chce podjąć pewne ryzyko. Przyjęcie propozycji Jerycha nie wymagało specjalnego wysiłku.

Teraz jednak, po raz pierwszy od podjęcia współpracy, jego przyszłość okazała się zagrożona. W Biurze do spraw Weteranów przy Vermont Avenue doszło do naruszenia zasad bezpieczeństwa.

Poprawił słuchawki iPoda.

- Halo? - odezwał się cicho. - Jest tam kto?

Cisza.

Szedł dalej Olmsted Walk, czekając na dalsze instrukcje. Nie był pewien, czego ma się spodziewać. Przechodził właśnie pod grubymi, wysoko zawieszonymi drutami, po których orangutany przechodziły nad drogą z jednej klatki do drugiej, gdy w słuchawkach odezwał się głęboki męski głos:

- Spójrz w górę.

MacCandliss zrobił, jak mu polecono, i zobaczył trzy okropnie brzydkie orangutany przesuwające się łapa za łapą od Think Tanku do Domu Wielkich Małp po drugiej stronie ścieżki.

- Piękne stworzenia, prawda? - powiedział głos. - Chciałem, żebyś je zobaczył.

- Gdzie jesteś? - spytał MacCandliss.

- Niedaleko. Nie musisz wiedzieć nic więcej.

- Jerycho?

- Możesz mnie tak nazywać, jeśli sobie życzysz. Idź przed siebie i nie mów tak głośno. Twój iPod został skonstruowany przez ludzi, którzy wiedzą, co robią. Nie poruszaj za

bardzo ustami, będziesz wtedy wyglądać, jakbyś nucił coś pod nosem, rozumiesz?

Płaszcz i szpada, pomyślał MacCandliss. Ci faceci uwielbiają zabawy spod znaku płaszcza i szpady. Nie potrafił powiedzieć, czy to ten sam człowiek zadzwonił kiedyś do niego pod zastrzeżony domowy numer, oferując mu szansę przysłużenia się krajowi i zasilenia swojego konta bankowego. W zamian za jego usługi obiecano mu awans i znacznie lepszą pensję. Dwa dni później przełożony poinformował go, że przechodzi na wyższe stanowisko.

- Idź na wyspę lemurów - powiedział głos.

- Czy to te zwierzęta, które chodzą wszędzie razem? Nawet razem spadają ze skał?

- To lemingi, panie MacCandliss. Ale to mit, że popełniają masowe samobójstwo.

Najwyraźniej nie jest pan wielbicielem zwierząt.

- Tylko jeśli są średnio wysmażone i z cebulą.

- No dobrze, panie MacCandliss. Proszę założyć, że pana widzę. Niech się pan zatrzyma, gdy dojdzie pan do wyspy lemurów, i podczas naszej rozmowy patrzy na zwierzęta. Nie wolno się panu obejrzeć. Proszę nie próbować zgadywać, kim jestem ani gdzie jestem. Zrozumiano?

MacCandliss ogarnął gniew. Traktowali go jak jednego ze swoich tylko wtedy, kiedy im to odpowiadało. Cóż, byli anonimowi, a on mógł wpaść, jeśli jak najszybciej nie zrobi się czegoś z tym naruszeniem bezpieczeństwa. Teraz mógł jedynie postępować zgodnie z instrukcjami Jerycha i podać im kilka nazwisk. Być może czas podnieść stawkę za swoje usługi.

Gdy znalazł się przy wyspie lemurów, w słuchawkach znów odezwał się głos.

- Zawiadomił nas pan, że musi z nami porozmawiać.

- Na cotygodniowym spotkaniu personelu w moim biurze rozmawialiśmy o środkach bezpieczeństwa przedsięwziętych w następstwie włamania komputerowego w budynku przy Vermont Avenue.

- Nie słyszałem o tym.

- Ja też nie. Potem jednak przeczytałem oficjalny raport.

- I co?

- Młody czarny mężczyzna, używający podrobionego identyfikatora, włamał się do komputera specjalisty do spraw rachunkowości niskiego szczebla, a potem podczas ucieczki omal nie został złapany. Specjaliści od przestępstw komputerowych odszukali pliki, które były otwierane, i napisali o tym w swoim raporcie. Intruz szukał Manuela Ferrisa, jednego z naszych ludzi. - Zapadła cisza. - Wciąż tam jesteś?

- Jestem. Czy wiesz, kim był ten młody mężczyzna?

- Nie, mam jednak kopię taśmy z kamery. Wygląda jak chłopak, nastolatek, ale nie wiem, kim jest. Jak to zawsze bywa ze sprzętem z epoki kamienia łupanego, który przydzielają Biuru do spraw Weteranów, kamera nie zarejestrowała wyraźnego obrazu jego twarzy.

- Czy masz ze sobą tę taśmę?

- Oczywiście.

Żadnego „dobra robota” albo „świetnie się sprawiłeś”.

- Poradzimy sobie z tym niewyraźnym obrazem - powiedział głos. - A teraz słuchaj uważnie. Włóż taśmę do pudełka cracker jack i wrzuć do kosza na śmieci po lewej. Potem wyjdź z parku tak, jak wszedłeś. Skontaktujemy się z tobą.

- To wszystko?

- Tak, to wszystko.

- Słuchaj, przestało mi się to podobać. Ludzie od przestępczości komputerowej dobrze wiedzą, co robią. A ja bardzo się dla was starałem. Mogą powiązać mnie z Ferrisem.

- Powiedziałem, że się z tobą skontaktujemy.

- To mi nie wystarczy - stwierdził MacCandliss, czując, że zaczyna się nerwowo pocić. - Chcę informacji. Chcę wiedzieć dokładnie, w jakim celu nadstawiam karku.

- Obiecaliśmy ci awans i go dostałeś. rachunkowości niskiego szczebla, a potem podczas ucieczki omal nie został złapany. Specjaliści od przestępstw komputerowych odszukali pliki, które były otwierane, i napisali o tym w swoim raporcie. Intruz szukał Manuela Ferrisa, jednego z naszych ludzi. - Zapadła cisza. - Wciąż tam jesteś?

- Jestem. Czy wiesz, kim był ten młody mężczyzna?

- Nie, mam jednak kopię taśmy z kamery. Wygląda jak chłopak, nastolatek, ale nie wiem, kim jest. Jak to zawsze bywa ze sprzętem z epoki kamienia łupanego, który przydzielają Biuru do spraw Weteranów, kamera nie zarejestrowała wyraźnego obrazu jego twarzy.

- Czy masz ze sobą tę taśmę?

- Oczywiście.

Żadnego „dobra robota” albo „świetnie się sprawiłeś”.

- Poradzimy sobie z tym niewyraźnym obrazem - powiedział głos. - A teraz słuchaj uważnie. Włóż taśmę do pudełka cracker jack i wrzuć do kosza na śmieci po lewej. Potem wyjdź z parku tak, jak wszedłeś. Skontaktujemy się z tobą.

- To wszystko?

- Tak, to wszystko.
- Słuchaj, przestało mi się to podobać. Ludzie od przestępczości komputerowej dobrze wiedzą, co robią. A ja bardzo się dla was starałem. Mogą powiązać mnie z Ferrisem.
- Powiedziałem, że się z tobą skontaktujemy.
- To mi nie wystarczy - stwierdził MacCandliss, czując, że zaczyna się nerwowo pocić. - Chcę informacji. Chcę wiedzieć dokładnie, w jakim celu nadstawiam karku.
- Obiecaliśmy ci awans i go dostałeś.
- To za mało. Niewykluczone, że moje bezpieczeństwo zostało wystawione na szwank. Jeśli ludzie od komputerów zaczną kopać, mogą zechcieć mnie przesłuchać. Muszę wiedzieć, w co jestem wplątany. Nie wiem, jak głęboko to sięga, ale pewnie całkiem głęboko. Zapomnijcie o awansach. - MacCandliss sam nie wierzył, że to mówi. - Muszę dostać gotówkę i informacje, inaczej zadzwonię do komputerowców, zanim oni zadzwonią do mnie.
- Rozumiem. A jakiej wysokości... hm... premię uważałbyś za właściwą?
- Pół miliona powinno pokryć to, co straciłbym z emerytury, jeśli będę musiał się związać - odparł MacCandliss.
- Dziękuję za zwrócenie naszej uwagi na tę kwestię, panie MacCandliss. Rozumiem pana stanowisko i dopilnuję, by ktoś zajął się pańską sprawą. Na pewno tego nie zlekceważymy.
- Mówię śmiertelnie poważnie - oświadczył MacCandliss.
- Och, my też.

ROZDZIAŁ 23

Gdy zadzwonił telefon - fuga organowa gmoll Bacha, którą Koller przypisał temu numerowi - wiedział, że to Jillian Coates dzwoni do Paula Regisa. Odebrał po piątym dzwonku, już całkowicie przygotowany.

- Słucham? - powiedział, przypominając sobie tamten dzień w jej spalonym domu i szczegóły, dzięki którym zaufała inspektorowi ubezpieczeniowemu.

- Halo? Czy to ty, Paul?
- Tak - odparł Koller. - Czym mogę służyć?
- Mówi Jillian Coates. W zeszłym tygodniu byłeś u mnie w domu.
- Jillian! Oczywiście. - Koller postarał się, by w jego głosie słychać było zaskoczenie i radość. - Co mogę dla ciebie zrobić?
- Słuchaj, rozmawiałam ze znajomym. Właściwie to on chyba jeszcze nie jest

znajomym, bo dopiero się poznaliśmy.

Mówiła o doktorze Nicku Garritym. Koller śledził ją aż do ambulansu „Pomocnych Dłoni”, ale po godzinie czekania miał dość, wrócił do hotelu i zajął się sprawdzaniem Garrity’ego. Wiedział już o tym dawnym lekarzu wojskowym i jego działalności medycznej wystarczająco dużo, by być pewnym, że Garrity nie stanowi żadnego zagrożenia.

- I co? - zapytał, stukając palcami w biurko. - Czy ten nowy znajomy ma coś wspólnego ze mną?

- Nie - odparła Jillian z nieco wymuszonym śmiechem. - Poszłam się z nim spotkać, ponieważ... ponieważ mamy wspólnych przyjaciół. Przy okazji wspomniałam o pożarze i o tym, że fakt, iż moja siostra została zamordowana i zaraz potem spalił się mój dom, wydaje mi się czymś więcej niż przypadkiem. Zgodził się ze mną i obiecał porozmawiać z przyjacielem, który jest detektywem w waszyngtońskiej policji.

- Czy znasz nazwisko tego detektywa? - zapytał Koller, wyginając mocno gumkę.

Głupie Jerycho.

- Nie znam - przyznała Jillian. - Chciałam tylko spytać, czy mógłbyś mi przysłać kopię swojego raportu. Mój znajomy uważa, że jego przyjaciel powinien go przeczytać.

- Oczywiście. Gdzie się zatrzymałaś?

Jillian podała mu adres akademika pielęgniarek, który już znał.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, Paul. Czy przewidujesz wizytę w Waszyngtonie w najbliższej przyszłości?

- Zobaczę, co mi się uda zrobić.

- Wciąż szukam czegoś, co wskazałoby mordercę Belle, i wykorzystałam już większość urlopu, ale jak tylko trochę zwolnię tempo, zadzwonię do ciebie, dobrze?

- Bardzo dobrze - odparł Koller, zastanawiając się, dlaczego nie powiedziała, jak poznała Garrity’ego. - Zrobię kopię raportu i wyślę ci ją jutro.

- Dzięki, Paul. Jesteś wspaniały.

- Nie, Jillian Coates, to ty jesteś wspaniała.

ROZDZIAŁ 24

- To łatwe - stwierdził Reggie. - Dajcie mi coś naprawdę trudnego.

Siedział przed dwoma monitorami komputera stojącymi obok siebie na prowizorycznym biurku zrobionym z pustaków i desek. Jego palce szybko biegały po dwóch klawiaturach równocześnie. Nick nie mógł uwierzyć, że zna tego chłopaka od ponad dwóch

lat i przez cały ten czas nic nie wiedział o jego niezwykłym komputerowym talencie.

Manny Ferris, wspomagany przez Jillian, zdołał na tyle przełamać swoje opory, by wybrać widok, który szczególnie go niepokoił - Lincoln Memoriał od tyłu. Teraz należało określić, gdzie dokładnie wtedy przebywał i dlaczego.

Nick, Jillian i Junie tłoczyli się za chudym nastolatkiem, który był prawdziwym cyfrowym mistrzem. Siedząc wygodnie na zniszczonym obrotowym krześle, wyraźnie się popisywał. Nick czuł bliskość Jillian, nacisk jej ramienia na swoje i świeży zapach jej włosów. Wiedział, co się z nim dzieje, ale po tylu latach z trudem przychodziło mu w to uwierzyć.

Fotografia, którą wybrał Ferris, okazała się dla Reggiego wystarczającą informacją. Zaczął od map Google i wprowadził do komputera jakiś własny program. Kiedy w końcu odtworzył drzewa rosnące wzdłuż Potomacu, wystarczyły mu trzy minuty, by zlokalizować budynek, będący jego zdaniem jedynym miejscem, z którego Manny Ferris mógł widzieć tył Lincoln Memoriał po drugiej stronie rzeki.

- Voilà - oznajmił triumfalnie. - To tu.

Nacisnął jeszcze jeden klawisz i obraz na obu monitorach się zmienił, ukazując ten sam budynek. Nick i Jillian pochylili się, by lepiej mu się przyjrzeć, a Reggie zaczął go powiększać, klikając myszką.

- Możesz mi wyjaśnić, jak do tego doszedłeś? - spytał Nick.

- Wykorzystałem bazę obrazów Google. Można tam znaleźć różne zdjęcia, przedstawiające szczegóły ulic, terenu, drzewa, a nawet obrazy z satelity. Gdy w pole wyszukiwarki wpisałem Lincoln Memoriał, mogłem posłużyć się mapą hybrydową i zdjęciami satelitarnymi, by znaleźć budynki położone na tej samej szerokości geograficznej. Biorąc pod uwagę odległość, napisałem program, który obliczył, jak wysoki musiałby być budynek, z którego miałyby się taki widok. To ograniczyło wybór do tego obiektu. Znajduje się on w Arlington w stanie Wirginia. Zrozumiałeś?

- Oczywiście - odparł z powagą Nick. - Ostatecznie jestem doktorem medycyny.

- Mieszkam zaledwie kilka kilometrów stamtąd - zdziwiła się Jillian. - I chyba znam ten budynek.

Kolejnym kliknięciem myszki Reggie zmienił widok. Teraz, zamiast patrzeć na budynek z góry, z perspektywy satelity, widzieli go z poziomu ulicy, jakby przed nim stali.

- Och, sięc to piękna rzecz - zanucił cicho Reggie. - Piękna rzecz, piękna rzecz.

- Niesamowite - mruknął Nick. - Kiedyś myślałem, że wiem wszystko o informatyce. Ale te rzeczy są dla mnie jak magia.

- Po prostu nie dorastałeś z tym, i tyle - powiedziała Jillian.

- To prawda. Dla mnie Pong to była rewolucja.

- Pong? - spytał Reggie.

- Nieważne - odparli równocześnie Nick i Jillian, wymieniając rozbawione spojrzenia.

Nick nie mógł oderwać od niej oczu. Była pełna życia, swobodna, emanowała naturalną energią i wdziękiem. Jednak gdy tylko ogarnęło go pragnienie, by wziąć ją w ramiona, w jego głowie pojawił się obraz Sarah.

Jeszcze nie jestem gotów, powiedział sobie. Ale te słowa zabrzmiały jeszcze bardziej pusto niż zazwyczaj.

- Reggie, czy możesz trochę przybliżyć? - spytała Jillian. - Chyba wiem, co to za budynek.

- Już się robi - powiedział Reggie i znów zmienił widok.

- Naprawdę go znam. Wiele razy przejeżdżałam obok niego na rowerze. To Spa Medyczne. Wydaje mi się, że przeprowadzają tam również operacje plastyczne.

- Operacje plastyczne? - powtórzył Nick z namysłem. - Założę się, że Manny był ich pacjentem.

- Poczekajcie, zaraz znajdę adres, a wtedy będę mógł sprawdzić nazwę instytucji, która się tam mieści - powiedział Reggie.

W ciągu kilku sekund znalazł nie tylko nazwę instytucji i adres, ale także stronę internetową firmy.

- Spa Medyczne i Centrum Chirurgii Kosmetycznej doktora Singha, Andover Avenue sto sześćdziesiąt siedem, Arlington, Wirginia - przeczytał Nick. - Piszą tu, że właścicielem tego wszystkiego jest znany na całym świecie chirurg plastyczny Paresh M. Singh.

- Spójrz na jego zdjęcie - powiedziała Jillian. - Wygląda bardzo sympatycznie. Podobają mi się te dziadkowe okulary.

- I co teraz? - spytała Junie.

- Mógłbym sobie dać zoperować nos - zasugerował Nick - i przy okazji obejrzeć to miejsce.

Junie i Reggie się roześmieli.

- Czekał, może to wcale nie jest taki zły pomysł - stwierdziła Jillian. - Musimy dostać się do budynku i rozejrzeć, więc najlepiej byłoby spróbować go zwiedzić.

Junie pokiwała głową.

- A będziesz chciała go zwiedzić, ponieważ...

- Ponieważ zamierzam poddać się operacji i zanim się zdecyduję, gdzie ją

przeprowadzić, chcę obejrzeć kilka najlepszych ośrodków chirurgii plastycznej.

- A twój mąż, pan Gruby Portfel, oczywiście zechce ci towarzyszyć - dodała Junie.

- Mąż? - spytał zdziwiony Nick.

- Zawsze uważałam, że jesteś dobrym kandydatem.

- Bardzo mnie to cieszy - mruknął. - Dzięki za propozycję.

Przez chwilę panowała cisza.

- Junie ma rację, doktorze - powiedziała Jillian. - Jeśli naprawdę chcemy się czegoś dowiedzieć, powinniśmy działać w zespole.

- Nie w zespole, tylko jako małżeństwo - poprawiła ją Junie. - Bogate małżeństwo, w którym mąż chce nieco ulepszyć swoją piękną żonę. Dziewięćdziesiąt procent kobiet, które poddają się operacjom plastycznym, wcale tego nie potrzebuje, więc nie wzbudzimy podejrzeń. Jak sądzisz, Reggie?

Kopnęła podstawę krzesła Reggiego, który podskoczył lekko.

- Absolutnie - odparł. - Na pewno powinniście wystąpić jako małżeństwo. Jasne. Ale musicie się zacząć odpowiednio zachowywać.

- O co ci chodzi, Reggie? - spytał Nick, rzucając mu ostre spojrzenie.

- O to, że lepiej, no wiesz, zachowujcie się jak para. Całujcie się i tak dalej, żeby to wyglądało przekonująco, rozumiesz?

- Bardzo dobrze, Reggie - powiedziała Junie, przejmując pałeczkę. - Chłopak ma rację. Jeśli nie przekonacie nas, że jesteście małżeństwem, to nie przekonacie także chirurga plastycznego.

Nick rzucił jej niechętne spojrzenie, ale ona uśmiechnęła się tylko i pokiwała dłonią. Przeniósł spojrzenie na Jillian, która nerwowo przestępowała z nogi na nogę, nie próbowała jednak protestować.

- Jesteście śmieszni - stwierdził. - Po prostu śmieszni. Nie musimy ćwiczyć, żeby...

Zaskakując nawet samego siebie, objął Jillian w pasie i przechylił ją do tyłu jak w tańcu. Potem pocałował ją w usta.

Przez chwilę Jillian patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, ale zaraz je zamknęła i lekko rozchyliła wargi. Nick przesunął dłonią wzdłuż jej pleców i podtrzymał głowę. Włosy Jillian spływały jak jedwab między jego palcami. Dwie sekundy, dziesięć, minuta... Nick nie wiedział, jak długo trwał ten pocałunek, ale jego nieśmiałość zniknęła już w pierwszej chwili. Z ociąganiem pomógł Jillian się wyprostować i wciąż obejmując ją w pasie, odwrócił się do Junie.

- No i co? Czy uważasz, że to było wiarygodne? - spytał.

- Jak dla mnie tak - wysapała Jillian, odrzucając włosy z czoła i biorąc głęboki oddech.

- Popatrzcie! - zawołał Reggie. - Na swojej stronie internetowej proponują wirtualne zwiedzanie budynku. To miejsce wygląda bardzo wytwarnie.

Junie przyjrzała się uważnie centrum doktora Singha. Na obu monitorach widać było obszerny biały marmurowy hol z fontanną pośrodku i kilkoma obrazami w złotych ramach na ścianach. Był tam też duży portret samego doktora Singha.

- Będziemy musieli przyjechać jakąś wypasioną bryką - powiedział Nick. - Na pewno nie tym złomem, którym teraz jeżdżę.

- Można wypożyczyć - odparła Junie. - Sfinansuję to.

- Najpierw musimy umówić się na wizytę - stwierdził Nick.

Jillian wyciągnęła z torebki telefon i wybrała numer centrali. Włączyła głośnik i uniosła palec do ust, przypominając pozostałym, że mają być cicho. Po trzecim dzwonku odebrała kobieta mówiąca z brytyjskim akcentem.

- Dzień dobry, dodzwonili się państwo do Spa Medycznego i Centrum Chirurgii Kosmetycznej doktora Singha. Mówi Daintry Calnan. Czym mogę służyć?

- Nazywam się Collins, jestem żoną Jeffersona Collinsa - powiedziała Jillian. - Zamierzam poddać się operacji plastycznej, więc chciałabym umówić się na zwiedzanie waszego ośrodka i ewentualnie spotkać z doktorem Singhem.

- Kto panią do nas skierował? - spytała Daintry.

- Och, jakiś lekarz, którego spotkałam na przyjęciu u moich przyjaciół Bronsteinów - odparła swobodnie Jillian. - Za żadne skarby świata nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska. Kiedy mu powiedziałam, co mój mąż... to znaczy, co sama bym chciała zmienić, powiedział, że najlepszym miejscem jest wasze centrum.

- Wielu ludzi tak uważa - odparła recepcjonistka. - Mamy wolny termin konsultacji z doktorem Singhem za trzy tygodnie. Obejmuje to także zwiedzanie całego ośrodka.

- Och, trzy tygodnie to dla mnie za długo. Obawiam się, że to niemożliwe. Miałam nadzieję obejrzeć wasze centrum jutro, bo tylko wtedy mam czas. Pracuję jako ochotniczka w szpitalu dziecięcym, wie pani, więc jeśli nie jutro, to chyba będę musiała poszukać gdzie indziej.

- Jak powiedział pani ten lekarz u pani przyjaciół, w dziedzinie chirurgii estetycznej nasz ośrodek jest uważany za najlepszy. Czy mogę spytać, co konkretnie miała pani na myśli? Jakie zabiegi?

- No... kilka - odparła wymijająco Jillian.

- Kilka?

- Tak, zastanawiam się nad dość znaczną zmianą ale wolałabym nie rozmawiać o tym przez telefon.

- Pani Collins, czy zdaje sobie pani sprawę, że wykonywane u nas operacje plastyczne zazwyczaj kosztują dziesiątki tysięcy dolarów i nie pokrywa tego ubezpieczenie? Poza tym potrzebny jest przynajmniej tygodniowy pobyt w naszym bardzo ekskluzywnym hotelu w spa.

- Tak, jestem tego świadoma. Oczywiście po ośrodku

O takiej opinii jak wasz nie spodziewałabym się niczego innego. To prezent od mojego męża. Wie pani, on wymyśla programy komputerowe. Potem tworzy firmę, sprzedaje ją

I znów tworzy nową. Ostatnia sprzedaż była piątą... nie, szóstą transakcją tego typu.

Przez chwilę w aparacie panowało milczenie.

- Hm... No dobrze, w takim razie proszę chwilę poczekać.

Z głośnika telefonu komórkowego Jillian zaczęła płynąć muzyka klasyczna. Jillian uniosła palec do ust, by przypomnieć wszystkim o konieczności zachowania ciszy. Piętnaście sekund później Daintry ponownie się odezwała.

- Mam dobre wiadomości - oświadczyła. - Wygląda na to, że ktoś odwołał jutrzejszą wizytę, a jeszcze nie wprowadzono tego do naszego systemu komputerowego. Jutro po południu, czy to państwu odpowiada? Powiedzmy, o trzeciej?

- W porządku, może być o trzeciej - odparła Jillian, pokazując swoim słuchaczom uniesiony kciuk.

Zamknęła telefon komórkowy po ustaleniu szczegółów zwiedzania i otrzymaniu wskazówek, jak dojechać z McLean w Wirginii. Cała trójka stojąca wokół niej wymieniła zdumione spojrzenia.

- Byłaś wspaniała - stwierdził w końcu Nick. - Absolutnie wspaniała.

- Grałam Blanche w szkolnym przedstawieniu Tramwaju zwanego pożądaniem. Reggie, proszę, czy mógłbyś zapisać „Jillian i Jefferson Collins”, żebyśmy nie zapomnieli naszych nazwisk?

- Pożyczę ci moją ślubną obrączkę - zaofiarowała się Junie.

ROZDZIAŁ 25

Nastrój Franza Kollera poprawił się, gdy tylko lekarka zaczęła się poruszać. Kwas czterohydroksybutanowy, jeden z nowszych specyfików, zwany także GHB, a potocznie „pigułką gwałtu”, powoli przestawał działać. Przygotowanie tej inscenizacji okazało się

łatwiejsze, niż się spodziewał. Znacznie łatwiejsze. Główny problem polegał na tym, że poza praktyką chirurgiczną i zobowiązaniami akademickimi doktor Abigail Spielmann prowadziła właściwie egzystencję mniszki.

Obserwował ją przez pięć dni. Trzykrotnie wchodził do jej segmentu z czerwonej cegły na East Side, za każdym razem bez problemu wyłączając stary system alarmowy. W gabinecie na pierwszym piętrze i w sypialni na drugim piętrze zainstalował mikrokamery, szukając jakiegokolwiek śladu sekretnej egzystencji, jakiegokolwiek dewiacji, którą mógłby wykorzystać. Stwierdził jednak, że ma do czynienia z nudną pięćdziesięcioletnią samotną kobietą, najwyraźniej całkowicie aseksualną. Wracała do domu codziennie około dziewiątej wieczorem, nalewała sobie kieliszek drogiego syrahu i szła pracować do gabinetu. O dziesiątej, skończywszy wino, wchodziła do łazienki, potem kładła się do łóżka, czytała przez dziesięć czy piętnaście minut książkę - ostatnio była to biografia Indiry Gandhi - i zasypiała. Nad ranem budziła się na chwilę, szła do łazienki, po czym wracała do łóżka.

Nuda. Straszliwa nuda.

Podczas drugiej wizyty, oglądając kuchnię, odkrył wreszcie słabą stronę pani doktor. Na kuchennym kontuarze stała zakorkowana, do połowy opróżniona butelka syrahu, a w lodówce znajdował się zestaw anafilaktyczny z automatyczną strzykawką wypełnioną epinefryną, antidotum przeciwko jadowi pszczelemu.

Doktor Spielmann, światowy autorytet w dziedzinie chirurgii nowotworów złośliwych mięśnia sercowego, miała piętę achillesową.

Koller zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił błędu przy obliczaniu ilości GHB, którą wrzucił do wina. Okres półrozpadu tego narkotyku wynosił niecałe pół godziny. Był piątkowy wieczór, więc zanim ktokolwiek odkryje ciało, nie pozostanie w nim nic, co mogłoby wzbudzać podejrzenia. Zgodnie z jego oceną, lekarka już godzinę temu powinna była dość do siebie, Koller wiedział jednak, że to opóźnienie nie wpłynie na jego plany. Pszczoły w zakręconym słoiku doskonale się czuły.

Spielmann próbowała usiąść, ale nie była w stanie, bo Koller przymocował kostki i przeguby swojego „obiekta” do słupów mahoniowego łóżka, używając taśmy z rzepami. W ustach kobiety umieścił małą czerwoną piłeczkę, by nie mogła krzyknąć. Niezrozumienie i strach, które nagle pojawiły się w jej oczach, podniecały go tak bardzo, że poczuł zawrót głowy.

- Dobry wieczór, pani doktor - zaczął. - Nazywam się Koller, Franz Koller. To zaszczyt poznać tak wybitną lekarzkę.

Spielmann próbowała krzyknąć, ale wydobyła z siebie jedynie zduszony szloch.

Po wyłączeniu systemu alarmowego otwarcie zanika drzwi frontowych było dziecinnie proste. Poznawanie zwyczajów lekarki Koller zaczął od tego, że usiadł za nią w ogromnej szpitalnej kafeterii, wyciągnął ukradkiem z jej torby klucze, odcisnął je w plastelinie i wrzucił z powrotem. Wykorzystując odcisk, wykonał duplikaty kluczy ze spłaszczonych puszek po napojach gazowanych. Potem, podczas pierwszej wizyty u pani doktor, pomagając sobie kluczem francuskim, zdołał je wsunąć do zamka i obrócić. Nauczył się tego dawno temu od znajomego ślusarza, który powiedział, że przyniesienie ślusarzowi odcisku w plastelinie to jak podanie o zawiadomienie policji.

Lekarka wciąż walczyła z przytrzymującymi ją taśmami - bardzo dzielnie, ale bez efektu. Koller, ubrany jak chirurg, położył dłoń w rękawiczce na jej ramieniu. W drugiej ręce trzymał zestaw anafllaktyczny, który właśnie wyjął z jej torebki. Upewnił się, czy go widzi.

- Wie pani, co to jest, doktor Spielmann? - zapytał. - Sam zestaw nie jest przerażający, ale to...

Pochylił się nad brzegiem łóżka i podniósł słoik z ośmioma dużymi pszczołami. Przez ciało Spielmann przebiegł dreszcz, a na jej czole pojawiły się krople potu, które spłynęły do oczu. Każda pszczoła obwiązana była białą nitką. Końce nitek zwisały po zewnętrznej stronie zakręconego słoika jak ramiona ośmiornicy. Chwyciwszy jedną nitkę, Koller odkręcił słoik, wyciągnął pszczołę i szybko zamknął go z powrotem, zanim pozostałe owady zdążyły uciec.

- Czy widziała pani kiedyś pszczołę na smyczy, doktor Spielmann? To zabawny widok. I bardzo łatwo to zrobić. Wkłada się pszczołę do pojemniczka po błonie fotograficznej i zamraża przez jakieś dziesięć minut. Owad na skutek zimna traci przytomność, więc opiekun może zawiązać nitkę wokół jego ciała, nie narażając się na uządlenie. Oczywiście mnie by to jedynie zabolalo, ale panią bez epinefryny czeka śmierć.

Spielmann rzucała się na łóżku, usiłując uwolnić. Koller pociągnął za nitkę, prowadząc bzyzącą pszczołę latającą nad jego głową do obnażonego prawego ramienia lekarki.

- Na pani miejscu bym nie walczył - powiedział - bo nasza mała przyjaciółka może się zdenerwować. I lepiej, żeby pani nie krzyczała, kiedy wyjmę tę piłeczkę. Mogłoby się wtedy zdarzyć coś nieprzyjemnego.

Jak zwykle uważał, by nie dotknąć zębów ofiary, gdy wyciągał jej z ust czerwoną piłkę. Pszczoła, być może zmęczona po krótkim locie, spacerowała po ramieniu Abigail, która z trudem oddychała.

- Co... czego... czego pan chce? - wykrztusiła w końcu.

- Chcę przez chwilę porozmawiać - odparł Koller. - Ale jeśli spróbuje pani krzyczeć,

piłeczka wróci na swoje miejsce razem z pszczołą. Rozumie pani?

- Tak - szepnęła chrapliwie. - Czego pan chce? Mam pieniądze.

- Dobrze mi płacą za to, co robię - powiedział Koller. - Ale dziękuję. Przede wszystkim chcę, aby pani wiedziała, jak wielkie wrażenie zrobiły na mnie pani dokonania, pani doktor.

- Ja... nie rozumiem... - wyjąkała Abigail.

- Jest pani pionierką techniki chirurgicznej wykorzystującej roboty, która z pewnością będzie pani trwałym wkładem w rozwój medycyny. Dobrze zapisze się pani w historii, doktor Spielmann. Mam nadzieję, że pani to wie.

Pszczoła wystartowała z ramienia lekarki i przez chwilę tańczyła nad jej głową, zanim ponownie usiadła - tym razem na kołdrze. Spielmann śledziła owada ze strachem w oczach. Pszczoła powoli przeszła na jej ramię, potem wspięła się po szyi na twarz i znów uniosła w powietrze.

- Proszę... przestać...

- Widzi pani, mamy ze sobą wiele wspólnego - mówił dalej Koller. - Całe nasze życie to praca. Żadne z nas nie ma dzieci. Nigdy nie zawracaliśmy sobie głowy małżeństwem. Nie, naszą namiętnością były nasze kariery, a pani wspaniale sobie poradziła.

- Zapłacę panu, żeby pan stąd wyszedł - szlochała Abigail. Łzy spływały jej po policzkach.

- Nasza praca to nasze dzieci. Dzieło miłości, prawda, pani doktor? Ale czy kiedykolwiek zatrzymała się pani, by w pełni docenić każdą chwilę dnia? Czy gdy wycina pani swoim robotem te paskudne sercowe nowotwory, zadaje sobie pani czasem pytanie, czy przypadkiem nie jest to ostatnia wykonywana przez panią operacja? I czy gdyby pani wiedziała, że jest ostatnia, zachowywałaby się pani inaczej niż przy wcześniejszych operacjach? Może delektowałaby się pani każdym cięciem i każdym szwem tak jak nigdy przedtem?

- Czemu pan chce to wiedzieć? - zapytała drżącym głosem.

Pszczoła usiadła na Kollerze, który nawet się nie skrzywił.

- Widzi pani, ja często myślę o tych rzeczach - odparł. - Zadaję sobie wtedy pytanie, czy to ostatni raz, czy nigdy więcej nie będę tego robić? Większość rodziców nie pamięta nocy, podczas której po raz ostatni nieśli swojego zmęczonego aniołka do łóżeczka, ale ta noc nadchodzi. Tak samo jak wschód i zachód słońca. Szkoda, gdy jakaś ważna chwila mija niezauważona. Nie pozwolę, by mi się to przytrafiło.

Z powrotem wsunął piłeczkę do ust Spielmann. Używając nici, skierował pszczołę na

jej ramię, a potem przycisnął owada do ciała kciukiem i palcem wskazującym. Choć robił to ostrożnie, zgniótł pszczołę, zanim zdążyła użądlić.

- Psiakość! - zaklął, wycierając chusteczką małą plamę. - Dobrze, że mam rezerwę.

Wyciągnął ze słoika drugą pszczołę i przez chwilę obserwował podążającą za owadem nitkę.

- Zdarzało się mi się już zabijać chirurgów - powiedział. - Zrobiłem to dwa razy, nie wiem jednak, czy jeszcze kiedyś zostanę wynajęty do zabicia kolejnego chirurga. A to by oznaczało, że jest pani ostatnim chirurgiem, jakiego zabiję. - Zamilkł na chwilę. - Tak więc muszę jak najintensywniej przeżyć ten moment. Tego nie da się opisać. Zapachu pani mieszkania, pani strachu... Jeśli się wierzy, że być może robi się coś po raz ostatni, trzeba podchodzić do tego z odpowiednim szacunkiem. Być może nie będzie pani moim ostatnim chirurgiem, a być może będzie.

Pociągnął za nitkę obwiązującą pszczołę i owad usiadł w miękkim trójkątnym zagłębieniu na szyi Spielmann. Lekarka gorączkowo próbowała odgonić pszczołę, przechylając głowę mi i napinając mięśnie szyi, ale Koller przytrzymał owada. Skrzydełka pszczoły szybko trzepotały, a małe nogi bezradnie maszerowały, gdy próbowała się uwolnić.

A potem, prawdopodobnie ze strachu, użądliła.

Próbując uciec, wyrwała sobie część podbrzusza, pozostawiając żądlą i torebkę ze śmiertelną trucizną. Robiący sekcję lekarz niewątpliwie ją znajdzie. Koller wiedział, że mięśnie aparatu żądlącego nadal pulsują wpuszczając więcej jadu w skórę Spielmann.

Na szyi niemal natychmiast pojawiła się opuchlizna średnicy około ośmiu centymetrów. Oczy lekarki rozszerzyły się, a po kilku sekundach na jej twarzy, ramionach i nogach pojawiły się kolejne opuchnięte miejsca. Właśnie tego Koller oczekiwał. Usta i powieki także zaczęły puchnąć. Koller widział, że płuca w ustach utrudnia Spielmann oddychanie; odczekał kilka minut, zanim ją usunął, aby tchawica zamknęła się na tyle, by uniemożliwić krzyk. Zaraz potem usunął krępującą lekarkę taśmy i przyglądał się, jak stacza się z łóżka, spada na orientalny dywan i czołgając się na rękach i kolanach, rozpaczliwie usiłuje dotrzeć do schodów prowadzących do kuchni.

- Żałuję, że nie mam w zwyczaju się zakładać - powiedział, uśmiechając się do niej. - Bo chętnie bym się założył, że kiedy dotrze pani do lodówki, nie znajdzie tam pani swojego zestawu antyalergicznego. Ale może pani znajdzie...

Gwałtownie tracąc siły, Abigail Spielmann doczołgała się do szczytu schodów i koziółkując, spadła z nich na sam dół. Znalazła się sześć metrów od swojej wytwornej kuchni. Po chwili jakoś udało jej się podnieść na rękach i kolanach. Powolutku, centymetr za

centymetrem, choć jej ciało coraz i bardziej puchło i czerwieniało, dobrnęła do lodówki. Otworzenie drzwi wymagało herkulesowego wysiłku. Jej oczy już nic nie widziały przez opuchnięte powieki, a oddech - gdy udało jej się go zaczerpnąć - przypominał rżenie.

Koller patrzył, chłonąc każdy jej ruch. W lodówce nie było szklanych słoików, które mogłyby się rozbić na podłodze i zaniepokoić sąsiadów, boje wcześniej usunął. Potem stłucze kilka z nich w plastikowej torbie i przed wyjściem rozrzucił po kuchni. Gdy lekarka na oślepek szukała swojego zestawu anafilaktycznego, z lodówki wypadło tylko to, co tam zostawił - główka sałaty, plastikowa butelka keczupu, dwie kostki masła.

Spielmann upadła twarzą na zimne kafelki podłogi. Chłodne powietrze z otwartej lodówki omywało jej martwe już ciało. Koller położył zestaw anafilaktyczny trzydzieści centymetrów od niej.

Dobra robota.

- Każda chwila może okazać się naszą ostatnią, droga pani doktor - powiedział. - Niestety, ta okazała się ostatnią dla pani.

ROZDZIAŁ 26

Państwo Collins przybyli do Spa Medycznego i Centrum Chirurgii Kosmetycznej doktora Singha punktualnie o godzinie trzeciej po południu. Wcześniej tego dnia Daintry Calnan zadzwoniła z informacją, że doktora Paresha Singha wezwano poza miasto na nagłą konsultację. Proponowała przeniesienie ich wizyty na inny dzień, Jillian powiedziała jednak, że na razie wystarczy im po prostu wizyta w ośrodku.

- Zaoszczędzi to nam czasu, gdy przyjdziemy na spotkanie z doktorem Singhem.

Ich zapał nieco osłabł, gdy uświadomili sobie, jakie zadanie ich czeka. Mimo swoich doświadczeń teatralnych Jillian nie umiała zbyt dobrze kłamać czy oszukiwać. Próbując sobie pomóc, przywoływała obrazy Belle i wspomnienie ich ostatniej rozmowy.

Skala stresu Nicka doszła co najmniej do siedmiu: zaczynał panikować, ogarniały go złe myśli i z trudem się kontrolował. Nie podzielił się z nikim faktem, że ma za sobą kolejną męczącą noc. Niepokój, bezsenność, koszmary, nawet skurcze w nogach - wszystko. Mózg w napadzie paniki. Jak zwykle, w jego osobistym życiu nic nie uzasadniało tego nagłego pogorszenia jego stanu. Nie wydarzyło się nic nowego - poza pojawieniem się Jillian Coates. Choć świadomość, że znów zaczyna podobać mu się jakaś kobieta, była podniecająca, przerażała go tak samo jak epizody zespołu stresu pourazowego. Jak w ogóle może się zastanawiać nad wciąganiem kogoś w bagno, którym były jego powracające ataki paniki?

Może za jakiś czas, kiedy - jeżeli - dotrą do Umberta. Może wtedy.

Recepcjonistka Daintry stała przy szerokich szklanych drzwiach, czekając na nich. Była posągową blondynką tuż po czterdziestce, choć Jillian nie do końca była pewna jej wieku - jej pracodawca mógł ją znacznie odmłodzić. Zanim zdążyli uścisnąć sobie dłonie, recepcjonistka dokładnie ich obejrzała i uznała, że rzeczywiście należą do klasy, która zapewnia najwięcej pacjentów Spa Medycznemu i Centrum Chirurgii Kosmetycznej doktora Singha.

Hol i recepcja wyglądały jeszcze bardziej imponująco niż to, co widzieli w Internecie. Stojącą pośrodku fontannę o wysokości dwóch i pół metra otaczała ogromna przestrzeń, niemal w całości wyłożona marmurem. Na trzech ścianach wisiały wielkie obrazy.

Za marmurowym kontuarem po jednej stronie holu siedział ochroniarz o kwadratowej szczęce, w ciemnym ubraniu tak skrojonym, by podkreślało jego budowę futbolisty. Na szyi miał plastikowy identyfikator.

- To identyfikator szpitala Shelby Stone - szepnęła Jillian do Nicka. - Ten ośrodek musi być bezpośrednio związany ze szpitalem.

Nick i Jillian cały czas zastanawiali się nad Mannym i Umbertem. Związek między dwoma żołnierzami był niepewny i opierał się jedynie na tym, co cztery lata temu obaj powiedzieli o swoim powrocie do wojska i udziale w jakiejś supertajnej misji. Poza tym Manny był raczej kandydatem do operacji plastycznej niż pacjentem po udanym zabiegu.

Jednak i Nick, i Jillian widzieli, jak gwałtownie zareagował na widok, który powinien roztaczać się z górnych pięter tego budynku. Kiedy przyglądali się otaczającemu ich przepychowi, trudno było im uwierzyć, że Manny czy Umberto mogli mieć z tym ośrodkiem cokolwiek wspólnego. Ale musieli zbadać tę możliwość.

- Oto nasza oferta - powiedziała Daintry, przesuwając ku Jillian listę zabiegów z cenami. - Proszę podać mi numer swojej polisy ubezpieczeniowej, wątpię jednak, by pokryli koszt którejkolwiek z naszych usług.

- To nie będzie problemem - odparła Jillian.

- Tak, tak, oczywiście. - Daintry pchnęła w jej stronę kolorowy folder i zachęciła do zwiedzenia wszystkich pięter. - Z przyjemnością bym państwu towarzyszyła, ale za chwilę ma się tu pojawić pacjent - dodała.

- Czy mogłabym zobaczyć apartament, w którym będę dochodzić do siebie po zabiegach? - spytała Jillian.

- Wszystkie apartamenty są zamknięte albo zajęte. Otworzę jednak piąte piętro, gdzie mieści się część z nich. Osoby, które się u nas zatrzymują, muszą mieć klucz do pokoju, żeby

wejść na piętro. Nie wyobrażam sobie, by nasze apartamenty mogły pani nie zadowolić. Mają wszystkie wygody, jakich można oczekiwać, i wspaniały widok na miasto.

Zatrzymywały się tu największe hollywoodzkie gwiazdy i wszystkie sobie chwaliły pobyt u nas.

- A ja chciałbym zobaczyć salę operacyjną - powiedział Nick. - Miałem kiedyś złe doświadczenia z operacją kolana, więc staram się zachować jak największą ostrożność.

- Nasze dwie sale operacyjne nie są w tej chwili używane, ale windą dojedzie pan na balkon obserwacyjny na piętrze nad nimi.

W wyrazie twarzy recepcjonistki pojawiło się coś, co sprawiło, że Nick poczuł się niepewnie. Cień podejrzliwości? Czyżby powiedzieli lub zrobili coś niewłaściwego?

Kiedy szli do windy, Jillian wzięła go pod rękę. Jej bliskość złagodziła nieco niepokój Nicka.

Obie sale operacyjne mieściły się w podziemiu, na poziomie B2. Przycisk tego poziomu w windzie znajdował się na samym dole kolumny z poziomami od B2 w górę i przez parter aż do szóstego piętra. Pięć otworów na klucze na dole panelu ze stali nierdzewnej oznaczało, że niektóre piętra mogą być zamknięte i można na nie wejść jedynie po odblokowaniu. Takie środki bezpieczeństwa nie dziwiły, bo prywatność była przywilejem bogaczy.

Poziom BI był balkonem obserwacyjnym nad salami operacyjnymi. Same sale, oglądane z kładki na górze przez szkło czy pleksiglas, były lśniaco czystymi pomieszczeniami, wyposażonymi w najnowsze mikroskopy i sprzęt monitorujący. Znajdowały się tam także ekrany, na których prawdopodobnie oceniano stan nosów, szczęk, bród, oczu, warg i tak dalej przed operacją i po niej.

Wszystko to robiło wrażenie. Nie mogło być zresztą inaczej. Gdyby chirurgia plastyczna była religią, Spa Medyczne i Centrum Chirurgii Kosmetycznej doktora Singha byłyby jej główną świątynią.

Jillian odwróciła się i skierowała z powrotem do windy. Nick zamierzał już ruszyć za nią, gdy przez niewielkie okienko w drzwiach sali operacyjnej dostrzegł jakiś ruch. Chwilę później drzwi się otworzyły i do środka szybko weszła wysoka, chuda postać - najwyraźniej kobieta - w czepku, masce chirurgicznej, kombinezonie chirurgicznym, ochraniaczach na butach i lateksowych rękawiczkach. Nick odsunął się od krawędzi balkonu, by znaleźć się poza linią jej wzroku, i patrzył, jak kieruje się do sięgającego aż po sufit stalowego regału przy jednej ze ścian. Wyciągnęła z niego dużą sterylizowaną owiniętą celofanem tacę z instrumentami i szybko wyszła z sali.

Nick odczekał kilka sekund, a potem ruszył za Jillian. W głowie kłębiły mu się myśli. Kobieta mogła mieć coś wspólnego z zaopatrzeniem chirurgicznym, ale dlaczego wchodziłaby - i to dość pośpiesznie - do nieużywanej sali operacyjnej, w dodatku tak ubrana, jakby właśnie wyszła z innej sali operacyjnej? I po co była jej potrzebna taca z wysterylizowanymi instrumentami, skoro - jak powiedziała Daintry - tego dnia nie odbywały się żadne operacje?

Prawdopodobnie była pielęgniarką operacyjną nadzorującą pracę innych pielęgniarek podczas zabiegów. Jej ruchy zdradzały pośpiech i celowość, sugerując, że taca z instrumentami była gdzieś pilnie potrzebna.

Ale w budynku nie było chirurgów... a sale operacyjne nie były używane. W każdym razie nie na tym piętrze.

® ® ®

- Na pierwszym piętrze jest sala gimnastyczna - powiedziała Jillian, przeglądając folder, gdy przechodzili po miękkim dywanie obok zamkniętych mahoniowych drzwi, prowadzących do biur Paresha Singha, naczelnej pielęgniarki i kierownika administracyjnego.

- Jest tam także basen, a na końcu holu poczekalnia dla rodzin pacjentów.

- Robi wrażenie - mruknął Nick.

Rozejrzał się po korytarzu i zauważył kamery na jego obu końcach. Spa Medyczne, choć eleganckie, przyprawiało go

o dreszcze. Było w nim coś zimnego i martwego. Miał ochotę powiedzieć Jillian, co widział w sali operacyjnej, i podzielić się z nią wnioskami, jakie wyciągnął, czuł jednak, że tak naprawdę ani przez chwilę nie są sami.

Wjechali windą na piąte piętro. Apartamenty 6A i 6B były zamknięte, ale na końcu korytarza znajdowało się pomieszczenie z fotelami wyposażone w ogromne okna, z którego nad czubkami drzew rozciągał się widok na cały Waszyngton, obejmujący również widziany od tyłu Lincoln Memorial. Niemal identyczny widok oglądali na ekranie komputera Reggiego.

Nick zacisnął szczęki.

Był niemal pewien, że Daintry Calnan kłamała, mówiąc im, że w ośrodku są tylko dwie sale operacyjne i że w tej chwili nie odbywa się żaden zabieg. Najchętniej wróciłby na poziom B2 i sprawdził, czy nie znajdują się tam inne sale

1 czy któraś z nich nie jest w użyciu. Sądząc po wielkości dwóch sal, które widzieli, prawdopodobnie istniał również poziom B3, dostępny po użyciu jednego z otworów na klucze w windzie. Oczywiście muszą być także schody prowadzące z poziomu B2 w dół. Może

udałoby im się je znaleźć. mA - Ale wspomnienie ochroniarza o potężnych ramionach oraz świadomość, że podczas zwiedzania przechodzili pod licznymi kamerami, wskazywały na konieczność zachowania ostrożności. Każdy podejrzany ruch w budynku zostanie natychmiast zauważony.

- Czy wyobrażasz sobie któregoś z naszych dwóch przyjaciół odpoczywającego w tym miejscu? - spytała Jillian.

Chciał ją ostrzec, by mówiła możliwie najmniej, ona jednak wyczuła jego niepokój i przekazała mu to spojrzeniem.

- Wyłącznie jako naszych gości - odparł.

- Czy przychodzi ci do głowy coś jeszcze, co powinniśmy obejrzeć, kochanie?

- Raczej nie.

Ochroniarz w holu wejściowym wyglądał, jakby od ich przybycia nawet nie drgnął. Daintry najwyraźniej ich oczekiwała.

- Wspaniałe miejsce - oznajmił Nick.

- Cieszę się, że się państwu podobało.

Jillian ujęła jej rękę.

- Teraz musimy tylko spotkać się z doktorem i zaplanować operację - powiedziała.

Daintry uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Kiedy wrócili do samochodu na parkingu za budynkiem, Nick zatrzymał się przy drzwiach, a potem poprosił Jillian, by stanęła obok niego i spojrzała na spa.

- O co chodzi? - spytała.

- To złe miejsce.

- Daintry Calnan rzeczywiście jest dość zimna, przyznaję.

- Przypomina górę lodową. Ale chodzi mi o coś więcej. Jest także kłamczuchą. Albo kłamczuchą, albo bardzo niedoinformowaną recepcjonistką. W drodze do domu opowiem ci, co zobaczyłem w sali operacyjnej. Moim zdaniem doktor Paresh Singh nie tylko przebywa w budynku, ale także w tej chwili prowadzi operację.

- Gdzie?

- Kiedy się stąd oddalimy, możemy się nad tym zastanowić, ale teraz popatrz jeszcze raz na ten gmach. Z zadowoleniem.

- W porządku.

- Ile kondygnacji pamiętasz z windy, nie licząc tych w podziemiu?

- Razem z parterem siedem.

- Dobrze. Teraz zacznij liczyć, zaczynając od parteru, ale szybko. Jestem pewien, że ta

smoczyca nie spuszcza z nas oczu, i nie chcę, by się zastanawiała, co robimy.

- Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć. Ale...

- No właśnie. Ja też je liczyłem, kiedy wchodziliśmy. Mam fioła na punkcie liczb. Są tu dwa piętra, których istnienia nie poświadcza winda. Porozmawiamy o tym w drodze do domu, pani Collins.

- Chyba nie chciałabym powierzyć swojego ciała temu ośrodkowi - stwierdziła Jillian.

ROZDZIAŁ 27

Oddział psychiatryczny szpitala Shelby Stone Memoriał był zatłoczony i miał za mało personelu, czyli tak jak zawsze. Mijała właśnie połowa drugiego w ciągu dwóch dni dwunastogodzinnego dyżuru Jillian. Ale praca stanowiła ucieczką, a zapomnienie o sobie i skupienie się na opiece nad chorymi, smutnymi i zagubionymi pacjentami niemal zawsze dodawało jej sił. Od śmierci Belle potrzebowała pracy i pacjentów bardziej niż kiedykolwiek.

Było to szczególnie trudne popołudnie. Wszystkie łóżka na oddziale psychiatrycznym, tak samo zresztą jak w całym szpitalu, były zajęte. Stażyści i rezydenci pracujący na izbie przyjęć zbliżali się do końca swojego kontraktowego roku stażu, więc jak najszybciej odsyłali pacjentów na oddziały. Jillian tak bardzo spuchły nogi, że nawet w białych płóciennych butach było jej niewygodnie. Przyjmowała właśnie nowego pacjenta, ale nie miała dla niego wolnego łóżka. Był to oszołomiony alkoholem pobity mężczyzna, prawdopodobnie mający sześćdziesiąt parę lat, który powinien trafić na zwykły oddział. Prawe oko miał tak zapuchnięte, że właściwie nie było go widać. Diagnoza: ostre i chroniczne zatrucie alkoholowe, zbliżające się delirium tremens.

Zdiagnozowanie alkoholizmu nie uzasadniało wysyłania pacjenta na oddział, natomiast „zbliżające się delirium tremens” tak, mimo że majaczenie zaczynało się dopiero jakiś czas po odstawieniu alkoholu. Tak naprawdę każdemu alkoholikowi groziło delirium tremens. Ale Jillian nie miała wyboru i zamiast zaoferować biedakowi wygodne łóżko na oddziale, musiała ulokować go w holu. Shelby Stone nie był złym szpitalem. Obsługa pielęgniarska zdobyła wiele nagród i ogólnokrajowe uznanie. Po prostu ogromna instytucja przez większość czasu była niewydolna, a pacjentów bardzo wielu.

Wpisała wyniki badań pacjenta do jego karty i właśnie zmieniała mu kroplówkę, gdy u jej boku pojawił się Nick, w dzinsach, adidasach i kowbojskiej koszuli w kratę. Przypominał jej doktora Trappera z serialu M*A*S*H*, a jego gęste rudobrazowe włosy wydawały się dziś szczególnie potargane. Przyznała w duchu, że jej się to podoba, i to bardzo.

- Hej - powiedziała. - A to miła niespodzianka.

- Przeprowadziliśmy tu ambulans, by uzupełnić zaopatrzenie i zrobić przegląd w miejscu, które nie każe sobie za to płacić.

- Wpisz na listę jeszcze mnie i moją hondę.

Nick wskazał głową pacjenta, który leżał spokojnie na szpitalnym łóżku na kółkach. Jillian przepchnęła je do samej ściany, by nie blokować ruchu na korytarzu.

- Zawsze uważałem, że gdyby nie alkohol, nie potrzeba by nam było tyłu szpitali - powiedział. - Nie pracuję w szpitalu już od jakiegoś czasu, jednak na moje oko selekcja na dole nie całkiem odpowiada wymogom HIPAA.

- I nie jest akceptowana przez komisję. Ale miesiąc temu uznano nasz certyfikat JCAHO*, więc chyba przez kolejny rok będzie spokój. Co cię sprowadza do tego rajżu?

Od kiedy się poznaliśmy, nie mogę przestać o tobie myśleć, właśnie to mnie tu sprowadza, przemknęło Nickowi przez głowę.

- Cały czas zastanawiam się nad naszą wizytą w Spa Medycznym - powiedział głośno.

- Nie bardzo wiem, jaki powinien być nasz następny ruch.

- Ja też nie mogę uwolnić się od myśli o tym ośrodku. Biorąc pod uwagę zachowanie Manny'ego Ferrisa, wykręty Daintry, te tajemnicze dwa piętra i pielęgniarkę pojawiającą się w pustej sali operacyjnej, wydaje mi się, że jest się czym niepokoić. Poza tym Daintry sprawia wrażenie kogoś, kto ma wiele sekretów.

Nick słuchał jej słów, równocześnie niemal odruchowo sprawdzając tętno pobitego mężczyzny na jego przegubie i na szyi. Potem uniósł mu powieki i przyjrzał się oczom, świecąc ołówkową latarką, którą wyciągnął z kieszonki na piersi uniformu Jillian. Lekko nacisnął brzuch pacjenta, rzucił okiem na plastikową bransoletkę identyfikacyjną na nadgarstku i pochylił się do jego ucha.

- Ray, jestem doktor Nick Garrity. Słyszysz mnie? Otwórz oczy, jeśli mnie słyszysz. - Nacisnął dość mocno mostek mężczyzny zgiętym palcem wskazującym. - Ray, otwórz oczy! Jillian, czy ktoś już go badał? Ty albo któryś z lekarzy?

- Widzieli go na dole, ale być może nie zbadali tak starannie, jak powinni. Słyszałam, że panuje tam istne piekło. Zamierzałam się nim zająć, gdy ty się pojawiłeś. Czy coś z nim nie tak, oczywiście poza tym, co widać?

- Nie wiem na pewno - odparł Nick - ale wydaje mi się, że jego prawa źrenica jest nieco większa od lewej.

- Krwihak podtwardówkowy? - spytała Jillian, mając na myśli krwotok do przestrzeni między czaszką a mózgiem, do którego często dochodzi po urazie głowy.

- Wielu osobom robi się tomografię głowy przy mniejszych wskazaniach niż to - stwierdził Nick. - Moim zdaniem Ray wymaga tomografii. I radziłbym ją zrobić dość szybko.

- Jeśli ma pan rację, doktorze, przysłała tu pana siła wyższa.

- Nonsens. Jeśli to krwiał podtwardówkowy, sama byś go wykryła.

Nie minęło pięć minut od telefonu Jillian, a w holu pojawili się rezydenci z psychiatrii i neurochirurgii. Po kolejnych dziesięciu minutach Ray Goodings jechał na tomografię.

- Gdy zachodzi taka potrzeba, nasi lekarze działają naprawdę szybko i sprawnie - powiedziała Jillian, patrząc na Nicka z uśmiechem, który miał ochotę zabutelkować i zabrać ze sobą. - Może zaczekasz tutaj, jeśli masz czas. Muszę napisać raport i wyjaśnić, dlaczego Ray zniknął z naszego oddziału.

Pół godziny później znów pojawiła się w holu.

- Krwiał podtwardówkowy - oznajmiła. - I to dosyć duży według rezydenta z psychiatrii, który pojechał z pacjentem. Ray znalazł się już na neurochirurgii. Jesteś niesamowity, pięć minut w szpitalu, a już ratujesz człowiekowi życie i robisz bohaterkę z pielęgniarki. Nic dziwnego, że nazywają cię doktorem Furym.

Kiedy to mówiła, przez jej twarz przemknął cień.

- Hej, doskonale ci poszło - powiedział Nick, chwytając ją za ramiona w nadziei, że trochę złagodzi jej ból. - Nawiązałaś kontakt z tym pacjentem, a o to przede wszystkim chodzi w naszej pracy. O kontakt.

Jillian rozejrzała się, a potem wspięła na palce i lekko go pocałowała.

- Więc od czego chciałbyś zacząć? - zapytała po chwili.

- Cofnijmy się nieco i zastanówmy, co już wiemy. Opierając się na tym, co powiedział mi McBean, uznaliśmy, że biedny Manny może mieć jakiś związek z Umbertem. Sądzymy także, że Umberto miał jakiś związek z Belle, na co wskazywałyby komiksy o Nicku Furym, które znalazłaś w jej mieszkaniu. Uważamy także, że reakcja Manny'ego na fotografię wynika z faktu, iż był pacjentem Spa Medycznego.

- I co dalej?

- Umberto jest łącznikiem między Mannym a Belle. To on ma jakiś związek z obojgiem.

- Do czego zmierzasz?

- Wydaje mi się, że powinniśmy przyjrzeć się bliżej temu, co się wydarzyło w Spa Medycznym w czasie, gdy Umberto i Manny zniknęli.

- W jaki sposób chcesz to zrobić?

- Musimy sprawdzić kartoteki pacjentów sprzed czterech lat i zobaczyć, czy się z nich

czegoś nie dowiemy.

- Sądzisz, że Umberto też był ich pacjentem?

- Nie wiem, ale warto to zbadać.

- Cztery lata. Wybacz, ale wydaje mi się to trochę naciągane.

Podeszła do pojedynczego wąskiego okna. Rozciągający się z siódmego piętra panoramiczny widok Potomacu zapierał dech w piersiach. Przez chwilę śledziła wzrokiem żaglówkę unoszącą się na migoczącej wodzie. Gdy Belle była mała, uwielbiały wypływać we dwójkę rodzinną łódką. A potem nagle zostały sierotami. Teraz odeszła także Belle i Jillian została zupełnie sama. Czy kiedy - jeżeli - odnajdą zabójcę Belle, będzie to oznaczało koniec pustki, z którą codziennie walczyła? Bardzo chciała wierzyć, że tak.

Wzięła się w garść i wróciła do Nicka.

- Zgadzam się, że warto to zbadać.

- Doskonale. Poszperałem trochę w Internecie. Spa Medyczne doktora Singha to joint venture Paresha Singha i twojego pracodawcy, szpitala Shelby Stone Memorial. Pamiętasz identyfikator tamtego ochroniarza?

- Pamiętam. W jednej z broszur w holu spa przeczytałam, że spółka powstała, zanim zaczęłam tu pracować dziesięć lat temu.

- Ponieważ jesteś pracownicą Shelby Stone Memorial, powinno ci się udać dotrzeć do elektronicznych kartotek medycznych spa, bo prawdopodobnie obie te instytucje mają wspólną bazę danych. Możemy zacząć od przyjrzenia się pacjentom spa sprzed czterech lat, a potem szukać dalej.

- Mamy komputer koło dyżurki pielęgniarek - powiedziała Jillian. - Zobaczę, co mi się uda zdziałać.

Wyszła z holu i biegnącym po okręgu korytarzem udała się do dyżurki, obok której niedawno zainstalowano komputer. Zatrzymała się przed biurkiem, na którym stała czarna metalowa skrzynka z laptopem, umożliwiającym pracownikom szpitala dostęp do różnych plików: planów dyżurów, wykazu leków, przydziałów pokoi i oczywiście Elektronicznej Kartoteki Medycznej. Oddział psychiatryczny był jednym z pierwszych, które przeszkolono w używaniu nowego systemu EKM. Jillian zalogowała się na swoje konto, ale dostęp do kartotek pacjentów stanowił naruszenie etyki. Uruchomiła jednak aplikację EKM i kliknęła menu „nazwy instytucji”. Tak jak Nick podejrzewał, wśród różnych instytucji związanych ze szpitalem Shelby Stone Memorial było również wymienione Spa Medyczne i Centrum Chirurgii Kosmetycznej doktora Singha. Jednak gdy Jillian próbowała wejść do kartoteki centrum, pojawiła się informacja „dostęp nieuprawniony”, a potem usłyszała głośny bucsek.

Wylogowała się szybko i uśmiechając się z zakłopotaniem, jakby właśnie popełniła jakiś głupi błąd, wróciła do holu.

- Nie mam tam dostępu - poinformowała Nicka.

- To by było tyle, jeśli chodzi o plan A - mruknął.

- Czekaj, jest jeszcze plan B. Chodźmy na dół i zobaczmy, co z Rayem, a potem, jeśli nic się na oddziale nie będzie działo, może uda mi się urwać na jakieś dwadzieścia minut. Będziemy mogli wtedy pójść do archiwum i spróbować zdobyć te dane w tradycyjny sposób.

- Wciąż jeszcze można to zrobić w tradycyjny sposób?

- Mam nadzieję, że tak.

Rezydent neurochirurgii powiedział im, że Ray Goodings za niecałą godzinę znajdzie się na sali operacyjnej, gdzie usuną mu krwiak. Potem zacznie się najtrudniejsza część terapii, czyli odzwyczajanie go od alkoholu.

- Okazuje się więc, że pomyłkowe wysłanie go na oddział psychiatryczny uratowało mu życie - stwierdziła Jillian.

- Może przestraszy go to na tyle, że przestanie pić. Jeśli w ogóle cokolwiek zapamiętał.

- Kiedy alkoholik przestaje pić, zawsze jest szansa, że już do tego nie wróci. I że nigdy więcej nie będzie go kusiło.

- Podoba mi się pani podejście, siostrzyczko.

Windą dla pacjentów zjechali na drugi poziom podziemny i weszli do pozbawionego okien, zatęchłego i bardzo cichego holu.

- W porównaniu z tym pomieszczeniem piwnica Manny'ego Ferrisa wydaje się apartamentem w Four Seasons - mruknęła Jillian. - To tutaj było kiedyś serce szpitala. Odkąd zaczęliśmy przechodzić na system EKM, schodzę tu coraz rzadziej, ale ilekroć muszę to zrobić, myślę o tym z niechęcią. Wydaje mi się, że archiwum kartotek to ostatnie drzwi po prawej.

Szli słabo oświetlonym korytarzem. Ich oczy stopniowo przyzwyczajały się do mroku.

- Kto tu pracuje? - spytał Nick.

- Spotkałam go tylko dwa czy trzy razy. Nazywają go Kretem - odparła Jillian - ale naprawdę nazywa się Mollender. Saul Mollender, wydaje mi się. Kiedy powstał system EKM i zajął dwa najwyższe piętra budynku imienia Corwina, Mollender po prostu tu został.

- Dinozaur.

Na końcu korytarza znajdowały się drzwi z mlecznym szkłem, na którym łuszczące się litery układały się w napis KARTOTEKA. Jillian otworzyła je, nawet nie zadając sobie

trudu, by zapukać. Za nimi znajdowało się wielkie pomieszczenie z podwieszonym sufitem, wypełnione rzędami ustawionych jedno na drugim kartonów i wysokich metalowych regałów, na których wciąż znajdowały się kartoteki pacjentów oznakowane różnymi kolorami. Poza tym jedynym meblem było szare biurko ze sklejk, ustawione dokładnie na wprost wejścia.

Za biurkiem siedział Saul Mollender, przed którym leżał duży stos szpitalnych kart i stał komputer. Żadnych zdjęć, żadnych obrazków na ścianach, żadnego kalendarza. Karta na samej górze była otwarta, a Mollender, chudy, siwiejący mężczyzna w drucianych okularach, najwyraźniej przynosił dane z kart do komputera.

- Czym mogę służyć? - spytał, nie podnosząc wzroku z kart. Mówił przez nos, a jego głos brzmiał zdecydowanie nieprzyjaźnie.

- Przykro mi, że zajmuję panu czas, ale...

Mollender przerwał Jillian w pół słowa:

- Wcale pani nie jest przykro. Jest tu pani, prawda? Gdyby było pani przykro, toby pani zostawiła mnie samego.

Jillian na moment odebrało mowę.

- Tak... Chciałam powiedzieć, że próbuję dotrzeć do pewnych kart, ale system mi na to nie pozwala.

- Nazwisko?

- Pacjenta?

Mollender z irytacją zamknął przepisywaną właśnie kartę.

Spojrzał na Jillian i zdjął okulary, których soczewki były niemal tak wielkie jak jego sobie oczy.

- Pani nazwisko.

- Jillian Coates, pielęgniarka, szóste piętro.

Mollender ponownie założył okulary i wprowadził jej nazwisko do komputera.

- Jaka kartoteka?

- Pacjenta?

Mollender jęknął.

- Widzi pani ten stos? - zapytał, stukając palcem wskazującym w karty pacjentów. Jego głos brzmiał teraz jeszcze bardziej nieprzyjaźnie.

- Tak.

- Te karty same nie wejdą do systemu, bez względu na to, co o tym sądzą ludzie piszący programy optycznego rozpoznawania pisma. Więc nie mam czasu słuchać pani

bredzenia, pani Coates. Jaka instytucja? Jakiej instytucji kartotekę chce pani odszukać?

- Ach tak. To kartoteka ze Spa Medycznego i Centrum Chirurgii Kosmetycznej doktora Singha. To wspólna własność...

Mollender ponownie jej przerwał:

- Wiem, czyja to własność, ale nie może pani.

- Tak, wiem, że nie mogę, i dlatego tu jestem.

- Przez „nie może pani” rozumiem, że nie ma pani prawa dostępu do ich kartoteki. Nie ma pani odpowiedniego zezwolenia, więc nie może pani zobaczyć kart ich pacjentów.

- Ależ czy ta kartoteka nie jest w naszym systemie?

- Oczywiście, że jest - odparł takim tonem, jakby go spytała, czy potrzebuje powietrza do oddychania. - Jest w naszym systemie, chyba że ma więcej niż dziesięć lat i nie zdążyliśmy jej jeszcze do niego wprowadzić. Ręczne wprowadzanie danych, jeśli jeszcze pani tego nie wie, często pociąga za sobą błędy i właśnie dlatego nie wolno mi przeszkadzać. A może nie przeczytała pani jeszcze tej tabliczki? - Wskazał coś za ich plecami. Na drzwiach wisiała kartka z ręcznym napisem NIEUWAGA JEST ŚMIERCIONOŚNA. - Ale mimo naszych archaicznych metod archiwizacji mamy coś, co się nazywa zaporą sieciową. Słyszała pani o tym?

- Bezpieczeństwo danych w komputerze - odezwał się Nick.

- A ten geniusz to kto? - spytał Mollender.

- Doktor Nick Garrity - odparła Jillian, nie próbując już ukryć rosnącej irytacji. - Więc co mam zrobić, żeby dotrzeć do tej kartoteki?

- No, mogłaby się pani tutaj zatrudnić. Słyszałem, że właśnie prowadzą nabór.

- Wspaniale - prychnęła Jillian. - Rozumiem teraz, skąd te wszystkie nagrody dla pracownika miesiąca na tamtej pustej ścianie.

Uświadomiła sobie, że pochyła się nad biurkiem Mollendera, wchodząc w jego osobistą przestrzeń. Ten człowiek był żalosny. Nigdy przedtem nikogo nie uderzyła, ale Kret aż się o to prosił.

- Co jeszcze możemy zrobić? - spytał Nick.

- Zapora sieciowa to brak dostępu, chyba że jest się upoważnionym - powiedział Mollender. - Więc jeśli w wolnym czasie nie jesteście hobbystami hakerami, to jesteście KU.

- KU? - powtórzyła zaskoczona Jillian.

- Sądziłem, że wy, medycy, lubicie takie skróty. To znaczy: kurwa, umoczeni.

- Bardzo nam pan pomógł, panie Mollender - powiedział Nick.

Jillian rzuciła mu zdumione spojrzenie. Nick pochylił się nad nią i szepnął jej do ucha

jedno słowo: „Reggie”.

ROZDZIAŁ 28

Kolejna wizyta państwa Collins została wyznaczona na piątek, trzy dni po pierwszej. W ostatniej chwili znaleźli w wypożyczalni mercedesa klasy S, a koszt wynajmu wziął na siebie Nick. Wynosił on czterysta dolarów dziennie plus podatek, więc nie mógł pozwolić, by Junie jeszcze raz płaciła za samochód. Jechali pod szarym niebem i wkrótce dotarli do wyłożonego klinkierem podjazdu przed Spa Medycznym i Centrum Chirurgii Kosmetycznej doktora Singha.

- Jestem przerażona, Nick. Nie jestem pewna, czy potrafię to zrobić.

Nick był tak niespokojny i zdenerwowany tym, co miało się wydarzyć w spa, że nic nie odpowiedział.

- Halo, słyszysz mnie, Nick?

- Słyszę, słyszę - odparł, delikatnie klepiąc ją po kolanie. - Po prostu powtarzałem sobie nasz plan w głowie. Damy radę, jestem tego pewien.

Zaparkował, ale nie wyłączał silnika.

- Sprawdź jeszcze raz torebkę - powiedział.

- Zrobiłam to tuż przed wyjazdem.

- Mamy tylko jedno podejście, Jill, więc sprawdź ją jeszcze raz. Do diabła, to naprawdę wariactwo. Nie mam pojęcia, co będzie, jeśli nas przyłapią ale podejrzewam, że pociągnie to za sobą zawieszenie naszych licencji medycznych. Jeśli chcesz, możemy się jeszcze wycofać.

Jillian zastanawiała się przez chwilę.

- Dałabym wszystko, żeby znaleźć zabójcę Belle. Jeśli centrum Singha rzeczywiście jest jakoś związane z jej śmiercią to jaki mam wybór?

Nick pokiwał głową. W taki sam sposób myślał o Umbercie. Nigdy nie zdoła spłacić długu, jaki zaciągnął u przyjaciela. Czasami od tamtej koszmarnej chwili żałował, że Umberto podbiegł do niego wtedy i uratował mu życie. W ciągu lat spędzonych z Junie i „Pomocnymi Dłońmi”, dzięki stosowaniu EMDR, ten żal niemal zupełnie zniknął. A teraz pojawiła się Jillian. Wszystko, co w jego życiu było dobre, zawdzięczał swojej przyjaźni z żołnierzem z Dominikany. Jeśli Umbertowi przydarzyło się coś złego i było to związane z Pareshem Singhem, dotarcie do prawdy warte było każdego ryzyka.

Jillian musiała wyczuć jego rosnący niepokój, bo ujęła go za rękę i spojrzała mu w

oczy.

- Damy sobie radę, doktorze. Przed wyjazdem wzięłam pepto, a potem zrobiłam coś, czego niemal nigdy nie robię... zażyłam betabloker, by nie ryzykować, że serce wyskoczy mi z piersi.

Ich plan był możliwy do przeprowadzenia, mimo że Junie twierdziła, iż wiąże się z nadmiernym ryzykiem. Wszystko zależało od tego, czy uda jej się zostać sam na sam z komputerem w biurze Paresha Singha. W tym celu Nick musiał przekonująco odegrać nagły atak jakiejś choroby, na tyle poważnej, by przestraszyć Daintry Calnan i zmusić ją do wezwania szefa na pomoc.

Reggie oceniał, że Jillian wystarczy pięć minut, by zrobić to, co miała zrobić w biurze Singha. Nick będzie musiał bardzo wyważyć swoje aktorstwo. Daintry musi być na tyle zaniepokojona, by wezwać Singha do holu, ale nie aż tak bardzo, by wykręcić 911. Nick wolał nie dzwonić do Dona Reese'a, prosząc o kolejną przysługę. Jeśli do tego dojdzie, będą musieli zrezygnować z dostania się do komputera Paresha Singha.

Jillian otworzyła torebkę i zajrzała do środka. Przerzuciła jej zawartość - głównie kosmetyki - i wyciągnęła mały pendrive o pojemności 2 GB, który dał jej Reggie.

- Mam go - oznajmiła. - Jeszcze raz: co na nim jest?

Nick próbował przypomnieć sobie wyjaśnienia Reggiego, ale nie udało mu się to. Wyciągnął z kieszeni marynarki kartkę z wydrukowanymi przez nastolatka instrukcjami.

- To się nazywa rootkit - powiedział. - Używa się tego, jeśli ktoś chce ukryć fakt, że włamał się do czyjś komputer. Pamiętaj, wszystko, co musisz zrobić, to włożyć pendrive do portu USB, który znajdziesz gdzieś z boku albo z tyłu, i dwa razy kliknąć na ikonę na ekranie.

- Brzmi bardzo prosto. Włożyć pendrive do portu i dwa razy kliknąć na ikonę.

- Nawet najdokładniejsze plany... - wymamrotał pod nosem Nick.

Choć powiedział to bardzo cicho, Jillian go usłyszała i rzuciła mu zdenerwowane spojrzenie.

- Przepraszam, nie powinienem był tego mówić. Wszystko będzie dobrze - zapewnił ją Nick, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

Jeszcze raz przeczytał szczegółowe instrukcje Reggiego i podsumował techniczne aspekty planu:

- Jak rozumiem, to, co tu jest, zainstaluje w komputerze coś w rodzaju wejścia od tyłu, dzięki czemu Reggie będzie mógł stworzyć, jak tu napisał, „wirtualny prywatny tunel sieciowy do systemu przez serwer typu proxy”.

- Nic nie wiem o wirtualnych tunelach i serwerach typu proxy. Czy naprawdę masz do niego pełne zaufanie, Nick? No wiesz, większość dzieciaków w jego wieku spędza wolny czas, wrzucając piłkę do kosza, a nie włamując się do systemów komputerowych.

- On też gra w piłkę, i to całkiem nieźle. Ale tak, mam do niego zaufanie. Jeśli twierdzi, że to zadziała, musimy po prostu zrobić, co do nas należy. A teraz zsynchronizujmy zegarki.

Jillian musiała dokładnie wiedzieć, kiedy Nick zamierza odegrać swoją scenkę. Musiała zacząć działać, gdy tylko Paresh zostawi ją samą w biurze. Nawet minuta przesunięcia w czasie mogła doprowadzić do przegranej - albo i gorzej.

- Po prostu bądź przekonujący - powiedziała Jillian. - A ja, jeśli tylko będę miała okazję, na pewno zrobię, co do mnie należy.

- Od lat mam uszkodzone kolano i czasem naprawdę mi się blokuje. Odegram to, nie ma sprawy. Czy jest pani gotowa, pani Collins?

- Jestem gotowa, panie Collins.

Nick wprowadził mercedesa na obszerny parking z tyłu budynku.

- Na szczęście - powiedział, muskając wargami usta Jillian. Nie chciał naruszyć jej perfekcyjnego makijażu.

Wysiadł z mercedesa i obszedł go.

- Wyglądasz pięknie - powiedział, gdy wysiadła.

Rubinowe wargi Jillian wygięły się w filmowym uśmiechu wartym czerwonego dywanu, ale Nick czuł napięcie w jej dłoni i widział lęk w jej oczach.

Centrum Singha od tyłu wyglądało niemal tak samo jak od przodu. Ich postaci odbijały się w wysokich na trzy i pół metra oknach, biegnących przez całą szerokość budynku. Stanowisko ochroniarza znajdowało się po prawej, tuż po drugiej stronie szyby, ale w tej chwili nie było przy nim nikogo. To zdecydowanie ułatwiało im sprawę - oczywiście jeśli strażnik nagle nie wróci.

Po wejściu do wspaniałego marmurowego foyer odczuli nagły spadek temperatury - cały budynek był klimatyzowany.

Siedząca za marmurowym biurkiem Daintry wstała, by ich powitać.

- Witamy państwa - powiedziała, ujmując najpierw dłoń Jillian, a potem Nicka.

Jej uścisk, podobnie jak wszystkie gesty i uśmiech, wydawał się wyćwiczony i kontrolowany.

- Dziękujemy za załatwienie nam tak szybkiej wizyty - odparł Nick, powtarzając sobie w duchu, że nie wolno mu ani przez chwilę zapominać, iż ta kobieta coś ukrywa.

Tak samo jak podczas poprzedniej wizyty z pewnym zaskoczeniem i lekkim zażenowaniem stwierdził, że udawanie aroganckiego bogacza wcale nie jest takie nieprzyjemne.

- Doktor Singh jest na górze, u siebie w biurze. Niedługo się pojawi.

I

- Dzisiaj nie ma żadnego strażnika?

- Och, Garth oczywiście jest, ale w tej chwili poszedł na obchód.

- To dobrze, że tak poważnie traktujecie sprawy bezpieczeństwa.

Uważaj, powiedział sobie. Możesz odpowiednio wyglądać i nawet przez chwilę właściwie się zachowywać, ale ta kobieta jest bardzo podejrzliwa. Jak coś namotasz, natychmiast wyczuje, że udajesz.

Objął Jillian w pasie i podprowadził do wielkiego obrazu, zajmującego połowę tylnej ściany.

- Gotowa do działania? - szepnął.

Odetchnęła głęboko i powoli wypuściła powietrze.

- Cieszę się, że mnie tu nie będzie.

- Masz własne trudne zadanie. Ale powiem ci jedną pocieszającą rzecz...

- Tak? Co takiego?

- Kolano naprawdę zaczyna mnie boleć.

ROZDZIAŁ 29

Przez pierwsze dziesięć minut drugiej wizyty w spa Nick i Jillian wiercili się na fotelach stojących po prawej stronie biurka recepcjonistki.

- Bardzo przepraszam za to opóźnienie - powiedziała Daintry, najwyraźniej szczerze zaniepokojona. - Zaraz zadzwonię do doktora i zobaczę, czy jeszcze długo będzie zajęty. Wiem, że bardzo chce się z państwem spotkać. Na pewno wkrótce się pojawi.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa jedna z wind brzęknęła, zatrzymując się na poziomie parteru. Lśniące mosiężne drzwi się rozsunęły, a z kabiny wyszedł Paresh Singh. Chirurg był drobnym mężczyzną mającym nie więcej niż metr siedemdziesiąt wzrostu. Miał krótko przystryżone czarne włosy i i cienki wąsik i był ubrany w znakomicie skrojony garnitur. Sprawiał wrażenie człowieka, którego się nie zauważa - jeśli oczywiście nie spojrzano się w jego przenikliwe ciemne oczy za okularami w drucianej oprawie, na doskonale utrzymane dłonie i smukłe palce, ozdobione kilkoma pierścieniami, których wartość prawdopodobnie

przekraczała ubiegłoroczny dochód Nicka. Mimo wszystko trudno mu było uwierzyć, że ten mężczyzna cieszy się światową sławą jako chirurg i jest panem tego wspaniałego pałacu ze szkła i stali.

- Bardzo przepraszam za spóźnienie - powiedział Singh, gdy wymienili już powitalne uprzejmości. Mówił z brytyjskim akcentem, leciutko zabarwionym hindi. - Mam nadzieję, że Daintry się państwem dobrze zajęła. Pracuje u mnie od samego początku, nie wiem, co bym bez niej począł.

- Jest bardzo kompetentna - przyznał Nick. - Ma pan szczęście.

- Doktorze - odezwała się Daintry. - Tak jak pan prosił, przygotowałam solarium na prywatne spotkanie z panią Collins.

Nick i Jillian wymienili ukradkowe spojrzenia. Widzieli solarium podczas zwiedzania. Były tam rośliny, rzeźby i wodospad, jednak nie było komputera. Nieobecność strażnika na nic się im nie przyda. Dlaczego choć przez chwilę sądził, że wszystko przebiegnie bez problemów? Ale ten problem mógł okazać się zabójczy.

Spotkanie Jillian z Singhem w jakimś rajku pozbawionym jedynej rzeczy, której potrzebowali, uniemożliwiło realizację ich planu. Do tej pory stres Nicka utrzymywał się w okolicach poziomu szóstego, ale teraz skoczył do ośmiu - była to prawie panika, początek alienacji.

Próbował się uspokoić, powtarzając sobie buddyjską mądrość, którą zapamiętał z kursu filozofii w college'u i która często pomagała mu przez te wszystkie lata: na drodze do prawdy można popełnić tylko dwa błędy: nie wyruszyć w nią lub porzucić ją przed osiągnięciem celu. Teraz uznał, że należy dodać do tego trzeci błąd: brak planu rezerwowego.

Jillian, być może wyczuwając jego panikę, wzięła sprawy w swoje ręce.

- Mam nadzieję, że w solarium jest komputer - powiedziała. - Chciałam panu pokazać zdjęcia kilku aktorek i modelek i wyjaśnić, o jakie zmiany nam chodzi. Ale potrzebuję dostępu do Internetu.

- Oczywiście - odparł Paresh Singh. - Może więc po prostu udamy się do mnie do biura?

Wspaniale, pani Collins.

- Tak będzie najlepiej - stwierdził Nick. - A ja tu zaczekam razem z Daintry. Nie musicie się spieszyć.

Zerknął na zegarek, a Jillian dyskretnie sprawdziła swój. Dokładnie dziesięć minut do rozpoczęcia przedstawienia.

Pocałowała powietrze gdzieś w okolicy policzka Nicka, po czym okręciła się na pięcie

i ruszyła z doktorem Singhem do windy.

- Bardzo się cieszę, że mogłam pana poznać - powiedziała, gdy odchodzili.

Nick odczekał minutę, by Singh i Jillian zdążyli dotrzeć do biura. Nie wątpił, że Jillian wymyśli nazwiska, które chirurg może sprawdzić w Internecie. Czuł, że się denerwuje - prawdopodobnie tak samo jak on - ale nie było tego po niej widać.

Modląc się, by strażnik nie powrócił, kilkakrotnie obszedł stojącą pośrodku holu ogromną fontannę, od czasu do czasu spotykając wzrok Daintry i za każdym razem uśmiechając się do niej ciepło. Niespokojny mąż. Znów rzucił okiem na zegarek - minęło pięć minut. Musiał się powstrzymywać, by nie sprawdzać zbyt często czasu.

Kolejne minuty wydawały mu się wiecznością. W końcu nadeszła pora. Po raz ostatni wyruszył na obchód fontanny. Kiedy znalazła się między nim a Daintry, krzyknął i upadł na marmurową posadzkę, jęcząc z bólu.

- Co się stało? - zapytała recepcjonistka i pospieszyła w jego kierunku. - Czy coś pana boli?

- Do diabła, moje kolano! Zablokowało się. Już mi się to zdarzało, ale od pewnego czasu miałem spokój.

Tylko nie przesadzaj, pomyślał, gdy przy nim uklęknął.

Trzymał lewe kolano zgięte pod kątem czterdziestu pięciu stopni i kiwał się na boki.

- Co mogę dla pana zrobić? - spytała naprawdę zaniepokojona Daintry.

- Mam w kolanie przemieszczający się, luźny kawałek chrząstki - wystękał. - Od czasu do czasu blokuje mi się staw.

- Nie poślizgnął się pan ani nic takiego?

Nick z trudem powstrzymał uśmiech. Wiedział, że Daintry się zastanawia, czy nie będzie musiała zadzwonić do prawnika.

- Nie, skądże, nie poślizgnąłem się. Do diabła, ale boli!

- Zadzwoń pod dziewięćset jedenaście.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł Nick. - Jak już mówiłem, zdarza mi się to co kilka miesięcy. Może pani sama zrobić wszystko, co trzeba, Daintry. Proszę mi wierzyć, naprawdę pani może. Po prostu proszę chwycić moją stopę i skierować jej palce ku górze, lekko obracając całą nogę w prawo, a potem pociągnąć ją do siebie, jednocześnie przyciskając do podłogi.

Daintry pobladła. Najwyraźniej nie umiała wyobrazić sobie realizacji instrukcji, którą Nick przedstawił w tak skomplikowany sposób, jak tylko potrafił.

- Ja... nie najlepiej radzę sobie z takimi rzeczami - wyjąkała.

Bardzo dobrze.

- Może to zrobić doktor Singh, zajmie mu to najwyżej minutę - stęknął Nick i zakolysał się, by podkreślić, jak bardzo go boli. - Proszę po niego zadzwonić. O kurwa! Oj, przepraszam, że klnę, ale to naprawdę boli. Powinienem być pozwolić, żeby mi to zoperowano.

- Zadzwonię do doktora.

Właśnie o to chodzi.

Jęcząc, siedział na podłodze za fontanną, a recepcjonistka pospieszyła do biurka. Udało mu się zerknąć na zegarek. Jillian na pewno była już gotowa.

- Zaraz zejdzie - powiedziała Daintry, zanim jeszcze do niego powróciła.

Nick wyobraził sobie Jillian, pospiesznie wykonującą polecenia Reggiego: trzy minuty na znalezienie portu USB, wsunięcie przenośnej pamięci, zlokalizowanie aplikacji rootkit i podwójne kliknięcie. Sama instalacja nie powinna trwać więcej niż minutę.

Winda po jego lewej zabrzęczała i sekundę później u jego boku klęczał Paresh Singh.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, pańskie chore kolano się zablokowało - powiedział. - Czy bardzo pana boli?

Nick stęknął i wymruczał coś w odpowiedzi. Nie mógł się teraz spieszyć.

- Zazwyczaj wraca na swoje miejsce całkiem łatwo - wydusił z siebie w końcu.

- Nie wołałby pan, żebyśmy zadzwonili pod dziewięćset jedenaście? - zapytał Singh.

Nie wymówił głośno słów „odpowiedzialność cywilna”, Nick wiedział jednak, że o tym myśli.

- Proszę... - jęknął. - Wiele osób już mi przy tym pomagało. Po prostu niech pan przekręci moją stopę, a potem powoli wyprostuje nogę. Wtedy chrząstka wysunie się ze stawu. Gwarantuję, że to zadziała. Jeśli jednak nie, wezwie pan posiłki.

Singh westchnął, najwyraźniej wciąż rozważając wszystkie za i przeciw. Wreszcie podniósł się i ujął stopę Nicka w obie ręce. Kiedy zaczął przekręcać nogę, Nick krzyknął, a kolano się wyprostowało.

- Niech pana Bóg błogosławi, doktorze. - Nick z trudem łapał powietrze. - Wielkie dzięki.

- Poszło łatwiej, niż się spodziewałem - stwierdził Singh. - Może pan wstać?

- Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Proszę podać mi rękę.

Podniósł się i próbował oprzeć na chorej nodze. W tej samej chwili znów usłyszał dzwonek windy i ledwo powstrzymał okrzyk radości.

- No nie, znowu to kolano! - wykrzyknęła Jillian, dwukrotnie ściskając mu rękę, by

dać znać, że zrobiła, co do niej należało. - Jeff, natychmiast jedziemy do doktora Gavrycka. To mogło się naprawdę źle skończyć.

- Ale czy doktor i ty zdążycie porozmawiać? Wiesz, wspaniale odblokował mi kolano.

- Dziękuję panu, doktorze - powiedziała Jillian. - Obawiam się, że nasze spotkanie będzie musiało poczekać. Daintry, zadzwonię, by się umówić na inny termin.

- Doskonale - odparła recepcjonistka, wciąż jeszcze nieco blada. - Proszę do mnie zadzwonić, kiedy tylko załatwi państwo swoje sprawy.

Jillian Collins wzięła męża pod ramię i pomogła mu podejść do drzwi.

- Nie licz na to, Daintry - szepnęła.

ROZDZIAŁ 30

- Udało się - mruknął Reggie.

Nick bardzo chciał to usłyszeć. W Spa Medycznym i Centrum Chirurgii Kosmetycznej doktora Singha kryło się wiele sekretów, nieprzyjemnych sekretów, był tego pewien. Dzięki Jillian być może uda im się to teraz udowodnić. Choć droga Buddy do prawdy nie przypominała przechadzki po spokojnej ulicy, bo było na niej ryzyko, rozczarowanie, ból i nawet śmierć, teraz pojawiła się na niej również nadzieja.

Nick, Jillian i Junie znowu stali za Reggie i jego sfatygowanym obrotowym krzesłem. Nastoletniemu hakerowi wystarczyło pięć minut, by wejść do komputera, w którym Jillian zainstalowała rootkit. Rozpoznała konfigurację ikon na pulpicie, który pojawił się na monitorze Reggiego. Był to pulpit komputera Paresha Singha.

- To niesamowite - mruknęła.

- Dzięki rootkitowi możemy używać tamtego komputera tak, jakbyśmy przed nim siedzieli - powiedział Reggie.

- Czy nie zobaczą przesuwającego się kursora? - spytał Nick.

- Niech pan się przestanie martwić, doktorze G. Komputer Singha to zombie.

- Doskonale. Ale czy nie zauważą, że ich komputer pożera ludzi?

Reggie się roześmiał.

- To było dobre.

- Czasami udaje mi się zażartować - powiedział Nick. - Ale to nie było zbyt zabawne.

Co to jest komputer zombie?

- To taki komputer, do którego wdarł się haker, ale jego właściciel nie wie, że używa

go ktoś jeszcze. Jediną wskazówką może być nieznaną adres IP, pojawiający się w rejestrze dostępu. Oczywiście trzeba mieć jakiś powód, by do tego rejestru zajrzeć.

- Adres IP? - powtórzyła Jillian.

- To coś w rodzaju numeru telefonicznego w Internecie - wyjaśnił Reggie. - Dzięki niemu można dotrzeć do domowego komputera, tak samo jak numer telefoniczny można powiązać z adresem albo innym miejscem, z którego ktoś dzwoni. Właśnie w ten sposób przyłapano mnie ostatnim razem, jeśli chcecie znać prawdę. Sądzę jednak, że wiem, co wtedy się przyszyłem.

- Reggie! - zawołała Junie.

- Dobrze, już dobrze... W tej chwili korzystam z serwera typu proxy, więc nikt mnie nie namierzy.

- Teraz, gdy nam to wszystko wyjaśniłeś, czuję się znacznie lepiej - mruknął Nick. - Junie, ile lat ma ten twój dwunożny potwór?

- Za dużo i nie dość dużo - odparła, kładąc dłoń na głowie nastolatka.

Jillian się pochyliła.

- Więc to, na co w tej chwili patrzymy, to naprawdę ekran komputera doktora Singha?

- Tak. Dzięki tobie przez jakiś czas możemy wchodzić w te same aplikacje co on.

- Niesamowite - powtórzyła.

- Wcale nie. Komputery są mocno przechwalone, i to przez ludzi, którzy nie rozumieją jak działają. Trzeba jednak wiedzieć, czego się od nich chce. A czy wy wiecie?

- Tak mi się wydaje - powiedziała Jillian. - Nie miałam czasu się zorientować, jakiej aplikacji używają dla Elektronicznej Kartoteki Medycznej, ale ponieważ są związani z moim szpitalem, prawdopodobnie używają tego samego software co my. Mogę?

- Proszę bardzo.

Reggie wstał, ukłonił się Jillian i wskazał jej swoje krzesło. Odwzajemniła się ukłonem i zajęła jego miejsce. Nick już wcześniej zauważył, że między tą dwójką nawiązało się jakieś porozumienie.

Jillian kliknęła na menu aplikacji.

- Czuję się, jakbym była piętnastolatką wymykającą się z domu na spotkanie z chłopakiem.

Nick także czuł podniecenie. Zbliżali się do tajemnic, których poznanie chciano im uniemożliwić.

- Czy widzisz program EKM? - spytał.

- Tak. To ta sama aplikacja, której używamy w Shelby Stone. - odparła Jillian. -

Możesz się wypchać, Mollender - mruknęła. Ponieważ znalazła się w jednej z pierwszych grup, które przeszkolono w używaniu nowego oprogramowania, doskonale sobie radziła. - No dobrze, stąd mogę zacząć przeszukiwanie kart pacjentów, rok po roku. Zaczynam cztery lata temu, tak?

- Tak. W kwietniu - potwierdził Nick.

Przykucnął i wciągnął w płuca oszałamiający zapach kobiety, która bez jego zezwolenia zamieszkała na stałe w jego myślach.

- Wygląda na to, że klinika doktora Singha ma bazę danych obejmującą około dwudziestu tysięcy pacjentów.

- Czy to dużo? - spytała Junie.

- Nie dla takiego szpitala jak Shelby Stone, ale dla prywatnej praktyki niewątpliwie tak. Dochód brutto Spa Medycznego wyniósł w zeszłym roku ponad dwadzieścia pięć milionów dolarów.

- Całkiem przyzwoicie - stwierdziła Junie. - Zaczekajmy do przyszłorocznego zbierania funduszy dla „Pomocnych Dłoni”. Myślę, że doktor Singh z przyjemnością mnie pozna.

- Jesteś okropna, Junie - powiedział Nick. - Słuchajcie, musimy się pospieszyć, bo istnieje możliwość, że ktoś znajdzie nieznaną numer IP. Zgadza się, Reggie?

- No, no... jeszcze będą z ciebie ludzie, doktorze.

- Kiedyś się doigrasz, huncwocie. Jill, czy możesz wyciągnąć pojedyncze karty?

- Oczywiście.

- Wobec tego zacznijmy od Manny'ego Ferrisa.

Jillian wpisała „Manuel Ferris” w okienko przy słowie

„szukaj”, ale komputer nie znalazł żadnych pacjentów o tym nazwisku. Kolejne próby z użyciem różnych kombinacji tego imienia i nazwiska również nie przyniosły żadnego rezultatu.

Tak samo było, gdy spróbowała z Umbertem Vasquezem, a potem z Belle Coates.

- To ślepa uliczka - mruknęła.

Do diabła, pomyślał Nick, kolejne błędy na drodze do prawdy. Błąd numer trzy: brak planu rezerwowego; numer cztery: brak odpowiednich butów.

- Nie mieliśmy prawa myśleć, że uda nam się za pierwszym razem - stwierdził. - Przyjrzyjmy się wobec tego innym kartom.

- Dotarcie do naszego adresu IP może być trudne, ale nie jest niemożliwe - powiedział Reggie. - Jeszcze piętnaście czy dwadzieścia minut, a potem się rozłączamy i spróbujemy

kiedy indziej.

- W porządku - odparła Jillian.

Szybko wypełniła wymagane pola, by zobaczyć karty pacjentów sprzed czterech lat. Jej żądanie zostało spełnione po niecałej minucie. Komputer przedstawił listę składającą się z ponad pięciu tysięcy pozycji.

- Wygląda na to, że jest tu każdy, kto tam wszedł - zauważyła Junie. - Zapomnijmy o tych piętnastu czy dwudziestu minutach... możemy nad tym siedzieć całymi dniami.

Do diabła, pomyślał znów Nick.

Na ekranie w jednym rzędzie wyświetlała się karta z podanym nazwiskiem pacjenta, numerem identyfikacyjnym i kodem ICD. Kod ICD, czyli Międzynarodowa Klasyfikacja Chorób, wyjaśniła Jillian, to coś, czego używają lekarze i personel rejestracyjny szpitala, by wszystkie procedury można było odpowiednio wycenić.

Pięć tysięcy pozycji w jednym roku.

- Kiedy kliknie się na konkretną kartę, wyświetlają się bardziej szczegółowe informacje - dodała Jillian. - Notatki lekarzy, fotografie, rentgeny, a także wszystkie wykonane zabiegi i podawane leki oraz wycena. Każdy skalpel, każde pudełko gazików, każda butelka kroplówki, wszystko tu jest.

Nick jęknął, przerażony ogromną ilością danych.

- Witaj w cudownym świecie elektronicznych kart pacjenta - powiedziała z przekąsem Jillian.

- Kliknij na pierwszą z brzegu, żebyśmy mogli zobaczyć, jak to wygląda - poprosił Nick.

Jillian spełniła jego życzenie i otworzyła zdjęcie torsu nagiej kobiety. Reggie zauważył je, zanim Jillian zdążyła zareagować, i pochylił się szybko, by mu się lepiej przyjrzeć.

- O rany! Ale ta babka ma wielkie...

- Reggie! - skarciła go Junie.

Jillian zamknęła zdjęcie i z rozbawieniem popatrzyła na chłopaka.

- Właśnie je zmniejszyli - powiedziała. - A tutaj jest kod tego zabiegu.

Nick wyczuwał jej rosnące napięcie, gdy otwierała kolejną kartę. Dobrze wiedział, co jest jego przyczyną. Dzięki umiejętnościom Reggiego i niedoskonałości elektronicznego systemu kart pacjentów popełniali właśnie przestępstwo, które - jeśli ktoś ich przyłapie - może kosztować jego i Jillian karierę. Po raz pierwszy poczuł, że jego pewność siebie nieco słabnie.

Proszę, daj nam coś, cokolwiek.

Jillian westchnęła i zaczęła przesuwac listę. Nick nie rozpoznawał żadnych nazwisk ani większości kodów ICD, szybko uciekających z ekranu. W swojej praktyce medycznej nigdy nie miał do czynienia z liftingami, konturowaniem ciała, liposukcją, zmniejszaniem czy powiększaniem piersi, więc fakt, że nie znał tych kodów, był zrozumiały. Ale po jakiejś setce pacjentów zauważył kod ICD, który jako chirurg traumatolog doskonale znał: 929.9 - urazy obejmujące liczne okolice ciała.

- Zatrzymaj się tutaj, Jill - poprosił. - Kliknij na tego pacjenta.

Chodziło o niejakiego Giuseppe Renzullego. Nick pamiętał, że na stronie internetowej Paresha Singha była informacja, iż lekarz cieszy się światowym uznaniem przede wszystkim za podejmowanie trudnych procedur rekonstrukcyjnych dotyczących twarzy. Z opisu i przedoperacyjnych zdjęć pacjenta wynikało, że był to przypadek wymagający szczególnej biegłości.

W karcie Renzullego 929.9 oznaczało ranę postrzałową twarzy. Największe wrażenie robiły trójwymiarowe skany tomograficzne głowy. Na każdym z nich widać było mnóstwo fragmentów kości i śrutu wbitych między pękniętą zuchwę i nienaruszoną kość górnej szczęki.

- O rany! - zawołał Reggie. - Ten facet umarł?

- Z jego karty wynika, że żyje i ma się dobrze - odparł Nick.

Pochylił się nad ramieniem Jillian i przeczytał na głos fragment wywiadu wstępnego przeprowadzonego w klinice Paresha Singha:

Pacjent to 28-letni biały mężczyzna z rozległymi urazami szyi i twarzy powstałymi w wyniku własnoręcznie zadanej rany postrzałowej. Rekonstrukcja i zespolenie złamań w okolicy nosowej, łuków brwiowych oraz

W okolicy szczękowej i sitowej możliwa, wymaga jednak wieloetapowych działań. Główny dostęp do miejsc niezbędnych zespolenia przez pionowe cięcie Lyncha. 70 procent złamań to prawdopodobnie złamanie typu trzeciego.

Jillian odwróciła się, gdy czytał, i wtedy uświadomił sobie, że próba samobójcza tego mężczyzny znów w bolesny sposób przypominała jej o Belle. Jak mógł być tak gruboskórny? Położył dłoń na jej ramieniu, a ona przykryła ją swoją. Trwało to zaledwie chwilę, ale towarzyszące tej chwili emocje były niezwykle intensywne.

- Jak to możliwe, że ktoś tak się postrzelił i nie zginął? - zdziwiła się Junie.

Nickowi przypomniał się przypadek, z którym miał do czynienia w Afganistanie, jednak zanim coś na ten temat powiedział, odwrócił się do Jillian.

- Możemy o tym mówić? - spytał.

- Tak, wszystko w porządku - odparła. - Ale dzięki, że pytasz.

- Rana postrzałowa głowy zadana samemu sobie jest prawie zawsze śmiertelna - wyjaśnił - zwłaszcza jeśli samobójca włoży lufę do ust albo mocno przycisnie wylot lufy do skroni. Jednak gdy broń, szczególnie krótka, zostaje umieszczona pod brodą, odrzut może nieco odchylić lufę i wtedy strzał powoduje rozległy uraz twarzy, ale nie narusza mózgu.

- To okropne... - wymamrotał Reggie.

Nick wziął od Jillian myszkę i dalej przeglądał kartę Renzullego.

- Jeśli chodzi o tego faceta, rekonstrukcja jego twarzy była niezwykle przedsięwzięciem. Z dokumentacji wynika, że przeszedł kilka wieloetapowych procedur rekonstrukcyjnych, w sumie około trzydziestu operacji.

- Nie tylko operacje były niezwykle - zauważyła Jillian. - Wysokość rachunku też...

Nick ponownie spojrzął na ekran i gwizdnął.

- Pół miliona dolarów! Nic dziwnego, że Shelby Stone wszedł w spółkę z tymi ludźmi. Nawet jeśli pacjent nie zapłaci całego rachunku, towarzystwo ubezpieczeniowe wypłaca Singhowi okrągłą sześciocyfrową sumę, a procent od tego jest przekazywany szpitalowi.

- Cóż, to wyjaśnia, skąd Paresh Singh wziął pieniądze na ten swój marmurowy pałac.

- Ciekaw jestem, ile ran postrzałowych rekonstruuje rocznie - mruknął Nick.

- Zaraz ci to powiem - odparła Jillian.

Wprowadziła do komputera kod ICD i ograniczyła obszar poszukiwań do dwunastu miesięcy, poczynając od przybliżonej daty zniknięcia Umberta.

- Słowa kluczowe: rana postrzałowa i twarz.

Cztery sekundy po naciśnięciu klawisza Enter wyświetliło się dwadzieścia pozycji.

- Może to właśnie mieli na myśli chłopcy z J. Geils Band, nadając swojemu albumowi tytuł Blowyourface out - powiedział Nick.

- J. Geils Band? - powtórzył Reggie. - Nie słyszałem o nich. Muszą być starzy.

- Dla ciebie stare jest wszystko, co nie zostało nagrane w zeszłym miesiącu.

- Dwadzieścia przypadków w tym jednym szpitalu wcale mnie nie dziwi - stwierdziła Jillian. - Od pięćdziesięciu do pięćdziesięciu pięciu procent wszystkich samobójstw popełnianych jest przy użyciu broni palnej, a w Stanach Zjednoczonych mamy codziennie ponad tysiąc pięćset prób samobójczych.

- To okropne - westchnęła Junie.

- Takie są statystyki - odparła Jillian.

Nick zastanawiał się przez chwilę.

- Skoro w ośrodku Paresha Singha wykonuje się co roku dwadzieścia rekonstrukcji twarzy po ranach postrzałowych, to całkiem możliwe, że w tym samym czasie w Stanach Zjednoczonych jest co najmniej sto takich przypadków, a na całym świecie na pewno więcej - powiedział. - Przyjrzyjmy się tym dwudziestu pacjentom, ale lepiej się pospieszmy. Wcześniej czy później ktoś się połapie, że włamaliśmy się do komputera ośrodka.

Stojący za nimi Reggie dotykał twarzy, jakby próbował sobie wyobrazić, jak to możliwe, że człowiek, którego zdjęcia oglądali, w ogóle przeżył.

Pięć pierwszych przypadków było bardzo dobrze udokumentowanych. Paresh Singh niewątpliwie obdarzony był wielkim talentem, jednak mimo to po wszystkich operacjach pozostawały widoczne zniekształcenia i blizny. Nic w tych kartach nie sprawiało wrażenia niezwykłego. Ale w szóstym przypadku coś Nicka zaniepokoiło. Chodziło o Edwina Scotta Price'a z Piano w Teksasie.

Większość prób samobójczych przy użyciu broni palnej dotyczyła mężczyzn w wieku od trzydziestu do pięćdziesięciu lat. Price miał czterdzieści pięć, więc pasował do ogólnego profilu. Przeglądając rentgeny, zdjęcia i skany tomograficzne w dokumentacji tego przypadku, Nick nie mógł pozbyć się wrażenia, że coś mu to przypomina - choć nie było to możliwe, ponieważ nie tylko nigdy wcześniej nie widział dokumentacji elektronicznej, ale też nigdy nie słyszał o tym pacjencie. A jednak coś go dręczyło.

Dlaczego?

Kiedy miał już dać sobie spokój i przejść do innych przypadków, zaglądną mu przez ramię Reggie zawołał:

- Cholera, ten facet jest rozwalony dokładnie tak samo jak ten pierwszy!

- O czym ty mówisz?

- Nie wiem, ale mam dobrą pamięć wzrokową a te kawałki kości wyglądają tak samo jak u tego pierwszego faceta.

- Więc o to chodzi... - mruknął Nick.

- O co? - spytała Jillian.

- Czuję, że dokumentacja Price'a jest mi znana. Wróćmy do tego dwudziestoosmioletniego białego mężczyzny, którego zdjęcia oglądaliśmy na początku.

- Giuseppe Renzullego?

- Właśnie.

Jillian wyciągnęła dokumentację Renzullego.

- Czy możemy zobaczyć obie razem?

Otworzyła nowe okno i umieściła trójwymiarowe skany tomograficzne obu pacjentów

jeden przy drugim.

- A niech mnie! - zawołała Junie.

- Są identyczne - stwierdziła Jillian.

- Miałem rację - ucieszył się Reggie.

Nick ze ściągniętymi brwiami przyglądał się obu zdjęciom.

- Nie jestem statystykiem - powiedział po chwili - ale mogę się założyć, stawiając ambulanś, że statystyczną niemożliwością jest uzyskanie dwóch identycznych kawałów kości i dwóch identycznych rozrzutów fragmentów na skutek rany postrzałowej.

- Czy procedury w przypadku tych dwóch mężczyzn były te same? - spytała Junie.

- Nie wydaje mi się - odparł Nick. - U Renzullego wystąpiły poważne komplikacje, które Paresz przypisywał narkozie i miejscowej infekcji.

- Może coś przegapiliśmy - zasugerowała Jillian.

Nick przejrzał notatki i zdjęcia w kartach Price'a i Renzullego. Jediną wspólną rzeczą w obu dokumentacjach był skan tomograficzny.

- Czy nie mówiliście, że te procedury kosztują setki tysięcy dolarów? - spytała Junie.

Nick był tak skoncentrowany na kartotece Price'a, że pytanie Junie dotarło do niego z opóźnieniem.

- Tak - potwierdził po chwili. - Dlaczego?

Junie postukała palcem w ekran.

- Spójrz tutaj.

- Hej, nie dotykaj monitora! - zrugął ją Reggie.

- A niech mnie! - zawołał Nick.

Musiał zamrunąć, by się upewnić, że dobrze widzi.

- Jillian, czy joint venture z Shelby Stone nie oznacza, że Singh sam prowadzi swoją praktykę medyczną, ale zaopatrzenie załatwia razem ze szpitalem Stone? - spytał Nick.

- Tak przypuszczam. Prawdopodobnie w zamian przekazuje szpitalowi jakiś procent z tego, co otrzymuje za wykonywane przez siebie zabiegi.

- Według danych w tej dokumentacji rekonstrukcja twarzy Edwina Scotta Price'a była warta niemal milion dolarów.

- Tak? I co z tego wynika? - spytała Jillian.

Odwróciła się na krześle i popatrzyła na nich.

- To, że ani jeden dolar z milionowego wynagrodzenia Singha za nową twarz Edwina Scotta Price'a nie pochodził od towarzystwa ubezpieczeniowego.

- A to oznacza, że Singh nie chciał, by firma ubezpieczeniowa Price'a w ogóle

wiedziała, iż jej klient poddał się operacji. Dlaczego?

Na twarzy Nicka pojawił się diaboliczny uśmiech.

- Nie wiem, ale pozwólmy naszemu małemu rootkitowi odpocząć, a potem, kiedy Reggie nam powie, że już jest bezpiecznie, poszukamy innych identycznych skanów tomograficznych i przyjrzymy się bliżej rachunkom Singha za rekonstrukcje twarzy po ranach postrzałowych.

ROZDZIAŁ 31

Franz Koller siedział na jednej z niedawno zainstalowanych podwójnych ławek przy Poplar Point i patrzył, jak światło księżycy tańczy na powierzchni Potomacu. Jego klient miał usiąść bezpośrednio za nim, zwrócony twarzą w stronę drzew. W ten sposób podczas rozmowy niemal stykaliby się plecami.

To całe gówno w stylu płaszczka i szpady jest niewygodne, myślał Koller, ale już wcześniej miał do czynienia z agencją i wiedział, że właśnie tak działają. Wiedział, z kim ma do czynienia, oni zaś wiedzieli, że on wie, ale nie miało to żadnego wpływu na sposób ich działania. Jedyne pytanie, które wciąż pozostawało bez odpowiedzi - choć w gruncie rzeczy było mu wszystko jedno, czy kiedykolwiek się tego dowie - to tożsamość Jerycha i ludzi z agencji, dysponujących na tyle dużymi środkami i wpływami, by sfinansować eliminację co najmniej sześciu osób. Przy obecnej stawce Kollera oznaczało to, że ten ktoś ma naprawdę potężne wpływy.

W powietrzu czuło się chłód, dość niezwykły o tej porze roku. Koller był zadowolony, że włożył grubszą kurtkę, nie tylko z powodu zimna, ale też dlatego, że pozwalało mu to ukryć ulubioną broń, której używał przy bezpośrednich zabójstwach - był to ruger 22 z wbudowanym tłumikiem. Broń zapewniała mu możliwość szybkiej ucieczki, a ponieważ spotkanie naruszało kilka jego podstawowych zasad, uznał, że należy się zabezpieczyć.

Niepokoilo go nie tyle miejsce spotkania, co czas. Późną nocą w publicznym parku, każdy patrol wart cyny na swojej odznace sprawdziłby siedzącego na ławce człowieka.

„Chcemy tylko prosić, żeby był pan ostrożny, bo późnym wieczorem lubią tu się kręcić rabusie”.

Koller uśmiechnął się w duchu do tej myśli, zamknął oczy i na moment dał się ponieść wyobraźni. Jak by to było, gdyby rzeczywiście jakiś rabuś się do niego zbliżył? W jego umyśle pojawił się obraz bezpośredniego zabójstwa, szybkiego i cichego; prawa ręka w górę, do gardła, a potem szybki ruch wokół krtani. Po pierwszym pchnięciu pozwolił sobie w

wyobraźni wyłupić niedoszłemu napastnikowi kciukami oczy.

Trochę brudna robota, ale dobra, stwierdził. Naprawdę dobra robota.

Podejrzewał, że za chwilę zobaczy albo człowieka podającego się za Jerycho, albo przywódcę organizacji używającej tej nazwy. Był ciekaw, czemu ten klient tak bardzo nalegał na osobiste spotkanie, które było niebezpieczne dla nich obu, a śmiertelne dla jednego z nich, jeśli zamierzano go zabić. Ale zabijanie go w tym momencie - zresztą w żadnym momencie - nie miało sensu. Być może znowu - tak samo jak wówczas, gdy Jerycho postanowiło spalić dom Jillian Coates - zamierzano naruszyć przyjęte zasady. Tyle że tym razem jego klient rozsądnie uznał, iż łatwiej i bezpieczniej jest prosić o pozwolenie niż o wybaczenie.

Wyczuł jakiś ruch i przesunął rugera na kolana. Po minucie usłyszał głosy mężczyzny i kobiety, nadchodzących ścieżką od lewej strony. Wciągnął powietrze przez nos i zaczął spowalniać sobie tętno. Wydawało mu się, że zbliżający się ludzie brzmią niegroźnie i chyba są trochę pijani, ale zawodowi zabójcy tak właśnie by się zachowywali. Kątem oka śledził nadchodzącą parę, która wynurzyła się z gęstego zagajnika i znajdowała się teraz w odległości jakichś trzydziestu metrów od niego. Zerknął w prawo - nic. Jeśli ci ludzie są na tyle dobrzy, że zdołają go oszukać, będzie to prawdziwa walka.

Schował pistolet pod kurtkę.

- Hej, kolego, jak leci? - wybełkotał mężczyzna.

Miał co najmniej dwa metry wzrostu i ważył ze sto pięćdziesiąt kilo, a jeśli poziom alkoholu w jego krwi był niższy niż 0,2 promila, to zasługiwał na Oscara. Towarzyszająca mu dziewczyna była drobna i milcząca.

- Wszystkiego najlepszego - powiedział Koller. Wciąż był czujny, teraz jednak raczej próbował wyczuć obecność kogoś, kogo ta para mogła kryć.

- Dzięki - odparł Niedźwiedź.

Czknął głośno, potknął się i ruszył dalej.

Koller schował rugera i spojrzał na zegarek. Zawsze przybywać późno na spotkanie - kolejna niepotrzebna sztuczka goryli z CIA. Ale w zamian za wolny od podatku milion, który wypłacali mu za każde zabójstwo, gotów był dać im jeszcze pięć minut. Kontrakt z Jerychem już przyniósł mu mnóstwo pieniędzy, a przy odrobinie szczęścia to spotkanie również okaże się opłacalne.

Usłyszał kroki na trawie za plecami. Dwóch ludzi, niemal na pewno mężczyzn, jeden z nich prawie tak samo duży jak jego rozmówca sprzed chwili. Nie odwrócił się, ale znów przygotował się na atak. Jeśli to zawodowcy, to albo byli niezręczni, albo nie zamierzali zrobić mu krzywdy. Doszedł do wniosku, że to Jerycho i jego ochroniarz.

Cięższe kroki zatrzymały się w odległości dwudziestu metrów. Drobniejszy mężczyzna szedł dalej i po chwili usiadł na ławce tyłem do Kollera.

- Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać - powiedział.

Ten głos! Teraz Koller zrozumiał, dlaczego jego klient pojawił się z obstawą.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Kim jest ten mięśniak, który panu towarzyszy?

- Jak pan...

- Płaci mi pan tyle, ile mi pan płaci, bo jestem najlepszy. Jeśli ma pan jakieś inne zamiary poza pogawędką, szybko pan tego pożałuje.

- Zabicie mnie wywołałoby niezłe zamieszanie. Skoro jest pan taki bystry, pewnie pan już wie, kim jestem.

- Oglądam telewizję - odparł Koller. - Pan jest szefem Jerycha?

- To nie teleturniej, niech pan sam sobie odpowie na to pytanie.

- Nie mam na sobie podsłuchu.

- Wiem, przeskanowaliśmy pana dziesięć minut temu.

- Pijak i dziewczyna byli dobrzy.

- Cały mój zespół jest dobry. Właśnie dlatego pana wynajęliśmy.

- Do rzeczy. Nie musieliśmy się spotykać osobiście, by omówić kolejne zlecenie.

Dobrze pan wie, jak to się robi.

- Nastąpiły pewne zmiany. Muszę wiedzieć, czy mogę panu ufać.

- Dość dziwne życzenie wobec kogoś o moim zajęciu, nie uważa pan? - mruknął Koller.

Zaczął się rozluźniać. Przecież przyszedł kandydat na wiceprezydenta partii, która prowadziła we wszystkich sondażach, nie wystawiłby się na strzał. To nazwisko wiele wyjaśniało. Przed swoją niedawną nominacją Lionel Ramsland był zastępcą dyrektora CIA.

ROZDZIAŁ 32

Przez kilka chwil Lionel Ramsland milczał. Jeszcze przed zaplanowaną na sierpień konwencją prezydencką wybrano go na wiceprezydenta u boku starającego się o prezydenturę Johna Greenleigh. Obaj byli obrońcami demokracji i właściwie mieli zwycięstwo w kieszeni.

- Wiem, że popełniliśmy błąd, zlecając podpalenie tamtego domu - odezwał się w końcu Ramsland.

- Pamięta pan, co mówiłem o moich obiektach? - spytał Koller.

- Proszę mi przypomnieć.

- Absolutnie, w żadnych okolicznościach klientom nie wolno bez mojego zezwolenia nawiązywać kontaktu z osobami związanymi z obiektem, śledzić ich, dotykać czy nawet oddychać w ich pobliżu. A takiego zezwolenia nigdy nie udzielę.

- W porządku, rozumiem.

- Ukryłem w domu Jillian Coates materiały i nie zdążyłem ich usunąć. Gdyby policja je znalazła, mogłoby się to źle skończyć i dla mnie, i dla pana.

- Nasz błąd.

- Zapłaciliście mi za ten błąd, więc o co chodzi?

- Cóż, okazuje się, że operacja Jerycha napotkała kilka nowych, nieprzewidzianych przeszkód. Nie takich, które by mnie szczególnie niepokoiły, zwłaszcza że jest pan po naszej stronie. Ale nie osiągnąłem tak wysokiej pozycji, zadowolając się rolą obserwatora.

- Wie pan, że jestem zawodowcem i zawsze wykonuję zleczone mi zadanie. Gwarantowane zadowolenie klientów albo zwracam ofiarę - powiedział Koller i zachichotał. - Może powinienem wydrukować sobie to hasło na wizytówkach.

- Może tak.

- Proszę mówić dalej.

Mężczyzna, którego wiele osób uważało za potężniejszego i bardziej stanowczego niż znacznie młodszy i zdolniejszy kandydat na prezydenta, odchrząknął. Koller po raz pierwszy usłyszał zmęczenie w jego głosie.

- Kocham ten kraj - powiedział Ramsland - i uważam się za patriotę, kogoś, kto zrobi wszystko, by chronić ojczyznę. Wszystko. Bardzo chciałbym móc uwierzyć, że pan zrobi to samo.

- Miłość do kraju to pańska sprawa, nie moja.

- Ludzie, którzy kiedyś pana zatrudnili, powiedzieli mi, że mogę oczekiwać takiej właśnie odpowiedzi.

- Więc nie powinien pan w ogóle poruszać tej sprawy.

- Jako siła sprawcza, stojąca za Jerychem, nie mogłem z czystym sumieniem zająć się naszymi problemami, nie spotkawszy się przedtem z panem twarzą w twarz i nie zadawszy przynajmniej tego pytania.

- W mojej pracy niezaangażowanie to zaleta, ale ważna jest również lojalność.

- Wobec kraju?

- Nie, wobec moich klientów.

- Rozumiem.

- Może da pan sobie spokój z tym gównem spod znaku płaszcza i szpady i usiądzie

obok mnie?

Ramsland spełnił życzenie zabójcy. Przez kilka chwil obaj mężczyźni przyglądali się sobie nawzajem.

- Nie tak sobie pana wyobrażałem - powiedział w końcu Ramsland.

- Staram się nie trafiać do gazet, ale miło pomyśleć, że snuł pan fantazje na mój temat.

- Moi informatorzy powiedzieli mi, że ma pan, jak to ujęli, dość ekscentryczne poczucie humoru.

- Nie lubię być tematem rozmów. Sądzę, że powinien pan przejść do sedna sprawy.

- Tak, powiedziano mi również, że jest pan bardzo bezpośredni. Dobrze, może powiem na początek, że obaj, pan i ja, ponosimy wielką odpowiedzialność.

- Skoro pan tak twierdzi...

- Potrafię wiele dowiedzieć się o człowieku, patrząc mu w oczy, ale pańskie oczy nic mi nie mówią.

- Powinno to pana uspokoić - zauważył Koller. - To oznacza, że nie interesują mnie żadne sprawy poza tymi, za które pan mi płaci.

- A gdyby ktoś zapłacił panu więcej pieniędzy, żeby zajął się pan innymi sprawami? - zapytał Ramsland.

Zbliżał się już do siedemdziesiątki i stał bardzo blisko prezydentury, jednak nie wydawał się Kollerowi szczególnie interesujący. Ale jego zdaniem taka właśnie była większość ludzi sprawujących władzę. Ramsland pochodził z czasów détente i polityki uprawianej za kulisami, popierającej teorię domina. Jego podpuchnięte oczy i obwisła, pomarszczona twarz upodabniały go do suszonej śliwki. Spod trenażu typu London Fog wystawał szaroniebieski garnitur. Koller był zdumiony, że ten łysiejący siwy głupiec potrafi budzić jakieś emocje w kimkolwiek poza własną matką. Patrzył na Ramslanda i przez chwilę wyobrażał sobie, jak wyglądałby z płucami wypełnionymi sarinem. Ale pod nieciekawym wyglądem wyczuwał twardość i wiedział, że musi o tym pamiętać. Faceci, którzy zabawiali się czołgami i pociskami, zazwyczaj mieli jaja.

- Być może nie jestem takim patriotą jak pan, za to jestem zawodowcem. I kieruję się własnymi prawami. Zgodnie z tymi prawami jest pan w tej chwili chroniony. Cokolwiek ma mi pan do powiedzenia, może pan to powiedzieć z całkowitym zaufaniem.

Ramsland zaczerpnął powietrza i powoli je wypuścił.

- Panie Koller, wiem, że paląc dom Jillian Coates, naruszyliśmy jedną z pana zasad i naraziliśmy pana na niebezpieczeństwo. Ale ta kobieta ujawniła w programie radiowym kilka bardzo niewygodnych dla nas informacji, uznaliśmy więc, że musimy działać.

- Niech mi pan wierzy, wiem o tej kobiecie znacznie więcej niż wy. Wasze działanie doprowadziło do tego, że z jeszcze większym uporem zaczęła dłużyć w tej sprawie. Musiałem ją śledzić, by sprawdzić, czy niczego nie odkryła.

- Zamierzaliśmy ją śledzić, ale ponieważ pan nas dużo kosztuje, a nasza grupa jest niewielka, po prostu nie mieliśmy środków.

- Więc spanikowaliście.

- No dobrze, spanikowaliśmy. Muszę jednak panu powiedzieć, że nasz niepokój nie był całkowicie nieuzasadniony.

- Tak?

- Jakiś tydzień temu doszło do naruszenia tajności w naszym Biurze do spraw Weteranów w śródmieściu. Pewien dzieciak, czarny dzieciak, zaledwie nastolatek, dotarł do systemu komputerowego i zaczął szukać informacji o pewnej osobie związanej z Jerychem.

- A w jaki sposób dotyczy to Coates?

- Dzieciak nazywa się Reggie Smith. Ma czternaście lat i całkiem przyzwoitą listę hakerskich wykroczeń na koncie. Mieszka z rodzicami zastępczymi w Baltimore. Ich bliskim sąsiadem jest przyjaciel rodziny, pewien lekarz o nazwisku Garrity.

- Nicholas Garrity, wiem.

- Jest pan naprawdę dobry.

- Więc uporządkujmy fakty. Czternastoletni dzieciak wykrada z komputera Biura do spraw Weteranów informację, której nie potrafiliście usunąć...

- Prawda jest taka, że nie potrafiliśmy jej odnaleźć. To również związane jest z brakiem funduszy i siły roboczej.

- Proszę mówić dalej.

- W bazie danych Biura do spraw Weteranów Garrity figuruje jako osoba cierpiąca na zespół stresu pourazowego. To znaczy...

- Wiem, co to znaczy - przerwał mu Koller. - Czy Jerycho interesuje się Garritym?

- Nie bezpośrednio, ale tak.

- A Jillian Coates?

- Cóż... włączyła się do gry, kiedy zaczęła szukać zabójcy. To właśnie doprowadziło ją do Garrity'ego.

- Chce pan, żebym ich zabił? - zapytał Koller takim tonem, jakby zamawiał śniadanie Grand Slam w Denny's.

- Nie - zaprzeczył Ramsland. - Nasi ludzie śledzą Garrity'ego i jego partnerkę, June Wright, a także ich ambulans. Wright jest zastępczą matką Reggiego Smitha. Jest nas zbyt

mało, by śledzić ich przez całą dobę na okrągło, ale mamy ich na oku. Zlecenia, które realizuje pan dla Jerycha, były tak rozmieszczone geograficznie, by media nie dostrzegły żadnych powiązań między pana obiektami. Nie możemy ryzykować, że obudzimy czyjąś ciekawość, gdyby coś stało się Jillian Coates lub komuś z jej otoczenia. A to obejmuje Garrity'ego.

- Jeśli zacznie bardzo przeszkadzać, umrze - powiedział Koller. - I będzie to wasza wina.

- Dobrze, wobec tego zajmiemy się Garritym. Na pewno jest takim samym patriotą jak ja. Zrozumie, o co nam chodzi, i wycofa się.

- A jeśli nie?

- Weźmiemy tę przeszkodę, kiedy się przed nami pojawi.

- Jak pan sobie życzy. Więc jeśli nie chodzi o Garrity'ego ani o Coates, to po co mnie pan tu ściągnął?

- Działania tego dzieciaka sprawiły, że jeden z naszych ludzi zaczął się denerwować. Ten facet to niewielki trybik w naszej maszynierii, ale teraz stał się słabym ogniwiem.

Nienawidzę mieszania metafor, pomyślał Koller. Aż trudno uwierzyć, że przez te wszystkie lata byłeś szefem CIA, a teraz zostaniesz wiceprezydentem.

- Będzie was to kosztowało milion dwieście - oświadczył - i dodatkowe pięćdziesiąt, jeśli chcecie zrobić to szybko.

- Możliwie najszybciej.

- Jak pan sobie życzy. Obowiązują te same reguły: wszystkie potrzebne informacje na temat obiektu otrzymam przez eBay.

- Nie chce pan nawet wiedzieć, o kogo chodzi?

- Wszystko we właściwym czasie.

- Podam panu tylko jego nazwisko, żeby pan mógł zaczynać.

Koller westchnął.

- Jak pan sobie życzy.

- Jest urzędnikiem w Biurze do spraw Weteranów, zajmuje się podaniami o zasiłki. Nazywa się MacCandliss. Phillip MacCandliss.

ROZDZIAŁ 33

Nick nigdy dotąd nie był w biurze detektywa porucznika Dona Reese'a. Biorąc pod uwagę okoliczności ich pierwszego spotkania, milcząco uznali, że trzeba zachować najwyższą

możliwą dyskrecję. Jednak gdy Nick zadzwonił, już z drogi, do komisariatu drugiego dystryktu, Reese nawet nie zapytał, czego potrzebuje. Prośba Nicka o spotkanie wystarczyła, by zmienił plan swoich zajęć.

Obsługująca recepcję policjantka w mundurze siedziała w pokoiku wielkości szafy za szybą z pleksiglasu grubości dziesięciu centymetrów. Miała dwadzieścia parę lat. Zadzwoniła do Reese'a i przez interkom powiedziała Nickowi i Jillian, by usiedli na plastikowych krzesłach stojących pod ścianą holu i poczekali.

Nick trzymał pod pachą dużą brązową kopertę zawierającą poufne dokumenty sześciu różnych pacjentów kliniki Singha. Cztery lata temu, w ciągu jednego roku, każdy z nich przeszedł operację po postrzale w twarz z własnej ręki. Gdyby te przypadki badać osobno, nie byłoby w nich nic specjalnie dziwnego poza gwałtownym, niszczycielskim urazem. Jednak oprócz różnych nazwisk i numerów ubezpieczenia społecznego dane tych sześciu pacjentów były identyczne: takie same obrazy tomograficzne, kardiogramy i notatki dotyczące zastosowanych procedur. Co więcej, wykazy wykorzystanych środków opatrunkowych i lekarstw otrzymanych przez Shelby Stone również były identyczne. Prawdopodobieństwo, że nawet dwa przypadki mogą być do tego stopnia zbliżone, przypominało szansę wygrania w loterii Powerball siedem czy osiem razy z rzędu.

Nick i Jillian wiedzieli, że trafili na coś nielegalnego, podejrzewali jednak, że kryje się za tym coś więcej niż zwykle oszustwo lub nawet oszustwo na wielką skalę. Kim byli ci pacjenci i czy mieli coś wspólnego z Mannym albo Umbertem? Nick miał nadzieję, że Don Reese pomoże im znaleźć odpowiedzi na te pytania.

Po ich prawej rozległ się buczer i otworzyły się duże, wzmocnione stałą drzwiami, za którymi znajdowało się wejście do komisariatu. Reese powitał ich serdecznym uściskiem dłoni. Miał na sobie białą koszulę i krawat w czerwone prążki, a jego imponująca postać robiła jeszcze groźniejsze niż zwykle wrażenie dzięki pistoletowi tkwiącemu w kaburze pod lewym ramieniem.

- Jestem ci bardzo wdzięczny, że chcesz nam dzisiaj poświęcić trochę czasu, Don - powiedział Nick, przedstawivszy porucznikowi Jillian. - Naprawdę to doceniam.

- Pozwoliłem ci powiedzieć o nas swojej przyjaciółce, kiedy mi wyjaśniłaś, że jest dla ciebie kimś szczególnym. Czy to zrobiłaś?

- Zrobiła - odparła za Nicka Jillian. - Ale ostatnio pamięć mnie strasznie zawodzi i już nie pamiętam, o co chodziło. Zamierzałam do pana zadzwonić w sprawie pożaru, który zniszczył mój dom, czekałam jednak na raport specjalisty od pożarów z firmy ubezpieczeniowej.

- Bardzo mi przykro z powodu pani domu. Proszę do mnie przyjść, kiedy pani zechce.

- Dziękuję.

- Jak już mówiłem w szpitalu, Nick, mamy przed sobą długą drogę, zanim uznam, że jesteśmy kwita. To obejmuje również twoich przyjaciół - powiedział Reese. - Porozmawiajmy w moim biurze.

Poprowadził Nicka i Jillian przez centrum przyjmujące meldunki. Było to pomieszczenie o podniesionej podłodze, wyposażone w klimatyzację, dzięki której systemy komputerowe nie przegrzewały pokoju. Był tam również rząd monitorów, pokazujących, co się dzieje w celach pobliskiego aresztu.

- To serce i dusza dziewięćset jedenaście - powiedział Reese, wskazując centrum łączności. - Ponad trzysta tysięcy wezwań odebranych tylko w zeszłym roku.

Gdy detektyw opowiadał o swojej pracy, Nick pomyślał, że odwiedzenie go było dobrym pomysłem. Z pomocą Reese'a mieli szansę zorientować się, jak wielką rybę złapali.

Wyszli z centrum i znaleźli się przed drzwiami prowadzącymi do aresztu.

- Ile osób tam teraz przebywa? - spytała Jillian.

- Cele są wypełnione po brzegi - odparł Reese z kwaśnym uśmiechem.

Demonstrowana przez Jillian znajomość procedur policyjnych zrobiła na Nicku wrażenie. Dziewczyna wyjaśniła, że poznała je podczas zajmowania się umyślowo chorymi pacjentami, którzy często mieli do czynienia z wymiarem sprawiedliwości. Kiedy nie udało im się rozwiązać zagadki sześciu identycznych przypadków, to właśnie ona zasugerowała, by wykorzystać bazę danych policji do przeprowadzenia dokładniejszego śledztwa.

Skromne biuro porucznika znajdowało się na drugim piętrze w samym rogu, miało więc okna wychodzące na dwie strony budynku. Na biurku, półkach i parapetach stały oprawione w ramki zdjęcia jego dzieci i wnuków oraz książki dotyczące medycyny sądowej i prawa. Na ścianach wisiały dyplomy i różne pamiątki, świadectwa dwudziestu pięciu lat nienagannej służby. Policjant to policjant.

Usiedli naprzeciwko Reese'a i Nick zaczął wyjaśniać, co się wydarzyło. Opowiedział o spotkaniu z Mannym Ferrisem i jego możliwym związku z Umbertem oraz ich podejrzeniach dotyczących praktyk finansowych kliniki Singha, których nabrali dzięki danym uzyskanym po zainstalowaniu przez Jillian rootkitu w komputerze spa.

- Matko Boska, Garrity! Przecież to przestępstwo! Dillinger to przy was panna Muffett. Chyba dzbanek z długami wdzięczności wreszcie się wypełni.

- Powiedzmy, że byłaby to ostatnia przysługa - odparł Nick. - Mówię ci, Don, tam dzieje się coś bardzo niedobrego. Przyjrzyj się tej dokumentacji medycznej...

Pchnął brązową kopertę na drugą stronę biurka, ale Reese nie bardzo miał ochotę przeglądać jej zawartość.

- Czy masz pojęcie, co zręczny prokurator mógłby nam zrobić za sam fakt, że to jest w tym pokoju?

- Jillian pomoże nam urządzić się w celi.

- Udekoruję ją jedwabnymi kwiatami - obiecała Jillian.

- Ta dziewczyna mi się podoba - stwierdził Reese.

- Nie tobie jednemu.

Reese nie potrafił dłużej opanować zawodowej ciekawości, więc otworzył kopertę i przejrzał wydruki. Po chwili popatrzył na Nicka.

- Oświeć mnie, Nick. W college'u miałem z biologii marne oceny i większość tego medycznego żargonu brzmi dla mnie jak sanskryt. Rozumiem, że mamy tutaj dokumenty, których nigdy nie przedstawiono w żadnej instytucji ubezpieczeniowej. Ale co to oznacza?

- To, że Paresh Singh coś ukrywa.

- Na przykład co?

- Do tego właśnie potrzebujemy twojej pomocy. Pacjenci są identyfikowani na kartach numerami swojego ubezpieczenia społecznego. Jeśli nie są to prawdziwe numery, system nie pozwala stworzyć dokumentacji. Ale kiedy próbowaliśmy sprawdzić numery ubezpieczenia tych sześciu pacjentów, odbiliśmy się od ściany.

Reese odchylił się do tyłu tak mocno, że dwie przednie nogi jego sfatygowanego drewnianego krzesła oderwały się od podłogi. W zamyśleniu wbił wzrok w swoje dłonie.

- Centrum Singha musiałyby wystawić rachunek firmie ubezpieczeniowej, by uzyskać zwrot kosztów i materiałów, tak? - spytał w końcu.

- Zgadza się - odparła Jillian.

- Więc jeśli Singh wykonał te wszystkie operacje, ale nie wystawił rachunków, stracił bardzo dużo pieniędzy.

- Cóż, to jest jeszcze dziwniejsze - powiedział Nick. - Wygląda, jakby ktoś im zapłacił za to, co zrobili. Spójrz, tutaj jest kolumna wydatków dla każdego przypadku, a tu kolumna wpływów. Obie sumy się równoważą, więc albo ktoś zapłacił za te operacje, albo Singh fałszuje swoje rozliczenia.

- Co sugerujesz? Powiedziałeś przecież, że firmy ubezpieczeniowe nie otrzymały żadnych rachunków.

- Wykorzystaliśmy rootkit, by przyjrzeć się bliżej ich dokumentacji finansowej i rachunkom.

- Wspaniale... - jęknął Reese. - A czy przyjrzelicie się również tym malutkim celom za naszym centrum meldunkowym?

- Okaż nam trochę cierpliwości, Don - poprosił Nick.

- Dobrze, ale jak mi pęknie wrzód żołądka, to lepiej, żebyście potrafili się nim zająć.

- Zrobiliśmy szacunkową wycenę operacji twarzy po postrzale i wyszło nam, że kosztowałyby od pięciuset tysięcy do miliona dolarów.

- I co?

Jillian przejęła pałeczkę.

- Mam w szpitalu Shelby Stone znajomych, którzy pracują w rachunkowości. Poprosiłam, żeby sprawdzili dla nas to i owo. Powiedzieli mi, ile szpital zarobił na swoim udziale w zyskach Spa Medycznego Singha cztery lata temu. Jeśli założymy, że operacje tych sześciu pacjentów to oszustwa, które nie przyniosły żadnego dochodu Singhowi, udział Shelby Stone w zyskach powinien być w tym roku znacznie niższy niż w kolejnych latach.

- Zgaduję, że tak nie jest.

Jillian i Nick pokiwali głowami.

- Zyski Shelby Stone ze spółki z kliniką Singha musiały obejmować dochody z tych sześciu lipnych operacji. W każdym razie nasi znajomi z rachunkowości twierdzą, że tak było.

- Ale jeśli rzeczywiście tak było, to ktoś, prawdopodobnie Singh, musiał zapłacić Shelby Stone z własnej kieszeni, ponieważ żadna firma ubezpieczeniowa nie zwróciła wydatków na operacje. Dlaczego miałyby to robić?

- My też uważamy, że to nie ma sensu - przyznał Nick.

- Może się obawiali, że jakiś bystry kontroler z Shelby Stone zauważy, iż coś jest nie tak - dodała Jillian.

- Czy Singh zaopatruje się przez Shelby Stone? - spytał Reese.

- Tak, to część umowy. Bardzo korzystna dla centrum, ponieważ Shelby Stone Memoriał kupuje wszystko w ilościach hurtowych. W zamian za to i za przekazanych Singhowi pacjentów szpital otrzymuje część zysków centrum.

- Ale skoro kupują więcej materiałów, niż im potrzeba do wykazanych w dokumentacji zabiegów...

-...sugerowałoby to, że Singh ukrywa część z nich przed Shelby Stone - dokończył Nick.

- Interesująca teoria, ale gdzie dowody?

- Na razie nie mamy niczego konkretnego. I wcale nie chcemy dopaść tych facetów z

powodu prania brudnych pieniędzy, tylko szukamy Umberta.

- A także zabójcy mojej siostry - dodała Jillian.

- Więc chcecie, żebym sprawdził, czy numerów ubezpieczenia społecznego na dokumentacji medycznej tych ludzi nie ma w naszym systemie?

- To ty pracujesz w policji. Masz dostęp do rzeczy, których nie znajdziemy, przeszukując Google na piechotę.

- Proszę pamiętać, że wszyscy ci pacjenci postrzelili się w twarz - powiedziała Jillian.

- Przecież ktoś chyba doniósłby o takim wypadku policji?

Reese wstał z krzesła, splótł palce i wyciągnął ręce w górę, aż zaczęły mu trzaskać stawy, a potem znowu usiadł.

- Muszę przeciągać się co parę godzin - wyjaśnił. - Moje kości trzaskają teraz głośniejsz niż stary materac... No dobrze, przekonaliście mnie. Zgadzam się, że coś tu śmierdzi. Przepuszczę te numery ubezpieczenia społecznego przez naszą bazę danych, ale włamanie do ich systemu komputerowego to nie przekroczenie pewnej granicy, lecz wyznaczenie nowej. A kradzież dokumentacji medycznej grozi wam utratą licencji.

- Wobec tego możemy uznać, że jesteśmy kwita - powiedział Nick.

Reese wzruszył ramionami.

- Nie chcę tylko, żebyście wpadli w kłopoty.

Wprowadził do komputera numer ubezpieczenia z pierwszej karty i przez chwilę wpatrywał się w ekran ze zmarszczonymi brwiami.

- Cholera jasna! - zaklął.

Znowu zaczął stukać w klawiaturę.

- I co?

- Wpisałem ten pierwszy numer ubezpieczenia na kilka sposobów, ale za każdym razem wyskakuje komunikat, że dostęp do tej informacji jest ograniczony.

- Dlaczego? - spytała Jillian.

- Nie wiem. Od jedenastego września wszystkie wydziały policji dzielą się danymi z federalnymi agencjami wymiaru sprawiedliwości. Dzięki tej współpracy wytropiliśmy nie tylko wielu potencjalnych terrorystów, ale także zwykłych przestępców. Teraz, jeśli dostaniesz mandat za przekroczenie prędkości w Orlando na Florydzie albo grzywnę za nielegalny hazard w Vegas, natychmiast będę o tym wiedział. - Dźgnął palcem w komputer. - Wszystkie bazy danych zostały połączone.

Nick zastanawiał się przez chwilę.

- Więc czemu nie możesz otworzyć tej karty? Co to oznacza? - zapytał.

- Że wpadliście w głęboki jogurt, przyjacielu. Nigdy dotychczas nie odmówiono mi dostępu.

- Taki pierwszy raz zawsze jest trudny do przyjęcia - stwierdził Nick. - A co z innymi kartami?

Reese wprowadził do komputera kolejny numer ubezpieczenia. Znów przez chwilę wpatrywał się z napięciem w monitor i znów pokręcił głową.

- To samo, zastrzeżony. Zaczynam myśleć, że powinniśmy poprosić tu kapitana.

- Nie chciałbym cię stawiać w trudnej sytuacji, Don, ale czy mógłbyś z tym poczekać? Może twój szef na nas nie napadnie, ale nie chcemy kusić losu. Nie wiemy, kto jest w to wmieszany ani co naprawdę knuje Paresh Singh. Jeśli wybiegniemy przed orkiestrę, ryzykujemy, że się ujawnimy i być może stracimy jedyny ślad prowadzący do zabójcy Umberta i Belle. Kto twoim zdaniem może mieć takie wpływy?

Reese pokręcił głową.

- A jak sądzisz? FBI? CIA? NSA? Jedna z tych agencji, które nie mają nawet inicjałów? Ugrzązłeś już bardzo głęboko, przyjacielu, i jeśli tak dalej pójdzie, nie jestem pewien, czy zdołam cię wyciągnąć.

- Może oni tworzą nowe tożsamości? - zasugerowała Jillian. - Przecież to centrum chirurgii plastycznej.

Nick był jej wdzięczny, że się wtrąciła i przerwała narastające między nim a Reese'em napięcie.

- Niewykluczone, ale do tej pory zawsze mogłem dotrzeć do informacji o wszystkich osobach z federalnego programu ochrony świadków, więc dlaczego nie do tych?

- Może to grubsze ryby - mruknął Nick.

Reese zaczął wprowadzać pozostałe numery ubezpieczenia. Obserwując wyraz jego twarzy, Nick doszedł do wniosku, że coś w informacjach o piątym pacjencie może odbiegać od danych poprzedniej czwórki.

- Spójrzcie, ten facet, jak się wydaje, jest rzeczywistą osobą - powiedział porucznik.

- Masz jego adres?

- Daj spokój z adresem, mam nazwisko. Nazwisko, które wszyscy znamy - oznajmił Reese. - Ten numer ubezpieczenia społecznego należy do Manuela Jimeneza Ferrisa.

- Manny... Mieliśmy rację, Nick - stwierdziła Jillian.

- Jeszcze się nie przebierajcie na przyjęcie. Sprawdziłem ten numer ubezpieczenia, kiedy mnie prosiłeś o odszukanie tego faceta, ale okazało się, że to ślepy zaułek. Nie mogłem go nigdzie znaleźć. Ostatni adres, na jaki trafiłem, to Richmond w stanie Wirginia.

- Ale myśmy go znaleźli. Jakoś dotarł do swojego kuzyna, tutaj w Waszyngtonie.

- Czy widzieliście jego numer ubezpieczenia?

- Nie, ale to i tak niewiele by nam pomogło. Ma bardzo zniekształconą twarz. Mieliśmy jednak zdjęcie i oboje jesteśmy pewni, że mężczyzna, który pracuje w męskiej toalecie w klubie dla dżentelmenów Billy'ego Pearl, to właśnie on.

- Billy Pearl... - powtórzył Reese z namysłem. - Znam ten lokal, czy może raczej powinienem powiedzieć, że słyszałem o nim. Ale dlaczego ktoś zniekształcił twarz waszego Manny'ego Ferrisa? Sądzicie, że przeszedł operację plastyczną?

- Biorąc pod uwagę rezultat, nie robił jej Paresh Singh.

- Może po prostu nie skończył roboty.

- Albo nie był to prawdziwy Manny Ferris.

- Nie wiem jeszcze, co o tym myśleć - odparł Reese. - Zobaczmy tę ostatnią dokumentację.

Wprowadził numer ubezpieczenia pacjenta z szóstej karty. Po chwili zobaczyli, że szeroko otworzył oczy, a na jego twarzy odmalował się wyraz zdumienia.

- Kolejny zastrzeżony dostęp? - spytał Nick.

Porucznik pokręcił głową.

- Nie, tu też trafiliśmy.

- Tak? I jakie jest prawdziwe nazwisko tego pacjenta?

- Według naszej bazy danych ten numer ubezpieczenia społecznego przydzielony był Umbertowi Vasquezowi. Twojemu zaginionemu przyjacielowi, Nick.

- Dlaczego jemu i Ferrisowi nie zmienili numerów ubezpieczenia społecznego, tak jak wszystkim pozostałym? - spytał Nick, zaciskając szczęki.

- Chyba znasz odpowiedź na to pytanie - odparł Reese. - Ci faceci nie zostawiają rzeczy niedopiętych na ostatai guzik. Nie zmienili numerów, bo nie potrzebowali. Założę się, że żaden z tych dwóch nie miał przeżyć.

ROZDZIAŁ 34

Nick czuł, że cały się trzęsie i jest mokry od potu. Pościel i podkoszulek zdążyły już przesiąknąć, ale on nadal nie mógł otworzyć oczu. Jak to się już dawniej zdarzało, ulga nie nadchodziła. Był bezradnym jeńcem przerażających obrazów ze snu.

Sarah, jeszcze raz całuje Sarah. Jej wargi smakują oszalamiająco i znajomo, a oczy mają ten sam szmaragdowozielony kolor, który tak go urzekł tego wieczoru, gdy się poznali.

Obejmuje go ramionami za szyję, a jej ciało porusza się w rozpaczliwym, błagalnym rytmie, domagając się tego, czego oboje pragną.

Nagle Sarah go odpycha i Nick widzi, że całowała go Jillian. Jej twarz rozświetla światło, coraz jaśniejsze i jaśniejsze, aż w końcu Nick nie jest w stanie rozpoznać jej rysów, a blask przestaje być przyjazny. To światła ciężarówki, która podąża ku nim przez noc. Jillian odpycha Nicka na bok, a on pada na ziemię. Traci cenne sekundy, których potrzebuje, by złapać dziewczynę, zanim trafi w nią osłona chłodnicy ciężarówki. Podnosi się i rzuca w jej stronę, ale jest już za późno. Odgłos uderzenia odrzucającego ciała Jillian odbija się jak grom echem w jego umyśle.

Otoczają go płomienie, widzi przez nie ostro zarysowaną sylwetkę kierowcy, który klaszcze w dłonie na widok ofiar. Nogi Nicka płoną. Takiego straszliwego bólu jeszcze nigdy nie zaznał. Mężczyzna w ciężarówce śmieje się z jego męki. Przez kłęby dymu i ognia otaczającego go ze wszystkich stron Nick widzi twarz kierowcy i z przerażeniem stwierdza, że to jego własna twarz.

Wybawił go dzwonek budzika. Usiadł gwałtownie, patrząc przez okna sypialni na szary świt. Poczucie winy - tak właśnie jego terapeutka tłumaczyła powracające koszmary. Poczucie winy z powodu śmierci Sarah. Z powodu umiejętności, które uratowały tylu innych ludzi. Z powodu Zmaraia, któremu pomógł zadomowić się w bazie. Z powodu Umberta, który tamtego ranka uratował mu życie, ale własne oddał butelce, a potem zniknął.

Powracające horrory były karą za to, że tak niewiele zrobił.

Do tej pory zazwyczaj śnił, że umiera Sarah, a on sam prowadzi ciężarówkę, która ją zabija. Teraz także i Jillian stała się jego ofiarą. Nie trzeba było freudysty, by zrozumieć znaczenie tej odmiany - po prostu nie mógł stworzyć związku, w którym kobieta mogłaby okazać się zakładniczką. Prawdopodobnie nigdy nie będzie na to gotów - nawet z kobietą tak otwartą i tak szczególną jak Jillian.

Ciągnął za sobą zbyt ciężki bagaż. Ale Jillian miała własne obciążenia, bo nikt nie mógł dotrzeć do tego miejsca w życiu

. % złapać dziewczynę, zanim trafi w nią osłona chłodnicy ciężarówki. Podnosi się i rzuca w jej stronę, ale jest już za późno. Odgłos uderzenia odrzucającego ciała Jillian odbija się jak grom echem w jego umyśle.

Otoczają go płomienie, widzi przez nie ostro zarysowaną sylwetkę kierowcy, który klaszcze w dłonie na widok ofiar. Nogi Nicka płoną. Takiego straszliwego bólu jeszcze nigdy nie zaznał. Mężczyzna w ciężarówce śmieje się z jego męki. Przez kłęby dymu i ognia otaczającego go ze wszystkich stron Nick widzi twarz kierowcy i z przerażeniem stwierdza,

że to jego własna twarz.

Wybawił go dzwonek budzika. Usiadł gwałtownie, patrząc przez okna sypialni na szary świt. Poczucie winy - tak właśnie jego terapeutka tłumaczyła powracające koszmary. Poczucie winy z powodu śmierci Sarah. Z powodu umiejętności, które uratowały tylu innych ludzi. Z powodu Zmarai, któremu pomógł zadomowić się w bazie. Z powodu Umberta, który tamtego ranka uratował mu życie, ale własne oddał butelce, a potem zniknął.

Powracające horrory były karą za to, że tak niewiele zrobił.

Do tej pory zazwyczaj śnił, że umiera Sarah, a on sam prowadzi ciężarówkę, która ją zabija. Teraz także i Jillian stała się jego ofiarą. Nie trzeba było freudysty, by zrozumieć znaczenie tej odmiany - po prostu nie mógł stworzyć związku, w którym kobieta mogłaby okazać się zakładniczką. Prawdopodobnie nigdy nie będzie na to gotów - nawet z kobietą tak otwartą i tak szczególną jak Jillian.

Ciągnął za sobą zbyt ciężki bagaż. Ale Jillian miała własne obciążenia, bo nikt nie mógł dotrzeć do tego miejsca w życiu bez sporego ładunku. Być może fakt, że pojawiła się w jego koszmarze, oznaczał, iż czas na zmiany. Musi tylko znaleźć sposób wyluzowania się i pozwolić, by sprawy między nimi - jeśli mają się toczyć - toczyły się we własnym tempie. Freudysta nie wysiliłby się zbyt, podając takie rozwiązanie.

Wstał, otrząsnął się z resztek nocnej wyprawy do piekła, przeciągnął i ruszył do łazienki, przypominając sobie to, co często powtarzała Junie: „Czas to sposób natury, by nie wszystko działo się równocześnie”.

Tego dnia zamierzał spotkać się z Jillian w szpitalu Shelby Stone, by jeszcze raz spróbować dotrzeć do Kreta. Dzięki Donowi Reese'owi odkryli, że Paresh Singh podrabiał dokumentację. Ponieważ jednak uzyskali te informacje nielegalnie, prawdopodobnie nie będą mogli ich wykorzystać.

Potrzebowali czegoś więcej, a konkretnie związku między satelickim centrum Singha a szpitalem matką. Trzeba jakoś przekonać Saula Mollendera, że powinien im pomóc odszukać dokumentację medyczną Umberta sprzed czterech lat. Jillian próbowała sama do niej dotrzeć, ale system elektroniczny odmówił jej dostępu. Bez pomocy Kreta utkną w kolejnym ślepych zaułku.

Nick przypiął smycz do obroży Second Chance'a i ruszył do parku. Po powrocie z półtorakilometrowego spaceru przez pół godziny ćwiczył EMDR, dzięki czemu jego poziom stresu obniżył się do sześciu. Potem wziął prysznic i pojechał do miasta.

W holu Shelby Stone spotkał się z Jillian, ubraną w ciemne spodnie z szerokim skórzanym pasem i prostą bluzkę z beżowego jedwabiu. Pocałował ją delikatnie w policzek,

objął i przytrzymał kilka sekund dłużej, niż wypadało w tym miejscu.

- Ktoś za mną tęsknił - szepnęła mu do ucha Jillian. - To mi się podoba.

- Podoba mi się, że ci się podoba.

Na ułamek sekundy powrócił do niego sen i widok jej twarzy płonącej w światłach ciężarówki.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Jasne - odparł, wzruszając ramionami.

Dopiero wtedy zauważył, że Jillian trzyma pod pachą paczkę owiniętą w brązowy papier, z przyczepioną do niego małą białą karteczką.

- To niepotrzebne - powiedział.

- Ale to wcale nie dla ciebie, tylko dla Kreta. - Jillian uśmiechnęła się enigmatycznie. - Nazwijmy to drobnym zmiękczaczem. Pomyślałam, że spróbuję przekupić naszego przyjaciela. Może tym razem nie wygoni nas ze swojego biura miotłą.

- A czym zamierzasz to osiągnąć?

- Zobaczysz - odparła.

- Wydaje mi się, że zanim wpadniemy do środka i poprosimy, by nadstawiał dla nas karku, powinniśmy się zorientować, co nim kieruje - powiedział Nick, gdy zjeżdżali windą na poziom minus dwa. - Jesteś pielęgniarką psychiatryczną. Masz jakieś pomysły?

- Cóż, może to oczywiste, ale wydaje mi się, że poczuł się odstawiony na boczny tor i zlekceważony po tym, jak administracja szpitala odebrała mu władzę i wpływy, wprowadzając system elektronicznej dokumentacji medycznej. Sprawia wrażenie inteligentnego, ale jego ponure usposobienie pewnie mu nie pomogło, kiedy podejmowano decyzje dotyczące nowych stanowisk. A może było odwrotnie.

- Coś w rodzaju, co było pierwsze: jajko czy kura - mruknął Nick.

- Właśnie. Nie wiadomo, czy go pominięto, bo jest takim ponurakiem, czy też stał się taki z tego powodu.

- Prawdopodobnie było trochę tego, trochę tego. Co powinniśmy zrobić?

- Nie mam pojęcia. Jeśli chce się do kogoś dotrzeć, warto zacząć od empatii i wzbudzenia zaufania.

- Z dodatkiem małej łapówki.

- A podobno chirurdzy niczego nie rozumieją...

- Hej, mówisz o mojej specjalności.

Ruszyli słabo oświetlonym korytarzem do mauzoleum Saula Mollendera.

- Mam nadzieję, że przyniosłaś mu nowy napis na drzwi - powiedział Nick, wskazując

zniszczone litery.

- Zaraz zobaczysz - powtórzyła.

Mrugnęła do niego i otworzyła drzwi. Choć od ostatniej wizyty tutaj ich życie bardzo się zmieniło, w świecie Kreta czas się zatrzymał. Tak samo jak przedtem siedział przy biurku za wysokim stosem dokumentów. Na widok gości zmarszczył brwi.

- O mój Boże - jęknął. - Następnym razem muszę pamiętać, by zachowywać się jeszcze mniej gościnnie. Co was tym razem sprowadza?

Nick zauważył, że na twarz Jillian wypływa rumieniec. Przypomniał sobie, że go ostrzegła, iż ma wybuchowy charakter. Wystarczyło kilka sekund spędzonych w ponurym biurze, a już cała jej empatia zniknęła w przemysłowej niszczarce stojącej obok biurka. Nick dyskretnie dotknął paczki, którą Jillian trzymała pod pachą. Zaufanie i empatia...

9

- No właśnie - powiedziała, szybko odzyskując panowanie nad sobą. - Ponieważ przeszkodził mi panu, a pan był tak uprzejmy, że poświęcił nam swój czas, chciałam ofiarować panu ten drobiazg.

Położyła na biurku paczkę. Kret wpatrywał się w nią ze zdumieniem, jakby się zastanawiał, czy nie wezwać saperów.

W końcu rozpakował podarunek, rozrywając papier i ignorując przyczepioną do paczki karteczkę. Był w niej oprawiony obrazek. Kret podniósł go wyżej, by mu się przyjrzeć.

- Dziękuję, ale mam już taki - powiedział, wskazując ścianę za nimi.

Odwrócił obrazek i Nick zobaczył pięknie wykaligrafowaną mantrę ponurego Mollendera: NIEUWAGA JEST ŚMIERCIONOŚNA. Jillian napisała to na pergaminie czarnym matowym tuszem i całość oprawiła. Nick był ciekaw, czy zrobiła to sama; podejrzewał, że tak. Wszystko się w nim zagotowało ze złości.

- Wiesz co, Mollender? - powiedział. - Być może nie podoba ci się to, co Jillian dla ciebie zrobiła, ale mógłbyś przynajmniej przez chwilę udawać, że jesteś zadowolony. I może nawet zachować się uprzejmie.

Kret zsunął okulary na czubek nosa i spojrzał na niego.

Niewykluczone, że oznaczało to u niego tyle, co u kogoś innego podwinięcie rękawów przed walką.

- A to dlaczego? - spytał wyzywająco. - Na pewno zrobiła to tylko dlatego, że czegoś ode mnie chcecie. Jeśli sądziliście, że dzięki oprawionemu aforyzmowi zostanę waszym przyjacielem, to przykro mi, ale popełniliście błąd.

Odsunął prezent na róg biurka szkłem do dołu i wrócił do przeglądania dokumentów.

- Potrzebujemy twojej pomocy, Saul - powiedział Nick.

Archiwista odchylił się na krześle i popatrzył na nich.

- Czego potrzebujecie?

Wydawał się jakby mniej wrogo nastawiony, a nawet nieco zadowolony.

- Musimy się dowiedzieć, czy mój przyjaciel był tu cztery lata temu pacjentem - wyjaśnił Nick. - To wszystko.

- To wszystko? Czemu mi tego po prostu nie powiedzieliście?

- Więc nam pan pomoże? - spytała Jillian.

- Nie, oczywiście, że nie. Najwyraźniej próbowaliście i odmówiono wam dostępu, bo tak działa ten system. Teraz schodzicie tu na dół i chcecie, żebym złamał przepisy obowiązujące w moim departamencie? Do diabła, niech pani posłucha, pani Coates: może pani sobie zabrać to dzieło sztuki i powiesić u siebie w pracy, żeby pani przypominało, że nie wolno mnie nękać. A teraz do widzenia.

Jillian złapała obrazek i wybiegła z archiwum, zostawiając uchylone drzwi. Spodziewała się, że Nick za nią pójdzie, ale kiedy się nie ruszył, zatrzymała się w holu i obejrzała na niego. Uniósł palec, milcząco prosząc ją, by dała mu minutę sam na sam z Mollenderem. W odpowiedzi trzasnęła drzwiami tak mocno, aż zabrzęczało matowe szkło.

Nick pozwolił, by cała minuta upłynęła w milczeniu. Mollender wyglądał, jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy z jego obecności.

- Dlaczego masz w sobie tyle gniewu, Saul? - spytał w końcu Nick.

- Sądziłem, że wyszedłeś.

- Mam wrażenie, że to nie z powodu pracy. Przez cały czas mam do czynienia z ciężko doświadczonymi przez los ludźmi i potrafię rozpoznać otaczającą ich skorupę, gdy na nią natrafie. Tworzą ją wokół siebie, żeby nic ich nie mogło zranić. Ja też mam taką skorupę, Saul, i to całkiem solidną. Twardą jak diament. Nie do przebicia. A wiesz dlaczego?

- Co mnie to może obchodzić? - burknął Mollender.

- Bo w wojsku niemal straciłem chęć do życia. Wciąż nie jestem pewien, czy ją odzyskałem, ale cały czas się staram.

Na te słowa Mollender oderwał wzrok od dokumentów i spojrzał na Nicka.

- Służyłeś?

- Kapitan Nick Garrity ze sto piątej Wysuniętej Polowej Jednostki Medycznej, do usług.

Nicka wyszkolono, by nie salutować; teraz też tego nie zrobił, choć taki gest można by uznać wręcz za przyjazny.

- Jaki oddział, gdzie?

- Szpital Wsparcia Bojowego w Wysuniętej Bazie Operacyjnej - Savannah.

- Afganistan - wyszeptał Kret.

- Tak, jakieś sto kilometrów na południowy wschód od Chost. W ataku terrorystycznym zginęła moja narzeczona i mnóstwo innych ludzi. Terrorysta samobójca wjechał ciężarówką prosto w szpital. Mnie też rozerwałoby na kawałki, gdyby mój przyjaciel nie zawrócił i nie wciągnął mnie pod stalową lodówkę. Wróciłem do domu zupełnie rozbity. Porzuciłem praktykę chirurgiczną i teraz jeżdżę ambulansem. To taka klinika na kółkach. Udzielam pomocy medycznej tym, których na nią nie stać, i doradzam innym weteranom, jak uzyskać zasiłek z tytułu zespołu stresu pourazowego. To cała medycyna, na jaką mnie w tej chwili stać.

- Smutna historia - mruknął Mollender.

A potem zrobił coś, czego Nick zupełnie się nie spodziewał. Otworzył górną szufladę biurka i wyjął z niej niebieskie aksamitne pudełko. Otworzył je, odwrócił i podniósł. Nick natychmiast rozpoznał znajdujące się w środku odznaczenie - niewielką srebrną gwiazdę umieszczoną na tle znacznie większej gwiazdy z brązu. Medal był zawieszony na szerokiej wstążce z pięcioma paskami: dwoma niebieskimi, dwoma białymi i jednym czerwonym.

- Srebrna Gwiazda - powiedział Nick. - Twoja?

Mollender pokręcił głową.

- Mojego młodszego brata Andy'ego. Zaciągnął się w wieku trzydziestu lat, bo wierzył w to, co tam robiliśmy.

Nick natychmiast zrozumiał, dlaczego medal jest teraz u Mollendera.

- Jak to się stało? - spytał.

- Zasadzka na drodze podczas jego drugiego pobytu w Iraku - odparł Mollender i jego oczy zasnuły się mgłą. - Był wspaniałym żołnierzem. Medal dostał za coś, co zrobił wcześniej. A teraz jego życie to tylko statystyka. Czy jego ofiara na coś się przydała? Chciałbym wierzyć, że tak. Andy często mówił o poświęceniu.

Nick wziął pióro i czystą kartkę papieru z blatu biurka i zaczął pisać.

- Pomożesz nam, Saul?

Przesunął kartkę w stronę Mollendera.

- Już mnie o to pytałeś.

- Mój przyjaciel jest żołnierzem, nazywa się Umberto Vasquez. Poza mną tylko on przeżył wybuch tej bomby. Zapisałem tu numer jego ubezpieczenia społecznego, jego szpitalny numer identyfikacyjny i mój numer telefonu. Umberto również mówił o

poświęceni. Aż do tamtej nocy był najlepszym żołnierzem, jakiego kiedykolwiek znałem. A także moim najbliższym przyjacielem. Po wybuchu zupełnie się rozpadł. - Nick przypomniał sobie wczesny ranek wkrótce po tym, jak przejął „Pomocne Dłonie”, kiedy po raz kolejny szukał Umberta i znalazł go wciśniętego pod kamienną podporę mostu, oszołomionego alkoholem, brudnego, nieogolonego i zaszczanego. - Stał się przesiąkniętym alkoholem kłębkim nerwów - mówił dalej. - Zespół stresu pourazowego w najgorszej postaci. Pewnego dnia, niedługo później, zniknął. Powiedział, że wojsko chce, żeby wykonał jakieś specjalne zadanie. To było cztery lata temu. Wydaje mi się, że po zniknięciu mógł trafić do waszego szpitala. Muszę wiedzieć, co się z nim stało, Saul. Czy był tu pacjentem i na co go leczono. Po prostu zastanów się nad tym. Tylko o to cię proszę..

Odwrócił się, zamierzając wyjść.

- Hej! - zawołał Mollender. Nick obejrzał się i zobaczył, że Kret patrzy na kartkę. - Czy druga cyfra w numerze twojego telefonu to szóstka?

ROZDZIAŁ 35

- Dopadniemy ich, Nick, czuję to - powiedziała Jillian, zaciskając pięści.

Przepelniający ją gniew, który starała się tłumić ‘w sobie podczas spotkań z Nickiem, był teraz niemal namacalny.

- Ta kaligrafia to był świetny pomysł - stwierdził Nick.

- Dzięki. Belle mnie jej nauczyła - odparła, a światło w jej oczach przygasło na wspomnienie siostry. - Ale to tobie udało się dotrzeć do Kreta. Od śmierci Belle jestem tak okropnie sfrustrowana, że niczym nie potrafię się cieszyć. Teraz znów zaczęłam mieć nadzieję. Ktokolwiek zrobił to jej, Umbertowi i biednemu Manny’emu, dopadniemy go.

- Hej, nie przesadzaj z tym optymizmem. Mollender niczego mi nie obiecał.

- Wiem, ale udało ci się coś, co wydawało się niemożliwe: dotarłeś do niego.

Nick pokręcił głową.

- To smutny, zgorzkniały facet. Czuję się dość paskudnie, kiedy widziałem, jak przypomina sobie swój ból.

Choć wyznawcy New Age pewnie się ze mną nie zgodzą uważam, że czasami lepiej trzymać takie rzeczy gdzieś głęboko schowane.

Za kilka godzin Jillian powinna być w pracy, a on musiał zająć się przygotowywaniem ambulansu do nocnej trasy po ulicach Baltimore, teraz jednak przyjechali do mieszkania Nicka dwoma samochodami. Dzień był ciepły, więc Nick zaproponował piknik z Second

Chance'em na podwórku albo w zielonym parku na końcu ulicy. Jednak po krótkiej chwili obie te propozycje poszły w zapomnienie.

Siedzieli na kanapie w dużym pokoju, popijając herbatę i zastanawiając się, co może oznaczać zmiana nastawienia Saula Mollendera, ale oboje czuli rosnące napięcie. Było to napięcie zrodzone z rozwijającego się między nimi uczucia i pragnienia. Chart od razu polubił Jillian i siedział teraz przy niej, opierając pysk na jej nodze.

Przez jakiś czas żadne z nich się nie odzywało. W końcu Jillian wyciągnęła rękę i przykryła dłoń Nicka.

- Czy przeraziłabym cię śmiertelnie, gdybym poprosiła, żebyś zabrał mnie do swojego pokoju? - spytała.

- Może nie śmiertelnie, ale trochę mogłoby mnie to przerazić.

- Więc nie poproszę.

- No dobrze, wobec tego powtórzmy to. Drugie ujęcie, druga szansa. Udawaj, że właśnie mnie spytałaś, czy przeraziłbym cię śmiertelnie, gdybyś poprosiła, żebym cię zabrał do swego pokoju.

- A jaka jest twoja odpowiedź?

- Jeśli uda ci się uwolnić od mojego kundla, uważam, że to wspaniały pomysł.

- Ja też.

Chance w pierwszej chwili chciał pójść za nimi, ale - być może przemyślawszy sprawę - wskoczył na kanapę i przekręcił się na plecy. Nick trzymał Jillian za rękę, prowadząc ją korytarzem do sypialni.

- Jesteś pewna? - spytał.

Odwróciła się do niego i popatrzyła mu w oczy.

- Wystarczająco pewna - odparła.

- Bardzo tu skromnie - uprzedził, wprowadzając ją do środka.

- Podoba mi się. Czuję tu ciebie.

Pokój był przestronny i jasny. Przy jednej ścianie stały regały z książkami, w drugiej były dwa duże okna. Biblioteczka Nicka składała się z książek medycznych, historycznych biografii, dzieł Poego i Szekspira oraz dużego zbioru powieści w miękkich okładkach, w większości przygodowych albo thrillerów. Tu i tam stały oprawione fotografie jego rodziny.

- Żadnych zdjęć z czasów w wojsku? - spytała.

- Mam takie, ale jeszcze nie przyszła pora na to pudło.

- Rozumiem.

Nick usiadł na materacu i patrzył, jak Jillian przegląda tytuły książek na regałach.

- Nigdy nie byłam zapaloną czytelniczkąpowiedziała, wyciągając Pamiętnik żeglarza 1834-1836. - Nie tak jak Belle. Zawsze wolałam być z ludźmi albo w jakiejś głuszy, w kontakcie z przyrodą. Kiedy wracam do domu, najczęściej jestem tak zmęczona, że zamiast poczytać, po prostu padam.

- Gdybyś doświadczała powracających koszmarów, jak większość ludzi z zespołem stresu pourazowego, pewnie polubiłabyś czytanie... Sen nie jest naszym przyjacielem.

Jillian przyjrzała się skali poziomów stresu, przyklejonej do ściany nad łóżkiem.

- Często miewasz koszmary?

- Nigdy ich nie miałem przed wybuchem i śmiercią Sarah. Od tamtej pory mam wrażenie, że to wydarzenie odcisnęło mi się w mózgu. Niemal każdej nocy przeżywam kolejne wersje tego samego złego snu i nie potrafię tej strasznej serii przerwać. Ostatniej nocy w moim koszmarze byłaś też ty.

Usiadła obok niego na łóżku.

- Ja w koszmarze? - Westchnęła jak zakochana nastolatka. - Czegoś takiego dziewczyna nie słyszy codziennie. Opowiedz mi o tym.

- Chyba jednak nie.

Pogłaskała go po twarzy i znów spojrzała mu w oczy.

- Możesz mi opowiedzieć - stwierdziła.

- Dobrze, ale to nie będzie miłe. Zaczęło się jak zwykły sen, nawet całkiem sympatyczny, ale skończyło z tą samą ciężarówką, która zabiła Sarah, tylko że tym razem uderzyła w ciebie. Nie zawsze to ja jestem kierowcą w tych snach, ale ostatniej nocy byłem.

Jeżeli wspomnienie imienia Sarah albo okropne zakończenie koszmaru zdenerwowało Jillian, nie dała tego po sobie poznać.

- A teraz opowiedz mi tę miłą część snu - poprosiła i oparła się o niego.

Zadrżał, czując jej ciało przy swoim.

- Całowaliśmy się - powiedział.

- Czy w ten sposób?

Ujęła jego twarz obiema dłońmi. Ich wargi spotkały się i rozchyliły, a języki zaczęły się badać z coraz większą niecierpliwością. Nick znowu zadrżał, czując jej dłonie pieszczące mu kark i delikatnie przesuwające się przez włosy palce. Nie przerywając pocałunku, przechyliła go do tyłu. Kiedy padł na łóżko, przyłgnęła do niego całym ciałem.

- Tak - szepnęła jej do ucha. - Całowaliśmy się właśnie tak.

® ® ®

Nick zdrzemnął się najwyżej na parę minut, gdy odezwała się jego komórka. Wciąż

myślał o tym, co przed chwilą przeżył; nie mógł uwierzyć, że to się zdarzyło, i nie mógł się doczekać, kiedy zdarzy się znowu. Sięgając przez Jillian, odebrał telefon i włączył głośnik.

- Halo, tu Nick Garrity - powiedział i odchrząknął, bo zabrzmiało to bardzo chrapliwie.

- Dokładnie trzy lata i jeden miesiąc temu Umberta Vasqueza przewieziono karetką ze Spa Medycznego i Centrum Chirurgii Kosmetycznej doktora Singha do szpitala Shelby Stone Memorial - zabrzmiał głos Mollendera.

- A kto go przywiózł do centrum? - zapytał Nick.

- Prywatny ambulans Littleton Ambulance Services. Szukałem w Google, Yahoo i innych miejscach, nie mogę ich jednak znaleźć i nigdy o nich nie słyszałem.

- Bardzo ci dziękuję, Saul.

- Nie ma sprawy. Przyjmę ten podarunek od twojej przyjaciółki... Oczywiście jeśli go jeszcze nie spaliła.

Jillian pokręciła głową i pokazała Nickowi uniesiony kciuk.

- Nie, wciąż go ma. Jest optymistką. Dobry z ciebie człowiek, Saul - odparł Nick.

- Wcale nie. Jestem nieudacznikiem, wiem o tym. Zrobiłem to, bo sądzę, że Andy by sobie tego życzył. I wierzę ci.

Nie wiem właściwie dlaczego. Kiedy całymi dniami czyta się dokumentacje medyczne, chyba zapomina się o ludziach, których dotyczą. Może mi o tym przypomniałeś.

Nick zauważył, że Jillian zaczęła się ubierać.

- Saul, zaczekaj chwilę - powiedział i zakrył mikrofon dłonią. - Dokąd się wybierasz? - spytał Jillian.

- Wtedy gdy przywieziono do Shelby Stone Umberta, Belle była tu studentką pielęgniarstwa. Wracam do szpitala, żeby przed dyżurem złapać Nancy Lane w szkole pielęgniarskiej. Od ponad dwudziestu lat matkuje wszystkim studentkom i ma ogromne archiwum. Być może uda jej się sprawdzić, gdzie Belle tego dnia pracowała. Jestem pewna, że tam właśnie przecięły się ścieżki jej i Umberta. A od niego dowiedziała się o Nicku Furym.

- Dobry pomysł - stwierdził Nick. - Saul, przepraszam, jesteś tam jeszcze?

- Tak, jestem.

- Na które piętro trafił Umberto, gdy przywieziono go do Shelby Stone?

- Tu właśnie robi się naprawdę ciekawie - odparł Mollender.

- Co masz na myśli?

- Nie ma żadnych wpisów na ten temat w jego dokumentacji.

- Nic?

- Ani słowa. Z tego, co udało mi się znaleźć, wynika, że Umberta Vasqueza przywieziono do Shelby Stone Memorial o dziesiątej rano, a potem zniknął z naszej dokumentacji. Zupełnie jakby go zmiotło z powierzchni ziemi.

ROZDZIAŁ 36

W drodze do Waszyngtonu Jillian zadzwoniła do Nancy Lane, dziekana szkoły pielęgniarskiej w Instytucie Medycznym Shelby Stone. Widziała się z nią na pogrzebie Belle, a później Lane kilkakrotnie do niej telefonowała..

Podczas okropnych dni po pożarze, gdy wyglądało na to, że Jillian jest skazana na dłuższy pobyt w Residence Inn albo w pokojach gościnnych licznych przyjaciół, Lane jej pomogła - tak samo jak w trudnych sytuacjach pomagała licznyim studentom. Wystarczył jeden telefon i Jillian otrzymała pokój w Anne Marie Cosco Hall, akademiku wydziału pielęgniarstwa.

Nie zastała pani dziekan, ale jej sekretarka była pewna, że wróci przed końcem dnia pracy. Niezależnie od całej okazanej Jillian pomocy, Lane była jedną z niewielu osób, które nie odrzuciły możliwości, że Belle została zamordowana. Kiedy się dowie, że prośba Jillian o spotkanie dotyczy siostry, zaczeka na nią w biurze.

Mając sporo czasu na myślenie podczas powolnej jazdy, rozmyślała o pięknym i całkowicie nieoczekiwanym zakończeniu popołudnia spędzonego w ramionach Nicka. Przyznała przed samą sobą, że niemal od początku pragnęła przenieść ich znajomość na tę płaszczyznę. Nick był wspaniałym i bardzo wrażliwym mężczyzną, nękanym demonami, które zmuszały go do samotności. Czowała, że potrafi mu pomóc przegnać te demony. Wszystko, czego im teraz było potrzeba, to czas.

Belle porównała pewnego razu randkowe życie Jillian do Oregon Trail. Mówiła, że zaczynało się gładko, wysłane nadziejami i pragnieniami jej adoratorów, ale po jakimś czasie nawierzchnię drogi zaczynały pokrywać okruchy ich złamanych serc. Szkoda, że jej siostra nie pozna nigdy Nicka. To, co do niego czuła, nie przypominało niczego, co czuła kiedykolwiek wcześniej. Gdy się kochali, jej głowę wypełniała euforyczna, ale również wywołująca panikę myśl: „To on. Nick Garrity to ten właściwy”.

Utknęła w gęstym popołudniowym ruchu i coraz bardziej się niepokoiła, czy złapie jeszcze Nancy Lane w biurze. Kiedy w końcu zaparkowała i ruszyła z podziemnego parkingu do dziekanatu, była bliska rezygnacji. Przestała również zastanawiać się nad swoimi uczuciami i postanowiła dać się ponieść emocjom.

Drzwi do biura Lane były zamknięte, a przez szparę nie przesączało się żadne światło, więc Jillian zaklęła cicho. Dzięki Saulowi Mollenderowi dali wielki krok naprzód, odkrywając potencjalny związek między Belle a Umbertem Vasquezem. I być może wkrótce odkryją także, dlaczego została zabita. Według dokumentacji medycznej Umberta przewieziono karetką z centrum Singha do Shelby Stone, ale w szpitalu nigdy nie odnotowano jego przybycia. Coś bardzo złego działo się w klinice, a teraz wydawało się, że także i w Shelby Stone coś jest nie w porządku.

Zapukała lekko i odetchnęła z ulgą, gdy za drzwiami usłyszała jakiś ruch. Nancy Lane, ubrana w ciemnoszary oficjalny kostium, objęła ją i serdecznie uściskała. Pani dziekan skończyła niedawno sześćdziesiątkę. Szpakowata, w okrągłych okularach, o dobrodusznym uśmiechu, niektórym kojarzyła się z żoną Świętego Mikołaja. Była jednak silną osobowością; to niemal wyłącznie dzięki niej wydział pielęgniarstwa Shelby Stone stał się jednym z najwyżej cenionych w kraju. I wciąż jeszcze nie zamierzała zwolnić.

- Dziękuję, że pani zaczekała - powiedziała Jillian.

- Wszystko w porządku w akademiku?

- Jak najbardziej. Wygląda na to, że ostatnio przez cały czas za coś pani dziękuję, ale muszę jeszcze raz podziękować za akademik. To, że mogłam się w nim zatrzymać, jest dla mnie bardzo ważne. Firma ubezpieczeniowa wypłaciła mi już pieniądze, więc teraz szukam nowego mieszkania.

- Nie spiesz się, moja droga, zostań u nas, jak długo będziesz potrzebowała. Chodźmy do mnie do gabinetu, usiądziemy sobie i porozmawiamy.

- Raz jeszcze bardzo dziękuję - odparła Jillian.

Poszła za Lane do jej gabinetu, przyjęła filiżankę herbaty i usiadła na kanapie obok pani dziekan.

- Co się dzieje? - spytała Lane. - Rozumiem, że chodzi o Belle?

- Tak.

- Cały czas myślę o twojej siostrze. Nic, co dotyczy jej śmierci, nie ma sensu. Napisałam jej list polecający, kiedy przeprowadzała się do Charlotte. Dzwoniła do mnie, bardzo podniecona, gdy dostała pracę na OIOMie. Choć taka młoda, była wspaniałą pielęgniarką. Jej strata głęboko nas wszystkich dotknęła.

Jillian pokiwała głową.

- Wiem. Właśnie dlatego do pani przyszedłam. Wiele osób podziwiała i kochało Belle, ale pani należy do tych nielicznych, którzy podzielali moje przekonanie, iż nigdy nie odebrałaby sobie życia.

- Wierzyłam w to wtedy i wierzę dzisiaj.

- Zaprzyjaźniłam się z pewnym lekarzem, Nickiem Garritym. Prowadzi ambulans, którym jeździ po Waszyngtonie i Baltimore, lecząc bezdomnych.

- Tak, oczywiście, słyszałam o nim i o wspaniałej pielęgniarce, która z nim pracuje.

- To Junie Wright.

- Oboje czynią wiele dobra.

- Istnieje pewien związek między Belle a Nickiem, ale o tym później, kiedy będę miała więcej czasu. Na razie powiem tylko, że być może Nick i ja zbliżamy się do odnalezienia jej zabójcy.

- Och, Boże, bądźcie ostrożni! - zawołała Lane.

- Nie ryzykujemy - zapewniła ją Jillian, uśmiechając się w duchu na wspomnienie niedawnych wydarzeń w centrum

Singha. - Nie zgromadziliśmy jeszcze zbyt wielu informacji, więc nie jesteśmy gotowi, by z czymkolwiek wystąpić, jednak śmierć Belle może być związana ze zniknięciem przyjaciela Nicka, Umberta Vasqueza.

- Jak mogę wam pomóc? - zapytała Lane.

Jillian wyciągnęła złożoną kartkę papieru i podała jej.

- Chciałabym wiedzieć, gdzie mogła być Belle tego dnia.

- Trzy lata temu?

- Była wtedy studentką ostatniego roku. Wydaje mi się, że ta data ma jakieś znaczenie, choć nie wiem tego na pewno.

- Sprawdzę to. Ale nasza dokumentacja dotycząca pracy studentów nie jest jeszcze uporządkowana, więc może się to okazać trudne. Zacznę od wyciągnięcia jej papierów z praktyk studenckich - powiedziała Lane.

Przebiegła gabinet i usiadła przy biurku. Jillian przyciągnęła sobie czarne krzesło z oparciem o wrzecionowatym kształcie i siadła obok. Poszukiwania nie trwały długo.

- No, może coś jednak mamy - stwierdziła pani dziekan po dwóch minutach.

Wskazała ekran komputera. Widok szkolnego zdjęcia Belle w górnym prawym rogu wykazu jej ćwiczeń w szkole pielęgniarskiej sprawił, że Jillian znowu poczuła smutek i gniew. Lane intuicyjnie ujęła ją za rękę.

- Twoja siostra była piękną kobietą - powiedziała. - I w środku, i na zewnątrz. Mamy tu listę wszystkich otrzymanych przez nią nagród, opinie nauczycieli i świadectwa. Była wyróżniającym się członkiem naszej społeczności. Podziwiali ją rówieśnicy i szanowali wykładowcy.

- Czy coś się wydarzyło tego dnia?

- Tego dnia chyba nic. Ale wydawało mi się, że ta data coś mi przypomina, a teraz widzę ten wpis tutaj... - Lane wskazała jakiś fragment w dokumentach Belle. - Ponieważ Belle należała do naszych najlepszych studentek, w ramach stażu na chirurgii pozwolono jej obserwować operację Alima Sajjida Muhammada.

Dla Jillian nazwisko to brzmiało znajomo, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie je słyszała.

Wyczuwając jej dezorientację, Lane dodała:

- Muhammad był terrorystą, jednym z najwyższych rangą spośród tych, których udało nam się złapać. Wydaje mi się, że nasi żołnierze znaleźli go w jakiejś jaskini w Pakistanie. Nie pamiętam dokładnie szczegółów, przypominam sobie jednak, że wszyscy jego ludzie zginęli. Przekazano go CIA i przywieziono tutaj.

- Oczywiście! Teraz pamiętam. Belle opowiadała mi, co się wydarzyło. Nie było mnie tu wtedy, ale zachowała dla mnie wycięty z gazety artykuł.

- No właśnie. Niedługo po tym, jak został ujęty, Muhammad zachorował. Jak się okazało, miał dosyć duży nowotwór złośliwy mięśnia sercowego, i to jakiegoś rzadkiego typu, choć nie pamiętam, o jaki konkretnie chodziło. Trzeba go było usunąć podczas operacji na otwartym sercu. Nasz szpital wybrano ze względu na bliskość miejsca, w którym przetrzymywano terrorystę. Poza tym wykonywaliśmy już wcześniej tego rodzaju operacje.

- Jak powiedziałam, nie było mnie tu wtedy. Przebywałam z przyjaciółmi w Górach Skalistych. Czy Belle była jedyną studentką pielęgniarstwa na sali operacyjnej?

- Towarzyszył jej jeden ze studentów medycyny.

- Mówiła mi, że okazało się to dla niej koszmarnym przeżyciem.

- Muhammad był numerem dwa na liście najbardziej poszukiwanych terrorystów na świecie, zaraz po Osamie bin Ladenie. Ujęcie go było wielkim osiągnięciem. Cieszę się, że nie wiem, jakich metod używano przy przesłuchiwaniu go, ale to wszystko się skończyło, kiedy zachorował. Z całego kraju ściągnięto ekspertów. Jednak w chwili gdy przenoszono

Muhammada z noszy na stół, doszło do zatrzymania akcji serca i operacja się nie odbyła.

- W jaki sposób Belle została wybrana?

- Zdecydowano o tym w ostatniej chwili, bo aż do dnia operacji nie byliśmy pewni, czy ludzie z CIA na to pozwolą. Ale nikt nie miał wątpliwości, że to właśnie ona powinna obserwować tę operację.

Te informacje zdumiały Jillian. Dzień po zniknięciu Umberta, po tym, jak karetka

przywiozła go do szpitala Shelby Stone Memoriał, Belle była świadkiem śmierci jednego z najbardziej poszukiwanych terrorystów. Między tymi dwoma wydarzeniami musiał istnieć jakiś związek, ale jaki? I czy wiązały się one z zamordowaniem jej siostry trzy lata później? Nie potrafiła tego wszystkiego ze sobą powiązać..

Umberto Vasquez, Alim Sajjid Muhammad i doktor Nick Fury to na razie wszystko, czym dysponują. Mimo braku jakiegoś logicznego związku między to trójką będzie miała się czym podzielić z Nickiem.

- Czy można jakoś się dowiedzieć, kto jeszcze tego dnia przebywał na sali operacyjnej? - spytała w końcu.

- Nie mam pojęcia. Niektóre nazwiska powinny się znajdować w dokumentacji szpitalnej tego terrorysty. Możemy sprawdzić to tutaj albo zobaczyć, czy operacji nie zarejestrowano.

- Zarejestrowano?

- Tak. Nie wiedziałaś, że w salach operacyjnych znajdują się kamery?

- Nie, nie wiedziałam. Czy rejestruje się każdą operację?

Lane pokręciła głową.

- Nie mamy na to środków, bo każdą operację trzeba przecież zmontować, a potem zapisać na DVD i zarchiwizować. Jednak niektóre przypadki są teraz rejestrowane. Takie, które mają znaczenie edukacyjne, prawne albo historyczne.

- Skąd mamy na to fundusze?

- To część grantu federalnego. Shelby Stone był jednym z pierwszych miejskich szpitali, w których zainstalowano sprzęt wideo we wszystkich salach operacyjnych. Używamy nagrań podczas wykładów. To samo robi wydział lekarski. Słyszałam, że dzięki tym nagraniom udało się odrzucić kilka oskarżeń o błędy lekarskie.

- Czy sądzi pani, że przygotowania do operacji Muhammada filmowano? - spytała Jillian.

- Przypuszczam, że tak.

- Więc gdzieś w archiwum powinno być DVD z tym nagraniem - powiedziała Jillian.

- I pewnie jest - potwierdziła Lane. - Często prosimy o udostępnienie nagrań ze względu na zastosowane procedury medycynie albo ze względu na lekarza przeprowadzającego operację. Wtedy archiwum przesyła nam kopię albo nawet oryginalną płytę. Mogę spytać któregoś z naszych instruktorów, jak to działa.

- Proszę sobie tym nie zawracać głowy - odparła Jillian. - Już i tak bardzo nam pani pomogła.

- Ale jak dotrzesz do tego nagrania?

Jillian pomyślała o Krecie.

- Mam kogoś, kto mi w tym pomoże - powiedziała.

ROZDZIAŁ 37

Phillip MacCandliss był pewien, że ludzie z Jerycha zachowają się rozsądnie. Biorąc pod uwagę niebezpieczeństwo, jakim groziło włamanie do dokumentacji Manny'ego Ferrisa, w gruncie rzeczy wyszli z tego obronną ręką. Oprócz Vasqueza i Ferrisa w ciągu ostatnich czterech lat dostarczył im trzech innych bezwartościowych weteranów. Ta trójka, podobnie jak Vasquez i Ferris, niemal idealnie pasowała do zdjęć dostarczonych przez Jerycho. Jeśli chodzi o cechy twarzy, na których im najbardziej zależało, dwukrotnie trafił w siedem na dziesięć punktów, a raz w osiem na dziesięć.

Pięćset tysięcy za taką pomysłowość, umiejętności i lojalność było niewielką sumą zwłaszcza gdy ujawnił, że żądanie premii poparł pewnymi zabezpieczeniami. Jerycho podlegało CIA, głupio by więc było czegoś od nich żądać, nie zabezpieczając się przy tym. Mimo zapewnień Jerycha włamanie do systemu komputerowego w Biurze do spraw Weteranów nadal go niepokoiło. Na wypadek gdyby musiał nagle zniknąć, powinien dysponować dobrym planem ucieczki i pieniędzmi umożliwiającymi jego realizację.

To prawda, że w sejfie, o którym im wspomniał, nie miał zbyt wielu obciążających ich dowodów - jednak oni tego nie wiedzieli. To prawda, że nie miał pojęcia, czym Jerycho naprawdę jest. Miał jednak zdjęcia i nazwiska ludzi, których im przekazał. Napisał także, na jakiej podstawie podejrzewa, że Jerycho jest organizacją podlegającą CIA. Szkoda, że nie dysponował taśmą z nagraniem rozmowy z kontaktem - ale jeśli to rzeczywiście była CIA, potrafiliby rozpoznać, że ktoś ich nagrywa. Poza tym jego kontakt wydawał się dość poruszony, kiedy się dowiedział o zabezpieczeniach - i tylko to miało znaczenie.

Nucił fałszywie pod nosem God Bless America i przeciskał się swoim sfatygowanym, rdzewiejącym subaru przez powolny popołudniowy waszyngtoński ruch, jadąc na wyznaczone miejsce spotkania w hotelu Crescent. Samochód potrzebował nowego ustawienia zapłonu, a skrzynia biegów przeciekała, nie miało to jednak teraz znaczenia - a w każdym razie niedługo nie będzie miało. Kiedy tylko dostanie pieniądze, zastąpi tego grata czymś bardziej seksownym. Znacznie bardziej seksownym.

Pieniądze to władza, a on wkrótce będzie miał i jedno, i drugie. Pół miliona dolarów pozwoli mu zarobić znacznie więcej, jeśli te pieniądze odpowiednio zainwestuje. Jak ukryć to

nowe bogactwo, by jego była nie położyła na nim łapy, to szczególnie, nad którym musiał się jeszcze zastanowić.

Uprowadzono go, że Crescent to obskurny hotelik, wynajmujący pokoje na godziny. Równocześnie oznaczało to jednak, że nie ma tam kamer. Wszedł do zapuszczonego holu i udał się do recepcji. Tak jak mu polecono, miał ze sobą pusty worek turystyczny.

- Czym mogę służyć? - spytał recepcjonista. Miał twarz cherubina i wypalony, zbolący uśmiech.

- Zgubiłem klucz do pokoju - powiedział.

- To żaden problem. Nazwisko i numer pokoju?

- Phillip MacCandliss, pokój siedemset dwudziesty siódmy - odpowiedział, podając numer pokoju, jaki przekazał mu kontakt.

Podał recepcjoniście swoje prawo jazdy i otrzymał klucz do pokoju, który rzekomo wcześniej zarezerwował. Zaśmiał się pod nosem, czekając w holu na windę, która miała go zawieźć na szóste piętro. Ci ludzie nie potrafią inaczej, pomyślał. To była dla nich zabawa w szpiegów, i to zabawa na wielką skalę.

Idąc korytarzem po wytartym dywanie, zastanawiał się, po co im było to kłamstwo o zgubionym kluczu. Czy nie byłoby prościej, gdyby sam dokonał rezerwacji, a potem pojawił się w pokoju? W końcu doszedł do wniosku, że prawdopodobnie mieli swoje powody. Jego zadaniem był wybór kandydatów dla Jerycha. Oni z pewnością mieli inne zadania - a ich elementem mogła być szpiegowska gra.

Na klamce pokoju 727 wisiała tabliczka „Nie przeszkadzać”. MacCandliss zdjął ją i wsunął w szparę swój elektroniczny klucz. Dzień wypłaty, pomyślał. Wszedł do pokoju, ponownie umieszczając tabliczkę na klamce. Telewizor był włączony. Pewnie miało to coś wspólnego z tworzoną przez Jerycho iluzją że wprowadził się tu już wcześniej. Drzwi łączące z sąsiednim pokojem były zamknięte, a drzwi do łazienki lekko uchylone - świeciło się w niej światło.

Wydawało mu się, że nikogo tam nie ma, ale sięgał wzrokiem tylko do połowy kabiny prysznicowej z plastikową zasłonką.

- Halo? - powiedział niepewnie. - Czy ktoś tu jest?

Nagle poczuł się nieswojo i zapalił światło. Pokój wyglądał tak, jak tego oczekiwał: był ponury i zapuszczony, w oknie wisiały postrzępione firanki, a na łóżku leżała spłowiała kapa. Trudno było się nie zastanawiać, ile par przygodnych kochanków przewinęło się przez ten pokój. Uniósł brzeg narzuty. Materac leżał na drewnianej platformie.

Próbując uspokoić gwałtownie bijące serce, obszedł łóżko i wszedł do łazienki. Sedes

i umywalka były pokryte plamami rdzy i musiały mieć jakieś pięćdziesiąt lat, a małe sześciokątne kafelki chyba jeszcze więcej.

- Halo? - powtórzył.

Ogarnął go niepokój. Złapał brzeg zasłonki i odsunął ją. W kabinie prysznicowej była tylko stojąca na odpływie czarna torba. Pieniądze, pomyślał z podnieceniem.

Poczuł, że napięcie go opuszcza, i udało mu się nawet uśmiechnąć. Sięgając po torbę, uświadomił sobie, że dobrze ją zna. Była na niej przywieszka z jego nazwiskiem - jednak nie była to replika, tylko jego własna torba, wyjęta z szafy w holu jego mieszkania.

Niech ich cholera! Dają mu pieniądze, których zażądał, ale jednocześnie ostrzegają, by nie nadużywał ich cierpliwości. To dobry ruch, pomyślał z uznaniem, naprawdę dobry ruch. Wziął torbę, wrócił do sypialni i aż się zachłysnął. Jego serce zatrzymało się na moment, ale zaraz znowu ruszyło.

Przy łóżku stał wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o wąskiej twarzy i zaczesanych do tyłu ciemnych włosach.

Ubrany był całkowicie na czarno. Na nosie miał okulary w drucianych oprawkach, a w rękę trzymał czarną walizeczkę.

- Boże, ależ mnie pan przeraził.

- Bardzo mi przykro - powiedział mężczyzna. - Zapukałem, ale nie było odpowiedzi.

- Naprawdę nie sły...

Mężczyzna rzucił walizkę na łóżko.

- Tu są pana pieniądze.

- A co jest w tej torbie?

- Wszystko, co może być potrzebne w hotelu.

- Biorąc pod uwagę, ile o was wiem, nie powinniście tak ze mną pogrywać. Ten, kto włamał się do mojego mieszkania i przyniósł stamtąd te rzeczy, zasłużył na baty.

- To byłem ja. Nazywam się Koller.

- Jak firma produkująca sedesy? - prychnął MacCandliss.

- Inaczej się pisze - odparł Koller, uśmiechając się zimno.

MacCandliss otworzył torbę i wyciągnął z niej ubrania, artykuły toaletowe - jego artykuły toaletowe! - oraz gruby plik fotografii opasanych gumką. Gdy ją zdejmował, pękła i strzeliła go w palec. Klnąc pod nosem, rzucił zdjęcia na łóżko. Były to kolorowe i czarnobiałe fotki, niektóre nowiutkie, inne wielokrotnie brane do ręki. Wszystkie przedstawiały dzieci. Dziesiątki nagich chłopców i dziewczynek, od dzieci, które dopiero zaczynały chodzić, po nastolatki. Wszystkich ras, w różnych pozach - wiele z nich było naprawdę nieprzyzwoitych.

-: A cóż to...

- To nie pana?

- Nie, cholera, nie moje! Nigdy mnie takie sprawy nie interesowały.

- Och, w takim razie przepraszam - powiedział Koller, z zadowoleniem zauważając, że MacCandliss dotyka wielu zdjęć. - Wynagrodzę to panu.

Otworzył walizeczkę. W środku były banknoty studolarowe. Mnóstwo plików banknotów.

- No, tak już lepiej. - MacCandliss chciwie złapał jeden z plików. Pod pojedynczą setką znajdował się równo przycięty czysty papier.

- Może pan policzyć - powiedział spokojnie Koller. - Wszystko tu jest.

Zanim MacCandliss zdążył się wyprostować, poczuł ostre ukłucie w kark. W tym samym momencie w jego ciele znalazło się suksametonium.

Silne ramię przytrzymało go, kiedy zaczął się szarpać. Po niecałych dwudziestu pięciu sekundach nie było to już potrzebne.

- Jesteś głupim człowiekiem - stwierdził Koller.

Przeżony MacCandliss czuł, że wszystkie jego mięśnie zaczynają drżeć, jakby jakieś insekty wędrowały pod skórą. Mężczyzna zwolnił chwyt. MacCandliss upadł na kolana, a potem przewrócił się na plecy.

- Co mi zrobiłeś?

- Naprawdę sądziłeś, że twój mały sejf cię ochroni? Wystarczyło mi dziesięć minut, żeby znaleźć klucz, który przykleiłeś pod szufladą biurka. Dziesięć minut! A nazwisko twojego prawnika było w papierach leżących na twoim biurku. Bez trudu skłonimy go do współpracy, kiedy się dowie, jaki z ciebie zbrojeniec.

MacCandliss był przytomny, ale zupełnie bezradny. Miał wrażenie, że jego klatka piersiowa się kurczy, uciskając serce.

- Umieram...

Czy powiedział to głośno, czy tylko pomyślał?

- Nie umierasz, ale umrzesz - powiedział Koller. - Nie wstrzyknąłem ci aż tyle suksametonium, by pozbawiło cię przytomności. Nie chciałbym bowiem, byś przegapił swój upadek. Widzisz, za chwilę wyskoczysz z tego okna i rozbijesz się na dole. Mam nadzieję, że nikogo tam wtedy nie będzie.

Wargi MacCandlissa nie chciały się poruszać, ale drżenie mięśni ustąpiło.

- Dlaczego? - wykrztusił w końcu.

- Uwielbiam to - stwierdził zabójca. - Zawsze jest tak samo. Zawsze to samo pytanie

„dlaczego”. Do diabła, naprawdę nie wiem, dlaczego ktoś mi zapłacił, żebym pię zabił. Wiem natomiast, dlaczego popełnisz samobójstwo. Widzisz, choć ty sam tego nie wiesz, wczoraj zadzwoniłeś do działu napraw i poprosiłeś, by zrobili rutynowy przegląd twojego laptopa. Zapomniałeś, że masz w nim tyle dziecięcej pornografii. I to w najostrożniejszej wersji. Ktoś ci doniósł, że to znaleziono. W twojej poczcie jest email z tą wiadomością. Kiedy go wczoraj wieczorem przeczytałeś, wiedziałeś, że pętla na twojej szyi zaczyna się zaciskać. Trafiłbyś do więzienia, a przecież wiesz, co tam robią z pedofilami... Dlatego też wczoraj wieczorem zameldowałeś się w tym hotelu. Wziąłeś ze sobą tylko kilka rzeczy, te, które znalazłeś w swojej torbie. Nikt nie będzie się zastanawiał, dlaczego Phillip MacCandliss wyskoczył z szóstego piętra hotelu Crescent. Suksametonium już się zmetabolizuje, więc autopsja nie ujawni jego obecności. „A miał dwie córki”, powiedzą wszyscy. Taki wstyd!

Bez wysiłku podniósł MacCandlissa z podłogi i obrócił, by jego ofiara mogła jeszcze raz spojrzeć na pieniądze.

- Łatwo przyszło, łatwo poszło - powiedział. - Radzę ci, żebyś się teraz odprężył i cieszył lotem w dół.

Phillip MacCandliss poczuł, że Koller wypycha go przez okno. Gdy wisiał głową w dół, na moment otworzył oczy i zobaczył znajdującą się sześć pięter niżej ulicę. Potem dłonie zabójcy pchnęły go mocniej i zaczął zsuwać się z parapetu.

To się nie dzieje naprawdę, pomyślał.

Ale się działo.

Znalazł się w powietrzu. Wiatr uderzał go w twarz, a ziemia pędziła mu na spotkanie. Mimo tego, co czytał w kilku wnioskach weteranów, którzy otarli się o śmierć, jego odejście nie było ani bezbolesne, ani wypełnione ciepłym, zapraszającym światłem. Był jedynie ból, krótki i wszechobjęjący. Niemal każda kostka w jego ciele się rozpadła. Czaszka rozbiła się, uderzając w bagażnik zaparkowanego pod hotelem samochodu, a fragmenty mózgu rozprysnęły się na szybie.

Sześć pięter wyżej Franz Koller rozburzył łóżko, rozrzucił na nim pornograficzne zdjęcia, ustawił w łazience przybory toaletowe i wyszedł z pokoju 727 przez pokój 725, zamykając drzwi między nimi na klucz.

Dobra robota.

ROZDZIAŁ 38

- Jeśli kiedykolwiek istniało DVD z zapisem operacji Alima Sajjida Muhammada, to

zniknęło - powiedział Saul Mollender.

W jego głosie brzmiało zaskoczenie, ale było w nim również więcej energii niż kiedykolwiek przedtem.

Dochodziło wpół do pierwszej w nocy. Kret właśnie odpowiedział na wiadomość, nagraną przez Nicka o siódmej wieczorem na automatycznej sekretarce, zawierającą szczegóły spotkania Jillian z Nancy Lane. Tym razem na czteroprzystankowej trasie przez Baltimore czekało niewielu pacjentów, więc Nick i Junie zdążyli już zaparkować przy jej domu i prawie skończyli sprzątanie ambulansu.

- Jak to możliwe? - spytał Nick, siedząc teraz zgarbiony w fotelu kierowcy. - Przecież to nie był zwykły pacjent.

- W mojej bazie danych nie ma żadnego śladu, że taka operacja w ogóle była planowana.

- To jakiś absurd!

- Musimy porozmawiać. Jak szybko możemy się spotkać?

- Teraz?

- Oczywiście, że teraz. Chcesz wiedzieć, co tam się stało, czy nie?

Nick potarł piekące ze zmęczenia oczy. Dzień zaczął się bardzo wcześnie, a wyczerpanie po spędzonych z Jillian chwilach jeszcze nie minęło.

- Nie możesz mi tego powiedzieć przez telefon? - spytał.

- Gdybym chciał ci to powiedzieć przez telefon, tobym ci powiedział - oznajmił Kret, nagle zgryźliwy jak dawniej.

Junie, która właśnie skończyła uzupełniać apteczkę, dała Nickowi znak, że jest gotowa i zamierza wyjść.

- Jillian kończy dyżur dopiero o pierwszej - powiedział Nick po wyjściu pielęgniarki. - A chciałbym, żeby była obecna przy naszej rozmowie.

- Czy ma jeszcze mój obrazek?

- Jeśli ma, to go przyniesie.

- Nie chcę się spotykać ani w szpitalu, ani w jego pobliżu.

Czy coś ci odbiło? - chciał spytać Nick.

- Okay, spotkamy się, gdzie chcesz, pamiętaj jednak, że muszę dojechać z Baltimore - powiedział zamiast tego.

- Na South Dakota koło Osiemnastej Ulicy jest całonocna kawiarnia, nazywa się Mike's. Pierwsza trzydzieści?

- Lepsza byłaby druga - odparł Nick.

Ledwo zdążył się rozłączyć, gdy do drzwi po stronie pasażera zastukała Junie.

- To leżało na kuchennym stole, z karteczką od Reggiego do ciebie - oznajmiła, podając mu tekturową teczkę.

- Jest czarodziejem Internetu, więc poprosiłem go, by czegoś dla mnie poszukał - wyjaśnił Nick. - Dzięki.

- Następnym razem poprosz go, żeby odrobił lekcje - powiedziała Junie.

Mrugnęła do niego i ruszyła do domu. Nick przerzucił zebrane przez Reggiego artykuły, a potem zamknął teczkę i siedział, patrząc w ciemność. Jego myśli wkrótce skupiły się na Umbercie. Przypomniawszy sobie, jak przyjaciel pracował w klinice bazy wojskowej w wolnym czasie, mierząc tętno, porządkując poczekalnię, uśmiechając się i żartując z pacjentami. Zawsze się uśmiechał, zawsze żartował.

Co się z nim stało? Dlaczego Mollender zachowuje się tak tajemniczo? Skąd Belle wiedziała o doktorze Furym? Czy rzeczywiście spotkała gdzieś Umberta? A może usłyszała

O Furym od kogoś innego?

Miał nadzieję, że już niedługo uzyskają odpowiedzi na te pytania.

W końcu, przeciągnąwszy się i odetchnąwszy głęboko, wyjął komórkę i zadzwonił do Jillian.

- Możesz jeszcze nie kłaść się spać - powiedział. - Kret nas wezwał.

® ® ®

Restauracja i kawiarnia Mike's wyglądała, jakby właściciele wiele razy próbowali znaleźć jakiś motyw przewodni dla swojego lokalu, ale im się to nie udawało. W środku było mnóstwo jarzeniówek oraz czarnobiałych zdjęć Bogarta

1 Lauren Bacall, a poplamione tłuszczem menu stanowiło skrzyżowanie jadłospisu w wagonie restauracyjnym i w Starbucksie. Choć dochodziła druga w nocy, w lokalu siedziało całkiem sporo osób: studenci z pobliskiego Uniwersytetu Katolickiego, mieszkańcy ulicy, kilku zamożnych przybyszów z przedmieść, ale - przynajmniej na razie - nie było tam Saula Mollendera.

Kiedy czekali na niego, Nick zamówił czarną kawę, a Jillian mrożoną herbatę, frytki i grillowaną kanapkę z serem. Nie rozmawiali o popołudniowym spotkaniu, ale oboje dobrze się ze sobą czuli. Trzymali się pod stołem za ręce i zastanawiali, co może oznaczać niekompletna karta Umberta Vasqueza i brak DVD z operacji Alima Sajjida Muhammada.

- Może nie nagrali tego ze względów bezpieczeństwa? - zasugerowała Jillian.

- To możliwe, choć raczej wydaje mi się, że CIA, czy też kto tam przesłuchiwał tego faceta, powinna raczej chcieć pokazać światu, jacy to jesteśmy humanitarni. Nawet wobec

najważniejszych wrogów naszego kraju.

- A czy domyślasz się, dlaczego Mollender chciał spotkać się z nami właśnie tutaj?

- Nie znam go na tyle, aby to odgadnąć. Przez telefon wydawał się nieco... jak by to powiedzieć... zagubiony. I mocno zdenerwowany. Nasz nowy wrażliwy i współczujący Kret zniknął, a wrócił stary, szorstki i kłótniwy.

- Kluczem do wszystkiego jest ta dokumentacja i nagranie, Nick.

- Więc chyba musimy po prostu poczekać i zobaczyć, co Kret znalazł.

- Na szczęście nie musimy już czekać.

Wskazała kogoś za Nickiem. Saul Mollender podszedł do ich stolika z pochyloną głową, rzucając na boki ukradkowe spojrzenia, jakby uczestniczył w jakiejś tajnej operacji. Szybko usiadł na pustym krześle naprzeciwko nich.

- Ludzie gadają - powiedział.

Wydawał się czymś poruszony i niespokojny.

- Gadają? Kto gada? I o czym?

- O mnie - odparł Kret. - Jeden z moich pracowników zauważył, że czegoś dla was szukam. Powiedział o tym koleżance i oboje zaczęli zadawać pytania.

- Na temat naszego dochodzenia? - spytała Jillian.

- No nie, mój zespół nie plotkuje, to sprzeczne z moimi zasadami. Ale zaczęli się zastanawiać, czy nagle nie postanowiłem traktować ludzi życzliwie i może nawet przyjaźnie.

Nick z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Kazalesz nam tu przyjechać o drugiej w nocy tylko po to, żeby nas poinformować, że naraziliśmy na szwank twoją reputację zgryźliwca?

Mollender zacisnął wargi i popatrzył na nich.

- Czy wiecie, co by się stało, gdyby rozeszła się wiadomość, że można ot tak wpadać do mojego biura i czegoś ode mnie żądać? Nawiasem mówiąc, czy przynieśliście moją tabliczkę?

Jillian podała mu oprawiony wykaligrafowany napis i pomyślała, że szef archiwum to najbardziej ekscentryczna osoba, jaką zna.

- Martwisz się więc, że ludzie mogliby rzeczywiście chcieć korzystać z twoich usług? - spytała.

- Może to śmieszne, ale tak. Przede wszystkim nasze usługi kurczą się przy każdej dokumentacji, którą wprowadzamy do systemu. Kiedy skończymy, staniemy się niepotrzebni. Swoją własną pracą przekreślamy naszą rację bytu. Nie stracimy zatrudnienia tylko wtedy, jeśli nikt nie będzie wiedział, że tam jesteśmy.

- Spokojnie, Saul - powiedziała łagodnie Jillian. - Możesz zrobić tylko to, co możesz.

- Chyba tak.

- A czy zechcesz nam teraz powiedzieć, co znalazłeś?

Mollender machnięciem ręki przywołał kelnerkę i zamówił dużą szklankę chudego mleka. Miało być podgrzane na kuchni, a nie w mikrofalówce.

- Nie próbuj mnie oszukać, bo od razu się zorientuję - oświadczył i znów odwrócił się do Nicka i Jillian. - Dowiedziałem się, że Fred Johnson jest jeszcze większym dupkiem, niż sądziłem.

- Fred Johnson? - powtórzył zdziwiony Nick.

- Zanim się nim zajmę, może mi powiecie, czemu ktoś chciał ukraść to DVD?

- Powiedziałeś „ukraść”? Wydawało mi się, że przedtem mówiłeś, iż zniknęło.

- No właśnie. Jeśli kiedykolwiek istniało, to po prostu zniknęło.

- Ciekawe, dlaczego mnie to nie dziwił powiedział Nick.

- Ponad sześć lat temu osobiście nadzorowałem wprowadzanie systemu wideo w salach operacyjnych, więc choćby z tego powodu można by sądzić, że to właśnie mnie powierzą kierowanie wydziałem elektronicznej dokumentacji medycznej. Ale nie, to stanowisko dostał ten wazeliniarz Fred Johnson, bo jest siostrzeńcem, kuzynem czy kimś takim dyrektora do spraw technicznych.

- To prawda?

- Tak słyszałem. Kobieta z kadr powiedziała, że brak mi umiejętności interpersonalnych, cokolwiek to oznacza, ale jej nie uwierzyłem.

- Czy masz jakieś dowody na to, że ktoś ukraść DVD Muhammada?

- W każdej z naszych dwudziestu czterech sal operacyjnych na trzech oddzielnych piętrach mamy po trzy kamery: jedna filmuje z góry pole operacji, druga jest umieszczona w nogach stołu operacyjnego, a trzecia obejmuje całość, łącznie ze stanowiskiem anestezjologa w głowach stołu. Każda kamera jest połączona kablem z cyfrowym magnetowidem.

- Zdumiewające - mruknął Nick, z zadowoleniem stwierdzając, że Kret odzyskał równowagę.

Kelnerka wróciła z mlekiem podgrzanym na kuchni, a Mollender spróbował go jak koneser win, zanim pokiwał głową.

- Nadzorowanie procesu nagrywania - podjął po kilku łykach - to jedno z niewielu zadań, jakie wciąż jeszcze wykonują moi pracownicy. Słyszałem jednak pogłoski, że już niedługo tak będzie. Cholerny Johnson. Tak czy inaczej, w tej chwili wygląda to tak, że szef sal operacyjnych mówi nam, które operacje chcą nagrać, a my naciskamy guzik. To znaczy

robi to moja asystentka Annette. Ma małą kabinę obok sali operacyjnej i tam pracuje. Pod koniec dnia wypala nagranie na DVD, bo nie możemy trzymać tych wszystkich danych na cyfrowych magnetowidach. Mamy także rejestr płyt, z którego korzystają instruktorzy, kiedy chcą znaleźć jakiś materiał dla studentów. Katalogujemy je nie tylko według daty i godziny, ale także kodu ICD i kluczowych słów. Sprawdziłem ten rejestr po twoim telefonie, doktorze. Ani śladu nagrania z Alimem Sajjidem Muhammadem.

- Czy to możliwe, żeby ktoś nie tylko zabrał DVD, ale jeszcze dodatkowo usunął wpis w waszej bazie danych? - spytała Jillian.

- Pewnie wszystko jest możliwe, ale po co ktoś by miał to robić? Ja sam też kilkakrotnie zadałem sobie to pytanie. Powiedzcie mi coś o tym Muhammadzie. Co o nim wiecie?

Nick wyciągnął artykuły, które wieczorem wydrukował mu Reggie.

- Muhammad urodził się i dorastał w Jordanii - powiedział. - Miał już pod pięćdziesiątkę, gdy amerykańskie i pakistańskie siły specjalne ujęły go w Karaczi podczas wspólnej operacji zwanej Shining Star. Nie wiadomo, za śmierć ilu ludzi jest odpowiedzialny. Był głównym podejrzanym w kilku dużych zamachach, łącznie z masakrą w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w New Delhi.

- Az kim jest związany? - spytał Mollender. - Czy mówimy o AlKaidzie?

Nick pokręcił głową.

- Nie miałem jeszcze czasu, żeby to wszystko przejrzeć - odparł. - Wydaje mi się, że na początku nie, ale po ataku na Irak jego jordańska organizacja Islamski Dżihad połączyła się z siecią AlKaidy. To właśnie wtedy stał się jednym z najpotężniejszych i najbardziej poszukiwanych terrorystów na świecie.

Kret milczał przez chwilę.

- Tak, teraz pamiętam. Jego ujęcie uznano za wielkie zwycięstwo w wojnie z terrorem.

- No właśnie - przytaknął Nick. - Gdy rozeszła się wiadomość, że Muhammad wymaga operacji z powodu niebezpiecznego nowotworu i że do tej operacji zebrano zespół ekspertów, wybuchły ostre protesty.

- Pewnie najgłośniej sprzeciwiali się temu ci, którzy uważają, że słynne zalecenie Hipokratesa „po pierwsze, nie szkodzić” obejmuje lekarzy, a nie pacjentów - mruknął Mollender i zachichotał.

- Protestowały głównie grupy ekstremistyczne, i to zarówno te, które chciały go ratować, jak i te, które nie chciały go w ogóle leczyć - dodał Nick. - Grozili śmiercią każdemu, kto pomoże utrzymać Muhammada przy życiu. Uważali, że robimy to, żeby go

jeszcze trochę potortuować. Dlatego właśnie utajniono informację, gdzie zostanie przeprowadzona operacja. Podano ją dopiero w dniu zabiegu.

- Nancy Lane ze szkoły pielęgniarstwa powiedziała mi, że wiele osób uważa, iż śmierć Muhammada na stole operacyjnym była aktem sprawiedliwości - odezwała się Jillian. - Autopsja wykazała, że miał tętniaka mózgu, a do zatrzymania akcji serca doszło na skutek chronicznego nadciśnienia.

- Ciężka śmierć - stwierdził Mollender.

- Dlatego właśnie musimy zobaczyć nagranie z tej operacji. Może śmierć Belle była czymś w rodzaju zemsty za jego śmierć? Choć trudno zrozumieć, dlaczego czekali trzy lata.

- Ale dlaczego akurat ona? - spytał Nick. - Saul, ta operacja to wszystko, co w tej chwili mamy. Musimy dowiedzieć się o niej wszystkiego, co się da. Nie wierzę, że nie masz kopii zapasowej.

Mollender zachichotał.

- Dlatego właśnie powiedziałem, że Johnson to dupek.

- A co on ma z tym wspólnego?

- Zanim objął kierownictwo, wysyłałem wszystkie nagrania pocztą do mojej przyjaciółki Noreen Siliski, która prowadzi przechowalnię elektroniczną w Sutton w stanie Wirginia. Kopiowała pliki na swoje serwery, a DVD odsyłała.

Dzięki temu mieliśmy zapasowe kopie. Noreen to wspaniała osoba, bardzo inteligentna, bardzo niezwykła. Kiedyś byliśmy ze sobą blisko, a teraz jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

- Mam wrażenie, że nie jesteś z tego zadowolony.

- Bo nie jestem, ale co zrobić.

- Przepraszam. Możesz mówić dalej?

- Oczywiście. Więc gdy Fred Johnson objął stanowisko i zobaczył tę małą sumę, którą co miesiąc wypłacaliśmy Noreen, postanowił pokazać, kto tu rządzi, i wykazać się przed administracją szpitalną. Choć jego wydział elektronicznej dokumentacji medycznej przekracza budżet o milion, ja musiałem przestać wysyłać nagrania do Noreen.

Jillian zmarszczyła brwi.

- Aż się boję spytać, kiedy Johnson kazał ci przestać zatrudniać twoją przyjaciółkę...

- Cztery lata temu, rok przed operacją Muhammada.

- A zatem przypało. Nawet gdyby nam się udało dowiedzieć, kto był tamtego dnia w sali operacyjnej, nie powie nam to nic o tym, co się wtedy stało.

Oczy Kreta błysnęły.

- Cóż, nie jest to aż tak beznadziejne, jak się wydaje - powiedział. - Jeśli operacja Muhammada została nagrana, istnieje kopia, o której nikt nie wie... Właśnie dlatego spytałem, kto chciałby ją ukraść i zatrzeć ślady, usuwając ją z mojej bazy danych. I dlatego chciałem się z wami spotkać w tym miejscu. Bo jeśli ktoś ukradł oryginalne DVD, nie mogę umawiać się w pobliżu szpitala.

- Przecież powiedziałaś, że nie ma kopii zapasowej - zauważył Nick.

- Powiedziałem, że nie powinna istnieć żadna kopia zapasowa, ale ponieważ Fred Johnson jest dupkiem, chyba zapomniałem podpisać papiery zamykające naszą drobną operację kopiowania danych.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Tak. Fred Johnson założył, tak samo jak pozostali, że przestaliśmy wysyłać DVD do Noreen, ale jak w przypadku większości spraw, także i w tej ten pompatyczny dupek się myli. W jego ogromnym budżecie jest jedna drobna pozycja, której nigdy nie znajdzie, chyba że przeczesze wszystko bardzo dokładnie. Widzicie, zmieniłem nazwę firmy Noreen, ale nigdy nie zerwałem z nią umowy.

- Saul, stawiam ci kolejne mleko - powiedziała Jillian.

ROZDZIAŁ 39

Przechowalnia Elektroniczna „Przezorny zawsze ubezpieczony” należąca do Noreen Siliski, zajmująca się wykonywaniem kopii zapasowych i odzyskiwaniem danych, mieściła się w dwupiętrowym ceglany centrum biznesowym położonym na przedmieściach Sutton w Wirginii. Dochodziła dziesiąta rano, gdy Nick wprowadził swojego sedana Cutlass Ciera z 1995 roku na niemal pusty parking. Ruch w godzinie szczytu pod miastem był dość duży, choć prawdopodobnie nie większy niż zwykle. Nick miał cały dzień wolny. Junie pracowała dziś w ambulansie z jedną z jego zmienniczek, siedemdziesięcioletnią emerytowaną profesorką medycyny z Georgetown, wspaniałą, uwielbianą przez pacjentów lekarką, która co tydzień spędzała wieczór z „Pomocnymi Dłońmi”.

Podróż na drugą stronę rzeki i dalej na południe upłynęła w niemal całkowitym milczeniu. Mollender, siedzący z tyłu ze splecionymi na kolanach dłońmi, wyglądał przez okno samochodu. Siedzący z przodu Nick i Jillian pogrążeni byli w myślach, próbując odpowiedzieć sobie na to samo pytanie: czy zapis nagrania z sali operacyjnej rzuci jakieś światło na dziwną jednokierunkową podróż Umberta karetką z centrum Singha do Shelby Stone oraz na śmierć Belle trzy lata później.

- Zaparkuj tam, trochę na lewo od pojemnika na śmieci - powiedział Mollender do Nicka, przerywając milczenie. - Ta rura wychodzi z biura Noreen na drugim piętrze. Ona ciągle coś remontuje.

Nick wprowadził samochód na wskazane miejsce.

Jillian ścisnęła mu dłoń i razem z Mollenderem weszli do dość surowego, wyłożonego kafelkami holu.

Kiedy wchodzili na drugie piętro, z biura Noreen dobiegł ich odgłos wystrzału, a potem kilka kolejnych, jeden po drugim.

Nick rzucił się na drzwi, które natychmiast się otworzyły.

Biuro wielkości garażu na dwa samochody było opróżnione do gołych ścian. Pośrodku pokoju na drabinie stała Noreen Siliski, trzymając w ręku ciężki bezprzewodowy pistolet do wbijania gwoździ.

- Zajęłam się remontem, bo nikt tu właściwie nie przychodzi - powiedziała, nie komentując gwałtownego pojawienia się Nicka. Zeszła z drabiny i uściśnęła przybyłym dłonie. - Kiedy interes szedł dobrze, wystąpiłam do właściciela budynku o dodatkową przestrzeń magazynową. Gdy w końcu się zgodził, firma zaczęła podupadać, ale ponieważ lubię zmieniać różne rzeczy, więc i tak to robię.

Na podłodze biura leżały prześcieradła, pokryte cienką warstwą pyłu. W powietrzu unosił się zapach świeżo piłowanego drewna. Pośrodku głównego pomieszczenia, obok drabiny, stał drewniany stół roboczy, na którym i pod którym leżały różne narzędzia, w tym piła tarczowa i bezprzewodowa wiertarka.

Noreen Siliski była sympatycznie wyglądającą brunetką, dość mocno zbudowaną, z ciemnymi włosami szczesanymi do tyłu i ujętymi gumką w spory koński ogon. Nick podejrzewał, że dzinsy i robocza koszula to główne elementy jej garderoby.

- Jestem pełna podziwu, że potrafisz robić to wszystko sama, Noreen - stwierdziła Jillian.

- Właściwie uczę się w trakcie pracy, ale zawsze sobie dobrze radziłam z większością narzędzi.

Mollender, który dotąd stał z tyłu, podszedł bliżej. Sprawiał wrażenie nieco zaleknionego.

- Podobają mi się te zmiany, Noreen - powiedział.

- Miło, że mi to mówisz, Saul.

- Rzeczywiście masz to nagranie? - spytała Jillian, pragnąc przełamać negatywne wibracje, które wyczuwała między tą dwójką.

- Chyba tak. Saul podał mi datę. Digitalizuję i archiwizuję wszystkie pliki wideo, które mi przysłała, więc łatwo to znalazłam. Możemy obejrzeć tę płytę tutaj. Czy ktoś mógłby zaciągnąć zasłony?

Wyszła do drugiego pokoju i po chwili wróciła, z pewnym wysiłkiem pchając przed sobą metalowy wózek, który postawiła w wolnym rogu biura przed czterema składanymi krzesłami. Na wózku stał czterdziestocalowy telewizor HD, a na półce pod nim odtwarzacz DVD. Zanim drzwi do drugiego pokoju się zamknęły, Nick zauważył, że jest w nim podniesiona podłoga, przypominająca centrum meldunkowe w komisariacie Dona Reese'a, i regały, które prawdopodobnie służyły do przechowywania sprzętu komputerowego i płyt.

Podszedł do ściany z trzema podwójnymi przesuwными oknami. Przy centralnym oknie znajdowała się rura zsykowa, prowadząca do pojemnika na odpady. Rura wykonana była z dużych gumowych beczek z wyciętymi w dnach otworami. Ustawiono je jedna na drugiej i połączono łańcuchami, przesuniętymi przez uchwyty i przykręconymi do muru nad oknem. Dwupiętrowej długości rura nie biegła prosto, ale lekkim łukiem, co upodabniało ją do gigantycznej gąsienicy.

- Niesamowite - powiedział Nick i zawołał Jillian, żeby też to zobaczyła.

- Skąd wiedziałaś, jak to zrobić? - spytała zdumiona Jillian.

- A jak myślisz? Internet - odparła Noreen. - Zdobycie wystarczającej liczby beczek wymagało kilku wypraw do sklepu Home Depot, ale nie było to ani drogie, ani trudne.

Nick opuścił zasłony i brezentową plachtę nad otworem okiennym. W pokoju zapanował mrok, więc zebrali się przed telewizorem. Nick i Jillian byli zbyt nakręceni, żeby usiąść.

- Cóż, mam nadzieję, że na tej płycie jest to, czego szukacie - powiedziała Noreen.

- My też mamy taką nadzieję - mruknął Nick.

- W takim razie chyba powinniśmy zaczynać.

Wsunęła płytę DVD do kieszeni odtwarzacza i nacisnęła Play.

ROZDZIAŁ 40

- Gotowa? - spytał Nick Jillian, gdy ekran rozjaśnił się i zaczął migać.

- Nie wiem - odparła. - A ty?

- Cóż, zaszliśmy tak daleko...

- Nie mogę uwierzyć, że zobaczę Belle żywą.

- Chcesz, żebym to zatrzymał? - spytał, unosząc pilota, którego wręczyła mu Noreen.

- Nie. Ale chyba jednak wolę usiąść - stwierdziła.

Wciągnęła głęboko powietrze i w ciemności ujęła Nicka za rękę. Siedzieli jakieś dwa metry od ekranu i mieli obejrzeć film, na którym umiera pacjent. Prawdopodobnie będzie na nim widać także młodszą siostrę Jillian, zamordowaną później w taki sposób, że policja uznała to za samobójstwo.

Saul Mollender i Noreen Siliski siedzieli obok siebie, nieco z tyłu, w prawo od pozostałych. W pokoju wyczuwało się ogromne napięcie.

Po półminucie pojawiły się standardowe napisy, żółte na czarnym tle. Był to wyciąg z przepisów HIPAA dotyczących poufności danych pacjenta i wskazówki, komu wolno oglądać nagranie, podano także imię i nazwisko montażystki, Annette Furst z Wydziału Dokumentacji Medycznej. W końcu pojawiła się nazwa szpitala, data i numer sali operacyjnej. Jillian siedziała sztywno na krześle, mocno ściskając dłoń Nicka.

Informacje wstępne wypisano tą samą żółtą czcionką.

PACJENT: Alim Sajjid Muhammad Identyfikator szpitala: 881-83-7782 - Karaczi, Pakistan

Rozpoznanie: nowotwór złośliwy mięśnia sercowego

(rhabdomyoma) Procedury: podłączenie sztucznego płucoserca, resekcja nowotworu, rekonstrukcja mięśnia sercowego

Obecni na sali operacyjnej:

Chirurg: dr n. med. Abigail Spielmann Chirurg asystent: dr Lewis Leonard Kardiochirurg rezydent: lek. med. Yasmin

DasariOlan Anestezjolog: lek. med. Thomas Landrew Perfuzjonista: Roger Pendleton, CCP, ABCP Pielęgniarka instrumentariuszka: Kimberly Fox Pielęgniarka operacyjna: Cassandra BrowningLeavitt Student medycyny: Yu Jiang Studentka pielęgniarstwa: Belle Coates

Nick poczuł, jak na widok nazwiska siostry Jillian jeszcze mocniej ściska mu rękę. Zatrzymał obraz.

- Kim jest doktor Abigail Spielmann? - zapytał.

- Wydaje mi się, że sprowadzono ją z innego szpitala - odparł Kret. - Pewnie to jakaś sława zajmująca się nowotworami mięśnia sercowego.

- Musi być wybitnym specjalistą, skoro szef kardiologii się na to zgodził - zauważyła Jillian.

Nick nacisnął guzik pilota.

Napisy zastąpił widok lśniącej sali operacyjnej. Trzy kamery, według Mollendera - jedna umieszczona pionowo nad stołem operacyjnym, na którym wkrótce znajdzie się pacjent, druga filmująca od strony nóg pacjenta i trzecia szerokokątna, obejmująca całą salę operacyjną. Zadaniem montażystki, jak wyjaśnił Mollender, było połączenie obrazów nagranych pod różnymi kątami w jedną spójną całość.

Pierwszy obraz pochodził z kamery szerokokątnej i ukazywał perfuzjonistę w fartuchu chirurgicznym, masce i czepku, ale odsuniętego nieco od sterylnej pola operacyjnego, przy którym będą pracować chirurdzy. Usadowiony za długim sztucznym płucosercem, wyglądał jak pianista przygotowujący się do koncertu. Rozmawiał z instrumentariuszką.

- Potrzebujesz czegoś? - spytał. - Cassandra czeka w pogotowiu za drzwiami.

Zarówno wizja, jak i fonia były idealne.

- Owszem, potrzebuję - odparła instrumentariuszka. - Jediną rzeczą z listy instrumentów doktor Spielmann, której nie mam, jest stabilizator tkanek LocNess. Czy możesz poprosić Cassandrę, by mi go przyniosła?

- Oczywiście. Poznałaś już Spielmann?

- Zajrzała tu przed chwilą, żeby się przywitać. Chyba jest w porządku.

- Też tak uważam. Zaraz wracam.

Instrumentariuszka znajdowała się z tyłu za miejscem, w którym miała pracować doktor Abigail Spielmann. Była gotowa - w rękawiczkach chirurgicznych, fartuchu, masce i niebieskim czepku; skupionym wzrokiem wodziła po ogromnej tacy z instrumentami.

W tym miejscu następowało cięcie montażowe - według cyfrowego zegara umieszczonego w górnym prawym rogu ekranu minęło jedenaście minut. Perfuzjonista znów siedział na swoim stanowisku, pojawiła się też pielęgniarka operacyjna, która pomagała włożyć rękawiczki i fartuch chirurgiczny jednemu z chirurgów - ciemnoskórej kobiecie.

Oglądanie tego, co działo się na sali operacyjnej, wydawało się Nickowi dziwniejsze, niż się spodziewał. Sumując wszystkie praktyki, specjalizację w chirurgii urazowej, praktykę prywatną i służbę wojskową był chirurgiem ponad dziewięć lat do chwili, gdy wybuch zabił Sarah - niemal tak samo długo, jak długo nie brał do ręki skalpela.

Nagle Jillian jeszcze mocniej ścisnęła mu dłoń. Przez główne drzwi sali weszło dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna, oboje w fartuchach chirurgicznych, maskach i czepkach. Stanęli pod ścianą w znacznej odległości od stołu.

- To ona - szepnęła Jillian. - To Belle.

Nick spojrział na dość wysoką szczupłą kobietę o pięknych oczach.

- Jeśli doktor Spielmann nie będzie miała nic przeciwko temu - powiedziała

pielęgniarka operacyjna do Belle i studenta medycyny - damy wam podnóżki, żebyście mogli widzieć coś więcej oprócz pleców lekarzy. Poza tym przebieg operacji będzie można obserwować na ekranie. Czy oboje zapoznaliście się z literaturą na temat nowotworów złośliwych mięśnia sercowego?

- Tak - odparli równocześnie studenci.

Nick poczuł, że Jillian zeszywniała na dźwięk głosu siostry.

- To dobrze - powiedziała pielęgniarka. - Wiecie więc, że nie jest to rak, który daje przerzuty na inne części ciała, ale powstaje wewnątrz mięśnia sercowego i po prostu rośnie, aż w końcu dochodzi do poważnych zaburzeń w pracy serca.

Nastąpiło kolejne cięcie, po którym u szczytu stołu pojawił się anestezjolog, a po lewej stronie drugi chirurg. Pewnie to pierwszy asystent, pomyślał Nick, przypominając sobie imię i nazwisko Lewis Leonard z listy operatorów, ponieważ w szkole w Oregonie miał kolegę, który tak samo się nazywał. W tym momencie główne drzwi otworzyły się na całą szerokość i dwaj mężczyźni w chirurgicznych fartuchach, maskach i czepkach wtoczyli na salę nosze na kółkach, na których leżał Alim Sajjid Muhammad, osławiony morderca i terrorysta.

Muhammad miał zamknięte oczy; prawdopodobnie był pod wpływem otrzymanych przed operacją leków i znajdował się w stanie przyjemnego półsnu. Od połowy piersi w dół przykrywało go prześcieradło. Był to smagły, przystojny mężczyzna o wysokich kościach policzkowych i szczupłej twarzy, której charakterystycznym elementem był wydatny orli nos. Nick zobaczył jego twarz, gdy przenoszono go na stół operacyjny.

Jeden z dwóch mężczyzn, którzy przywieźli pacjenta, pozostał na sali i stanął pod ścianą w prawo od Belle, po drugiej stronie głównych drzwi. Nick uświadomił sobie, że nie wymieniono go na liście uczestników i obserwatorów operacji, więc pewnie był członkiem służb bezpieczeństwa, prawdopodobnie z CIA. Choć widać było tylko jego oczy i szyję, Nick miał wrażenie, że w tym mocno zbudowanym mężczyźnie średniego wzrostu rozpoznaje coś znajomego.

Po chwili otworzyły się drzwi pokoju przygotowawczego chirurgów i na salę operacyjną weszła tyłem doktor Abigail Spielmann z uniesionymi rękami, skierowanymi dłońmi do środka. Była to drobna kobieta o jasnoniebieskich oczach, w których błyszczała inteligencja. Mycie rąk, osuszanie ich i zakładanie ubioru operacyjnego zostało wycięte podczas montażu.

- Doktorze Landrew - zwróciła się do anestezjologa - czy podczas badania przedoperacyjnego pacjenta zdarzyło się coś, o czym powinnam wiedzieć?

- W wywiadzie i badaniu uczestniczył tłumacz. Pacjent nie otrzymywał żadnych leków, które miałyby wpływ na stan jego umysłu, ale wydawał się nieco zamroczony.

- Czy uważa pan, że mimo zamroczenia świadomie podpisał zgodę na operację? - spytała Spielmann.

- Owszem. Było przy tym obecnych trzech świadków, dwie pielęgniarki z jego oddziału i tłumacz.

- Rozmawiałam z nim po panu - powiedziała Spielmann. - Nauczyłam się kilku zdań po arabsku. Wydawało mi się, że pan Muhammad rozumie, co mówię, i sprawiło mi to przyjemność. Zdołałam wyłapać kilka wypowiedzianych przez niego słów, ale tylko kilka. W chwili gdy rozmawialiśmy, wydawał się zmęczony, ale był w pełni władz umysłowych. Zgadzam się więc z panem, doktorze Landrew.

- Doskonale.

- Zatem jesteśmy gotowi?

- Oczywiście.

- Panie Pendleton?

- Gotów, pani doktor - odrzekł perfuzjonista.

- Uśpiemy go i przygotujemy według metody, której opis wam przekazałam. Osoby obserwujące operację mogą zająć miejsca na podwyższeniu, gdy pacjent zostanie uśpiony i przygotowany, a pole operacyjne obłożone. Jakież pytania?

Nie było pytań. Anestezjolog przygotował się do wstrzyknięcia Muhammadowi środka zwiotczającego - Nick był pewien, że to suksametonium - który umożliwi wprowadzenie rurki intubacyjnej do jego tchawicy.

W tym momencie Alim Sajjid Muhammad zaczął się poruszać.

Najpierw drgnął i stęknął. Potem uniósł obie ręce i ścisnął nimi głowę. Zaczął jęczeć, krzyknął głośno i nagle zawył.

Chwilę później usiadł wyprostowany na stole, machając ramionami i wykrzykując coś po arabsku. Wszyscy zgromadzeni wokół stołu operacyjnego zaczęli mówić i poruszać się równocześnie. Chirurdzy i pielęgniarka operacyjna próbowali zmusić pacjenta do ponownego położenia się na stole. Gwałtownie machający ramionami Muhammad trafił rezydentkę w twarz i odrzucił ją tak, że upadła. Wenflon wyslizgnął się z jego ręki, a przez gazę przytrzymującą kaniulę zaczęła przesączać się krew.

Pełne bólu krzyki Muhammada stawały się coraz głośniejsze. Jego oczy były dwa razy większe niż normalnie.

Gwałtownie szarpał głową na boki, jakby usiłował uwolnić się od jakiegoś pasożyta.

W końcu, wciąż szaleńczo machając ramionami, rzucił się ze stołu. Pchnął przy tym pielęgniarkę operacyjną i asystenta chirurga na pompę perfuzyjną płucoserca, która uniosła się na dwóch kółkach i przewróciła.

Obraz się zmienił - pokazywał teraz widok z kamery umocowanej nad końcem stołu operacyjnego, bo tylko stąd widać było całość chaosu, jaki zapanował w sali. Na podłodze wśród płynów wyciekających z kroplówek i rozbitego płucoserca szamotało się troje ludzi.

- Sa 'iduni, sa 'iduni! - krzyczał Muhammad.

- To na pewno po arabsku - powiedział Nick - ale nie wiem, co znaczy.

Mimo hałasu i zamieszania słowa Muhammada było wyraźnie słycać.

- Sa 'iduni... ahderu li adduktur Fury... ahderu li adduktur Nick Fury! Sa'iduni... ¡Socorro! ¡Ayúdenme! ¡Búsquenme al doctor Nick Fury!

- O Boże... - wyszeptał Nick. - Te ostatnie zdania nie były po arabsku, tylko po hiszpańsku. To Umberto! To jego głos, przysięgam! Woła mnie!

- Sa'iduni!

Krzyki Umberta odbijały się echem od ścian sali operacyjnej.

Obraz przejęła kamera zawieszona na suficie.

Krzyki i szarpanina ustały tak samo nagle, jak się zaczęły. Asystenci wstali, podnieśli bezwładne ciało pacjenta i ponownie położyli je na stole operacyjnym.

Kiedy głowa pacjenta opadła w tył, Nickowi zrobiło się niedobrze. Niewątpliwie widział twarz Alima Sajjida Muhammada.

»

Chirurgia plastyczna, pomyślał. I to wieloetapowa.

- Pompa! - zawołała doktor Abigail Spielmann.

- Pacjent zaintubowany.

- Brak tętna - powiedział jeden z asystentów.

- Oba płuca wypełnione powietrzem.

- EKG podłączone. Linia izoelektryczna całkowicie płaska.

- Obie źrenice rozszerzone i nieruchome.

- Pompować dalej.

- Ciśnienie krwi zero.

- Wygląda na to, że pękł tętniak w mózgu - stwierdziła doktor Abigail Spielmann. - Podejrzewam, że był bardzo duży. Poproszę dwa centymetry epinefryny z igłą dosercową. Zobaczmy, czy to przyniesie jakiś efekt, i wtedy podejmiemy decyzję, czy otworzyć klatkę piersiową i zrobić ręczny masaż serca.

- Ciśnienie krwi wciąż zero.

Spielmann ujęła strzykawkę i wbiła długą igłę obok mostka pacjenta, równocześnie odwodząc tłok. Do strzykawki natychmiast wpłynęła ciemna, niemal czarna krew. Lekarka wstrzyknęła epinefrynę do lewej komory serca.

- Nic. Linia prosta.

- Ciśnienie krwi zero.

- Źrenice nieruchome.

- Sądzę, że nic nie zyskamy, przechodząc do kolejnego etapu i otwierając klatkę piersiową - oświadczyła Spielmann. - Czy ktoś jest innego zdania? - Odpowiedziało jej milczenie. - Wobec tego ogłaszam czas zgonu: dziesiąta trzydzieści jeden. Dziękuję wszystkim. Doceniam wasze wysiłki. Przykro mi z powodu tego, co się stało. i

Górna kamera ukazywała twarz zmarłego, wpatrującego się otwartymi oczyma w światła lamp operacyjnych. Nick nacisnął Stop i zatrzymał obraz.

- Kiedy pracowali nad twarzą Umberta, musieli go jednocześnie uczyć arabskiego, żeby mógł odpowiadać w tym języku podczas wywiadów przedoperacyjnych - stwierdził.

- Manny też mówił po arabsku. Billy Pearl powiedział, że przeszedł pranie mózgu. Założę się, że to samo stało się z Umbertem - odezwała się Jillian.

- Czy twoja siostra знаła arabski? - spytał Mollender.

- Nie. Ale jak zauważył Nick, arabski Umberta pomieszany był z hiszpańskim.

- A czy twoja siostra znała hiszpański?

- Płynnie mówiła w tym języku - odparła Jillian. - Ja też go dobrze znam.

ROZDZIAŁ 41

Wstrząśnięty Nick wyłączył telewizor. Widok potwornej śmierci Umberta sprawił, że nie był w stanie się ruszyć. W milczeniu wpatrywał się we własne odbicie w czarnym ekranie telewizyjnym. Czuł ból, bo ostatnie słowa Umberta były przesywającym krzykiem o pomoc, skierowanym do niego wezwaniem.

¡Busquenme al doctor Nick Fury!

„Wezwijcie doktora Nicka Fury’ego!”.

Choć w jego głowie wciąż rozbrzmiewały pełne bólu krzyki Umberta, próbował zrozumieć sens wydarzeń, do których doszło trzy lata temu na sali operacyjnej. Najpierw jednak musiał pogodzić się z faktem, że jego poszukiwania dobiegły końca. Don Reese miał rację. Ludzie, którzy porwali Umberta i Manny’ego, nie zadali sobie trudu, by wydać im

nowe numery ubezpieczenia społecznego, ponieważ obaj mieli umrzeć. Ucieczka Manny'ego Ferrisa popsuła im szyki. Tajna misja, która miała pomóc Umbertovi uporać się z zespołem stresu pourazowego, okazała się bramą do kolejnego, jeszcze gorszego koszmaru i w końcu zaprowadziła go do grobu.

- Umberto... - wyszeptał, czując, jak z gniewu sztywnieje mu kark.

Wpatrywał się w ekran, jakby duch jego przyjaciela ciągle w nim tkwił, na wieczność uwięziony w nagraniu. Jillian położyła mu rękę na ramieniu.

- Nick, tak mi przykro.

- Co on dokładnie powiedział, Jill?

- To, czego można by się spodziewać: „Ratunku! Pomóżcie mi! Sprowadźcie doktora Nicka Fury'ego!” Słowa nie były wyraźne, bo Umberto przerywał je krzykiem i słowami arabskimi, ale Belle je usłyszała i zrozumiała, choć nie pojmowała, co miały znaczyć. Później pewnie ktoś jej opowiedział o postaci z komiksu, więc spróbowała dowiedzieć się czegoś więcej. Zawsze dążyła do wyjaśnienia niezrozumiałych spraw.

Głos Jillian był ledwo słyszalny, brzmiał, jakby dochodził z wielkiej odległości. Nick siedział w milczeniu. Najpierw śmierć Sarah, a teraz to. Czy mógł cokolwiek zrobić? Granica między smutkiem a poczuciem winy często bywa płynna. Jeśli poczucie winy go nie zniszczy, pewnie kiedyś nauczy się żyć z tymi wspomnieniami.

W końcu mgła otaczająca jego umysł zaczęła się rozpraszać.

- Teraz już wiemy - wymamrotał.

- Teraz już wiemy - powtórzyła cicho Jillian.

Objęła go ramionami. W pierwszej chwili Nickowi wydawało się, że to on drży, zaraz jednak uświadomił sobie, że to Jillian. Odsunęła się, nie zdejmując jednak dłoni z jego ramion.

- Jest mi bardzo smutno i przepełnia mnie gniew - powiedział.

- Wiem, jak bardzo chciałeś odnaleźć Umberta żywego, ale przecież nie jesteś winien jego śmierci. Dzieje się tu coś strasznego... jakaś tajemnica, którą ktoś rozpaczliwie chciał ukryć, tajemnica, za którą Belle zapłaciła życiem.

Belle. Brzmienie tego imienia gwałtownie wyrwało Nicka z uzalania się nad sobą. Musi być silny i dla Jillian, i dla siebie samego. Jedną z jego ulubionych maksym buddyjskich mówiła, że ze wszystkich niebezpieczeństw czyhających na drodze do prawdy największym niebezpieczeństwem może okazać się sama prawda.

- Kto mógł to zrobić? - spytał. - Nie stwierdzono żadnego nowotworu. To, co oglądaliśmy, było egzekucją, śmiertelną szaradą, która oznaczała bilet do wolności dla Alima

Muhammada. Założę się, że w chwili gdy Umberto umierał, ten bydlak znajdował się w odległości tysięcy kilometrów stąd.

- Superoszustwo - mruknął Mollender.

- To okropne - powiedziała Noreen.

- Najwyraźniej Belle nie chciała tego tak zostawić - stwierdziła Jillian. - Może tylko ona potrafiła zrozumieć, co krzyczał Umberto, i może powiedziała komuś o tym.

- To, co właśnie widzieliśmy, łączy Umberta z centrum Singha - powiedział Nick. - I biednego Manny'ego Ferrisa też. Może to Manny miał się znaleźć na tym stole operacyjnym, jednak coś poszło nie tak. Może nie potrafili upodobnić go do Muhammada na tyle, żeby było to przekonujące. Jeśli Manny był w trakcie całej serii operacji, wyjaśnialoby to jego wygląd. Słuchajcie, wiem, że oglądanie tego jest bolesne, ale za pierwszym razem mogliśmy przegapić coś ważnego. Muszę obejrzeć tę operację jeszcze raz, jednak wy nie musicie tego robić.

- Ja zostaję - oświadczyła Jillian. - Czuję się teraz silniejsza niż kiedykolwiek od śmierci Belle.

- Noreen? - spytał Mollender.

- Nie wiem, w czym mogłabym się wam przydać, i jestem wstrząśnięta - odparła - ale jeśli solidarność może być pomocą spróbuję.

Noreen i Mollender stanęli obok Nicka i Jillian, tworząc półkole przed telewizorem. Nick nacisnął Play. Kątem oka zauważył, że w chwili gdy pojawiły się pierwsze zdjęcia sali operacyjnej, Mollender wziął Noreen za rękę. Dwukrotnie obejrzeli wideo, aż w końcu Jillian załamała się i rozplakała. Nick poczuł, że w jego oczach również zbierają się łzy. Jillian przeprosiła i wyszła z pokoju. Powiedziała, że musi to wszystko przemyśleć. Noreen postanowiła jej towarzyszyć. Z całej czwórki najbardziej opanowany wydawał się Mollender, choć widać było, że on też jest wstrząśnięty.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby puścić tę płytę jeszcze raz? - spytał go Nick.

- Jeśli musisz...

Tym razem Nick zatrzymał obraz tuż przed śmiercią Umberta. Zaczął przesuwając go klatka po klatce, a potem cofał i jeszcze raz przesuwał do przodu.

- Tutaj Umberto łapie się za głowę - powiedział, stukając palcem w ekran telewizora. - Zupełnie jakby coś wybuchło mu w mózgu. Nigdy nie widziałem, jak komuś pęka tętniak w głowie, ale wiem, że towarzyszy temu gwałtowny wzrost

ciśnienia wewnątrzczaszkowego. Chory czuje oślepiający ból głowy i chyba tak właśnie było w przypadku Umberta, chociaż powinien także wymiotować. Typowe wówczas

są również ataki typu padaczkowego, ale tych też nie widać. Wszystko trwało zaledwie parę minut od początku do końca. Nie wiem, co by to mogło być innego poza pękniętym tętniakiem, jednak coś mi się tu wydaje nie w porządku.

Do pokoju wróciły Jillian i Noreen.

- Czy sugerujesz, że ktoś mu to zrobił? - spytał Mollender.

- Nie wiem. Myślę tylko cały czas, że nie mogli pozwolić chirurgowi otworzyć klatki piersiowej Umberta, bo wtedy okazałoby się, że z jego sercem wszystko jest w porządku. Nie było żadnego nowotworu. Jeśli miało to wyglądać tak, jakby Alim Muhammad umarł na stole operacyjnym, musiało się to stać przed operacją, co oznacza, że ktoś przez cały czas kontrolował sytuację. - Nick zwrócił się do Jillian. - Wydaje mi się, że Umberto został zabiły właśnie w tym momencie. Wygląda to jak pęknięcie tętniaka, ale moim zdaniem nie mógł to być tętniak. Ktoś mu coś zrobił, działając na jego mózg. Gdyby doszło do operacji i otworzyliby mu serce, nie znaleźliby w nim żadnego nowotworu.

- A te wszystkie wcześniejsze badania?

- Wyniki badań można sfałszować. Niewykluczone, że chirurgowi przedstawiono obraz rezonansu magnetycznego należący do kogoś innego. Ludzie, którzy to zrobili, nie są amatorami i założę się, że mają do dyspozycji taką technologię, o której nic nie wiedzą nawet lekarze specjaliści.

- Kto więc twoim zdaniem za to odpowiada?

Gniew, który przepelniał Nicka, pomagał mu myśleć. Fragmenty zagadki śmierci Umberta łączyły się teraz w całość niemal zbyt szybko, by mógł je wszystkie ogarnąć.

- Chodzi ci o konkretnego człowieka czy o agendę rządową, której nazwa składa się z trzech liter i która właśnie wtedy przesłuchiwała podobno Alima Sajjida Muhammada? Noreen - zwrócił się Nick do przyjaciółki Mollendera, czując nowy przypływ energii - czy masz dużą kartkę papieru i coś do pisania?

Wyszła z pokoju i po chwili wróciła z kartką i kilkoma markerami. Nick zatrzymał obraz na liście osób obecnych w sali operacyjnej i przepisał ją na kartce w dwóch kolumnach.

Doktor Abigail Spielmann, chirurg

Doktor Lewis Leonard, chirurg asystent Doktor Yasmin Dasari, kardiochirurg rezydent Doktor Thomas Landrew, anestezjolog

Kimberly Fox, pielęgniarka instrumentariuszka Roger Pendleton, perfuzjonista Cassandra Browning, pielęgniarka operacyjna Yu Jiang, student medycyny Belle Coates, studentka pielęgniarstwa.

- Co robisz? - spytała Jillian.

- Wszyscy ci ludzie byli tam tego dnia. Coś zauważyłem, oglądając nagranie po raz ostatni, ale chciałbym to sprawdzić. Jillian, muszę jeszcze raz obejrzeć fragment płyty.

- W porządku, dam radę. Znalazł ujęcie pokazujące całą salę.

- W sali operacyjnej, nie licząc pacjenta, jest dziesięć osób - powiedział - jednak na tej kartce jest tylko dziewięć nazwisk. Zauważyłem dziesiątego mężczyznę, gdy pomagał wprowadzić nosze z Umbertem. Było ich dwóch, ale drugi wyszedł.

- Pamiętam - potwierdził Kret. - Ten, który został, był znacznie wyższy.

- No właśnie. Wydawało mi się, że tych dwóch ludzi było ze służby bezpieczeństwa. To miałyby sens. A teraz nie patrzcie na Umberta, tylko przyglądajcie się temu dziesiątemu człowiekowi na sali.

Wciąż miał dziwne wrażenie, że w potężnie zbudowanym mężczyźnie jest coś znajomego. Najlepiej było go widać na ujęciach kamery umieszczonej nad końcem wąskiego stołu. Podczas całego zamieszania towarzyszącego śmierci Umberta nawet nie drgnął, nie przesunął się ani o centymetr. Tym razem Nick zauważył również, że ubrany był tak samo jak chirurdzy i przez cały czas trzymał dłonie schowane pod kitem.

Ponownie przegrał całe DVD, a potem jeszcze raz. Nie spuszczał oczu z mężczyzny. Gdy Umberto został przeniesiony z noszy na kółkach na stół operacyjny, Nick zatrzymał odtwarzanie, cofnął nagranie o kilka klatek, a potem znów powoli puścił do przodu, przez cały czas przyglądając się potężnemu mężczyźnie.

- Widzieliście? - zawołał. - Cały czas trzyma ręce pod kitem, nie wyjął ich nawet wtedy, gdy z Umbertem zaczęło dziać się coś niedobrego... coś, co go zabiło. I przyjrzyjcie się jego oczom: są zimne i spokojne.

- Sądzisz, że ma tam jakieś urządzenie, które mogło wypalić Umbertoowi mózg albo doprowadzić do pęknięcia tętnicy? - spytał Mollender.

- Być może założyli mu coś w rodzaju odbiornika radiowego. Umberto przeszedł przez wiele zabiegów w centrum Singha. Mogli to zrobić podczas jednego z nich.

Przez długą chwilę panowała cisza, którą w końcu przerwała Jillian.

- Ale dlaczego zabili Belle? - spytała cicho.

Znów zapadło milczenie. Nagle z twarzy Nicka odpłynęła cała krew.

- O Boże... - szepnął.

- Co się dzieje?

- Nie tylko Belle słyszała Umberta. Być może nie była jedyną osobą która zrozumiała, że on mówi także po hiszpańsku.

- Co sugerujesz?

- Założyliśmy, że Belle zamordowano, bo powiedziała coś niewłaściwej osobie. A co, jeśli nie tylko o nią chodziło? Jeśli zabito nie tylko Belle?

Noreen cofnęła się w stronę wyjścia.

- Nie wiem, czy to dłużej zniosę - stwierdziła. - Czy nie powinniśmy wezwać policji?

- Jeszcze nie wiem - odparł Nick. - Wiem natomiast, że potrzebujemy twojej pomocy, Noreen. Jeśli zginęła tylko Belle, to znaczy, że się mylę, ale musimy sprawdzić resztę ludzi z listy na tej kartce.

Noreen pokręciła głową.

- Rozejrzyj się! - krzyknęła. - Jeśli pracuję z komputerami, a nie ludźmi, widocznie mam powody. taMollender wziął ją za rękę i podprowadził do biurka, na którym stały dwa włączone komputery.

- Zrobimy to razem - powiedział. - Ja będę pracować na twoim laptopie, a ty na dużym komputerze. Zaczniemy szukać kolejnych nazwisk w sieci i zobaczymy, jakie dostaniemy odpowiedzi.

- Boję się, Saul.

- Musimy to zrobić, bo może chodzić o czyjeś życie. Posłuchaj, Nick: do tej dziewiątki, która znajdowała się na sali operacyjnej, powinieneś dopisać Annette Furst, montażystkę tego wideo, która u mnie pracuje. Ona żyje, widziałem ją wczoraj.

- To dobry znak. Niewykluczone, że się mylę. Albo może nie przyszło im do głowy, że ją też powinni uciszyć. Cały czas popełniają błędy.

- Może to nam ułatwi zadanie.

- Zaczynajcie od chirurgów - poprosił Nick. - Saul, ty weź „Spielmann, a Noreen niech spróbuje znaleźć coś o Leonardzie.

Noreen usiadła na krześle. Mollender musiał pochylić się nad biurkiem, by dosięgnąć laptopa. Oboje otworzyli przeglądarki i zaczęli przeszukiwać Internet. Archiwista trafił pierwszy.

- Jezu! - zawołał. - Spielmann nie żyje. Zmarła parę tygodni temu w swoim nowojorskim mieszkaniu z powodu reakcji anafilaktycznej na użądlenie przez pszczołę.

- Chyba znalazłam coś na temat Leonarda - odezwała się po chwili Noreen. - To wszystko jest potworne. Robi mi się niedobrze. Jechał na motocyklu i zderzył się z ciężarówką. Według doniesienia z „Chicago Tribune” kierowca tej ciężarówki powiedział, że wyglądało to tak, jakby motocyklista stracił panowanie nad pojazdem, bo przeleciał na drugą stronę szosy i wpadł pod jego wóz.

- To mógł być zwykły wypadek - stwierdziła Jillian.

- Albo ktoś mógł spreparować jego motocykl - zauważył Nick. - Szukajcie dalej.

Minęła kolejna pełna napięcia minuta. W biurze słychać było tylko stukot klawiszy. Nick dopisał przy nazwiskach obu osób miejsca, gdzie umarli. Chicago, Nowy Jork, Karolina Północna. Trudno było dłużej wątpić.

Po chwili Mollender znalazł kolejną ofiarę.

- Doktor Thomas Landrew się utopił - powiedział ponurym głosem. - „Zapalony sportowiec i wybitny anestezjolog utonął podczas wyprawy kajakiem po Chesapeake”.

- Kiedy? - spytał Nick.

- Zaledwie trzy tygodnie temu. Osiemnastego kwietnia. To okropne, przecież ja go znałam... Landrew był anestezjologiem podczas operacji przepukliny, którą robiono mi parę lat temu. Był wspaniałym lekarzem.

Obok nazwiska Landrew Nick napisał „Maryland”.

Mollender mówił dalej:

- Kimberly Fox też nie żyje, zakładając, że to ta sama Kimberly Fox, która uczestniczyła w tej operacji. Zginęła w pobliżu swojego rodzinnego domu w Utah. Piszą, że to był wypadek na nartach. Skręciła kark. Żadnych szczegółów, nie wiadomo, czy pracowała w Shelby Stone. Podają natomiast, że była pielęgniarką.

- Mogła się przeprowadzić - zauważyła Jillian. - Pielęgniarki, zwłaszcza te młodsze, często zmieniają szpitale. Tak jak Belle.

- Masowe morderstwo złożone z pojedynczych przypadków - mruknął Nick.

- Jeszcze jedno trafienie - odezwała się po chwili Noreen. W jej głosie słychać było strach. - Cassandra Browning, zastrzelona tu, w Waszyngtonie. Strzał padł z lasu, kiedy biegła nad Rock Creek. Brak świadków. Uznano to za przypadek. Brak podejrzanych.

- Teraz ją sobie przypominam - powiedziała Jillian. - Przez cały czas pracowała w Shelby Stone. Kiedy zginęła, rozesłano okólnik nawołujący do ostrożności. To było gdzieś w lutym.

Przez minutę czy dwie nikt się nie odzywał. Nick miał wrażenie, że wokół płuca zaciska mu się stalowy pas.

- Waszyngton, Chicago, Nowy Jork, Karolina Północna, Utah, Maryland. Ktoś zabija tych ludzi w taki sposób, żeby nie wyglądało to na morderstwo - stwierdził. - W każdym razie nie na zamierzone morderstwo, a już na pewno nie seryjne.

- Miałam rację - powiedziała Jillian. - Mówiłam, powtarzałam, że Belle nigdy by się nie zabiła.

- Ponieważ do tych „wypadków” doszło na terenie całego kraju, nikomu nie

przyszłoby do głowy, że coś je może łączyć - mruknął Mollender.

- Ale nam przyszło - odparł Nick i wykreślił nazwiska ludzi, których śmierć potwierdzono, łącznie z Belle. - Pozostały jeszcze cztery osoby: Roger Pendleton, perfuzjonista, Yasmin Dasari, rezydentka kardiochirurgii, Yu Jiang, wówczas student medycyny, oraz montażystka Saula, Annette Furst.

Noreen wpatrywała się w ekran komputera, a jej palce biegały po klawiaturze. Mollender również kontynuował poszukiwania.

- Nie znalazłem niczego na temat Dasari ani Jianga - odezwał się w końcu - ale podłączyłem się do naszej wewnętrznej sieci. Pendleton wciąż widnieje na liście pracowników Shelby Stone. Mam tu jego adres i numer telefonu. Według tych danych żyje sobie spokojnie w Alexandra, w Wirginii.

- Miejmy nadzieję, że to prawda - powiedział Nick.

- Co? Że w Alexandrii?

- Nie, że żyje.

ROZDZIAŁ 42

- Pendleton może nie odbierać telefonu z trzech powodów - stwierdził Nick. - Albo nie ma go w domu, albo jest zajęty, albo już nie żyje.

Jillian się skrzywiła.

- Czemu oni to robią po tylu latach, Nick? I czy to możliwe, żeby za tym stała agenda naszego rządu?

- Żałuję, ale nie wiem. Może to jednak ludzie z terrorystycznej organizacji Muhammada mszczą się za jego śmierć? My wiemy, że to nie on wtedy umarł, ale oni być może nie.

- To niewykluczone, ale terroryści zwykle starają się nagłośnić swój udział w podobnych aktach zemsty, a tym razem nic nie słyszeliśmy.

- Jednak sześć osób nie żyje.

- Co najmniej.

Nick z całej siły trzymał kierownicę, denerwując się, że na tyle pytań nie znają jeszcze odpowiedzi. Zanim opuścili biuro Noreen, otrzymali od niej dwie skórzane teczki. W każdej znajdowała się kopia nagrania operacji, wypalona na DVD.

Jillian położyła je sobie na kolanach i powiedziała, że to przypomnienie. Umberto i Belle będą towarzyszyć im w tej podróży do końca.

Ruch na drodze nie był zbyt duży i Nick oceniał, że za jakieś dziesięć minut powinni dotrzeć do domu Rogera Pendletona w Alexandrii. Kret zaproponował, że zostanie z Noreen i nadal będzie szukał informacji o rezydentce i studencie. Nie było jednak łatwo trafić na ich ślad.

Kiedy jechali, Jillian napisała do Pendletona krótki liścik, prosząc, by zadzwonił do któregoś z nich, gdy tylko będzie to możliwe. Dwukrotnie próbowała dodzwonić się do niego w domu i skontaktować się z nim przez szpitalny pager. Nick zatelefonował również do Dona Reese'a, ale odezwała się tylko poczta głosowa.

- Może powinniśmy zadzwonić pod dziewięćset jednaście - zasugerowała Jillian. - Niech teraz władze się tym zajmą.

- Pamiętasz, co mówił Reese? Tkwimy w tym po uszy, Jill. Jeśli mamy włączyć w to policję, lepiej, żeby on nam powiedział, kiedy powinniśmy to zrobić i jak. Tymczasem musimy go ostrzec.

- Mam nadzieję, że nie przybędziemy za późno.

Nick westchnął ciężko.

- Ja też.

Należący do Pendletona skromny piętrowy dom w wiejskim stylu stał na samym końcu obsadzonego drzewami zaułka. Idylliczna, spokojna okolica sprawiała, że ich niepokój jeszcze się pogłębił. Kiedy Nick zatrzymał się przy pasie trawy między drzewami i otworzył drzwi kierowcy, Jillian złapała go za ramię i wciągnęła z powrotem do środka.

A

J

- Nie możemy tam tak po prostu pójść, Nick - powiedziała. - Wciąż nie mamy pojęcia, z czym walczymy. Nie chciałabym widzieć kolejnej śmierci... i nie chciałabym, żeby tobie coś się przydarzyło.

Nick ujął jej obie dłonie.

- Nic się nie przydarzy żadnemu z nas, uwierz mi, Jill. Zapukamy do drzwi, zostawimy wiadomość, a potem poszukamy Pendletona w szpitalu.

- Przepraszam, zachowuję się jak dziecko. To nagranie naprawdę mną wstrząsnęło. Cały czas myślę o tym człowieku w chirurgicznym kitlu, który tak spokojnie stał, zabijając Umberta... zupełnie jakby nie miał duszy.

- Cóż, chyba dzięki tobie zaczynam nawiązywać kontakt z własną duszą - stwierdził Nick. - Mam później sesję EMDR. Zamierzam się do tego przyłożyć. Tak jak kiedyś do chemii organicznej czy ćwiczeń wspinaczkowych.

Jillian pogładziła ciemniejący już zarost na jego policzkach.

- Gotów?

- Gotów.

Ramię w ramię ruszyli kamiennym podjazdem do pomalowanych na czerwono drzwi wejściowych. Jillian ścisnęła pod pachą teczkę z nagraniem. Wokół panowała dziwna cisza; słychać było tylko chrzęst żwiru pod ich nogami i ćwierkanie ptaków, niesione przez ciepłą popołudniową bryzę. Podwórze od frontu było małe, ale dobrze utrzymane. Brak zabawek wskazywał, że Pendleton raczej nie ma dzieci.

Przez niewielką szparę między zasłonami Nick zajrzał do dużego pokoju, ale niewiele zobaczył. Zadzwoił, a potem nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte.

- Może jest w pracy - powiedziała Jillian. - Nie dowierzam systemowi przywoływania w Shelby Stone.

Nick po raz drugi nacisnął dzwonek. Usłyszeli melodyjkę dobiegającą z wnętrza domu.

- Spróbujmy może od tyłu - zaproponował, coraz bardziej niespokojny.

Nagle drzwi stanęły otworem.

Mężczyzna, który się w nich pojawił, miał na sobie szpitalny kitel i ramieniem przytrzymał przy uchu telefon komórkowy. Podskakiwał na jednej nodze, próbując wciągnąć na drugą sportowy but.

„Powinieneś najpierw rozwiązać sznurowadło” - chciał poradzić mu Nick.

Gdy Pendletonowi w końcu udało się wcisnąć nogę do buta, telefon wysunął mu się spod ucha i z głośnym trzaskiem upadł na drewnianą podłogę.

- Jeśli chcecie mnie skłonić do przystąpienia do waszego Kościoła, to nic z tego - rzucił, schylając się po telefon. - Jerry, Jerry, jesteś tam?

- Przepraszamy za zawracanie głowy... - zaczął Nick.

Mężczyzna odetchnął głęboko.

- Nie ma sprawy, to nie wasza wina, że taki ze mnie niezgrabiasz. Jestem już spóźniony, właśnie mi przypominano, gdzie powinienem być dwadzieścia minut temu. Przepraszam, jeśli podniosłem głos, ale telefon najwyraźniej wciąż działa, więc zaraz oddzwonię. Poczekajcie chwilę. Ale jeżeli chcecie wyciągnąć ode mnie jakieś pieniądze, to po prostu sobie pójdźcie.

Kiedy dzwonił, zorientowali się, że wzywano go do jakiegoś nagłego przypadku w Shelby Stone. Był szczupłym, łysiejącym mężczyzną zaraz po trzydziestce. Sprawiał wrażenie wysportowanego.

- Roger Pendleton? - spytała Jillian.

- Tak, to ja. Słuchajcie, naprawdę się spieszę, czeka na mnie transplantacja, więc jeżeli cokolwiek sprzedajecie, a zwłaszcza Boga, to po prostu załóżcie, że już jednego mam, dobrze?

Nick dał krok naprzód.

- Roger, nazywam się Nick Garrity. Jestem chirurgiem pracującym w ambulansie „Pomocnych Dłoni”. A to moja przyjaciółka, Jillian Coates, pielęgniarka psychiatryczna w Shelby Stone.

Na te słowa Pendleton nieco złagodniał.

- O co chodzi? Takich techników jak ja lekarze nieczęsto odwiedzają w domu. A właściwie nigdy.

- Wiem, że się spieszysz, ale musimy porozmawiać. Może to być kwestia życia lub śmierci.

- Tak? Niestety, to samo dotyczy operacji, jeśli nie dotrę za chwilę do szpitala. Jestem na domowym dyżurze, a perfuzjonista dyżurujący w szpitalu potrzebny jest gdzie indziej. Właśnie nas powiadomiono, że pojawiło się serce do transplantacji.

- Kiedy powiedziałem, że to kwestia życia lub śmierci, miałem na myśli twoje życie lub śmierć - oświadczył Nick. - Naprawdę musimy porozmawiać. Czy nie możesz załatwić jakiegoś zastępstwa?

Pendleton popatrzył na Nicka i spochmurniał.

- Nie, nie mogę załatwić zastępstwa - odparł. - Jak sądzisz, ilu mamy ludzi? No dobrze, dobrze, przepraszam, że jestem taki opryskliwy, ale nie mam pojęcia, o czym mówicie. Mogę wam dać najwyżej dwie minuty.

Stojąc wciąż przed drzwiami, Nick opowiedział o zamianie tożsamości w sali operacyjnej trzy lata wcześniej i dodał, że kilka miesięcy temu nagle zmarło sześć z dziesięciu osób obecnych podczas tej operacji. Kiedy skończył mówić, podał Pendletonowi DVD.

Perfuzjonista przez chwilę wpatrywał się w płytkę ze zmarszczonymi brwiami.

- Mówicie więc, że jestem na czyjejs liście do zabicia?

- Podejrzewamy, że tak - odparła Jillian.

- Cóż, wieczorem przed operacją wpadłem do Muhammada, żeby z nim porozmawiać. Zawsze rozmawiam z pacjentami. Zdjęcie tego terrorysty zamieściły wszystkie gazety i zapewniam was, że to właśnie on tamtego wieczoru znajdował się w pokoju, to on był na stole operacyjnym następnego dnia, to on wpadł w szal i rozbił mi sprzęt, i to on umarł.

- Sześć z dziesięciu osób nie żyje, w tym moja siostra, Belle - powiedziała Jillian. -

Naszym zdaniem mężczyzna odpowiedzialny za śmierć pacjenta na sali operacyjnej, a może nawet za wszystkie te zgony, był dziesiątą osobą, jedną z tych dwóch, które przywiozły pacjenta. Jesteśmy absolutnie pewni, że człowiek leżący na stole operacyjnym tego dnia nie był Muhammadem.

Pendleton zerknął na zegarek.

- Słuchajcie, nie wiem, czy wiecie, o czym mówicie, ale ja wiem, że muszę się natychmiast ubrać i jechać do szpitala.

- Czy na pewno nie możesz poświęcić paru minut, żeby obejrzeć to nagranie? - spytał Nick. - To by cię przekonało.

- Nie muszę niczego oglądać, żeby pamiętać tamten dzień.

Nie zapomina się czegoś takiego. Mogę wam tylko powiedzieć, a pewnie nie powinienem robić nawet tego, że kiedy już było po wszystkim, wezwano mnie do biura szefa. Czekają tam na mnie kilku gości w garniturach, którzy oświadczyli, że o tym, co się właśnie wydarzyło, nie wolno mi nikomu mówić. Kazali mi podpisać dokument, w którym się do tego zobowiązywałem, i ostrzegli, że jeżeli pisnę choć jedno słowo na ten temat, stracę pracę albo nawet wyląduję w więzieniu. Dali mi także nazwisko człowieka, do którego miałem odsyłać wszystkich reporterów. Gdzieś je posiałem, inaczej bym was do niego odesłał. Słuchajcie, zostawcie mi po prostu wizytówkę, a ja odzyskam to nazwisko. Teraz jednak muszę iść.

Jillian spojrzała na Nicka.

- To by wyjaśniało, dlaczego Belle nigdy mi nie mówiła o tej operacji.

- Słuchajcie, doceniam waszą troskę o mnie - powiedział Pendleton - ale muszę jak najszybciej udać się do szpitala. Nie jestem pewien, czy w ogóle wolno mi z wami rozmawiać o tej sprawie, nie ryzykując pracy i Bóg jeden wie czego jeszcze. Może powiecie mi szybko, co waszym zdaniem powinienem zrobić, a ja to przemyślę?

- Zostaw nam numer swego telefonu komórkowego i odbierz, jeśli zobaczysz, że dzwonię ja albo Jillian. Uważaj też na swoje otoczenie i zachowaj czujność. A my spróbujemy porozumieć się ze znajomym detektywem w Waszyngtonie.

- Dzięki za ostrzeżenie. Na pewno odbiorę, jeśli zadzwonicie.

- Jadąc tutaj, próbowaliśmy dodzwonić się do ciebie na domowy telefon, ale nie odbierałeś. Niepokoił się.

- Trochę wczoraj zabalowałem, więc wyłączyłem brzęczyk. Dlatego właśnie szpital łapał mnie na komórkę.

Szybko wymienili numery telefonów.

- Zadzwon, jeśli cokolwiek się zdarzy - powiedział Nick. - Jeśli nie, odezwę się do

ciebie, gdy tylko będę miał więcej informacji.

- Jasne - odparł Pendleton, czuli jednak, że wciąż nie bardzo im wierzy. - Zrób to. Ale mam jedno pytanie.

- Tak?

- Dlaczego te wszystkie okropne rzeczy zaczęły się dziać dopiero po trzech latach?

Jillian i Nick wymienili spojrzenia i wzruszyli ramionami.

- Nie wiemy. e ® ®

Roger Pendleton nienawidził się spieszyć. Doświadczenie nauczyło go, że do błędów najczęściej dochodziło właśnie wtedy, gdy próbowano coś przyspieszyć, pójść na skróty albo w ogóle coś pominąć. Często brakowało czasu, by szczegółowo przestudiować historię choroby pacjenta, a tego dnia czas był luksusem, na który dwudziestolatek z chorym sercem nie mógł sobie pozwolić.

Zamiast więc zastanawiać się nad szokującymi rewelacjami dotyczącymi operacji Alima Sajjida Muhammada sprzed trzech lat, Pendleton myślał o swoim nowym sztucznym płucosercu. Podczas dzisiejszej operacji użyje go dopiero po raz szósty. Nowe płucoserce było wyposażone w pompę odśrodkową, znacznie sprawniejszą od pompy rolkowej, tak długo przez niego używanej.

Niewiele osób wie, z jakim stresem wiąże się zawód perfuzjonisty. Utrzymywanie pola operacji wolnego od zalewającej go krwi to tylko jeden z elementów jego pracy. Znacznie ważniejsze jest kontrolowanie natlenienia i równowagi płynów. Mimo że Pendleton sprawiał wrażenie niefrasobliwego człowieka, niemal obsesyjnie dbał o swój sprzęt.

Wbiegł po wyłożonych dywanem schodach do sypialni, by zabrać torbę ze strojem gimnastycznym, który będzie mu potrzebny podczas ćwiczeń pooperacyjnych.

Zastanawiał się, czy jego niespodziewani goście mogą nie być świrami, ale doszedł do wniosku, że to mało prawdopodobne. Jeśli uda im się wyjaśnić, dlaczego od operacji do morderstw minęły trzy lata - zakładając, że były to morderstwa - być może potraktuje ich poważniej.

Schodził na dół po schodach, gdy znów rozległ się dzwonek do drzwi. Pendleton był pewien, że to jego wcześniejsi goście, ale nie miał już do nich cierpliwości, nawet jeśli przyszli z jakimś bardziej przekonującym wyjaśnieniem.

- Słuchajcie, porozmawiamy później - powiedział, otwierając drzwi. - Teraz naprawdę muszę...

Wysoki mężczyzna w uniformie jego firmy gazowniczej uśmiechnął się, podał swoje nazwisko i pokazał identyfikator.

- O rany! - zawołał Pendleton i zaśmiał się z ulgą - Ale mnie pan zaskoczył. Sądziłem, że to wrócili tacy jedni, którzy tu byli przed chwilą.

- Bardzo mi przykro - powiedział mężczyzna, którego oczy kryły się w cieniu rzucanym przez daszek czapki. - Chyba widziałem, jak odjeżdżali. Często zaskakuję ludzi, kiedy pojawiają się w drzwiach.

- Byłem trochę zdenerwowany, bo ci, którzy właśnie odeszli, mówili mi, że powinienem być ostrożny.

Mężczyzna zachichotał.

- Och, a ja właśnie dlatego tu przyszedłem - oświadczył. - Chodzi o ulatniający się u pana gaz.

Pendleton pociągnął nosem.

- Chyba źle pan trafił. U mnie gaz się nie ulatnia.

- Jeszcze nie.

Roger Pendleton opuścił wzrok i zobaczył, że mężczyzna trzyma w ręku rewolwer.

ROZDZIAŁ 43

Jill zaproponowała, żeby przed sesją terapeutyczną EMDR Nicka wpadli do jakiegoś lokalu coś wypić, zjeść i zaplanować następne kroki. Wybrali Kilkenny's Irish Pub w dzielnicy Adams Morgan w Waszyngtonie i dotarli tam tuż po południu. Przytulna tawerna wyłożona była ciemnym drewnem i pełna biznesmenów, którzy jedli późny lunch i pili guinnessa. Było tam także kilka osób, które Nick uznał za stałych bywalców. Część z nich siedziała przy barze, oglądając międzynarodowy mecz piłki nożnej, inni zabawiali się grą w rzutki. Szafa grająca była wyłączona. Miłą oprawę muzyczną zapewniała tradycyjna muzyka irlandzka dobiegająca z głośników.

Spokojne.

Zwyczajne.

Życie.

Usiedli obok siebie na końcu baru, na dwóch zniszczonych, odrapanych drewnianych stołkach. Ignorując menu podane przez barmana, Nick zamówił whisky Glenlivet, a Jillian butelkę piwa Amstel Light. Ich życie w tym momencie było tak odległe od życia innych ludzi jak Ziemia od Marsa.

Nick łyknął whisky z dość czystej szklaneczki, przytrzymał ją przez chwilę w ustach i przełknął. Potem wbił wzrok w butelki z różnymi alkoholami, ustawione w niszach

wbudowanych w ścianę za barem. Jillian dotknęła jego ręki, więc odwrócił się powoli i spojrzał jej w oczy.

- Przegryzka za twoje myśli - powiedziała, uśmiechając się i podsuwając mu czarną plastikową miseczkę z precelkami.

Nick wziął jeden, ale nie udało mu się odpowiedzieć jej uśmiechem.

- Co powiedzieliby ci wszyscy ludzie, gdyby wiedzieli, z jakim straszliwym złem mamy do czynienia? - spytał po chwili.

- Gdyby nam uwierzyli, a to bardzo duże „gdyby”, pewnie powiedzieliby coś w rodzaju: „Jak długo mnie to nie dotyczy i mogę sobie dalej rzucać rzutkami i pić piwo, róbcie, co macie do zrobienia”.

- Od naszego pierwszego spotkania pokonałszy długą drogę, a mimo to czuję się straszliwie bezradny. Wiesz, Pendleton uważał, że zwariowaliśmy.

- To prawda, ale wydawał się przyzwoitym facetem.

- Tak. Mam nadzieję, że nic mu się nie stanie.

- Chciałbyś jeszcze raz zadzwonić do Kreta? Może udało mu się coś wygrzebać.

- Nie, powiedział, że zostanie z Noreen w jej biurze i będzie szukać, a jeśli coś znajdzie, sam zadzwoni.

- Dobrze wiem, o co ci chodzi, kiedy mówisz, że czujesz się bezradny. Co powiedziała Junie, gdy przedstawiłeś jej całą tę sprawę?

- Była oszołomiona i wstrząśnięta, ale chyba jeszcze do niej nie dotarło, że Umberto nie żyje i został zabity w taki okropny sposób.

- A do ciebie dotarło?

Nick pochylił głowę, a potem pociągnął whisky ze szklaneczki i szybko ją przełknął. Zaniknął oczy i zacisnął pięści, czując, jak alkohol spływa mu w głąb gardła.

- To nie jest twoja wina - powiedziała cicho Jillian.

- Nie wiem, czy mi uwierzysz, ale z tym jakoś się uporałem. W tej chwili jestem zły na moją własną wściekłość. Nauczono mnie opiekować się ludźmi niezależnie od tego, kim są i co w życiu zrobili, a teraz chciałbym kogoś zabić. Kogokolwiek.

- Myślę, że nawet wściekłość jest lepsza od pustki w duszy i w sercu. To wszystko zmienia.

- Być może masz rację.

- Powiem ci coś, Nick...

- Tak? A co takiego?

- Wydaje mi się, że jesteś najbardziej niezwykłym mężczyzną jakiego kiedykolwiek

spotkałam. Kimś, w kim naprawdę mogłabym się zakochać. Kimś, w kim, jak mi się wydaje, zakochałabym się w jednej chwili, zanim... czy może przed tym, co zdarzyło się w Afganistanie. Ale chciałabym, żeby to zakochanie się było ostatnie. Nie musisz próbować znów stać się człowiekiem, którym kiedyś byłeś. Nie możesz jednak w dalszym ciągu uciekać przed życiem. Czy kiedy lekarz traci pacjenta, przestaje być lekarzem?

- Oczywiście, że nie.

- No właśnie. Nawet jeśli ten lekarz uważa, że to była jego wina. Chorzy zmuszają lekarzy i pielęgniarki do podejmowania szybkich decyzji. Gdybyśmy mieli więcej czasu i pracowali pod mniejszą presją, być może dokonywalibyśmy innych wyborów, ale niesienie pomocy innym jest w gruncie rzeczy uhonorowaniem pacjenta, który umarł. Nie oskarżam się o śmierć Belle. Oskarżam osobę, która ją zabiła. Tak samo jak strata Sarah i Umberta nie obciąża ciebie, tylko ludzi, którzy ich zabili. Nie możemy przywrócić do życia naszych zmarłych, ale wciąż możemy coś dla nich zrobić.

Nick uniósł głowę i popatrzył na ciemne krokwie.

- Niektórzy uważają, że stres pourazowy to coś w głowie - powiedział. - Sądzą, że można strzelić palcami, zmobilizować się i wyjść z tego. Albo też, jak MacCandliss, twierdzą, że jest to coś wymyślonego po to, by uzyskać jakieś korzyści. Ale tak wcale nie jest. To zmiana chorobowa w miejscu, gdzie powstają myśli, coś w rodzaju psychicznego raka, który cię zżera. Chcesz się z tego otrząsnąć, a kiedy ci się to nie udaje, stajesz się niewolnikiem miejsc i ludzi, przy których czujesz się bezpieczniej, bo alternatywą jest stanięcie twarzą w twarz z czymś nieznanym. Dawniej kochałem wszystko, co nieznanne, działałem na adrenalinie, wspinałem się, jeździłem na nartach, co tylko chcesz. Ale kiedy zobaczyłem, jak ciężarówka rozrywa Sarah, zanim Umberto uratował mi życie, wpychając za lodówkę, gdy leżałem pod nią obłany krwią z rozerwanych torebek, adrenalina przestała być ważna. Wycofałem się w miejsce, które jest dla mnie najbezpieczniejsze.

- Wiem, że cierpisz, Nick...

Uniósł rękę, przerywając jej. Szkocka zaczęła już działać, tak jak chciał.

- Nie, daj mi skończyć. Wiem, że od chwili gdy straciłem Sarah, byłem pustą skorupą. Ale potem pojawiłaś się ty i teraz m dzień po dniu twoja siła staje się moją siłą. Musisz tylko mieć do mnie cierpliwość, Jill, bo wierzę, że naprawdę potrafię znowu stać się mężczyzną i lekarzem, którym byłem kiedyś. To będzie wojna, a nie jedna bitwa, ale chcę tego i czuję, że dam radę.

- A ja ci pomogę. Przysięgam, że pomogę.

Nick okręcił się na stolku twarzą do niej.

- I to jest to, co ma największe znaczenie - powiedział, przytulając ją do siebie.

Kiedy się całowali, ludzie w barze zaczęli głośno klaskać. Odsunęli się od siebie szybko, przez pełną zażenowania chwilę przekonani, że aplauz i okrzyki są skierowane pod ich adresem.

- Całujcie się dalej - powiedział z uśmiechem barman, wskazując na telewizor. - Chelsea właśnie wyrównała w meczu z Manchester United.

- Może dziś dam sobie spokój z terapią - szepnął Nick do ucha Jill.

- A może nie. Mamy czas, mój kochany. Krok za krokiem. Mamy czas.

- No dobrze. Potem spotkamy się z Saulem albo w szpitalu, albo u Noreen. Jeśli do tej pory Reese się nie odezwie, być może będziemy musieli znaleźć kogoś innego. Jestem pewien, że Junie zna kogoś, z kim moglibyśmy się skontaktować. Ona zna wszystkich.

- Ale przecież sam mówiłeś, że nie wiemy, komu możemy zaufać ani jak głęboko ta sprawa sięga.

- Będziemy musieli zaryzykować.

W tym momencie zadzwonił telefon komórkowy Jillian. Nick pomyślał, że może to Reese, jednak Jill pokazała mu na migi, że nie rozpoznaje numeru dzwoniącego. Ale gdy odebrała, jej twarz się rozjaśniła. W pubie panował hałas, więc Nick wyłapywał tylko fragmenty rozmowy.

- Dzień dobry. Cieszę się, że dzwonicz... Naprawdę?

0 Boże, to wspaniale. Jak ci mówiłam, od samego początku miałam swoje podejrzania... Nie, to nie problem, to dobra pora... Jasne, mogę. Gdzie...? Tak, znam to miejsce. Spotkamy się za godzinę... Okay, do zobaczenia. - Wyłączyła telefon

1 odwróciła się do Nicka. - To jakiś niesamowity zbieg okoliczności.

- A o co chodziło?

- Odezwała się firma ubezpieczeniowa mojego osiedla. Doszli do wniosku, że ten pożar to jednak podpalenie. Najwyraźniej mają nawet podejrzania, kto podłożył ogień. Inspektor chce się ze mną spotkać za godzinę, żeby mi powiedzieć, co odkryli.

- Czy to ten sam człowiek, o którym mi opowiadałaś?

- Tak - potwierdziła Jillian. - Nazywa się Regis, Paul Regis.

ROZDZIAŁ 44

Półtoragodzinną sesję EMDR Nicka okazała się wyjątkowo intensywna, był jednak na to przygotowany. Jego terapeutka doktor Coletta Deems, wysoka, dość zimna kobieta

przypominająca stracha na wróble, była z niego bardzo zadowolona.

- Robi pan wrażenie szczególnie skupionego, doktorze Garrity.

Pewnie to tropienie morderców Belle i Umberta tak na mnie wpływa, pomyślał. W dodatku połączone z odkryciem, że kobieta, o której mógłby marzyć każdy mężczyzna, może być we mnie zakochana.

- Lepiej wizualizuję - powiedział tylko. - Może dzisiejszy dzień to jak udane uderzenie na polu golfowym.

- Słucham?

- To nic ważnego. Dziś mam sporo na głowie i dlatego musiałem się bardziej zmobilizować.

- Na jakim poziomie umieściłby pan dzisiaj swój stres?

Nick spojrzął na wykres jednostek subiektywnej skali stresu, wiszący na ścianie pokoju. Dziesięć oznaczało „bardzo źle, nie do zniesienia”. Zero: „absolutny spokój i pogoda ducha”.

Cztery: „Lekki niepokój, niezbyt dobre samopoczucie, trochę nieprzyjemnych myśli, ale można sobie z nimi poradzić”.

- Wydaje mi się, że poniżej pięciu.

Deems sprawiała wrażenie zadowolonej - przynajmniej na tyle, na ile to było w jej przypadku możliwe.

- Chodzi nam o postęp, doktorze Garrity - powiedziała, poprawiając okulary w drucianych oprawkach. - Nie mniej ani więcej.

- Postęp - powtórzył Nick, pragnąc jak najszybciej podzielić się z Jillian wiadomością o obniżeniu się poziomu stresu.

- Prosił pan, żeby nie przerywano naszej sesji żadnymi telefonami poza telefonem od Dona Reese'a...

- Tak?

- Reese nie dzwonił, ale - zerknęła na karteczkę - jakieś dwadzieścia minut temu telefonował niejaki pan Mollender. Prosił, by pan się z nim skontaktował. Mam tu numer.

Kiedy Nick zadzwonił do biura Noreen Siliski, Kret odebrał po pierwszym dzwonku.

- Saul, przepraszam, nie mogłem z tobą wcześniej rozmawiać. Coś znalazłeś?

- Owszem, ale musimy się spotkać osobiście. Wciąż jestem w biurze Noreen.

- Tak, wiem... właśnie ten numer wykręciłem. Znalazłeś ich?

- Studenta medycyny i rezydentkę? - zapytał Mollen-

* der. - Tak, tak mi się wydaje, ale wolałbym ci to pokazać. Czy możesz tu

przyjechać?

Brział jak człowiek spięty i wyczerpany, a nie taki, który chce się podzielić dobrymi wiadomościami. Nick rzucił okiem na wykres poziomemu stresu i stwierdził, że chyba wzrósł już znowu do pięciu - „nieprzyjemne uczucia kontrolowane z pewnym wysiłkiem”.

- Zaczyna się godzina szczytu, ale przyjadę, jak tylko będę mógł - odparł.

- Czy wciąż masz to DVD przedstawiające śmierć Andy’ego?

- Andy’ego? Chodzi ci o Umberta? Mam jedno, bo drugie zostawiłem u Rogera Pendletona, tego perfuzjonisty. Jestem pewien, że już ci to mówiłem.

- Do zobaczenia wkrótce - powiedział Mollender.

Połączenie zostało przerwane.

® e

Wlokąc się zakorkowaną drogą do Sutton, Nick bezskutecznie usiłował dodzwonić się do Jillian i Junie. Udało mu się złapać w domu Reggiego, który powiedział, że ambulansu i jego zastępczej matki nie ma, choć nie widział, kiedy wychodziła. To dziwne, pomyślał Nick. Junie miała jechać ambulansem do Waszyngtonu po panią profesor i przez cały czas była pod telefonem. Dlaczego nie odbierała?

Może już dotarła do mieszkania pani profesor i wstąpiła na kawę... może.

Jillian pewnie rozmawiała z Regisem o podpaleniu, ale jej telefon wyświetlał numer dzwoniącego, więc mogła odpowiedzieć. Czemu tego nie zrobiła?

Jego stres, który wcześniej spadł na poziom cztery, teraz mógł dochodzić nawet do sześciu: „złe samopoczucie i nasilający się niepokój, z którym trzeba coś zrobić”.

Zatrzymał się na tym samym miejscu co wcześniej, po lewej stronie pojemnika na śmieci, koło czerwonej corolli - jedynego samochodu na zupełnie pustym parkingu. Zerknął w górę trzykondygnacyjnej rury na odpadki, biegnącej od okna Noreen do pojemnika na dole. W oknie na początku rury było ciemno, uznał więc, że brezentowa zasłona jest opuszczona.

Jego niepokój wzrastał.

Słoneczne popołudniowe niebo pokryły teraz gęste chmury. Zaczął już nawet padać lekki deszcz, rytmicznie uderzając w liście drzew rosnących wokół parkingu.

Spełniając prośbę Mollendera, Nick wrzucił przedtem DVD do sfatygowanej skórzanej torby, w której miał również wszystko, co Reggiego udało się znaleźć na temat Alima Sajjida Muhammada. Teraz rozejrzał się, wyjął płytkę z torby i wsunął w metalową podporę za pojemnikiem na odpady. Coraz bardziej niepokoiło go zdenerwowanie Kreta i użycie imienia zmarłego brata. Być może popadał w paranoję - ale biorąc pod uwagę to, co odkryli, miał powody do obaw.

Ponownie spróbował zadzwonić do Junie, Jillian, Reese'a i Mollendera. Żadne z nich nie odebrało. Jego napięcie wciąż rosło.

Wszedł do budynku i schodami dotarł na drugie piętro. Nacisnął klamkę, zakładając, że drzwi będą otwarte, ale nie ustąpiły. Zapukał kilka razy - bez odpowiedzi.

- Saul, Noreen, jesteście tam? - zapytał. Jego głos odbijał się echem od ścian klatki schodowej.

Jeszcze raz nacisnął klamkę i tym razem zamek puścił. Pchnął drzwi i wszedł do częściowo odnowionego biura Noreen.

Pierwszą rzeczą jaką zobaczył, była krew. Na podłodze rozlewały się krwawe kałuże, kilka białych kartek nasiąknęło czerwienią a opiłki drewna zbiły się w ciemnoczerwone grudki. Zapach świeżo pilowanego drewna zniknął, wyparty przez ohydny metaliczny odór krwi i śmierci.

Nick poczuł suchość w ustach i zrobiło mu się niedobrze. Wtedy zobaczył Noreen. Leżała na podłodze z rozrzuconymi rękoma i nogami, jakiś metr w prawo od roboczego stołu stojącego pośrodku pokoju. Miała podcięte gardło. Jej biała robocza koszula przesiąknięta była zasychającą już krwią. Nick miał wrażenie, że Noreen się w niego wpatruje. Odruchowo sprawdził jej tętno, choć wiedział, że zasnute mgłą oczy i mleczna, niemal bezbarwna skóra oznaczają iż kobieta nie żyje.

Obrócił głowę w prawo, by na nią nie patrzeć, i wtedy zauważył Mollendera. Kret leżał twarzą w dół na dębowej podłodze, naprzeciwko Noreen, po drugiej stronie pokoju, bliżej okien. On także miał rozrzucone ręce i nogi. Pół metra od niego leżał kuchenny nóż o dwudziestocentymetrowym ostrzu pokrytym krwią. Prawa strona głowy Mollendera nie istniała - rana wlotowa. Po latach zajmowania się ranami postrzałowymi Nick wiedział, że na drugiej skroni znajdzie ranę wlotową. Krew nadal sączyła się z otwartej rany, a rozrzucone po podłodze kawałki kości i mózgu przypominały maleńkie wysepki śmierci. Nick podszedł bliżej, wpatrując się w matową stal pistoletu leżącego przy wyciągniętej, pozbawionej życia ręce Mollendera.

Gdy przykucał przy ciele, z jego gardła wyrwał się jęk. Ekscentryczny archiwista szpitalny zabił dawną kochankę, a potem się zastrzelił - taki wniosek wydawał się oczywisty. Ale czemu? Wcześniej trzymali się za ręce. Nie znał dobrze Mollendera, jednak nie sądził, żeby był zdolny do przemocy.

Nagle usłyszał klik zamykających się za nim drzwi. Zaskoczony, odwrócił się i podniósł na nogi. Skórzana torba, wciąż wisząca mu na ramieniu, przesunęła się przed niego. Patrzył na wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę, od stóp do głów ubranego na czarno,

w lateksowych chirurgicznych rękawiczkach. Trzymany w prawej ręce ciężki pistolet wymierzony był w środek jego klatki piersiowej.

Nick przesunął wzrok w górę i ujrzał najzimniejsze jasnyniebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widział. Czyste zło.

- Coś ty zrobił?! - krzyknął. - Dlaczego?

- Spokojnie, doktorze - powiedział zabójcą. - To inscenizacja, a robię to lepiej niż ktokolwiek inny. Morderstwosamobójstwo. Jestem w tym mistrzem, prawda?

Gestem wskazał leżące na podłodze ciała.

To ten mężczyzna, Nick był o tym przekonany. Ten sam, który patrzył, jak umiera Belle Coates. I choć to nie on był mocno zbudowanym zabójcą z sali operacyjnej, na pewno odpowiadał za niektóre pozostałe zgony, a może nawet za wszystkie. Nick z trudem się powstrzymywał, by się na niego nie rzucić, dał jednak pół kroku naprzód.

- Wyluzuj, doktoru, to coś szybko może pana załatwić. Przyniósł pan DVD?

Głos mężczyzny brzmiał bardzo pewnie, a w jego pozbawionych uczuć oczach mignęło coś w rodzaju radości.

Ten człowiek ma Jillian, pomyślał nagle Nick.

- Gdzie ona jest? - spytał.

- Kto?

- Jillian Coates. Gdzie jest? Jeśli coś jej się przydarzy, przysięgam, że cię zabiję.

- Niech się pan odpręży, doktorze. Czy nie to właśnie mówi pan swoim pacjentom, zanim wepchnie im palec wskazujący w odbyt? Niech się pan odpręży. Wydaje mi się, że nie może pan w tej chwili ani niczego żądać, ani niczym grozić. Tak się przypadkiem zdarzyło, że wpadłem do Rogera Pendletona zaraz po waszym wyjściu i zabrałem mu pewną płytkę. Była na niej naklejka, wizytówka tej uroczej kobiety. I to mnie doprowadziło tutaj. Przy lekkim nacisku powiedziała mi, że prawdopodobnie w pana posiadaniu nadal jest druga z dwóch płytek, które panu dała. Skłoniłem naszego przyjaciela Mollendera, aby pana tu wezwał. Niech więc pan teraz da mi to DVD.

- Jakie DVD?

- Niech pan ze mną nie pogrywa!

Nick cofnął się nieco, słysząc dziką wściekłość w głosie zabójcy. Zaraz jednak wszelkie emocje zniknęły z twarzy mężczyzny, który znów wyglądał jak uosobienie zimnego, niewzruszonego zła.

- Wie pan, o czym mówię, doktorze - powiedział spokojnie. - Ta mała pielęgniareczka wolała umrzeć, niż narazić siostrę na ból, który dla niej przygotowałem. Niech pan nie

popelnia błędu, sądząc, że teraz tego nie powtórzę.

Serce Nicka waliło gwałtownie. Czuł, że podnosi mu się ciśnienie. Na jego czole i na plecach pojawiły się grube krople potu. Zamknął oczy, zmusił tętno do spowolnienia i spróbował zapanować nad emocjami.

Jedyną możliwością dla niego samego i dla Jillian było zyskanie na czasie. Mógł użyć dwóch narzędzi: DVD i gigantycznego ego tego potwora.

Być może było już dla niego za późno, być może było za późno dla Jillian, ale musi zrobić wszystko co możliwe. Najpierw jednak musi opanować zespół stresu pourazowego, który od tak dawna rządził jego życiem. Musi działać inteligentnie, racjonalnie i zdecydowanie.

- Czemu to robisz? - zapytał, szukając jakiegokolwiek punktu zaczepienia. - Kim jesteś?

- Hej, nie spiesz się tak, to ja trzymam broń, więc to ja zadaję pytania. Gdzie jest płytka? W twojej torbie, tutaj? W schowku w samochodzie? Nie każ mi się wiązać i torturować, przyjacielu, bo jeśli będę musiał to zrobić i umrzesz, zajmę się twoją dziewczyną. I „zajmę się” nią we wszystkich możliwych znaczeniach tego słowa. A zatem płytka.

- Powiedz mi tylko, jak udało ci się zabić tych ludzi z sali operacyjnej tak, że nikt się o tym nie dowiedział.

Wyglądało na to, że zabójca zamierza mu odpowiedzieć, zanim jednak zdążył się odezwać, rozległy się pierwsze takty piosenki Back in Black zespołu AC/DC. Mężczyzna wyciągnął telefon komórkowy z futerału przy pasie, ani na sekundę nie obniżając pistoletu i nie spuszczacząc z Nicka pozbawionych duszy oczu. Przez kilka sekund trzymał telefon przy uchu i słuchał.

- Nie, nie dał mi płyty - powiedział. - Sądzę, że zdołam go przekonać. Może to jednak oznaczać więcej bólu, niż będzie w stanie znieść.

Znów słuchał przez chwilę, a potem ruszył w stronę Nicka z pistoletem wymierzonym w jego serce.

Zaśmiał się i podał mu telefon.

- To do ciebie - oświadczył.

ROZDZIAŁ 45

- Kto mówi?! - krzyknął Nick do mikrofonu.

- Pan Koller zamierza cię torturować, aż oddasz nam płytę albo umrzesz - usłyszał

chrapliwy męski głos. - Nie chcę, żebyś umierał. Mam wielki szacunek dla ciebie jako dla człowieka i patrioty, który z poświęceniem służył krajowi.

Głos brzmi znajomo, pomyślał Nick. Mężczyzna mówił bez pośpiechu, w jego głosie słyszeć było władzę.

- Kim jesteś? - zapytał Nick. - I dlaczego każesz zabijać tych ludzi?

- Doktorze Garrity, sądzę, że gdyby był pan na moim miejscu, zrobiłby pan to samo.

Nick próbował wygrzebać ten głos z pamięci.

- To szaleństwo - stwierdził. - Jesteś szalony. To ty byłeś na sali operacyjnej, prawda? To ty zabiłeś Umberta.

- Lepiej by było dla pana, gdybym to ja prowadził rozmowę - odparł mężczyzna. - Proponuję więc, żeby pan słuchał i starał się zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Spojrzenie Nicka napotkało wzrok Kollera. Pistolet nawet nie drgnął, wymierzony był teraz w jego głowę. Zarozumiały uśmiech zabójcy sprawił, że Nick miał ochotę kopnąć go z całej siły z zęby.

Spokojnie, powiedział sobie, jeszcze przyjdzie na to czas, tylko zachowaj spokój.

- Przynajmniej mi powiedz, kim jesteś - zwrócił się do rozmówcy, z trudem odzyskując panowanie nad sobą.

- Wystarczy, żeby pan wiedział, doktorze, że włączył się pan w sprawę najwyższej wagi dla bezpieczeństwa naszego kraju. Zagrożenie, przed którym stoimy, jest bardzo realne, więc powinien pan zachować się jak żołnierz, którym pan jest.

Ramsland.

Nick poczuł, jak wokół jego piersi zaciska się stalowa obręcz. Pokój wokół niego wirował.

Wszystkie media zamieszczały zdjęcie tego człowieka, samego albo z kandydatem na prezydenta Johnem Greenleigh.

Ramsland patriota.

Elementy układanki zaczynały do siebie pasować. Media przedstawiały go jako ideał Amerykanina, a jego obietnica, że ochroni wszystkich obywateli przed terroryzmem, znajdowała szeroki oddźwięk u wyborców.

W co ten człowiek się wplątał?

- Żołnierz i lekarz, którym jestem, nigdy nie odebrałby życia niewinnej osobie. Może by pan tu przyszedł i popatrzył na ludzi, których pan zamordował, panie Ramsland.

W aparacie przez chwilę panowało milczenie.

- Ludzie, którzy umarli, to bohaterowie - powiedział w końcu Ramsland.

- Nie. To ofiary. Pogrzebią pana, Ramsland, tak samo jak pan pogrzebał ich.

Spokojnie.

- To zrozumiała reakcja w tych okolicznościach, ale zanim pan posunie się dalej w swoich groźbach, powinniśmy porozmawiać.

- Mówię poważnie, Ramsland, znajdę cię. A kiedy cię znajdę, będziesz żałował, że nasze drogi się przecięły.

Uspokój się, powiedział sobie znowu. Musisz spróbować zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Nie chciałem, by to się przydarzyło tym ludziom, Nick, ale nie miałem wyboru. Czy sądzisz, że jestem wrogiem pokoju?

Nicka denerwowało, że ten człowiek używa jego imienia.

- Uważam, że jesteś mordercą - odparł.

- Nie, doktorze. Równie dobrze można by powiedzieć, że ludzie z twojej jednostki w Afganistanie byli mordercami. Widzisz, Nick, ja jestem patriotą tak jak oni i ty. Ludzie z tamtej sali operacyjnej i ci, którzy teraz leżą przed tobą to ofiary wojny, tak samo jak wszyscy, których wysadzono w powietrze w twoim szpitalu w Wysuniętej Bazie Operacyjnej Savannah.

Nick zaczynał wyczuwać tego mężczyznę. Niezależnie od tego, czy chodziło o poczucie winy, czy zapał, Lionel Ramsland szukał usprawiedliwienia dla swoich działań. Szukał zrozumienia albo nawet pochwały dla wyborów, których dokonał, i dla zabójstw, które zlecił. A on, odznaczony żołnierz i chirurg oraz przyjaciel kilku ofiar, był człowiekiem, który mógł mu udzielić rozgrzeszenia. Gdyby się zgodził i zaczął współpracować, przekazując DVD, niewykluczone, że otrzyki małby propozycję objęcia jakiegoś stanowiska w najbliższym kręgu Ramslanda. Jeśli odmówi, będzie musiał zginąć.

- Wcale nie jesteśmy do siebie podobni - zaprotestował.

Odwrócił się plecami do Kollera, który nadal blokował jedyne wyjście z biura. Przyciskając mocno telefon do ucha, dał krok w głąb pokoju, próbując nie patrzeć na bezwładne ciało Noreen po lewej i Saula Mollendera po prawej. Wszystko w nim trzęsło się z wściekłości, gdy pomyślał, jakie były ich ostatnie chwile.

Patriota, też coś.

- Mylisz się, Nick - mówił Ramsland. - Ty i ja jesteśmy znacznie bardziej do siebie podobni, niż sądzisz.

Nick znajdował się teraz dwa i pół metra od stołu warsztatowego Noreen. Na stole w wiaderku stał imponujący zestaw narzędzi. Kilka innych narzędzi tkwiło w ciężkim pasie

roboczym. Nie chcąc przyciągać do tego miejsca spojrzenia Kollera, Nick szybko odwrócił wzrok w innym kierunku.

Może mam szansę, pomyślał, gdy w jego głowie zaczął rysować się plan.

Wiedział jednak, że będzie to jego jedyna szansa. Musi grać na zwłokę i powoli przygotowywać się do ostatecznego, rozstrzygającego ruchu.

- Czyżby? - powiedział. - Ty i twój przyjaciel zabijacie ludzi, a ja ich ratuję. Gdzie tu podobieństwo?

Przechadzał się teraz przed stołem warsztatowym, mając nadzieję, że nie wygląda to podejrzanie. Kollerowi niewątpliwie niewiele umykało, musiał więc bardzo uważać. W jego żyłach krążyło mnóstwo adrenaliny, utrzymując go w stanie podwyższonej świadomości, co często mu się zdarzało przy selekcji pacjentów albo operacji.

- I ty, i ja jesteśmy żołnierzami, Nick. Taki facet jak ty mógłby się nieźle wzbogacić na praktyce prywatnej. Ale nie, ty poświęciłeś swoje potencjalne zarobki dla czegoś znacznie ważniejszego... dla swojego kraju.

- Zrobiłem to, co uważałem za słuszne.

- Właśnie o tym mówię. Poszukiwania zaginionego kumpla z wojska są wpisane w DNA żołnierza. Nigdy nie zostawiać nikogo z tyłu. Mam rację?

- Chyba tak.

- To się nazywa lojalność.

- Mów dalej.

- Chciałbym powiedzieć, Nick, że masz okazję pomóc swojemu krajowi w bardzo szczególny sposób. Niewielu Amerykanów ma taką możliwość. Możesz wpłynąć na bieg spraw.

- Jak? Mordując?

- Nie, ratując życie.

- Coś ci się pomyliło. Nie widzę, żeby ktoś tu ratował czyjeś życie.

- Sądzisz, że wiesz, co się dzieje, ale nie masz najmniejszego pojęcia, o co w tym naprawdę chodzi.

- Tak? Więc może mnie oświecisz - powiedział Nick.

Zerknął na Kollera. Jak wielki czarny kot, zabójca stał niewiele ponad metr od niego, gotów do natychmiastowego ataku.

Jeszcze nie pora, pomyślał Nick, ale już niedługo. Na razie trzeba przeciągać sprawę.

- Nie chcieliśmy, żeby to się tak potoczyło - mówił Ramsland. - Muhammad chciał się wycofać, był już zmęczony. Na jego głowę nałożono cenę. Jeden z jego synów zginął, gdy

ktoś próbował zgarnąć te pieniądze. Chcieliśmy, żeby Muhammad przekazał nam informacje, które mogły uratować życie wielu Amerykanów. I tak się stało. Sears Tower w Chicago, ambasada amerykańska w Paryżu, Grand Central Station w porze największego ruchu, tysiące uratowanych Amerykanów. Tysiące niewinnych cywilów, kobiet i dzieci, które mogły zostać rozerwane na kawałki.

- Nigdy nie słyszałem o atakach na te miejsca - powiedział Nick.

- Nie słyszałeś, bo nigdy do nich nie doszło. Dzięki informacjom, które wyciągnęliśmy od Muhammada.

- Nie wyciągaliście od niego informacji, Ramsland. Dał wam je. Nie złapaliście go, jak podano w wiadomościach, tylko się poddał. Przekazał wam te informacje w zamian za życie mojego przyjaciela. Dogadaliście się z nim. Publiczna, nagłośniona śmierć. Najdoskonalsze zniknięcie, jakie można sobie wyobrazić.

- Wiesz tak samo dobrze jak ja, że Stany Zjednoczone nie prowadzą negocjacji z terrorystami. Łapiemy ich i wyciągamy od nich, co się da, przestrzegając wszystkich postanowień konwencji genewskiej, chroniących takie potwory jak on.

- To bzdura, Ramsland. Nie grasz według żadnych reguł oprócz swoich własnych. To był handel, zwykły handel. Jeśli chcesz, żebym stanął po twojej stronie, przynajmniej mów prawdę. To najlepszy punkt wyjścia.

Znów zerknął ostrożnie w stronę Kollera. Zabójca wyglądał, jakby ta rozmowa go bawiła, mimo że słyszał tylko jej połowę. Pistolet nie był już wymierzony w środek piersi Nicka.

Dobrze. Teraz tylko na ułamek sekundy przestań się pilnować, jedynie tego potrzebuję.

-

- Zasady to coś, co uniemożliwia takim ludziom jak ja rzeczywiste wpływanie na losy świata. Wszyscy jesteśmy chodzącymi sprzecznościami, Nick. W Afganistanie łatałeś żołnierzy, żebyśmy znów mogli wysłać ich do walki. Nie torturujemy więźniów, tylko wykorzystujemy wszystkie dostępne środki, by podali nam ważne dla kraju informacje. Jeśli obiecacie im czegoś, czego pragną pomoże uzyskać te informacje szybciej, warto taką możliwość rozważyć, nie sądzisz?

- Być może.

- Myślisz, że lubimy handlować takimi żołnierzami jak twój przyjaciel Umberto? Oczywiście, że nie, ale obowiązek patriotyczny każe nam działać. Robimy to, by ratować życie. Tak samo Truman wymienił życie jednych ludzi na życie innych, wysyłając Enola Gay.

Taka jest natura wojny, Nick, i wiesz to równie dobrze jak ja.

- Zaczynam rozumieć.

- Miałem taką nadzieję. Bardzo cierpiałeś dla sprawy.

Nick „nadal cały trząśł się w środku. Palił go żołądek, ale ponieważ Koller mu się przyglądał, wciąż trzymając pistolet, starał się zachować spokojny wyraz twarzy.

Chodził tam i z powrotem przed stołem warsztatowym, od czasu do czasu zmuszając się, by zerknąć na ciała Mollendera i Noreen, bo teraz wykorzystywał te emocje do umacniania swojego postanowienia.

Już niedługo, pomyślał.

- Więc czego ode mnie chcesz?

- Chcę, żebyś z nami współpracował. Daj DVD mojemu wysłannikowi, zapomnij o Umbercie, zapomnij o swoich przyjaciółach, którzy tam leżą i skup się na sobie, Nick. Jak głęboko zaangażowana jest w to pani Coates?

Nick poczuł, że przeszywa go nowa błyskawica gniewu.

- Trzymaj ją od tego z daleka.

- Może tak zrobimy. Może. Wszystko zależy od ciebie. Widzisz, jeśli obiecasz, że coś zrobisz, będę wiedział, że mogę ci ufać. A wiesz dlaczego?

- Nie. Powiedz mi.

- Po prostu wiemy, co ludzie myślą. Wiem, co powiedzą zanim jeszcze to zrobią. Wiem, kiedy wyłamują się z mojego programu. Mógłbyś spytać o to swojego przyjaciela, Phillipa MacCandlissa...

- MacCandlissa? A co on ma z tym wspólnego?

- Teraz już nic. Widzisz, wystąpił przeciw swemu krajowi. Wtedy poprosiliśmy pana Kollera, by złożył mu wizytę.

- Jesteś chory, naprawdę chory.

- Nie żałuj MacCandlissa, Nick. Możesz mu podziękować, bo to on znalazł dla nas Umberta. To prawda, twój przyjaciel doskonale nadawał się do naszych celów. Wiedziałem jednak także, jak bardzo MacCandliss cię nienawidzi. Nie potrafił sam sobie z tobą poradzić, więc wykorzystał do tego Umberta, dostarczając go nam.

Nick ścisnął telefon, żałując, że nie ma dość siły, by go zgnieść. Zamknął oczy i zaczął liczyć, próbując spowolnić tętno. Odwracając się tyłem do Kollera, oparł się o stół warsztatowy. Aby jego plan się powiódł, musiał skłonić zabójcę do podejścia jeszcze bliżej. Trzymał ręce poza zasięgiem wzroku mordercy, mając nadzieję, że skłoni go to do przejścia w inne miejsce - takie, z którego miałby lepszy widok. Najwyraźniej podziałało, bo Koller

zmienił pozycję, a potem przeszedł przez pokój i ruszył w stronę stołu.

- Nie wierzę, żeby MacCandliss miał coś wspólnego ze śmiercią Umberta - powiedział Nick.

- To już nie ma znaczenia - odparł Ramsland. - Wierz sobie, w co chcesz. Obaj nie żyją. Ty jednak wciąż masz wybór. Oddaj nam DVD i złoż przysięgę, że zachowasz się jak patriota, a my się zastanowimy, czy nie pozwolić ci spokojnie żyć dalej. Tobie i pani Coates.

- Przez patriotyzm rozumiesz milczenie?

- Nazwij to, jak chcesz. Jesteśmy żołnierzami, ty i ja. Uznałem, że jestem ci winien szansę.

Koller znalazł się w najlepszym możliwym miejscu, bezpośrednio po prawej stronie Nicka. Ramsland osiągnął to, czego chciał, przez sam fakt, że Nick rozważał przyłączenie się do niego. Nie był już potrzebny, więc na pewno nie pozwoli mu żyć.

Teraz. Trzeba to zrobić teraz, pomyślał.

Kolejna fala adrenaliny wyostrzyła mu zmysły. Przenikliwy miedziany odór krwi, przedtem niezbyt silny, teraz stał się dominujący. Celem mogła być lewa, pusta dłoń Kollera.

Nie wolno ci spanikować, powiedział sobie Nick, wspominając wszystkie godziny spędzone w sali operacyjnej. Panika niesie śmierć.

Powtarzał to sobie w głowie jak mantrę, modląc się jednocześnie, by Koller nie zauważył, że przysuwa się do wiaderka z narzędziami.

Ramsland wciąż mówił, ale Nick odłożył telefon na środek stołu. Serce waliło mu jak młotem. Być może za chwilę zginie.

- Twój mocodawca chce z tobą rozmawiać - powiedział.

Koller nie opuścił broni, ale kiedy jego lewa ręka wysunęła się po telefon, na ułamek sekundy odwrócił wzrok od Nicka.

- Nie wierzę, żeby MacCandliss miał coś wspólnego ze śmiercią Umberta - powiedział Nick.

- To już nie ma znaczenia - odparł Ramsland. - Wierz sobie, w co chcesz. Obaj nie żyją. Ty jednak wciąż masz wybór. Oddaj nam DVD i złoż przysięgę, że zachowasz się jak patriota, a my się zastanowimy, czy nie pozwolić ci spokojnie żyć dalej. Tobie i pani Coates.

- Przez patriotyzm rozumiesz milczenie?

- Nazwij to, jak chcesz. Jesteśmy żołnierzami, ty i ja. Uznałem, że jestem ci winien szansę.

Koller znalazł się w najlepszym możliwym miejscu, bezpośrednio po prawej stronie Nicka. Ramsland osiągnął to, czego chciał, przez sam fakt, że Nick rozważał przyłączenie się

do niego. Nie był już potrzebny, więc na pewno nie pozwolą mu żyć.

Teraz. Trzeba to zrobić teraz, pomyślał.

Kolejna fala adrenaliny wyostrzyła mu zmysły. Przenikliwy miedziany odór krwi, przedtem niezbyt silny, teraz stał się dominujący. Celem mogła być lewa, pusta dłoń Kollera.

Nie wolno ci spanikować, powiedział sobie Nick, wspominając wszystkie godziny spędzone w sali operacyjnej. Panika niesie śmierć.

Powtarzał to sobie w głowie jak mantrę, modląc się jednocześnie, by Koller nie zauważył, że przysuwa się do wiaderka z narzędziami.

Ramsland wciąż mówił, ale Nick odłożył telefon na środek stołu. Serce waliło mu jak młotem. Być może za chwilę zginie.

- Twój mocodawca chce z tobą rozmawiać - powiedział.

Koller nie opuścił broni, ale kiedy jego lewa ręka wysunęła się po telefon, na ułamek sekundy odwrócił wzrok od Nicka.

To wystarczyło. Z wiaderka wystawała pomarańczowa rączka pistoletu do wstrzeliwania gwoździ. Był to model bezprzewodowy, a nie typ z kompresorem, jakiego używał Nick, gdy miał kilkanaście lat i pomagał ojcu stawiać niewielką dobudówkę.

Magazynek na pistolecie Paslode tak zaprojektowano, by jego zawartość była dobrze widoczna. Dekarze i cieśle muszą wiedzieć, ile gwoździ im jeszcze pozostało. Nick już przedtem zauważył, że w magazynku są trzycalowe gwoździe. Jeśli bateria jest naładowana, może mu się udać. Jeśli nie, miał nadzieję, że wszystko szybko się skończy.

Koller opuścił nieco rękę z pistoletem, szukając wzrokiem telefonu. W tym samym momencie Nick chwycił pistolet na gwoździe. Zabójca dostrzegł jego ruch i odwrócił głowę. Nick wyszarpnął pistolet na gwoździe z kabury i jednym płynnym ruchem wbił jego lufę w grzbiet dłoni Kollera.

Rozległ się ostry trzask, a potem trysnęła krew. Nick usłyszał pęknięcie kości, gdy gwóźdź przebijał się przez skórę i kości śródrečna, nerwy i mięśnie, a potem znów przez skórę. Gwóźdź przeszedł przez dłoń i wbił się w blat stołu, unieruchamiając rękę zabójcy.

W dzikim wrzasku Kollera było więcej zaskoczenia i wściekłości niż bólu. Nick rzucił się na podłogę, trzymając oburącz pistolet na gwoździe. Wycelował go w but zabójcy i wbił stalowy gwóźdź w jego stopę. Wrzask Kollera rozniósł się echem po całym biurze.

Muszę natychmiast uciekać, powiedział sobie Nick.

Kollerowi udało się jakoś uwolnić rękę. Natychmiast odwrócił się i zaczął strzelać. Kiedy kula trafiła Nicka w prawe ramię, wydawało mu się, że dotknął gorącego pieca. Drugi strzał był na szczęście niecelny.

Biegając zygzakiem, skierował się w stronę okna. Zastanawiał się przedtem nad schodami, ale były za nim, a odwrócenie się kosztowałoby go kilka cennych sekund.

Zamknął oczy i rzucił się na brezent zasłaniający wlot rury prowadzącej w dół do pojemnika. Prawie nie czuł bólu w ramieniu. Brezent zerwał się i Nick znalazł się w ciemności, zsuwając się głową w dół środkiem zainstalowanej przez Noreen rury.

Podróż w dół nie była bezpieczna. Twarda guma beczek uderzała go w twarz i pierś, gdy pędził ku kręgowi wieczornego światła na dole. W pojemniku było pełno desek z drzazgami, potłuczonego szkła, kawałków metalu i gwoździ.

Oslaniając twarz, Nick wyleciał głową naprzód z końca rury i spadł na groźne śmieci. Uderzył w materiał izolacyjny z różowej wełny szklanej i znajdujące się w nim kawałeczki szkła wbiły mu się w skórę. Kiedy przetoczył się w prawo, kawałek zardzewiałego metalu przeciął mu skórę tuż nad jedną brwią i do oka zaczęła spływać krew.

Ból i wstrząs, jaki przeżył w biurze Noreen Siliski, zmałyły mu myśli i wzrok. Gdy w końcu wymacał brzeg pojemnika i zaczął się podciągać, jakiś gwóźdź przebił podeszwę jego buta i wszedł w stopę. Krzyknął z bólu, ale się nie zatrzymał, by obejrzeć zranioną nogę.

Ciężko upadł na asfalt parkingu i przetoczył się, jednocześnie usiłując otrzeć krew, która wpływała mu do oka. Zamykając powiekę, podniósł wzrok i zobaczył Kollera odrywającego resztę zasłaniającego okno brezentu. Było zbyt ciemno, by dostrzec, czy gwóźdź, który przebił jego rękę, nadal w niej tkwi. Ale po chwili zabójca z dumą wojownika uniósł dłoń, pokazując ją Nickowi.

- Źle to dla pana wygląda, doktorku! - krzyknął. - Naprawdę źle.

Boże, on się uśmiecha, uświadomił sobie Nick.

Koller uniósł pistolet i Nick rzucił się biegiem, kierując się w stronę lasu. Dwa strzały trafiły w asfalt jakiś metr od niego. Krew nadal uniemożliwiała mu wyraźne widzenie. Kiedy dopadł linii drzew, wiedział, że choć wciąż żyje, wcale nie jest bezpieczny.

Koller na pewno za nim podąży.

ROZDZIAŁ 46

Zataczając się i utykając, pokonał parking. Kontakt zranionej stopy z asfaltem sprawiał, że ból przeszywał całą nogę. Ramię płonęło. Dolegało mu także wiele drobniejszych zranień, a krew wciąż spływała do oka. Dotarcie do linii lasu zajęło Nickowi niemal minutę. Kiedy zaczął się szarpać ze ścianą młodych drzewek i gęstych krzewów rosnących na obrzeżu, stracił równowagę i upadł twarzą na zmoczoną deszczem ziemię. Wilgotne liście

zaczerwieniły się od krwi.

Oderwał od koszuli pas materiału i obwiązał nim głowę, jednak krew wciąż spływała do oka. Zaryzykował zerknięcie przez ramię, ale w deszczu i zapadającym zmroku nic nie widział.

Odbił w lewo i próbował się zorientować, gdzie jest droga. Biuro Noreen znajdowało się w budynku w pewnym oddaleniu od innych zabudowań, jakby deweloper po jego zbudowaniu zrezygnował ze stawiania kolejnych biurowców. Nick wyczuwał jednak, że kieruje się nie ku autostradzie, tylko w głąb lasu.

Przez chwilę się zastanawiał, czy nie powinien znaleźć szosy, odrzucił jednak ten pomysł. Po kolejnych dziesięciu czy dwunastu metrach zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Wciąż padał deszcz, a on sam dyszał ciężko, więc trudno mu było wychwycić inne odgłosy. Wstrzymał oddech i zaryzykował obejrzenie się. Po kilku sekundach usłyszał cichy szelest. Koller przeciął już parking i nieubłaganie podążał w jego kierunku.

Ukryć się czy uciekać?

Wydawało mu się, że mimo ciemności dostrzega między drzewami sylwetkę mężczyzny. Rozejrzał się wokół, usiłując zorientować się, gdzie jest. Nie miał gdzie się schować.

Ciemność była jego sprzymierzeńcem, a rany wrogiem. Ale Koller także był ranny.

Doczołgał się do miejsca, gdzie rosły wyższe i gęstsze drzewa. Dopiero tam się podniósł. Jego jedyną szansą była ucieczka w głąb coraz ciemniejszego lasu. Jego prześladowca się zbliżał.

Ignorując palący ból rany postrzałowej i narażając przedramiona na podrapanie, Nick zasłonił twarz i ruszył naprzód przez splątane gałęzie. Poszycie lasu było tu nierówne. Gnijące liście ukrywały dziury, które groziły złamaniem nogi. Kiedy szedł w stronę niewielkiej polany, ziemia niespodziewanie się zapadła. Nie zauważył kamienia tkwiącego w ściółce leśnej, potknął się, przewrócił i potoczył w dół stromego zbocza. Wylądował ciężko na plecach pośrodku powoli płynącego strumienia, uderzając czołem w wystającą z wody skałę.

Woda natychmiast przemoczyła mu koszulę i dzinsy; kiedy wstawał, mokre ubranie bardzo mu to utrudniało. Przez chwilę nasłuchiwał i znowu usłyszał gałęzie łamiące się gdzieś w górze.

Cholera.

Robiło się coraz ciemniej. Ciężki oddech ranił Nicka w płuca, w prawym boku go kłuło.

Przemoczony, ruszył z biegiem strumienia, który był teraz znacznie szerszy i przecinał las w kierunku wschódzachód. Choć bardzo uważał, gliniasty brzeg dwukrotnie się załamał i Nick wpadł do wody. Mimo że przez cały czas się ruszał, szybko zaczął marznąć. Teraz jednak, kiedy się zatrzymał, nie słyszał nic poza deszczem.

Czyżby zgubił swojego prześladowcę?

Sześć metrów, dziesięć, trzynaście. Nie zwracając uwagi na ból, Nick cały czas szedł.

Nagle z tyłu po prawej usłyszał huk wystrzału i świst przecinającej powietrze kuli. Niemal w tym samym momencie złamało się drzewko po jego prawej ręce. Okręcił się i w odległości jakichś stu metrów dostrzegł sylwetkę Kollera. Zabójca przechodził właśnie nad zwalonym pniem. Biorąc pod uwagę odległość, strzał był bardzo celny. Nick ruszył szybciej przed siebie.

Tuż obok niego brzęknął kolejny strzał. Kula wbiła się w drzewo zaledwie kilkanaście centymetrów nad jego głową. Uświadomił sobie, że mimo gęstniejącej ciemności nie uda mu się ukryć przed mordercą. Musi jakoś wydostać się z lasu, dotrzeć do ludzkich siedzib i wezwać pomoc. Wydawało mu się, że najlepiej będzie podążać z biegiem strumienia.

Deszcz uderzał go w twarz, zmywając błoto i krew. Zraniona noga bolała przy każdym kroku, wysyłając gorące igły w górę łydki.

- Daj mi to, czego chcę, a obiecuję, że twojej damie nic się stanie! - zawołał Koller.

Wydawało się, że jego słowa dochodzą ze wszystkich stron. Nick parł przed siebie, nie zatrzymując się. Bez wahania poświęciłby swoje życie za Jillian, ale jeśli Koller ją uwięził, to jego obietnica była blefem. Ramsland nie mógł sobie pozwolić na pozostawienie kogokolwiek przy życiu. Zbyt wiele krwi miał na rękach, by ryzykować. Być może wierzył w słuszność tego, co robił, ale wyborcy na pewno mu nie wybaczą morderstw.

Nie zwalniając kroku, Nick pokonał dalsze kilkaset metrów. Wpatrywał się w ziemię przed sobą, starając się omijać zdradzieckie kamienie i grube korzenie. Był zadowolony, że nie zszedł na sam dół, bo w lesie właśnie znikwały ostatnie iskierki światła. Obejrzał się kilkakrotnie, nie dostrzegł jednak Kollera i zaczął mieć nadzieję, że jakoś go zgubił.

Las wyglądał teraz inaczej. Było tu mniej drzew, a więcej krzewów - jakby las się kończył. Potem skończyły się także krzewy. Kiedy Nick uniósł głowę, zobaczył, że strumień przed nim znika. Opadł na kolana i powoli posuwał się naprzód, wbijając wzrok w ciemność. Po chwili dotarł do wodospadu. Jakieś kilkanaście, może dwadzieścia parę metrów w dół - trudno było to ocenić. Wąwóz utworzony przez rzekę za wodospadem przecinał las na dwie części. Miał szerokość co najmniej trzydziestu metrów i był bardzo długi.

Choć głośny szum pędzącej wody odbijał się echem od wysokich zboczy, Nick

usłyszał za plecami chrzęst suchych gałęzi i liści.

Jak to możliwe, że mu się nie udało?

Podejście do brzegu wąwozu po którejkolwiek stronie

◆ # wystawiłoby go na widok, bo nie było tu gdzie się ukryć. Pozostawało jedynie zejście przy samym wodospadzie. Było to możliwe, lecz bardzo trudne.

Nick już wiele lat temu zamienił uzależnienie od adrenaliny na terapię EMDR, ale kiedyś był znakomitym alpinistą. Znał wszystkie węzły przydatne w różnych sytuacjach wspinaczkowych. Zjeżdżanie na linie przy skalnej ścianie należało do jego ulubionych ćwiczeń. Jeszcze w wojsku często schodził ze skał przy użyciu liny i zawsze doskonale sobie radził. Jednak zejście bez liny to coś zupełnie innego, zwłaszcza w deszczu.

Nie było tu niczego, co umożliwiłoby mu szybkie zsuniecie się w dół. Kiedyś próbował wspinaczki skałkowej, ale wciąż był jedynie nowicjuszem w tej technice. Ponieważ jednak Koller coraz bardziej się zbliżał, nie miał wyboru.

- Potrzeba jest matką szaleństwa - mruknął do siebie.

Leżąc płasko na brzuchu, przesunął się powoli przez krawędź skały. Kilkanaście metrów niżej zobaczył niewielką skalną półkę. Jeśli uda mu się na nią zejść i ukryć pod spodem, zanim Koller go zauważy, istniała szansa, że będzie mógł tam poczekać, aż Koller zrezygnuje z pościgu.

Znowu usłyszał szelest za sobą.

Nie miał wyboru.

Będzie musiał wymacywać sobie drogę i szukać uchwytów w trakcie schodzenia.

Odwrócił się tyłem do wąwozu, opuścił nogi i przesunął resztę ciała nad krawędzią. Półtora metra niżej znalazł pierwszy uchwyt. Porośnięta mchem i mokra od deszczu skała była śliska i zdradliwa. Nie było tu miejsc, w których dałoby się mocno oprzeć nogę, nie było uchwytów, którym można by całkowicie zawierzyć. Przesunął ręce po skale, szukając luźnych kamieni, aż w końcu znalazł coś, co wydawało się solidnym uchwytem. Jego lewa noga drżała, być może z napięcia, bo opierał się na palcach, ale także z wyczerpania.

Pierwsze sześć metrów w dół pokonał dość łatwo, choć było już bardzo ciemno. Powoli zbliżał się do półki, ignorując ból w prawym ramieniu. Z całych sił skupiał się na celu.

Idź dalej... Spokojnie... Spokojnie...

Nagle usłyszał nad sobą głos Kollera:

- Hej tam, doktorze! Czy pan nie wie, jak niebezpieczne jest schodzenie ze skały nocą bez liny?

Zabójca był jedynie czarną plamą, ale Nickowi wydawało się, że dostrzega biel jego

wyszczierzonych w uśmiechu zębów. Przyspieszył, centymetr za centymetrem przesuwając się w dół.

- Bardzo mi pan ułatwia zadanie, doktorze. To w gruncie rzeczy wspaniała inscenizacja. Niech pan uważa na spadające okruchy, mogą być niebezpieczne.

Niewielki kamień odbił się od skał zaledwie jakieś pół metra od twarzy Nicka. Wiedział, że było to celowe.

- A co z DVD? - krzyknął w górę. - Nie masz mojej kopii.

- Cóż, twoja śmierć trochę mi utrudni jej znalezienie, wiem jednak, że jest gdzieś niedaleko ciał twoich przyjaciół. Szkoda tylko, że nie będę mógł wysłać ci rachunków od lekarza za rękę i stopę, które przebiłeś mi tym cholernym pistoletem do gwoździ.

- Mam nadzieję, że cię bolą - odparł Nick.

Jego prawa stopa bezskutecznie szukała podpory. Zaczęły go palić czubki palców. Koller zrzucił kolejny kamień, tym razem nie więcej niż trzydzieści centymetrów od niego. Półka skalna znajdowała się za daleko, by Nick mógł do niej dotrzeć i schronić się pod nią. Po chwili spadł kolejny kamień. I jeszcze jeden. Ten ostatni trafił go w lewe ramię.

- Kiedy już spadniesz na dół i będziesz jeszcze żył, zejść do ciebie i postaram się, żebyś umierał bardzo powoli. Co, nie masz się gdzie schować?

Kolejny kamień o średnicy kilkunastu centymetrów rozbił się tuż nad dłonią Nicka, obsypując go drobnymi okruchami i pyłem. Kilkanaście metrów pod nim kłębiła się rzeka. Zerknął w dół, zastanawiając się nad jej głębokością. Nawet jeśli ma więcej niż metr osiemdziesiąt, upadek z tej wysokości może okazać się śmiertelny. Złamanie nogi oznaczało to samo.

Nie miał jednak wyboru.

Gdzie popełniłem błąd? - zastanawiał się. Co mogłem zrobić inaczej?

Następny zrzuty przez Kollera kamień trafił go w ramię. Zaskoczony, stracił podporę pod nogą i przez kilka sekund wisiał nad rzeką jedynie na palcach lewej ręki, kołysząc się jak drzwi na zawiasach. Zacisnął zęby, poprawił chwyt i czekał, aż wahadłowy ruch przybliży go do skalnej ściany.

Jeśli tu zostanie, zginie. Musiał skoczyć.

- Wiesz co, doktorze? - odezwał się Koller. - Przelecę twoją dziewczynę, zanim ją zabiję.

W tym samym momencie Nick znalazł dobre uchwyty dla dłoni w długich szczelinach skalnych, a jego stopa oparła się na mocnej podporze. Nie było czasu na zastanawianie się. Bez względu na wszystko musiał skoczyć. Przycisnął ciało do skały, czując na skórze chłodną

wilgoć, a potem z całą siłą na jaką było go jeszcze stać, odepchnął się od skały i poleciał w dół.

Spadając, machał rękami i nogami.

Proszę, Boże... proszę.

Uderzenie w wodę wycisnęło mu powietrze z płuc. Prąd natychmiast wciągnął go pod powierzchnię, przyciskając do skał i piasku na dnie, a potem wypuł go z powrotem. Nick zachłysnął się i zakaszłał.

Kula trafiła w wodę zaledwie kilkanaście centymetrów od miejsca, gdzie się znajdował. Natychmiast rozległ się kolejny strzał, tym razem jednak Nick go nie słyszał. Choć szaleńczo machał rękami, prąd znów pociągnął go na dno. Jego płuca płonęły. Nie miał już sił i zaczął wpadać w panikę. Rozpaczliwie potrzebował powietrza. Kiedy w końcu udało mu się wypłynąć na powierzchnię, wykaszłał wodę, która dostała mu się do płuc. Machał ramionami jak wiatrak, rozpaczliwie szukając czegoś, co przytrzymałoby go na powierzchni. Za każdym razem, gdy zanurzał się pod wodę, miał wrażenie, że już nie wypłynie. W końcu woda przestała się kłębić i popłynęła wolniej. Nick unosił się na powierzchni, całkowicie wyczerpany.

Nie poddawaj się, Garrity... zachowaj przytomność...

Po chwili ogarnęła go ciemność. o o ®

Nie miał pojęcia, jak długo był nieprzytomny. Płynął na plecach i wciąż żył. Jakaś wystająca z wody gałąź złapała go za koszulę i być może to właśnie go uratowało. Było mu okropnie zimno, nie potrafił powstrzymać dreszczy. Pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszał przez szum wody, był głos wołającego go Kollera. Morderca znajdował się gdzieś w górze strumienia, ale szedł w jego stronę.



Spadając, machał rękami i nogami.

Proszę, Boże... proszę.

Uderzenie w wodę wycisnęło mu powietrze z płuc. Prąd natychmiast wciągnął go pod powierzchnię, przyciskając do skał i piasku na dnie, a potem wypuł go z powrotem. Nick zachłysnął się i zakaszłał.

Kula trafiła w wodę zaledwie kilkanaście centymetrów od miejsca, gdzie się znajdował. Natychmiast rozległ się kolejny strzał, tym razem jednak Nick go nie słyszał. Choć szaleńczo machał rękami, prąd znów pociągnął go na dno. Jego płuca płonęły. Nie miał już sił i zaczął wpadać w panikę. Rozpaczliwie potrzebował powietrza. Kiedy w końcu udało mu się wypłynąć na powierzchnię, wykaszłał wodę, która dostała mu się do płuc. Machał

ramionami jak wiatrak, rozpaczliwie szukając czegoś, co przytrzymałoby go na powierzchni. Za każdym razem, gdy zanurzał się pod wodę, miał wrażenie, że już nie wypłynie. W końcu woda przestała się kłębić i popłynęła wolniej. Nick unosił się na powierzchni, całkowicie wyczerpany.

Nie poddawaj się, Garrity... zachowaj przytomność...

Po chwili ogarnęła go ciemność.

© ® e

Nie miał pojęcia, jak długo był nieprzytomny. Płynął na plecach i wciąż żył. Jakaś wystająca z wody gałąź złapała go za koszulę i być może to właśnie go uratowało. Było mu okropnie zimno, nie potrafił powstrzymać dreszczy. Pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszał przez szum wody, był głos wołającego go Kollera. Morderca znajdował się gdzieś w górze strumienia, ale szedł w jego stronę.

Wkrótce go znajdzie.

- Wiem, że tam jesteś. Mam nadzieję, że cierpisz. Mam nadzieję, że znajdę cię żywego. Jesteś mi coś winien. Jesteś mi coś winien za dziury w dłoni i w stopie. I za to, że jest mi zimno. Lepiej nie bądź martwy.

Nick uwolnił się od gałęzi i zanurzył w lodowatej wodzie aż po oczy. Rzeka miała w tym miejscu jedynie pół metra czy siedemdziesiąt centymetrów głębokości.

Mimo zimna nie wychodząc z wody, ruszył w dół rzeki. Deszcz przestał padać. Tu i tam przez chmury przebijało światło księżyca. Dziesięć czy dwanaście metrów dalej widać było korzenie wielkiego przewróconego drzewa. Nick skierował się w jego stronę i zobaczył, że pień drzewa jest pusty w środku. Z trudem wczołgał się przez mały otwór. Ledwo jego stopy zniknęły w obrosniętym mchem pniu, usłyszał przechodzącego obok Kollera.

- Znajdę cię, doktorze, i będziesz musiał się przyglądać, co robię z twoją ładną dziewczyną słyszysz? Zmuszę cię, żebyś się temu przyglądał.

Nick oddychał przez wygniłą w pniu dziurę. Mógłby się długo ukrywać w tym pniu, ale czuł, że zaczyna mu grozić hipotermia. Zamknął oczy, słuchał i czekał.

Trzydzieści minut to prawdopodobnie za długo, by przeżyć w tym zimnie. Co najmniej od dziesięciu minut nie było już śladu po Kollerze. Nick trząsł się cały. Musiał się ruszyć, zanim jego ciało całkowicie się wyłączy. Odczekał jeszcze pięć minut, a potem wysunął się przez drugi koniec pnia. Spływał z prądem, modląc się, by Koller zrezygnował z poszukiwań. Nurt był tu znacznie wolniejszy. Po kolejnych dziesięciu minutach, półprzytomny, dostrzegł światła przejeżdżających pojazdów.

Wyczołganie się w ich kierunku wymagało wszystkich resztek jego woli i niemal

nieistniejących już sił.

Machając ramionami, czekał na poboczu i patrzył z przerażeniem na mijające go samochody.

Dlaczego nikt się nie zatrzymuje?

Głośno szczekał zębami.

Proszę, niech ktoś się zatrzyma, potrzebuję pomocy!

Bolały go wszystkie mięśnie, nie miał już sił stać. Nagle nadjeżdżająca furgonetka marki Ford zwolniła, a potem zatrzymała się tuż przed nim. Czując niespodziewany przyływ adrenaliny, Nick podniósł się i podbiegł. Stary mężczyzna siedzący za kierownicą zmierzył go wzrokiem.

- Nic ci nie jest, synu? - spytał.

- Gdyby pan miał koc i mógł mnie podrzucić... - powiedział Nick, szczękając zębami.

- Ale przede wszystkim potrzebny mi telefon. To pilne.

Mężczyzna zastanowił się nad tą prośbą a potem rzucił Nickowi wyciągnięty zza siedzenia koc i podał telefon komórkowy.

Jillian prawdopodobnie była przetrzymywana gdzieś przez Kollera, mógł jednak zadzwonić do Junie. Drżącymi palcami z trudem wybrał jej numer. Po trzecim dzwonku z wdzięcznością usłyszał, że ktoś odbiera telefon.

- Dzięki Bogu, że jesteś - powiedział, nie czekając nawet, aż się odezwie. - Junie, mamy problem.

- To prawda - odezwał się w telefonie głos Kollera. - I to duży.

ROZDZIAŁ 47

- Niech cię diabli, Koller, jeśli zrobiłeś coś Junie, to przysięgam...

- Zamknij się, doktorze. Nie jestem nawet w pobliżu tej kobiety, ale oczywiście telefony na jej komórkę są przekazywane do mnie. Wiem, gdzie jest, nic jej się nie stało... przynajmniej do tej pory.

- Ambulans ma umówione spotkania w całym Baltimore i Dystrykcie Kolumbii. Jeśli się nie pojawi, policja będzie jej szukać.

- Cały wieczór został odwołany. Doktor Saunders, ta, która miała pracować dzisiaj wieczorem, wie, że wasz ambulans ma problemy techniczne. W gruncie rzeczy sam jej o tym powiedziałeś, a w każdym razie ona tak sądzi. W chwili gdy rozmawiamy, odwiedza kolejne przystanki, by przekazać pacjentom złe wiadomości.

- To jeszcze nie koniec, Koller. Zdecydowanie nie koniec.

Nick nie wiedział już, czy trzęsie się z zimna, czy z wściekłości. Stary mężczyzna, ubrany w spłowiałe dżinsy i zapinaną na guziki kowbojską koszulę, cierpliwie czekał za kierownicą furgonetki, nie spuszczać z oka swojego telefonu komórkowego i Nicka.

- Chyba nawet bym chciał, żeby to była prawda - odparł Koller.

- I jest.

- Nie, wszystko już się skończyło, doktorze, a ty przegrałeś, tylko jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy. Ale muszę przyznać, że zrobiłeś na mnie wrażenie.

- I zraniłem cię. Dotkliwie. I zamierzam zrobić to jeszcze raz. Następnym razem walnę cię młotkiem w zęby. Mam też do wyrównania rachunki z Ramslandem.

- Lepiej nie wymieniaj żadnych nazwisk, Nicky, bo ten, czyjego telefonu używasz, nie będzie zbyt szczęśliwy, że ci pomógł.

- To sprawa między tobą a mną, Koller.

- Jasne, że między tobą a mną. Czy wiesz, ile kontraktów miałem w swojej dotychczasowej karierze?

- Wiem, co zrobiłeś Saulowi i Noreen, a także Belle Coates.

- Odpowiedź brzmi: straciłem już rachubę. Wystarczy jednak powiedzieć, że jest to imponująca liczba. A czy wiesz, ile z tych obiektów zdołało mnie zranić?

- Taki potwór jak ty nie ma uczuć.

- Myli się pan, doktorze. Mam bardzo wiele uczuć. Można by pomyśleć, że skoro aż tyloma osobami się zajmowałem, przynajmniej kilkoro z nich zostawiłoby po sobie jakieś zadrapanie czy dwa. Ale nic z tych rzeczy. Jak się okazuje, ty pierwszy... jak by to powiedzieć... pierwszy przygwoździłeś Franza. I za to mogę cię pochwalić.

- Gdzie jest Junie? Czy Jillian też uwięziłeś? Powiedz mi, ty bydlaku.

Stary mężczyzna przesunął się przez siedzenie pasażera i wysunął głowę przez otwarte drzwi, słysząc podniesiony głos.

- Wszystko w porządku? Niestety, niedługo będę musiał jechać. Córka czeka na mnie z kolacją.

- Powiedz temu, kto tam jest, że potrwa to tylko moment - polecił Nickowi Koller. - Ty i ja musimy przedyskutować jedną sprawę.

- Wszystko w porządku, proszę pana, dziękuję. Jeszcze chwila i będę gotów.

- Nie ma problemu, synu - odparł mężczyzna. - W moim wieku czas to coś, czego być może nie mam zbyt wiele, ale nie mam też problemu z rozdawaniem go.

- Słuchaj, Nick... Chcę ci zaproponować pewien układ - powiedział Koller.

- Żadnych układów.

- Naprawdę? Nawet jeśli mam dla ciebie coś cennego? A mam takie dwie rzeczy. Ty z kolei masz dwie rzeczy, które ja bardzo chciałbym mieć.

- Co to takiego?

- DVD i... twoje życie.

- Nie dostaniesz ani jednego, ani drugiego.

- Chyba dostanę. Porozmawiajmy poważnie, dobrze? Bo nie masz zbyt wiele czasu.

- Już nikt nie umrze, Koller, nie pozwolę na to.

- Obawiam się, że to sprawa, w której nie masz nic do powiedzenia. Nie chodzi o to, czy ty i twoje dwie przyjaciółki umrzecie, tylko jak.

Nick poczuł, że traci grunt pod nogami.

- O czym ty mówisz?

- Poddaj się i daj mi to DVD, a obiecuję, że zabiję was troje bezboleśnie i szybko. Jednym strzałem w podstawę czaszki. Nawet nie będziecie wiedzieć, co się stało. Ale jeżeli mi odmówisz, jeżeli nadal będziesz sprawiać kłopoty, uśmiercę panią Coates i panią Wright w tak okropny sposób, że nawet nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić. I sprawi mi to przyjemność. Zawsze sprawia. A potem spalę je żywcem, Nicky. Trochę to potrwa, nie będę się spieszyć. Ale w końcu zostanie z nich tylko popiół. Zrobię to w tym twoim ambulansie...

Najwyraźniej delektował się tym opisem.

Nick zaczął się trząść.

- Nie odważysz się - wykrztusił, ale w jego głosie nie było przekonania.

- Jesteś lekarzem, więc wiesz, o jakim bólu mówię. Ta śmierć w męczarniach spadnie na twoją głowę. Postaram się, żebyś dostał zdjęcia, i dam ci dość czasu na zastanowienie się nad tym, co im zrobiłeś, zanim coś podobnego zastosuję wobec ciebie.

Nick zamarł, a do oczu napłynęły mu łzy bezradności i gniewu.

To się nie dzieje naprawdę. Nie, to niemożliwe.

Jego palec wskazujący prawie dotykał czerwonego klawisza rozłączającego rozmowę, ale bał się go nacisnąć. Niemal słyszał okropne krzyki Jillian i Junie w ich ostatnich chwilach. Potem zobaczył ich szerniałe ciała w jakiejś dziurze w ziemi i poczuł zapach śmierci.

- Ta oferta ma ograniczony termin, doktorze. Wiesz, jak umarła Belle Coates. Zawarłem z nią podobny układ. Bezbolesny, spokojny koniec, a w zamian za to siostra Jillian zachowa życie. Dotrzymuję słowa, to powinieneś już wiedzieć.

Nick milczał przez chwilę. Próbował przeciągać sprawę, mając rozpaczliwą nadzieję, że coś przyjdzie mu do głowy, jednak za każdym zakrętem labirynt kończył się ślepy

zaułkiem. Pokonany, pochylił głowę.

- Miejsce ukrycia DVD podam dopiero wtedy, gdy się przekonam, że nikt nie będzie cierpieć. Muszę sam zobaczyć ich śmierć. Dam sobie z tym radę, ponieważ będę wiedział, że też za chwilę umrę.

Teraz Koller musiał się zastanowić.

- Jesteś dla mnie źródłem nieustannych zaskoczeń - powiedział po chwili. - Ale zawsze mogę torturami wydobyć z ciebie tę informację, jeśli spróbujesz mnie oszukać. Dobrze, mamy umowę. Ty będziesz patrzeć, a ja dostanę płytę.

Nick sam się sobie dziwił, że mu wierzy. Jednak chyba Koller rzeczywiście dotrzymywał słowa - dowodził tego fakt, że Jillian wciąż jeszcze żyła. Zresztą nie miał wyboru. W każdym razie, jeżeli przyjmie tę propozycję, Jillian i Junie jeszcze przez chwilę pozostaną bezpieczne. On tymczasem wciąż będzie szukał jakiegoś wyjścia i jeśli dostrzeże choćby najmniejszą szansę pokonania Kollera, na pewno ją wykorzysta.

- Co teraz? - spytał.

- Oddaj telefon mężczyźnie, od którego go pożyczyłeś. Chcę z nim porozmawiać.

Drżąc, Nick podał telefon staremu. Wyczerpanie, rany i poobijane ciało sprawiały, że ledwo trzymał się na nogach.

- Chce z panem rozmawiać - powiedział.

- Kto to jest? - spytał mężczyzna.

- Lepiej, żeby pan tego nie wiedział, ale bardzo proszę, niech pan z nim porozmawia.

Mężczyzna przycisnął komórkę do ucha.

- Tak...? To znaczy zjazd numer trzyście... Tak, mogę to zrobić... No dobra, dwie i pół minuty... Tak, rozumiem.

Nick czuł, jak panika ściska mu gardło.

- Co powiedział? - spytał.

- Mam dwie minuty i trzydzieści sekund, by przewieźć pana autostradą i wysadzić przy zjeździe numer trzyście, albo umowa traci ważność. Tyle powiedział.

Nick wskoczył do kabiny furgonetki.

- Proszę jechać! Proszę jechać! Na szali jest życie dwóch osób.

- Czy mogę coś...

- Nic, po prostu proszę jechać. Kiedy wysiądę, niech pan odjedzie jak najdalej.

Twarz starego człowieka była bez wyrazu, gdy naciskał pedał gazu, zanim jeszcze Nick zdążył zamknąć drzwi. Opony zapisały na mokrej jezdni i furgonetka włączyła się do ruchu, omal nie uderzając przy tym w minivana.

- Dwie minuty to niewiele, ale ten zjazd jest niedaleko. W jakie kłopoty się wpackowałeś, synu?

- Mam do czynienia z bardzo złym, chorym, niebezpiecznym człowiekiem. To pana nie dotyczy, ale proszę, niech pan weźmie tę wizytówkę. - Nick wyciągnął z tylnej kieszeni przemoczony portfel i wyjął z niego wizytówkę Dona Reese'a. - Kiedy już się pan oddali, naprawdę oddali, co najmniej o kilka kilometrów, proszę do niego zadzwonić. To detektyw. Niech pan mu powie, że Nicka gdzieś zabrano. Jeśli odezwie się poczta głosowa, proszę zostawić wiadomość.

-? „Nicka zabrano”-powtórzył kierowca. - To wszystko?

- Im mniej pan wie, tym bezpieczniejszy pan będzie - odparł Nick.

Ale Koller pewnie i tak przyjrzy się numerom tablic rejestracyjnych, pomyślał.

Położył wizytówkę Reese'a na desce rozdzielczej.

- Mamy półtorej minuty - powiedział stary mężczyzna. - Moja żona zmarła kilka lat temu. Naprawiam teraz stare ciężarówki, trochę jeżdżę i przyglądam się wyścigom samochodowym z chłopakami, ale bardzo chciałbym ci pomóc.

- Też bym chciał, żeby ktoś mi pomógł - mruknął Nick.

- Mamy jeszcze prawie trzydzieści sekund luzu.

- Wielkie dzięki, naprawdę doceniam wszystko, co pan zrobił.

Zatrzymali się tuż za zjazdem numer 13. Wyjrżeli przez zalane deszczem szyby, szukając innego pojazdu, ale żadnego nie zobaczyli.

- Chyba nikogo tu nie ma - powiedział stary mężczyzna.

Nagle drzwi po stronie kierowcy otworzyły się, jakby uderzył w nie wiatr. Do środka wskoczył Koller, pchnął starego, a potem bez słowa złapał go za głowę i jednym ruchem skrzył mu kark. Rozległ się trzask kości i kabinę wypełnił przenikliwy smród, bo zwieracze mężczyzny puściły.

- Ty cholerny bydlaku! - wrzasnął Nick.

Koller wycelował w niego pistolet.

- Już nie może pan go uratować, ale umowa to umowa, doktorze. A pan właśnie zawarł ze mną umowę, której na pewno nie zechce zerwać.

Wyprowadził furgonetkę na jezdnię. Deszcz padał coraz mocniej.

ROZDZIAŁ 48

- Jeśli zapalisz tu papierosa, młody człowieku, zwymiotuję - oświadczyła Junie.

- Nawet przy otwartych drzwiach i oknach?

- Nawet gdybyś wielkim otwieraczem do puszek usunął cały dach tego autobusu, to i tak zwymiotuję. Jeśli ktoś obok mnie pali, zawsze wymiotuję. Po prostu wyjdź na zewnątrz. Będziesz nas widział przez okna w tym czasie, gdy będziesz ryzykować raka, rozedmę płuc i choroby serca. Nie będziesz natomiast, kochany, widzieć mnie rzygającej.

Strażnik, przystojny, dobrze zbudowany trzydziestoparoletni Afroamerykanin, rozejrzał się po ambulansie, najwyraźniej rozważając, jakie problemy mogą wynikać z pozostawienia w środku dwóch kobiet przypiętych kajdankami do podpórki stołu, podczas gdy on będzie palił na zewnątrz. W końcu wstał z fotela pasażera i zszedł na klepisko stodoły.

- Widziałam cię z papierosem, Junie - szepnęła Jillian.

- Tylko jeden dziennie. Tak się umówiłam z Samem, kiedy się pobieraliśmy. Nigdy nie złamałam tej umowy, ani razu. Ale to marlboro zawsze tak cudownie smakuje.

- Junie, nie możemy tu po prostu siedzieć i czekać, aż nas pozabija. Musimy coś zrobić.

- Nie damy się tak łatwo. Ten facet schował się za zasłonką w pokoju zabiegowym i czekał na mnie, gdy poszłam po zastępstwo dla Nicka. Przysięgnijmy sobie, że nie damy się zabić bez walki.

- Nie wiesz, gdzie może być Nick?

- Nie mam pojęcia. Martwię się, że mogą spróbować dotrzeć do niego przez nas.

- To dodatkowy powód, aby walczyć. Pytanie tylko, jak mamy sobie poradzić z uzbrojonym strażnikiem. W dodatku jesteśmy w kajdankach.

- Może uda mi się go zmiękczyć. Przypominam mu jego matkę.

- Skąd wiesz?

- Każdemu mężczyźnie przypominam jego matkę.

- A co zrobimy, kiedy już go zmiękczysz?

- Wtedy przyjdzie kolej na ciebie, kochanie. To ty jesteś pielęgniarką psychiatryczną.

Minęło już pięć godzin od chwili, gdy Paul Regis, czy też jak tam się naprawdę nazywał, podprowadził Jillian do swojego samochodu pod pretekstem zabrania z niego papierów do podpisu. Przy kawie był uroczy, zabawny i prawil jej komplementy, nawet kiedy mu powiedziała, że poznała kogoś. Była całkowicie nieprzygotowana, gdy złapał ją za przegub i boleśnie wykręcił rękę za plecami. Zaraz potem pchnął ją twarzą w dół na podłogę po stronie pasażera i zażądał, by trzymała ręce za plecami. Zanim przybyli na farmę - gdzieś na północny zachód od Dystryktu Kolumbii, jak jej się wydawało - dywanik zdążył otrzeć jej skórę na czole i jednym policzku.

Gdy samochód się w końcu zatrzymał i Regis otworzył drzwi od strony pasażera, było już późne popołudnie. Zaparkowali na wielkim zielonym polu. Naprzeciwko nich, równoległe do siebie, stały cztery bardzo duże stodoły. W pewnej odległości za nimi znajdował się niewielki biały domek, nigdzie jednak nie widać było ani maszyn rolniczych, ani innych oznak, że cokolwiek się tu uprawia.

Przed drugą stodołą od prawej stała czarna furgonetka. Obok niej pełnił wartę mężczyzna w ciemnych spodniach, okularach przeciwsłonecznych i białej koszuli, uzbrojony w pistolet tkwiący w kaburze pod pachą. Jillian martwiła się, że Regis nie tylko nie próbuje zasłonić jej oczu, ale nawet pozwala jej się rozglądać. Najwyraźniej nie miało dla niego znaczenia, co zobaczy, ponieważ miała nie wyjść stąd żywa.

Regis zamienił kilka słów z mężczyzną pełniącym wartę przy drugiej stodole, przekazał mu Jillian i oddalił się z pewnym pośpiechem. Poprowadzono ją w kajdankach przez boczne drzwi do zaskakująco wielkiego wnętrza, wysokiego na dwie kondygnacje, z odsłoniętymi krokwiami, słabo oświetlonego trzema wiszącymi w sporej odległości od siebie nagimi żarówkami. Pod ścianami stało kilkadziesiąt pudeł i skrzyń różnej wielkości, a z tyłu zaparkowano małego jeepa. W centrum stodoły, pod jedną z żarówek, stał ambulans „Pomocnych Dłoni”. Na widok Junie siedzącej spokojnie przy stole Jillian ogarnęła rozpacz, ale nie była zdziwiona. Zaraz potem znalazła się naprzeciwko niej, podobnie jak ona przykuta kajdankami do nogi stołu.

Siedziały tak już od jakiegoś czasu.

1

- Chyba już kończy palić - powiedziała Jillian do Junie. - Masz jakieś pomysły?

- Jestem pewna, że przynajmniej na chwilę uda mi się uwolnić od tych kajdanek.

- Jak?

- Żaden mężczyzna nie lubi patrzeć, jak starsza kobieta się moczy. Nawet nie będę musiała się specjalnie wysilać, aby go przekonać, że to realna groźba.

- A co potem?

- Kawa - szepnęła Junie z naciskiem, bo strażnik przydeptał niedopałek i odwrócił się, zamierzając wspiąć się po schodkach do środka.

- Rozumiem - odparła Jillian, gdy mężczyzna ponownie usadowił się na fotelu kierowcy.

- Hej, dzięki, że paliłeś na zewnątrz - powiedziała Junie.

- Nie ma sprawy.

- Ale wiesz, że palenie jest szkodliwe, prawda?

- Dzięki za troskę.

- Mam na imię June. Wszyscy nazywają mnie Junie. A moja koleżanka to Jillian. Obie jesteśmy pielęgniarkami i wiemy, czym grozi palenie.

- To dobrze.

- Masz jakieś imię?

- Możesz do mnie mówić Butch.

- To chyba niezbyt przyjemne dla ciebie, Butch, trzymać pod strażą dwie kobiety.

- Robię, co mi każą.

- Mam syna w twoim wieku. Nigdy nie robił, co mu kazano.

- Tak to już bywa z dziećmi.

Jillian czuła, że przygląda się mistrzyni.

- Teraz jest prawnikiem, obrońcą z urzędu. A ty? Jesteś kimś w rodzaju gliny?

- Czemu tak myślisz?

- Nie wiem. Może to coś w sposobie, w jaki się poruszasz. Nie urodziłam się wczoraj i znam ludzi. Wiem na przykład, że w gruncie rzeczy jesteś dobrym facetem. Kimś w rodzaju Johna Wayne'a. Masz dzieci?

- Dość tego. Wystarczy, jeśli będziesz wiedziała, że jestem bardzo dobry w tym, co robię. A teraz dotyczy to pilnowania was obydwu.

- Rozumiem. Powiedz mi, Butch, czy twoi szefowie powiedzieli ci, co powinieneś zrobić, jeśli pęcherz twojej sześćdziesięciodwuletniej więźniarki będzie chciał eksplodować?

Strażnik zachichotał.

- Możesz pójść to toalety. Musisz tylko zostawić otwarte drzwi.

- Skoro chcesz się przyglądać, to nie moja sprawa.

- Drzwi mają być otwarte, choć nie uważam, byś stanowiła szczególne zagrożenie.

- Pod tym względem masz rację, Butch. Hej, nie chciałabym przeginać, ale kiedy już uporam się ze swoim pęcherzem, czy mogłabym zrobić kawę? Choć mam tylko rozpuszczalną, jest bardzo dobra.

- Zobaczymy. Wszystko po kolei.

Wyciągnął z kieszeni spodni niewielki mosiężny kluczyk i rozpiął kajdanki.

Junie zerknęła na Jillian, która natychmiast przejęła pałeczkę.

- A ja potem, dobrze? - poprosiła.

- Jak mówiłem, wszystko po kolei.

Junie podniosła się z pewnym trudem, pojękując przy tym.

- Pewnego dnia ktoś cię unieruchomi kajdankami przy jakimś słupie, Butch, i każe ci

siedzieć w tej samej pozycji przez milion godzin...

- Przykro mi. Rozkaz to rozkaz.

- Cała zeszywniałam.

- Zaraz się rozluźnisz.

- Może tak, może nie. A jeśli chodzi o kawę...

- Co z tobą? Wszystko po kolei. Ile razy muszę to powtarzać?

- Nastawię wodę, żeby się gotowała, kiedy będę w łazience. Jak powiedziałam, kawa na pewno będzie ci smakować.

Zdjęła duży garnek z suszarki przy zlewie, nalała do niego wody z - kranu i postawiła na gazowej kuchence.

Jillian przyglądała się jej z fascynacją. Było dokładnie tak, jak obiecała - Butch reagował na nią jak na swoją matkę.

- Gdzieś tu powinno być pudełko zapalek - powiedziała Junie. - Muszę tylko zapalić...

- Dostyc tego. Odłóż to i idź do łazienki.

- Oczywiście. Pijesz kawę ze śmietanką i z cukrem? Założę się, że ani jedno, ani drugie. Wyglądasz na takiego, który ani nie słodzi, ani nie dodaje mleka. Mój syn też taki jest. No już, zapalam gaz. Teraz ty możesz się tym zająć, a ja idę do toalety. Kawa jest w lodówce, koło śmietanki. Ja poproszę ze śmietanką i dwiema kostkami cukru.

Kiedy w końcu odwróciła się i ruszyła wąskim przejściem do małej toalety naprzeciwko prysznicza, woda zaczynała się gotować.

- Wchodzisz i wychodzisz - powiedział Butch, poprawiając broń w kaburze pod pachą. - Nie mam zbyt wiele cierpliwości.

- Mój syn też nie jest szczególnie cierpliwym człowiekiem.

Ona jest naprawdę dobra, pomyślała Jillian.

Zaryzykowała spojrzenie w stronę kuchenki. Garnek zaczynał już grzechotać na palniku. Teraz nie mogły się zatrzymać ani nawet zawahać. Ci ludzie byli zawodowcami, zdecydowanymi wyciągnąć od nich wszystko, co wiedzą, a potem je zlikwidować. Jeżeli niczego z tym nie zrobią, obie zginą. Po prostu.

Odwróciła się na tyle, na ile mogła. Zobaczyła, że Junie wcisnęła się do maleńkiej toalety na końcu ambulansu i po chwili zamknęła drzwi. Strażnik natychmiast przebiegł obok kuchenki i zaczął dobijać się do toalety. Garnek na palniku brzęczał, bo woda już się gotowała.

- Powiedziałem ci, żebyś nie zamykała drzwi! - krzyknął Butch. - Otwórz, bo inaczej je wyłamie!

- Nie mogę się załatwić, kiedy ktoś na mnie patrzy. Jeszcze dwie sekundy.

- Już!

Drzwi się otworzyły i Junie wyszła z toalety, unosząc obie ręce.

- Dobrze, dobrze, nie strzelaj.

Opuściła ręce i zaczęła iść wąskim przejściem, a Butch wycofywał się tyłem pół metra przed nią. Jillian zastanawiała się, czy w ogóle pamięta o tym, że tuż za nim gotuje się woda. Jeśli łagodna, pełna życzliwości dla ludzi Junie nie zawaha się pójść na całość, przypomni sobie o tej wodzie w okropny sposób.

Jeszcze metr, oceniła.

Junie sięgnęła ręką za plecy i szybko wyciągnęła ją przed siebie, trzymając środek odkażający w sprayu. Kiedy Butch sięgał po niego, prysnęła mu w twarz. Strażnik natychmiast wytrącił jej pojemnik z ręki, jednak kilka kropel środka odkażającego trafiło mu do oczu. Złapał Junie za gardło, drugą ręką ocierając twarz.

- Proszę, nie rób jej krzywdy! - krzyknęła Jillian. - Junie, nie rób głupstw!

Butch zawahał się i po chwili rozluźnił uchwyt.

Junie opadła na kolano, z trudem łapiąc powietrze. Jillian zauważyła, że zmusiła w ten sposób strażnika do cofnięcia się o kolejne pół metra. Butch wciąż tarł oczy i nie zwracał uwagi na garnek z gotującą się wodą.

- To było bardzo głupie z twojej strony - warknął.

- I tak nas zabijecie, prawda? Musiałam czegoś spróbować.

- Zamknij się i wracaj na krzesło. Nikt tu nikogo nie będzie zabijał.

Junie powoli przesunęła się do przodu, cały czas wpatrując się w podłogę.

- Dziękuję, Butch - powiedziała Jillian. - Dziękuję, że nie zrobiłeś jej krzywdy.

Butch zerknął za siebie. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, ale wystarczyło.

Ruchy Junie były szybkie i skuteczne. Złapała rączkę rondla, zawołała Butcha, a kiedy się odwrócił, chlusnęła mu wrzątkiem w twarz z odległości zaledwie kilkunastu centymetrów. Zanim jeszcze padł na wyłożoną dywanem podłogę, wrzeszcząc i osłaniając oczy, zaczęła walić go w głowę garnkiem.

Odgłosy uderzeń przypominały strzały. Wystarczyły dwa ciosy, by strażnik stracił przytomność, ale Junie nie przestawała, a każdy następny cios był silniejszy. W pewnym momencie Jillian wydawało się, że słyszy trzask kości. Wpatrywała się w Junie szeroko otwartymi oczyma.

- Dorastałam w takiej okolicy, gdzie człowiek człowiekowi był wilkiem - powiedziała w końcu Junie bez tchu.

Sprawdziła tętno Butcha, po czym wyjęła mu broń z kabury, a z kieszeni wyciągnęła klucz do kajdanek. - Czasami wyprawa do sklepu na rogu była groźną przygodą. Wciąż czuję jego tętno, ale chyba nieprędko się obudzi.

- Przypomnij mi potem, żeby nigdy nie prosiła cię o kawę - mruknęła Jillian. w

ROZDZIAŁ 49

Koller zjechał z autostrady, zatrzymał się na nieoświetlonej pustej drodze i zgasił silnik. Jego jedna ręka leżała na kierownicy, a - drugą opierał na kolanach martwego mężczyzny. Trzymany w niej pistolet wycelowany był w Nicka.

- Przenieś tego faceta do tyłu - polecił mu, ruchem pistoletu pokazując, że ma wysiąść z forda. - Śmierdzi. I niech ci nic głupiego nie przychodzi do głowy. Powiedziałem moim ludziom, że jeśli nie pojawimy się za pół godziny, mają zacząć polewać damy gorącym olejem, rozumiesz?

Nick kiwnął głową i wysunął się przez drzwi pasażera na porośniętą trawą pobocze. Rozpaczliwie pragnął dołączyć do Jillian i Junie. Miał nadzieję, że jeśli będzie robić, co Koller mu każe, przyspieszy tę chwilę. Nie mógł już w żaden sposób pomóc staremu człowiekowi, ale czuł się odpowiedzialny za jego śmierć, choć to Koller go zabił - Koller i zły los.

Przemarznięty, obolały i zmęczony, z trudem podniósł ciało starego i oparł je na swoim jedynym zdrowym ramieniu.

Potem położył mężczyznę delikatnie na zabłoconej platformie furgonetki i przykrył go. To jeszcze jeden rachunek, który będzie musiał wyrównać, gdy nadejdzie pora.

- Co zrobisz z ciałem? - spytał Kollera, gdy znów ruszyli w drogę.

- To moi klienci pozbywają się ciał. Ja je tylko dostarczam.

- Śmierć tego człowieka nie budzi w tobie żadnego żalu?

Morderca się uśmiechnął.

- Pomyśl o mnie jak o zwierzęciu, które poluje dla zdobycia pożywienia - odparł. - Pojawiłem się na tej ziemi po to, by zabijać ludzi, i tym właśnie się zajmuję.

- Ktoś może zgłosić kradzież furgonetki. Nie boisz się, że zatrzyma cię policja?

- Czy sprawiam wrażenie człowieka, który się czegokolwiek boi?

Nick nic na to nie odpowiedział.

- Mamy dużo czasu, więc nie musimy przekraczać dozwolonej prędkości - dodał Koller.

- Myślisz o wszystkim, co?

- Ty też dużo myślisz, doktorze. Jestem ciekaw, dlaczego nie wziąłeś DVD do biura Siliski.

- Saul dał mi cynk - wyjaśnił Nick, zaciskając zęby, bo znów przeszył go ból, tym razem w brzuchu. - Użył imienia swojego zmarłego brata zamiast imienia Umberta.

- Więc dokładnie wiedziałeś, co się z nim dzieje - stwierdził Koller.

- Domyślałem się tego.

- Właśnie dlatego kazałem mu cierpieć, zanim go zabiłem. Nie lubię, kiedy ludzie ze mną pogrywiają albo uważają, że mnie przechytrzą.

Choć w furgonetce działało ogrzewanie, Nick nie potrafił powstrzymać dreszczy. Rana postrzałowa pulsowała, rozjątrzona wysiłkiem przy przenoszeniu ciała starego człowieka. Rozmowa z Kollerem budziła w nim obrzydzenie, wydawało mu się jednak, że pomaga mu to zachować przytomność. Obawiał się, że jeśli zamknie oczy na dłużej niż mrugnięcie, nigdy więcej ich nie otworzy.

- Nie martw się, nie zrobię tobie i kobietom tego, co zrobiłem twojemu kumplowi Mollenderowi - powiedział Koller, przerywając milczenie. - W końcu układ to układ.

Nick wbił palec wskazujący w dziurę od kuli i stwierdził, że ból pomaga mu zachować przytomność i jednocześnie podsycza jego gniew. Będzie to powtarzać, jak długo zdoła. Dopóki sprawy między nim a Kollerem się nie zakończą, chciał czuć ból i nienawiść.

Zanim jednak zabójca zatrzymał furgonetkę na obszernym, porośniętym trawą polu, Nick zważył, czy uda mu się ustać na własnych nogach.

Jak zdołam komukolwiek pomóc, skoro nie mogę nawet chodzić? - pomyślał.

Ponownie wbił palec głęboko w ranę.

Trzymając w jednej ręce pistolet, Koller obszedł samochód od frontu i wyciągnął Nicka z kabiny, pozwalając mu upaść na kolana. Znajdowali się na jakiejś farmie, do której prowadziła droga, nie widać było na niej jednak innych samochodów. Było już dość ciemno, ale Nick dostrzegł kilka stodół i furgonetkę. Koller postawił go na nogi i pociągnął do najbliższych drzwi. Na straży stał tam mężczyzna z pistoletem w kaburze pod pachą.

- To ten lekarz?

*

- Tak. Otwórz drzwi. Lepiej, żebyś nie patrzył na to, co się wydarzy.

- Jestem gotów zginąć dla ojczyzny albo pomóc komuś innemu umrzeć za kraj. Dam sobie radę z tym, co ma się wydarzyć.

Rozmawiali, jakby Nicka przy nich nie było, co zresztą nie odbiegało zbytnio od

prawdy. Nick znowu wcisnął palec do dziury od kuli, ale z rozpaczą stwierdził, że ból nie jest już tak silny. Mimo to jego czujność wzrosła. Gdy oczy przyzwyczyły się do mroku, zaczął rozglądać się za czymkolwiek, czego mógłby użyć jako broni. Jednocześnie sprawdzał, czy jego kończyny jeszcze działają.

Po chwili drzwi stodoły odsunęły się na szynach i Koller wpełznął Nicka do środka. Na widok zaparkowanego na samym środku ambulansu „Pomocnych Dłoni” Nickowi ścisnęło się serce. Wnętrze stodoły było słabo oświetlone. Nie działała żarówka nad ambulansem, jedna z trzech zwieszających się z krokwi. Nick zauważył, że w samym ambulansie również jest ciemno. Drzwi pasażera były otwarte.

Czyżby trzymali obie kobiety w środku?

Po wejściu do stodoły Koller rozejrzał się i zapytał:

- Gdzie drugi strażnik?

- Butch! - zawołał wartownik. - Butch, gdzie jesteś, do cholery?!

- Można mieć do niego zaufanie?

- Jest najlepszy, proszę pana, naprawdę najlepszy.

- Zawołaj go jeszcze raz.

- Butch, hej, kolego!

Najwyraźniej coś poszło nie tak.

- Kurwa - zaklął Koller, ponownie rozglądając się po wypełnionej skrzyniami i kartonami stodole. Pchnął Nicka, który poleciał na znajdujące się z tyłu zapasowe koło ambulansu, a potem odwrócił się do wartownika. - Wyciągnij broń. Obserwuj drzwi i pilnuj tego człowieka. Jeśli otworzy usta, jeśli powie chociaż jedno słowo, strzel mu w jaja. Nie zabijaj go.

Nick całkowicie oprzytomniał.

Koller ostrożnie, z wyciągniętym pistoletem podszedł do otwartych drzwi ambulansu, ukląkł i zajrzał do środka.

- Chryste!

- Co się dzieje? - zapytał wartownik.

- Twój kumpel Butch, ten najlepszy, leży na podłodze nieprzytomny. Wszędzie jest rozlana woda. I jeśli się nie mylę, kobiet nie ma już w ambulansie.

- Tak - szepnął Nick.

Zobaczył, że twarz Kollera wykrzywia gniew.

- Te drzwi to jedyne wyjście - powiedział wartownik - a ja stałem przed nimi cały czas, tak jak pan kazał, przysięgam. Jeśli nie ma ich w ambulansie, to są gdzieś tutaj, w

stodole.

Na twarz Nicka wypłynął uśmiech. W jego żyłach krążyło już dość adrenaliny, by mógł się wyprostować i rozejrzeć. Ciemne zakątki, wysokie krokwie, góry skrzyń i pudeł zapewniały kobietom dość kryjówek. Choć nie mogły wydostać się ze stodoły, były inteligentne i pomysłowe. A także uzbrojone - miały przecież pistolet nieprzytomnego strażnika.

Dobra robota, dziewczyny, ale bądźcie ostrożne, pomyślał Nick.

Koller okręcał się wokół, trzymając pistolet w wyciągniętej ręce. Odszedł kilka metrów od Nicka, żeby sprawdzić te części stodoły, które zasłaniał ambulans.

- Masz latarkę w tamtej furgonetce? - spytał wartownika.

- Hm, to furgonetka Butcha, więc nie wiem.

- Trudno... No dalej, moje panie. Mam tu waszego przyjaciela Nicka. Naprawdę chcecie patrzeć, jak umiera?

Nick zauważył, że jego głos nie brzmi już tak władczo.

Nie może znieść, gdy coś idzie nie tak, pomyślał.

- Jeżeli wyjdziecie z tego miejsca, w którym się kryjecie, nic nikomu się nie stanie. A jeśli nie, to i tak was dopadnę. Nawet gdybym musiał spalić tę stodołę.

Nick znów wsunął palec w dziurę od kuli. Pora się uaktywnić.

- Nie wychodźcie! - krzyknął. - Niech do was podejdzie, nie może nas zabić, bo potrzebuje...

Uderzenie kolbą pistoletu w skroń było tak silne, że upadł.

- Powiedziałem przecież, żebyś strzelał, jeśli się odezwie! - wrzasnął Koller.

Nick powoli podniósł się na nogi. Koller stanął półtora metra od niego.

- Przykro mi, kolego - powiedział strażnik, unosząc pistolet.

- Czekaj! - powstrzymał go Koller. - Mają panie trzy sekundy na ujawnienie się. Raz...

- Nie wychodźcie! - wrzasnął Nick tak głośno, że jego głos wypełnił całą stodołę.

- Dwa...

- Przykro mi, kolego - powtórzył strażnik. - To jest wojna.

- Trzy.

Nick zacisnął szczęki. Usłyszał strzał, jednak nie poczuł.

- Masz latarkę w tamtej furgonetce? - spytał wartownika.

- Hm, to furgonetka Butcha, więc nie wiem.

- Trudno... No dalej, moje panie. Mam tu waszego przyjaciela Nicka. Naprawdę chcecie patrzeć, jak umiera?

Nick zauważył, że jego głos nie brzmi już tak władczo.

Nie może znieść, gdy coś idzie nie tak, pomyślał.

- Jeżeli wyjdziecie z tego miejsca, w którym się kryjecie, nic nikomu się nie stanie. A jeśli nie, to i tak was dopadnę. Nawet gdybym musiał spalić tę stodołę.

Nick znów wsunął palec w dziurę od kuli. Pora się uaktywnić.

- Nie wychodźcie! - krzyknął. - Niech do was podejdzie, nie może nas zabić, bo potrzebuje...

Uderzenie kolbą pistoletu w skroń było tak silne, że upadł.

- Powiedziałem przecież, żebyś strzelał, jeśli się odezwie! - wrzasnął Koller.

Nick powoli podniósł się na nogi. Koller stanął półtora metra od niego.

- Przykro mi, kolego - powiedział strażnik, unosząc pistolet.

- Czekaj! - powstrzymał go Koller. - Mają panie trzy sekundy na ujawnienie się. Raz...

- Nie wychodźcie! - wrzasnął Nick tak głośno, że jego głos wypełnił całą stodołę.

- Dwa...

- Przykro mi, kolego - powtórzył strażnik. - To jest wojna.

- Trzy.

Nick zacisnął szczęki. Usłyszał strzał, jednak nie poczuł bólu. Podniósł wzrok akurat w chwili, gdy strażnik zatoczył się, uderzył w ambulans i osunął się na ziemię, pozostawiając na boku pojazdu szeroką czerwoną smugę. Rozległ się kolejny strzał. Strzelano spomiędzy pudeł stojących w prawo od Nicka.

Koller odwrócił się w tamtą stronę i kilkakrotnie nacisnął spust. Drugiemu strzałowi towarzyszył błysk, który zdradził kryjówkę strzelca. Zabójcy nie trzeba było nic więcej. Strzelił cztery razy dokładnie w to miejsce. Junie krzyknęła i poleciała twarzą do przodu, zrzucając na siebie pudła i kartony.

Niemal w tym samym momencie rozległ się kolejny krzyk, dochodzący gdzieś z cienia w górze.

Jillian.

Koller okręcił się i uniósł wzrok. Kiedy próbował dostrzec, co się dzieje na dachu ambulansu, na jego twarzy wylądowało kilka litrów benzyny. Nick stał na tyle blisko, że część prysnęła również na niego. Odsunął się na bok, a morderca, wrzeszcząc i trąc oczy, potknął się i upadł. Nick dostrzegł Jillian, klęczącą na dachu ambulansu i ciskającą w Kollera pustym już metalowym wiadrem. Uderzyło zabójcę w czubek głowy, jednak ten ból musiał być niczym w porównaniu z bólem zalanych benzyną oczu.

- Zabiję cię, kurwa! - wrzeszczał Koller, gwałtownie się krztusząc. - Zabiję cię!

Był już na nogach i okręcał się, wciąż dziko kaszląc i trąc oczy. Jego gęste czarne włosy sklejała benzyna. Jillian, która też podniosła się z kolan na dachu ambulansu, miała dla niego kolejną niespodziankę.

- Paulu Regisie, czy też jak tam się nazywasz! - krzyknęła. - Zabiłeś moją siostrę! Nazywała się Belle Elizabeth Coates, ty skurwielu!

Zanim Nick zdążył podejść do leżącej bez ruchu Junie, zobaczył, jak Jillian zapala zapalniczkę i wrzuca ją do małego kartonowego pudełeczka trzymanego w drugiej ręce. Zapalniczka w pudełku zapaliła się gwałtownie, oświetlając jej twarz i belki stodoły.

Jillian upuściła płonące pudełko.

Nick miał wrażenie, że przygląda się lecącej w zwolnionym tempie ognistej kuli. Upadła jakieś trzydzieści centymetrów od Kollera, ale to wystarczyło. Gwałtowny wybuch jasności oświetlił wszystkie kąty wielkiej stodoły. Po chwili do ostrego odor benzyny i gryzącego zapachu dymu dołączył swąd palących się włosów i ciała Kollera. Zabójca zamienił się w słup ognia. W kilka sekund płomienie połknęły jego twarz, której skóra zwęgliła się, zanim zdążyły powstać bąble.

Przesiąknięte benzyną ubranie Kollera zniknęło, zabierając ze sobą ciało, które w wielu miejscach wypaliło się aż do kości.

Nick musiał osłonić twarz i odwrócić się od fali gorąca. Wydawało mu się, że gdzieś ze środka płonącego słupa dochodzą wrzaski Kollera.

Po chwili cylinder ognia się zapadł, a płomienie przygasły. W odległych kątach stodoły znów zapanowała ciemność.

Nick przebiegł obok dymiącego pagórka, przesunął pudła i ostrożnie odwrócił Junie na plecy. Pielęgniarka jeszcze żyła. Kula trafiła ją w lewą pierś tuż nad biustem, nie było jednak widać rany wylotowej. Junie miała zamknięte oczy, ale wciąż oddychała, choć płytko, a jej puls był mocny i regularny.

Jillian zeszła po drabince z tyłu ambulansu i biegiem ruszyła w ich stronę. Na koszuli Junie rosła plama krwi.

- Jakie tętno? - spytała Jillian, ujmując rękę Junie.

Nick wzruszył ramionami.

- W gruncie rzeczy nie takie złe - odparł. - I wciąż oddycha.

- Hej, Junie Wright, tu Nick i Jillian! Słyszysz nas?

Junie jęknęła i spróbowała otworzyć oczy.

- Leż spokojnie, kochanie - powiedziała Jillian. - Zajmiemy się tobą.

- Dobrze, że mamy tu ambulans - stwierdził Nick.

- Może pójdę do niego i przyniosę jakiś sprzęt?

- Ja lepiej wiem, co gdzie jest. Ty tymczasem naciskaj tę ranę i trzymaj dwa palce na tętnicy, a ja wrócę z torbą lekarską i czymś do podwieszenia kroplówki.

- Dasz sobie radę? Ty też nie wyglądasz najlepiej.

- Dam sobie radę.

- Znajdź telefon i zadzwoń pod dziewięćset jedenaście! - krzyknęła za nim Jillian. - Strażnik na pewno jakiś ma.

- Dobrze.

- Pamiętaj też o latarkach. I może włącz reflektory.

Nick obszedł to, co zostało z Kollera, i zatrzymał się przy strażniku. Kiedy stwierdził, że nic już dla niego nie może zrobić, wszedł do ambulansu i włączył reflektor. Potem zabrał zestaw ratunkowy i kilka innych rzeczy i wrócił do miejsca, gdzie leżała Junie.

- Zadzwoiłem pod dziewięćset jedenaście - powiedział, oddychając z trudem. - Ale nie potrafiłem powiedzieć, gdzie jesteśmy, a nie chciałem z nimi zbyt długo rozmawiać. Dyspozytorka ledwie mnie słyszała, ale obiecała, że postara się nas zlokalizować po sygnale komórki.

Jillian i Nick uklękli obok siebie w dymie i smrodzie. Założyli dwa wenflony, nasunęli na rękę Junie mankiet do r pomiaru ciśnienia krwi i w końcu podłączyli tlen. Mówili bardzo mało.

- Ciśnienie osiemdziesiąt - powiedziała po chwili Jillian.

- Dodam trochę dopaminy.

- Nick, ona nas uratowała. Musi przeżyć.

- Przeżyje. No już, moja pani, dosyć tego. Oddychaj głęboko.

- Czy dyspozytorka powiedziała, ile im zajmie odnalezienie nas?

- Uprzedziła mnie, że to może potrwać.

- Ciśnienie siedemdziesiąt. Nick, nie mamy czasu.

- Robię, co mogę. Ustawiłem kroplówki na maksymalną prędkość. Szkoda, że nie możemy jej stąd wynieść na świeże powietrze. - Złapał telefon komórkowy i znowu zadzwonił pod dziewięćset jedenaście. - Udało się? - zapytał. - Proszę dalej próbować.

- Nic? - spytała Jillian.

- Nic. Junie potrzeba sali operacyjnej, i to szybko. Chyba powinniśmy spróbować przenieść ją do ambulansu, a potem postarać się znaleźć jakiś szpital.

- Czy dasz radę ją unieść?

- Nie wiem, ale spróbuję.

- A gdybyśmy ją przeciągnęli do ambulansu?

- Możemy wyrzucić jej krzywdę.

Jillian raz jeszcze sprawdziła ciśnienie krwi i zacisnęła pięść.

- Wciąż siedemdziesiąt. Panie Boże, nie pozwól, by to się stało. Potrzebujemy jej, wszyscy jej potrzebujemy. Jeśli zabierzesz tę kobietę, to już nigdy więcej się do Ciebie nie odezwę, rozumiesz?

W tym momencie ciszę nocy wypełniło wycie syren. Niecałą minutę później całe pole omiotły reflektory. Bardzo liczne reflektory.

- Znaleźli nas! - krzyknęła Jillian.

- To wygląda jak inwazja kosmitów - mruknął Nick.

Złapał telefon komórkowy i rozmawiał przez kilka sekund, a potem spojrzał na Jillian.

- Dyspozytorka mówi, że jeszcze nie zdołali nas znaleźć. Wciąż próbują nas namierzyć.

Przy drzwiach do stodoły zatrzymało się kilka samochodów policyjnych i karetka.

- Można chyba powiedzieć, że czeka na nich niespodzianka - stwierdziła Jillian.

Pierwszy w drzwiach stodoły pojawił się Don Reese, a za nim ekipa ratunkowa, która natychmiast zabrała się do pracy.

- Don! - zawołał Nick.

Detektyw podszedł do niego i rozejrzał się wokół ze zdumieniem.

- Raport policyjny na temat tego, co tu widzę, będzie bardzo interesujący - powiedział.

- Kto się spalił? Mam nadzieję, że to ten zły.

- Najgorszy - odparł Nick. - Skąd się tu wzięłeś? Dyspozytorka z dziewięćset jedenaście powiedziała, że nie mogą nas znaleźć.

- Dałem ci GPS do ambulansu, pamiętasz?

- Oczywiście.

- Widząc dwadzieścia rozpaczliwych wiadomości od ciebie, spanikowałem, doktorze. Zawsze uważałem cię za opanowanego faceta. Kiedy nie mogłem się do ciebie dodzwonić, postanowiłem działać. Zadzwoiłem do firmy i namierzyliśmy cię tutaj.

- Super. Teraz możemy uznać, że jesteśmy lewita - stwierdził Nick, gdy ratownicy medyczni pokazali mu uniesiony kciuk.

- Nie jestem tego pewien - mruknął Reese.

- Daj spokój, Don - powiedziała Jillian, ujmując go pod ramię. - Skoro ja mogłam załatwić to, co właśnie załatwiłam, wy też możecie załatwić swoją sprawę.

Junie leżała już na noszach. Nick i Jillian pocałowali ją w czoło i patrzyli, jak odwożą

ją do czekającej karetki.

- Może powinienes pojechać razem z nią, Nick - zasugerowała Jillian.

- Jeśli mnie będą chcieli zabrać.

- Wygląda na to, że tobie też przydałby się lekarz - powiedział Reese. - Spotkamy się w szpitalu. Wiozą ją do Country General. To dobre miejsce i tylko jakieś osiem kilometrów stąd.

Jillian i Reese podtrzymywali Nicka w drodze do karetki. Deszcz przestał padać. Chmury nad ich głowami rozwiały się, ukazując jasny sierp księżyca.

ROZDZIAŁ 50

Długa biała limuzyna jechała powoli Constitution Avenue w stronę Budynku Kancelarii Senatu imienia Philipa A. Harta. Był dwunasty września, pogodna środa. Można bez żadnej przesady powiedzieć, że przesłuchania, które miały rozpocząć się za pół godziny, budziły więcej zainteresowania niż jakiegokolwiek inne przesłuchania senackie od czasów Watergate.

- Czy kupimy sobie kiedyś taką limuzynę? - zapytał Reggie, siedzący pośrodku tylnego siedzenia.

- Któregoś dnia sam sobie taką kupisz - odparła Junie, kaszląc i z trudem łapiąc powietrze - ale tylko wtedy, jeśli będziesz odrabiać zadania domowe.

- Hej, obecny tu doktor Nick Fury powiedział mi, że kiedy przeprowadzę się do niego i Jillian, nie będę musiał odrabiać lekcji.

- Ha, chciałbyś - powiedziała Jillian. - Nie poznałeś nas jeszcze od najgorszej strony. Junie, dobrze się czujesz?

Starsza kobieta odchrząknęła i pokiwała głową. Po usunięciu górnego płata lewego płuca nie czuła się najlepiej i bardzo się postarzała. Nie przeszkodziło jej to jednak w zdobywaniu coraz to nowych dotacji dla „Pomocnych Dłoni”, wymusiła także na Winnebago obietnicę przekazania fundacji nowego, luksusowego, w pełni wyposażonego ambulansu.

- Wyglądaliście na zewnątrz? - spytał Don Reese. - Mamy jeszcze spory kawałek do przejechania, a już tutaj ulica obstawiona jest fotografami i reporterami.

- Wskoczmy tu - zaproponował Reggie. - Miło byłoby zobaczyć swoje zdjęcie w gazetach. Poza tym chciałbym zrobić wrażenie na jednej dziewczynie ze szkoły i...

- Dość tego - przerwała mu Junie. - Rozmawiałam z twoją nauczycielką WOSu. Spodziewa się, że przedstawiś jej co najmniej pięciostronicowe wypracowanie na temat

przesłuchania. To powinno wystarczyć, by zrobić wrażenie na każdej dziewczynie, na której warto robić wrażenie. Nick, mój drogi, ta wysoka wilgotność powietrza źle na mnie działa. Czy moglibyśmy podjechać do samych drzwi?

- Tak, proszę pani - odparł kierowca.

- Tam jest trochę schodów - powiedział Reese. - Ale jest też podjazd. Może sprowadzimy wózek inwalidzki?

- Nie trzeba, dam sobie radę - podziękowała Junie.

Reese nie tylko odnalazł ich w należącej do CIA stodole, ale także pomógł im później. To on pierwszy zaczął przekonywać Williama Conklina, dyrektora CIA, którego znał osobiście, że musi przywrócić zaufanie społeczeństwa do agencji. Nie chcąc narażać się Ramslandowi, Conklin przez lata przymykał oko na działalność Jerycha, co doprowadziło do tego, że agencja znów zaczęła mieć złą sławę. To, co się teraz działo, bardzo przypominało wydarzenia z połowy lat siedemdziesiątych, kiedy to ujawniono dokonywane przez CLA polityczne zabójstwa i inne niezgodne z prawem działania.

Tego popołudnia długie rozmowy Reese'a z szefem CIA miały przynieść owoce.

Po porannych zeznaniach Paresha Singha, urzędników i chirurgów ze szpitala Shelby Stone Memoriał oraz członków rodzin siedmiu ofiar z sali operacyjnej numer 10 Lionel Ramsland rozpoczął serię zaprzeczeń. Dla Nicka i pozostałych było to bardzo frustrujące.

Kiedy Ramsland skończy składać zeznania, nadejdzie pora na wystąpienie Conklina. Jako ostatni miał zeznawać Nick, choć właściwie mógł tylko powtórzyć to, co słyszał od innych.

- Jeśli zrobi się późno, to pewnie cię nie wezwą - powiedział mu jego prawnik. - Mogą się spotkać jeszcze raz jutro albo cię wykreślą, ponieważ twojej relacji nie poświadczają żadne obiektywne dowody.

Najwyraźniej tłoczący się na chodniku i na jezdni reporterzy zostali poinformowani, kto znajduje się w nadjeżdżającej limuzynie. „The Times”, gazety waszyngtońskie, „People” oraz wszystkie sieci telewizyjne poświęciły wiele miejsca i czasu antenowego Nickowi, Jillian i pozostałym. Artykuł w „People” nosił tytuł Dziesięciu małych Indian.

David Bagdasarian, należący do zespołu prawników reprezentujących Nicka i Jillian w Izbie Lekarskiej i w Izbie Pielęgniarskiej, załatwił im środek transportu i teraz czekał na nich na krawężniku. Kiedy wysiedli z limuzyny, zaprowadził całą grupę do nowoczesnego budynku imienia P. A. Harta. Nickowi i Jillian zawieszono licencje zawodowe, potem jednak uchylono to zawieszenie do zakończenia śledztwa.

- Ramsland jest nie do ruszenia - powiedział Bagdasarian, gdy mijali wysokie atrium i

ogromny metalowy mobil Alexandra Caldera Góry i chmury, a potem szli do sali 216, w której zebrała się Senacka Komisja do spraw Wywiadu. - Przyznał, że to on był tym dziesiątym człowiekiem na wideo z sali operacyjnej, oświadczył jednak, że nie robił niczego nielegalnego. Nikt nie jest w stanie ostatecznie i definitywnie stwierdzić, kto znajdował się na stole operacyjnym tamtego dnia trzy lata temu ani co stało się z ciałem. Prawdopodobnie przeprowadzono autopsję, ale nie znamy jej wyniku.

- Hej, nie wpadajmy jeszcze w panikę - powiedział Reese, gdy zajmowali miejsca w trzecim rzędzie za stołem dla świadków. - Jak mówi Yogi Berra, opera się nie kończy, póki nie zaśpiewa gruba dama.

Nick i Jillian wiedzieli, że współpracuje z Williamem Conklinem z CIA, jednak nie znali szczegółów.

Wszyscy poza Nickiem usiedli. W wyniku urazów doznanych podczas ucieczki przed Franzem Kollerem jego ramiona i kolana wciąż nie bardzo lubiły pozostawać zbyt długo w jednej pozycji. Fizjoterapia pomogła, ale stawy nadal zachowywały się, jakby były dziesięć lat starsze od reszty ciała. Zupełnie inaczej miała się sprawa z zespołem stresu pourazowego. Pokonanie zabójcy, terapia EMDR i nowe życie z Jillian i Reggie'em działały cuda. Jego poziom stresu na subiektywnej skali oscylował teraz stale między trójką („lekki, ale zauważalny niepokój”) a dwójką („lekkie zdenerwowanie, niezauważalne, chyba że zaczyna się analizować swój nastrój”). Czasem nawet opadał do jedynki („żadnych wyraźnych niepokojów i raczej dobre samopoczucie”).

Nick zaczął masować mięśnie karku, ale przerwał, bo do wypełnionej sali przesłuchań wkroczył Lionel Ramsland. Trochę schudł, jednak sprawiał wrażenie tak samo pewnego siebie i zarozumiałego jak zawsze.

Nick ucieszył się, gdy dwa miesiące wcześniej Ramsland ogłosił, że ponieważ nie chce być obciążeniem dla swojej partii, rezygnuje z kandydowania na stanowisko wiceprezydenta - choć wcale jeszcze nie został nominowany.

Gdy Ramsland podchodził do swojego miejsca, jego spojrzenie napotkało wzrok Nicka. Przez kilka sekund patrzyli na siebie, a potem Ramsland, nie zmieniając wyrazu twarzy, uniósł prawą rękę i zsalutował. Nick przełknął żółć, która podeszła mu do gardła, pokręcił głową i zajął krzesło między Jillian a Reese'em, przodem do komisji i marmurowej ściany ozdobionej godłem Senatu.

Przewodniczący komisji, senator Blackstone z Missouri, poprosił zebranych o uwagę i Ramsland po złożeniu przysięgi zaczął składać zeznania. Przez następną godzinę człowiek, który mógł zostać wiceprezydentem, nieustannie kłamał. Wyparł się swojego związku z

Franzem Kollerem i powiedział, że nigdy nie używał posiadanego przez CIA elektronicznego urządzenia, które mogło stymulować pewne obszary mózgu albo sprawiać, że w jego neuroprzebiegach dochodziło do spięcia. Nie przyznał się też do swoich związków z Jerychem i kontaktów z Alimem Sajjidem Muhammadem. Oświadczył również, że nigdy nie przeprowadził rozmowy przez telefon komórkowy z Nickiem.

Słuchając tego steku kłamstw, Nick zacisnął pięści. Reese popatrzył na niego i szepnął:

- To sznur, Nicky. Każde jego kłamstwo to kolejny kawałek sznura.
- Wciąż nie widzę pętli - mruknął Nick.

Gdy ostami z senatorów kończył zadawać Ramslandowi pytania, Reese obejrzał się przez ramię i jego twarz się rozjaśniła. Ponownie pochylił się do Nicka.

- Teraz zacznie się zabawa - szepnął. - Przybyła gruba dama.

Nick odwrócił się i zobaczył szefa CIA Williama Conklina, stojącego w drzwiach między dwoma prawnikami. Był to pięćdziesięcioletni mężczyzna o gęstych siwych włosach i wysportowanej sylwetce. Gdy Ramsland wrócił na swoje miejsce, Blackstone wezwał Conklina.

- Nie był pan obecny we wcześniejszej fazie tych przesłuchań - stwierdził.
- Lot był opóźniony - odparł Conklin.
- Czy podróżował pan sam?
- Nie, podróżowałem z zastępcą, Arthurem Senstromem.
- Następcą Lionela Ramslanda na tym stanowisku.
- Tak, panie senatorze.
- A skąd pan przyleciał, panie Conklin?
- Z Ameryki Południowej, panie senatorze. Nie mogę ujawnić kraju.
- Jaki był cel waszego wyjazdu?
- Spędziliśmy dwa dni z terrorystą Alimem Sajjidem Muhammadem.

W sali przesłuchań wybuchła wrzawa. Wydawało się, że wszyscy mówią jednocześnie. Blackstone zaczął uderzać młotkiem w stół.

- Dobra robota - szepnął Nick do Reese'a.

- Conklin za wszelką cenę chce utrzymać agencję. Pomogłem mu dostrzec, że to jego jedyna szansa. Nie wiedziałem tylko, czy ten wyjazd coś da. Wygląda na to, że tak. Powiedz Jillian, że może wyjąć zdjęcie siostry, które trzyma w torebce.

Nick powtórzył Jillian, co powiedział Reese, ona zaś położyła sobie zdjęcie na kolanach. Było to czarnobiałe nieupozowane zdjęcie Belle w wiosennej sukience.

Dziewczyna siedziała pod drzewem i czytała książkę. Sięgające do ramion włosy otaczały jej jasną twarz, piękną i pogodną.

Nick widział już to zdjęcie wielokrotnie. Wiedział też, że Jillian je ze sobą zabrała. Wyciągnął rękę i lekko ścisnął jej prawą dłoń. Z kącika oka Jillian wymknęła się pojedyncza łza i spadła mu na przegub.

W końcu w sali przywrócono porządek.

- Czy wrócił pan z dowodami odnoszącymi się do tej sprawy, panie Conklin? - spytał Blackstone.

- Tak, panie senatorze.

- Zgłaszam protest! - krzyknął prawnik Ramslanda, zrywając się z miejsca. - Żądam, aby umożliwiono mi zapoznanie się z tymi dowodami, zanim zostaną przedstawione.

- Panie Dietz, to przesłuchanie ma na celu zapoznanie się z faktami. Pański klient nie staje tu przed sądem, a jedynie zeznaje pod przysięgą. Zamierzam dopuścić wszystkie dowody, które pomogą nam szybciej dotrzeć do prawdy. Proszę mówić dalej, panie Conklin.

Szef CIA postawił na stole przed sobą dwa magnetofony i włączył jeden z nich. Z głośnika popłynął głęboki męski głos mówiący po arabsku.

- Nie będę odtwarzać całego zapisu, tylko przeczytam tłumaczenie - powiedział Conklin, wyłączając magnetofon. - „Analiza głosu potwierdzi, że jestem Alimem Sajjidem

Muhammadem. Ponadto na obu taśmach znajdują się moje odciski palców. Mówię do was z Ameryki Południowej, z miejsca, w którym się ukrywam. W zamian za moją współpracę w tej sprawie oraz za wszelkie inne informacje, które mogą się okazać potrzebne panu Conklinowi, pozwolono mi nadal żyć w ukryciu. Po śmierci mojego najstarszego syna poczułem się zmęczony wojną i postanowiłem się wycofać. Było to kilka lat temu. Z przyczyn, które później staną się jasne, porozumiałem się wtedy z panem Lionelem Ramslandem z CLA, on zaś zgodził się ze mną spotkać. Ujęcie mnie przez siły amerykańskie było zaaranżowane. Wojsko przekazało mnie CIA. W ciągu następnego roku mój wygląd uległ całkowitej zmianie na skutek kilku operacji plastycznych przeprowadzonych przez doktora Paresha Singha. W tym samym czasie znaleziono dwóch mężczyzn, których struktura kostna przypominała moją, i zmieniono ich twarze tak, aby wyglądali dokładnie jak ja przed operacją. Ponadto stworzono dowody medyczne świadczące o tym, że umieram na rzadki nowotwór serca. Moje sobowtóry zostały poddane praniu mózgu bardzo wyrafinowanymi metodami. Nauczono ich mówić po arabsku, żeby mogli rozmawiać z lekarzami, którzy mieli przeprowadzić operację”.

Nick obejrzał się na drugi rząd od końca, gdzie siedzieli Bill Pearl, ubrany jak zawsze

w czarny garnitur i smokingową koszulę, oraz Manny Ferris w sportowej kurtce i krawacie. Dzięki Jillian Manny rozpoczął serię operacji plastycznych, które miały zlikwidować ślady zabiegów niedokończonych z powodu jego ucieczki z centrum Singha. Co więcej, psychoterapeuci z Shelby Stone zaczęli go deprogramować i leczyć jego zespół stresu pourazowego. Wprawdzie postęp był powolny i terapeuci żywili poważne wątpliwości, czy Manny'ego da się całkowicie wyleczyć, ale nikt nie zamierzał zaprzestać prób.

- „Po roku - czytał dalej Conklin - jeden z moich sobowtórów został wysłany na salę operacyjną w szpitalu Shelby Stone Memorial, gdzie zmarł, zanim rozpoczęto operację. Przebywałem już wówczas w kraju, w którym mieszkam obecnie. W zamian za moje życie podałem panu Ramslandowi wiele informacji dotyczących działalności różnych organizacji, które nazywacie grupami terrorystycznymi. Pan Ramsland odwiedzał mnie mniej więcej co dwa miesiące, zadając mi kolejne pytania. Po trzech latach przestał przyjeżdżać, ponieważ zamierzał poświęcić się polityce. Zaczął mnie odwiedzać jego następca, pan Arthur Senstrom. W czasie drugiej wizyty powiedział mi, że operacja, podczas której rzekomo umarłem, została zarejestrowana na DVD. Oczywiście zażądałem, aby pokazano mi ten film, a ponieważ dysponowałem odpowiednimi środkami nacisku, Ramsland spełnił moje żądanie. Nagranie pokazywało, jak przed operacją bardzo zdenerwowany, krzyczę po arabsku i hiszpańsku, wzywając człowieka nazwiskiem doktor Nick Fury, a potem padam i umieram na skutek działania urządzenia, które musiało zostać aktywowane przez znajdującego się na sali operacyjnej Lionela Ramslanda. Hiszpańskie słowa z pewnością zrozumieli przynajmniej niektórzy z obecnych na sali operacyjnej, uznałem więc, że dopóki wszyscy ci ludzie pozostają przy życiu, moje bezpieczeństwo jest zagrożone. Spotkałem się z panem Ramslandem, który zapewnił mnie, że zajmie się tą sprawą i zrobi to w taki sposób, że nikt nie powiąże go z tamtą operacją. Co więcej, obiecał, że wszystkie kopie nagrania zostaną zniszczone”.

William Conklin odłożył kartki z przekładem i skrzyżował ręce na piersi. W wypełnionej ludźmi sali panowała martwa cisza. Oczy wszystkich skupiły się na Lionelu Ramslandzie, który siedział sztywno wyprostowany i patrzył na Nicka, jakby zamierzał wygłosić tyradę podobną do tej, którą wypróbował na nim w biurze Noreen Siliski.

Tym razem Blackstone nikogo nie musiał przywoływać młotkiem do porządku. Nadal pozostawało bez odpowiedzi jedno pytanie i czekano, aż senator z Missouri je zada.

- Jeśli to, co przed chwilą usłyszeliśmy, jest prawdą panie Conklin, jest to przerażająca informacja i z pewnością wszyscy są tak samo wstrząśnięci jak ja.

Ramsland nie wytrzymał i zerwał się z miejsca.

- Nie macie prawa mnie osądzać! - krzyknął. - Uratowałem życie setkom ludzi, tysiącom ludzi! To wojna, senatorze, wojna! Młodzi amerykańscy żołnierze codziennie giną!

Młotek Blackstone'a znowu zastukał w blat, a strażnicy ruszyli do Ramslanda, który zupełnie stracił panowanie nad sobą i wyglądał, jakby za chwilę miał dostać ataku serca. Ale kiedy jego prawnik szepnął mu coś do ucha, osunął się na krzesło.

- Panie Conklin, czy ta druga taśma wyjaśni nam, na czym polegał ten tak zwany środek nacisku? - zapytał w końcu Blackstone.

- Owszem, senatorze, ale nagranie trwa ponad godzinę.

- Czy może pan je dla nas streścić?

- Oczywiście, panie senatorze. - Conklin uporządkował notatki. - To nagranie rozmowy, która odbyła się sześć lat temu w Karaczi i została potajemnie zarejestrowana przez Alima Muhammada. Z inicjatywą spotkania wyszedł Lionel

Ramsland. W tej rozmowie Ramsland obiecuje Muhammadowi dużą dostawę broni, głównie rosyjskiej, której pochodzenia nie da się ustalić, oraz pięć milionów dolarów w gotówce w zamian za śmierć pana Ashai Bayoumiego, egipskiego ministra spraw zagranicznych, reprezentującego jawnie antyamerykańskie poglądy. Następnie Ramsland obiecuje poinformować Muhammada o dokładnym czasie i miejscu, w którym pan Bayoumi będzie się modlił. Nasz wywiad doniósł, że miesiąc później ten niewielki meczet został wysadzony w powietrze, a Bayoumi i kilkanaście innych osób zginęło. Ani ja, ani nikt inny w agencji nie wiedział o tym układzie. Ponieważ Muhammad posiadał taśmę z zapisem tej rozmowy, mógł trzymać w szachu Lionela Ramslanda i poprosić o upozorowanie swojej śmierci w zamian za informacje dla Jerycha. Właśnie to nagranie było środkiem nacisku, który Muhammad wykorzystał, aby zapewnić sobie przeżycie.

Ramsland znowu się poderwał i zaczął krzyczeć.

- To dzięki pozbyciu się Bayoumiego Egipt nie wszedł w sojusze z kilkoma grupami terrorystycznymi! Zostało uratowane życie tysięcy ludzi, tysięcy!

W sali zawrzało.

Blackstone stuknął młotkiem i ogłosił zamknięcie sesji, ale niewiele osób go słuchało. Wszyscy rzucili się ku podwójnym drzwiom.

Ramsland został otoczony przez strażników i wyprowadzony.

Gdy zbliżał się do wyjścia, odwrócił się i spojrzał na Nicka z nienawiścią.

Sala była niemal zupełnie pusta. Nick, Jillian, Reese, Junie, Reggie i Bagdasarian siedzieli w milczeniu, nie poruszając się.

- Sądziłem, że będę czuł się lepiej - powiedział w końcu Nick.

- To chyba niemożliwe - odparła Jillian. - Śmierć to śmierć. Ale Ramsland do końca życia będzie wierzył, że to, co zrobił, służyło interesom kraju.

Znów zapadło milczenie.

- Cóż, wydaje mi się, że jak na jeden dzień usłyszeliśmy dosyć - odezwał się nagle Reggie. - Czy możemy już wrócić do domu?

- Nie tylko możemy, ale i powinniśmy - stwierdziła Junie.

- Limuzyną?

- Limuzyną, przyjacielu - potwierdził Nick.

EPILOG

Obiad w Święto Dziękczynienia w nowej siedzibie Fundacji „Pomocne Dłonie” był równocześnie radosny i słodkogorzki. Wielki stół w poczekalni zastawiony był pudełkami z jedzeniem przygotowanym przez ochotników pod nadzorem Jillian. Członkowie zarządu i personelu ustawili się w szeregu, przekazując pudełka czekającym na zewnątrz ludziom. Sam Wright i bliźniaczki Levishefsky razem z członkami zawodowych drużyn sportowych z Waszyngtonu i Baltimore rozdawali porcje indyka. Był również burmistrz, Reggie oraz byli żołnierze, którym Nick pomagał radzić sobie z zespołem stresu pourazowego. Wszyscy byli w doskonałych nastrojach.,

- Hej, Nick! - zawołał z drugiej strony pokoju Matthew McBean. - Wydaje mi się, że dzisiaj poziom mojego stresu opadł do trójki. Kiedy patrzę na tych wszystkich biedaków na zewnątrz, zaczynam doceniać to, co mam.

Nick uśmiechnął się do niego. Od śmierci Phillipa MacCandlissa sporo byłych żołnierzy otrzymało zasiłki, których im poprzednio odmawiano. Kilku znalazło pracę, a Eddie Thompson został zatrudniony w Biurze do spraw Weteranów.

David Bagdasarian, prawnik Nicka, wszedł do zatłoczonego pokoju z dwoma wielkimi pudłami ciastek.

- Nowe wieści, Nick - powiedział. - Wczoraj wieczorem odrzucono ostatni wniosek Ramslanda o zwolnienie warunkowe. Zbyt wielkie ryzyko, że ucieknie. Będzie siedział w areszcie aż do procesu. Jego prawnicy utrzymywali, że bez Alima Muhammada prokurator nie ma właściwie podstaw do oskarżenia, ale sędzia był innego zdania.

Stojąca obok Jillian uniosła kciuk.

- Najwyraźniej potrafi rozpoznać masowego mordercę - stwierdziła.

Fala protestów wywołanych umową między rządem a Muhammadem w zamian za jego oświadczenie i współpracę jeszcze nie opadła. Odbyło się kilka demonstracji, powstała również organizacja pod nazwą Żadnych Układów, która naciskała na CIA, by ujawniła

miejsce pobytu terrorysty i sprowadziła go do Stanów Zjednoczonych.

- A wiadomo coś o Pareshu Singhu i praniu brudnych pieniędzy? - spytał Nick.

- Nie, nic. Kiedy wyszedł za kaucją, zniknął. Indie to wielki kraj, a on ma tyle pieniędzy, że każdego może przekupić. Prawdopodobnie nigdy go nie odnajdą.

Pojawiła się Junie, która przedtem porządkowała sprzęt w nowym ambulansie Winnebago długości trzynastu metrów, należącym obecnie do „Pomocnych Dłoni”.

- Czy chcesz, żebym odprowadził cię do domu? - spytał Nick.

- Co ci przychodzi do głowy? - prychnęła. - Nie mam jeszcze zbyt wiele sił, ale lekarze mówią, że powinnam zacząć troszkę więcej pracować. A teraz, kiedy nie muszę już się codziennie martwić o tego łobuza, ponieważ go adoptujecie - objęła ramieniem Reggiego - na pewno szybko wrócę do normalnego życia.

- Pamiętajcie, że macie mnie zabrać na pierwszą wyprawę nowym ambulansiem - powiedział Reggie. - Nie jest to może limuzyna, ale jak powiedzieliście, któregoś dnia będę mieć własną.

- Panie burmistrzu, może by pan obejrzał nasz nowy ambulans? - zapytała Junie. - Ostatecznie pan też przyczynił się do zebrania na niego pieniędzy.

- Bardzo chętnie - odparł burmistrz.

Jillian, Junie, Reggie i Nick wyszli razem z burmistrzem na ulicę, gdzie stały dwa ambulanse. Powitał ich przywiązany do kierownicy Second Chance.

- To mój pies, Chance - przedstawił go Reggie. - Chance, to jest pan burmistrz.

Burmistrz zwiedził nowy ambulans, podziękował im i odszedł. Przez chwilę cała czwórka stała w milczeniu, patrząc na oszkloną gablotkę na ścianie. Wisiała w niej powiększona fotografia Umberta Vasqueza, którą Nick latami nosił po ulicach, a obok zdjęcie pięknej młodej kobiety, czytającej pod drzewem książkę.